

ZESZYT STO PIĘTNASTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1996

ZESZYT STO PIĘTNASTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1996

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 492

ISSN 0406-0393
ISBN 83-86907-05-03

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Wydanie krajowe



Towarzystwo
Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego
w Paryżu

Roman T. GERLACH

ANI NIEDŹWIEDZI, ANI LASU, ANI NIC: TRAGEDIA GETTA WARSZAWSKIEGO

Icek Cukierman, albo Yitzhak Zuckerman, jak się nazywał po przybyciu do Palestyny, cierpiał na nadmiar pamięci, która nie dawała mu spokoju, aż wreszcie zdecydował się na wyjaśnienie świata, co naprawdę działo się w getcie warszawskim i jaką rolę on w tym odgrywał. Rezultatem tego jest wielce interesująca książka: *A Surplus of Memory: Chronicle of the Warsaw Ghetto Uprising* (Nadmiar pamięci: Kronika Powstania Getta Warszawskiego), wydana dwa lata temu w Berkeley, California, przez University of California Press.

Cukierman był wychowankiem hebrajskiej szkoły średniej wileńskiego Tarbutu*, w której język polski był wykładany na równi z niemieckim jako język obcy, a historia Polski była ograniczona do zagadnień ekonomicznych i kulturalnych, z naciskiem na rozwój kultury żydowskiej w Polsce. Taką historię wykładano w klasie piątej, jak również i polityczną historię współczesnej Polski, z naciskiem na prawa mniejszości narodowych, w klasie siódmej¹. W rezultacie Icek

* Tarbut (hebr. „Kultura”): jeden z trzech hebrajskich systemów nauczania w szkołach żydowskich w Polsce (przyp. autora).

1. Zuckerman, op.cit., str. 343; Miriam Eisenstein, *Jewish Schools in Poland, 1919-39*. (New York: King's Crown Press, 1950), str. 44-46.

Cukierman nie należał „do Polski, do jej kultury, do jej życia. Był Żydem z krwi i kości – syjonistycznym Chalucem”. (Str. 622.)

Nie był jednak zwykłym Chalucem. Był przywódcą Hechaluc Hacairu (Młodego Pioniera), który stanowił jeden z głównych trzonów Chalucu, zrzeszającego szereg organizacji młodzieżowych, zdążających do stworzenia socjalistycznego państwa żydowskiego w Palestynie. Wszystkie one pozostawały pod wpływem różnych koncepcji marksizmu z własnymi, mniej lub bardziej radykalnymi, podejściami do nowego ładu społeczeństwa żydowskiego. Ale wszystkie one zgadzały się – jeśli idzie o braterstwo broni – z międzynarodowym proletariatem myśląc o wspólnej walce z „burżuazją” i kapitalizmem wszelkiego odcienia².

Nic więc dziwnego, że po wybuchu II wojny światowej ci Żydzi widzieli w niej wojnę „imperialistyczną” i czekali cierpliwie – zajmując się swoimi własnymi sprawami chalucowymi – na wykrwawienie się obu jej stron, by po wkroczeniu do niej Związku Sowieckiego, wojna ta przekształciła się w wojnę „antyimperialistyczną”. Czekali na sposobność powitania Armii Czerwonej z bukietami kwiatów jako zwiastuna nowego, progresywnego ładu światowego. (Str. 83, 503.) Bo „nasze nastawienie do reżymu sowieckiego wypływało z naszego pozytywnego ustosunkowania się do ideałów drogi wiodącej do realizacji socjalizmu, reprezentowanego przez Związek Sowiecki. Myśmy nie wiedzieli jeszcze, co to znaczy dyktatura proletariatu w Związku Sowieckim... Nie interesowaliśmy się takimi sprawami”. (Str. 26.) „W pełni naszej niewinności, wierzyliśmy, że najbardziej postępowy system rządów w świecie był tam w toku realizacji”. (Str. 169.)

Gdy jednak przyszedł czas na rozpoczęcie się wojny „antyimperialistycznej” – wybrany raczej przez Hitlera niż Stalina, Armia Czerwona, zamiast bić Niemców, zaczęła ponosić jedną klęskę za drugą. A niebawem zaczęły nadchodzić ze wschodu wieści o masakrach Żydów na skalę nie

2. Ezra Mendelsohn, *Zionism in Poland*. (New Haven: Yale University Press, 1981), str. 272-298; Walter Laqueur, *A History of Zionism* (New York: Schocken Books, 1989), str. 297-301, 484-488.

do pomyslenia. Żydowskie partie polityczne, czynne w getcie, nie dawały im wiary. Ale Chaluc wziął je poważnie. Kłopot był tylko w tym, że „z naszego punktu widzenia, Rząd Polski przestał istnieć. Polacy przestali tu rządzić, nawet ich podziemny rząd nie rządził”. (Str. 167.) Zwrócili się więc do ludzi „bliskich ich sercom”, którzy utworzyli na terenie getta komórkę nowo powstałej Polskiej Partii Robotniczej, i razem z nimi założyli Blok Antyfaszystowski, którego celem była „mobilizacja wszystkich zdrowych sił narodu żydowskiego do walki przy boku Armii Czerwonej o narodowe i społeczne wyzwolenie”. (Str. 183.)

Tu jednak spotkało ich nowe rozczarowanie. Bo komuniści sami nie mieli jeszcze broni i w młodzieży żydowskiej widzieli nie przyszłych obrońców gerta, a kandydatów na partyzantów, którzy powinni być zdolni do zdobycia broni na wrogu przez zręcznie urządzone zasadzki. Lecz, gdy grupki ich zaczęły przekradać się do lasów lubelskich, spotkał ich nowy zawód: w miejscach im wskazanych nie było „ani niedźwiedzi, ani lasu, ani partyzantów, ani w ogóle nic”. (Str. 199.)

Blok Antyfaszystowski okazał się efemerydą – „dużo hałasu, mało czynu”. I gdy, w lipcu 1942 r., runęła na getto wielka akcja „przesiedleńcza”, Chaluc znalazł się w posiadaniu zaledwie jednego pistoletu. Przywódcy jego założyli teraz Żydowską Organizację Bojową, ŻOB, i rozpoczęli frenetyczne starania o nabycie broni. „Myśmy nie odczuwali dotychczas nieistnienia Rządu Polskiego, ale teraz, gdy znaleźliśmy się w kłopotcie, jakikolwiek rząd oznaczał dla nas broń, organizację, poradę i współpracę”. (Str. 167.)

Po pierwszej, nieudanej próbie skontaktowania się z takim rządem, przypomnieli sobie, że jedna z ich niezawodnych łączniczek ze stroną aryjską i innymi gettami, Irena Adamowicz, była harcerką, mającą kontakt z Aleksandrem Kamińskim, który był czynnym zarówno w podziemnym polskim harcerstwie, jak też i w Komendzie Głównej Armii Krajowej. Odkrywszy teraz istnienie nie tylko podziemnego rządu polskiego, ale i podziemnej polskiej armii, wydelegowali Irenę i jednego z przywódców Haszomer Hacairu, Arie Wilnera, do nawiązania kontaktu z nią poprzez Kamińskiego. (Str. 219.)

W rozmowie z Wilnerem, Kamiński uprzedził go, że aby być poważnie potraktowanymi przez Armię Krajową, bojownicy żydowscy w getcie powinni najpierw stworzyć polityczną bazę dla swego ruchu, która by wzięła odpowiedzialność za ich plany i działania. A to było obelgą dla Chalucu i dopiero co powstającego ŻOB-u, których członkowie, choć nie mający żadnego przeszkolenia wojskowego, uważali siebie za bojowników, jak sama nazwa ŻOB-u na to wskazywała. Brak im było tylko broni.

„Arie Wilner przyszedł z powrotem i zakomunikował nam, że przedstawiciele AK nie chcieli z nim mówić, bo nie uznawali Hehalucu, Droru i Haszomer Hacairu za partnerów do pertraktacji, a tylko za ruch młodzieżowy... Powiedzieliśmy więc Arie, żeby im powiedział, że on reprezentował dwie inne instytucje: polityczną, Żydowski Komitet Narodowy (ŻKN), który łączył wszystkie siły w getcie, i jego ramię zbrojne, Żydowską Organizację Bojową (ŻOB), która istniała już przedtem, ale teraz została zreorganizowana. Myśmy zgodzili się na reorganizację, abyśmy byli pokryci, na wypadek, gdyby Polacy zaczęli jakąś inwestygację. Wilner poszedł z powrotem na stronę aryjską i przeszedł teraz do nich z ramienia Żydowskiego Komitetu Narodowego, który jeszcze nie istniał... Polacy nas do tego pchnęli. Musieliśmy przyjąć ich radę. Ale w danej sytuacji, oni nie byli w stanie stwierdzić, kto zasiadał w tym komitecie”. (Str. 220, 249.)

Kamiński skontaktował teraz Wilnera z szefem referatu do spraw żydowskich w Komendzie Głównej AK, Henrykiem Wolińskim. Ale ten, nie wiedząc dotychczas o istnieniu takiego komitetu, chciał się najpierw dowiedzieć, kto w nim zasiadał i jaką partię reprezentuje. Wilner powrócił więc do getta z wieścią, że ŻKN, istniejący tylko na papierze, nie jest przekonującym partnerem dla AK.

Przez cały październik 1942 r. odbywały się pertraktacje ŻOB-u z partiami politycznymi, w toku których ŻOB sprzeciwiał się stanowczo uznaniu autorytetu Polaków nad nimi, a Polacy nie chcieli służyć za parawan niczym nie ograniczonym działaniom ŻOB-u. (Str. 223, 248-250.)

Pod koniec miesiąca ŻOB został zmuszony do ustąpie-

nia partiom, choć tylko pozornie. 30-go października ŻKN został wreszcie formalnie ukonstytuowany i nowa komenda ŻOB-u, rozszerzonego przez oddziały bojowe poszczególnych partii, zatwierdzona. Tylko Bund odmówił wejścia do syjonistycznej ŻKN, wobec czego utworzony został nadrzędny Żydowski Komitet Koordynacyjny (ŻKK) dla współpracy Bundu z ŻKN.

9 listopada 1942 r. dwie deklaracje ŻKN zostały przedłożone cywilnym i wojskowym władzom Polski Podziemnej. Jedna żądała uznania ŻKN za reprezentanta ludności żydowskiej w całej Polsce, a druga zaopatrzenia ŻOB-u w broń.

Komendant AK, gen. Rowecki, wiedział dobrze, że w getcie istniał Żydowski Związek Wojskowy Rewizjonistów, mający kadre doświadczonych oficerów i podoficerów i w pełni wyposażony arsenał. W Rewizjonistach ŻOB widział jednak „faszystów” i palił się tylko do dobrania się do ich arsenału bez równoczesnego przyjęcia choć części ich kadry dowódczej do komendy ŻOB-u. Rowecki nie wierzył zatem ani w bojowe doświadczenie ŻOB-u, ani też w jego zapał do walki. Przyjął tylko do wiadomości jego zamiar przygotowania się do niej.

Delegatura natomiast, która w Bundzie widziała lojalnych obywateli Polski, chciała najpierw wiedzieć, kto miał sprawować naczelny autorytet nad ŻOB-em – ŻKN czy ŻKK. I oczekiwała równocześnie od partii wchodzących w skład ŻKN przysięgi na wierność Polsce w nadchodzącej rozgrywce z Rosją. Dopiero po jej złożeniu pod koniec listopada, ŻKN został przez nią uznany i przerzut pierwszych dziesięciu pistoletów dla ŻOB-u zatwierdzony.

2 grudnia 1942 r. statut Żydowskiego Komitetu Koordynacyjnego został nareszcie przedłożony władzom Polski Podziemnej. Podpisany w imieniu ŻKN – przez Arie Wilnera i Bundu – przez Leona Feinera, podał on jako jego członków Bund, cztery partie syjonistyczne i trzy organizacje młodzieżowe. Komuniści, którzy mieli cztery oddziały bojowe wśród dwudziestu dwóch ŻOB-u i przedstawiciela w jego komendzie, na liście tej nie byli wymienieni, natomiast znaleźli się tam... Rewizjoniści! Lojalność Bundu, którego

przedstawiciel wiarygodność tego statutu potwierdził, miała widocznie pewne granice³.

Dla Cukiermana statut ten był pomyślnym rozwiązaniem nękającej go kwestii. Podział autorytetu między ŻKK i ŻOB-em został tu określony mało mówiącymi słowami: „Aby utrzymać ścisły kontakt między tymi dwoma ciałami, ... Komendant Organizacji Bojowej będzie uczestniczył w zebraniach Komitetu Koordynacyjnego”. Ale Cukierman, będący zastępcą komendanta ŻOB-u, wiedział dobrze, co kryło się pod tą formułką.

„Jako komendant ŻOB-u, Mordechai Anielewicz zasiadał w Żydowskim Komitecie Narodowym i Komitecie Koordynacyjnym, a ja byłem Generalnym Sekretarzem obu. Myśmy mieli kolegialną prezydenturę. Ja stałem na czele (obu tych komitetów), a Mordechai, jako Komendant ŻOB-u, był moim komendantem... W danej sytuacji nie miało sensu dzielić naszych politycznych i wojskowych ról... Ja zwoływałem zebrania i ustalałem ich agendy... Decyzje należały do nas. Myśmy byli siłą kierowniczą, a partie przyjmowały nasz autorytet i nas słuchały”. (Str. 224, 229, 250.)

Nastąpiły teraz żądania bezzwłocznego zaopatrzenia ŻOB-u w broń. Ale dopiero po wydarzeniach styczniowych 1943 r., kiedy to bojowcy żydowscy przepędzili Niemców z getta, AK dostarczyła im dodatkowych 50 pistoletów i 50 granatów celem zaznajomienia się z ich używaniem. I ŻOB zaczął się zaznajamiać z nimi bez zwłoki – likwidując rzeczywistych i domniemyanych kolaborantów i wywłaszczając bogatszych Żydów – tzw. „ekonomicznych kolaborantów”. (Str. 268, 319-334.)

3. Sprawy pertraktacji, wiodących do utworzenia ŻKN i ŻKK, są poruszane przez Cukiermana powierzchownie, nie dając nam jasnego obrazu ich przebiegu. Ich chronologia jest oparta przeto na następujących źródłach: Yisrael Gutman, *The Jews of Warsaw, 1939-1943*. (Bloomington: Indiana University Press, 1982), str. 285-301; Lucy S. Dawidowicz, *The War Against the Jews 1935-45*. (New York: Holt, Rinehart and Winston, 1975), str. 314-320; „Bylaws of the Coordinating Commission and the Jewish Combat Organization”, in Lucy S. Dawidowicz, red., *A Holocaust Reader*. (New York: Berman House, 1976) str. 337-339; Wacław (Henryk Woliński), „Memorandum to the Polish Government-in-Exile regarding the Jewish Combat Organization, Warsaw, 2 XII 1942”, *ibid.*, str. 339-340.

Cukierman szybko mógł stwierdzić, że „nowa, realna siła powstała w getcie – Żydowska Organizacja Bojowa, która zrewolucjonizowała życie Żydów, wiedzących, kto wydaje wyroki śmierci”. Zaczął się tylko zastanawiać czy Żydzi, zdejmujący teraz czapki przed nim na ulicy, czynili to ze strachu, czy też z uwielbienia. (Str. 273-4.) Nawet Rewizjoniści byli zmuszeni do uznania ŻOB-u za faktyczną władzę w getcie. (Str. 311, 324-5, 330.)

I z satysfakcją mógł on powiedzieć: „Mamy teraz dosyć pieniędzy na zakup broni – miliony złotych”, którą to sumę Marek Edelman podaje jako dziesięć milionów. (Str. 232⁴.) Kwestią jest tylko, jak on, uzbrajający ŻOB, te miliony wydał i na jaką broń. Sam przyznaje, że „nie chcieliśmy karabinów – woleliśmy pistolety... Bo karabin trudno było przynieść do getta, trudno nosić i trudno ukrywać”. (Str. 253.) Pytanie jednak pozostaje, co stało się z resztą tych milionów po zakupie jakichś pistoletów i amunicji do nich, co nie mogło kosztować więcej, niż około pięciu milionów złotych. Czy za resztę ŻOB nie mógł nabyć choć po jednym lub dwóch pistoletów maszynowych dla każdego z jego oddziałów bojowych?

Ale łatwiej było powiedzieć: „Myśmy żądali choć kilkadziesiąt sztuk broni od AK, ale oni nam jej nie dali. I to jest ich zbrodnią!” (Str. 254.) Zbrodnią też było, że Rewizjoniści, którzy mieli arsenał pełen broni różnego rodzaju, nie zgodzili się na jego połączenie z arsenałem ŻOB-u. (Str. 226, 255.) Ale cóż innego można było oczekiwać od „faszystów”?

Od komunistów, to coś innego, „Oni nas słuchali z prawdziwą sympatią, ale nie mieli nic nam do dania... (więc) służyli nam tylko dobrą radą i zachęcali do utrzymywania kontaktu z AK, w czym nie widzieli nic sprzecznego z naszym paktem z nimi” (Str. 419, 502.)

Cukiermanowi ani na myśl nie przyszło, że AK mogłaby coś wiedzieć o kontaktach ŻOB-u z komunistami. W rozmowach z nimi „moją zasadą było: mów prawdę, inaczej możesz znaleźć się w kłopotcie. Ale tej zasady nie trzymałem się w moich rozmowach z AK, w których ukrywałem nasze kontakty z AL.” (Str. 392.)

4. Marek Edelman, *Getto walczy*. (Warszawa: KC Bundu, 1945), str. 50.

Wielkie było przeto jego zdziwienie, gdy w rozmowie z majorem Janiszewskim z kontrwywiadu AK usłyszał, że AK dobrze o tym wszystkim wiedziała. I dotknięty doszedł do przekonania, że AK używała tego tylko jako pretekstu dla odmowy wydawniejszej pomocy dla ŻOB-u. Bo jeśli komuniści nie widzieli nic złego w ich kontaktach z AK, jak mogła AK widzieć coś złego w ich kontaktach z komunistami, które same przez się nie czyniły z getta „bazy sowieckiej”? I z oburzeniem zapytuje, czy AK nie wiedziała, kim był Anielewicz, kim Cukierman, kim Syjoniści, nie chcąc zrozumieć, że właśnie dlatego, że AK wiedziała kim oni byli i jakie ideologie reprezentowali, nie wierzyła im. (Str. 360, 364.)

Motyw używania antykomunistycznego pretekstu dla pokrycia rzekomego faktu, że AK nie chciała widzieć broni w rękach Żydów z przyczyny jej głęboko zakorzonego antysemityzmu, występuje u Cukiermana zwłaszcza w jego wspomnieniach z okresu powstania w getcie. Po aresztowaniu głównego przedstawiciela ŻKN i ŻOB-u na stronie aryjskiej, Arie Wilnera, Cukierman zajął jego miejsce na kilka dni przed wybuchem powstania i przypuścił natychmiast szturm do komend AK i GL o przyspieszenie opracowania planu odsieczy, rzekomo obiecanej ŻOB-owi. I nie chodziło tu tyle o przyjsie gettu z realną pomocą, ile o umożliwienie bojowcom opuszczenie getta z bronią w ręku.

Jak Cukierman mówi, komenda ŻOB-u liczyła, że walka ich nie trwałaby dłużej, niż trzy, najwyżej kilka dni. (Str. 313, 376.) W tym czasie „AK miała zaatakować getto ze strony placu przeładunkowego (tzw. *Umschlagplatz*) od północy i terenu szczerbkarzy od wschodu, aby połączyć się z naszymi siłami, wyłamującymi się przez mury z granatami w ręku... A siła wypadowa AL miała w międzyczasie zaatakować getto od Leszna na południu”. (Str. 339-340.)

Niestety, wbrew twierdzeniom Cukiermana, plany takie ani nie istniały, ani też nie były brane poważnie pod uwagę przez AK lub GL. Z tego to powodu, „jakiegokolwiek akcje przedsięwzięte (przez AK lub GL), nie były niczym więcej, jak tylko gestami humanitarnymi. Nie mogły one bowiem mieć jakiegokolwiek wpływu na przebieg walk w getcie i nie stwarzały możliwości ratunku przez wyłomy w murach. (Str. 374.)

Nie ma tu mowy o umieraniu z honorem na gruzach getta, albo o nie oddawaniu ani jednego Żyda na nowe akcje „przesiedleńcze”, jak to deklaracje ŻOB-u i ŻKN głośiły. Są tylko starania o umożliwienie bojowcom opuszczenia getta z bronią w ręku po podjęciu symbolicznej walki o honor żydowski. Losy reszty mieszkanców getta ich nie interesowały, bo jak mówi Yisrael Gutman, członek oddziału bojowego Szomru w Getcie Centralnym, służyli im oni tylko jako „niezbędny warunek” podjęcia walki rzekomo w ich obronie⁵.

Do takiej walki karabiny były faktycznie niekoniecznie potrzebne – pistolety wystarczały. Toteż, gdy Cukierman otrzymał od GL 28 karabinów w pierwszym dniu powstania, nie palił się z dostarczeniem ich do getta. „Ja im (komendzie ŻOB-u) nie powiedziałem o karabinach, bo nie wiedziałem, czy byłbym w stanie im je przesłać... Nie powiedziałem też o tym Schmidtowi (członkowi ŻOB-u na terenie szopów), bo nie zamierzałem przetrzucić ich do Többens-Schultza”.

Na teren szopów nie chciał ich przetrzucić, bo były bardziej potrzebne Gettu Centralnemu, a do Getta Centralnego nie mógł ich przetrzucić, bo nie istniały ku temu możliwości transportowe. Jako że wiedział jednak, że teren szopów, nad którym sprawował komendę przed opuszczeniem getta, miał połączenie ze stroną aryjską przez tunel pod Lesznem, przez który komuniści zaopatrywali swe oddziały w broń i amunicję⁶, musiał znaleźć lepszą wymówkę, niż trudności transportowe. I znalazł ją w zaapelowaniu do... AK, raczej niż GL, aby przetrzuciła te karabiny do getta przez wyłom w murze na terenie... Többens-Schultza. Jak mógł się spodziewać, AK odparła, że nie ma siły zbrojnej, gotowej do takiego przedsięwzięcia. A to zwalniało go od moralnego obowiązku szukania realniejszych możliwości dostarczenia gettu broni bardziej przydatnej do walki niż pistolety, dając mu równocześnie niezbity dowód perfidii AK: „Oni nie chcieli mi nawet pomóc w przetrzuceniu 28-miu karabinów do getta!” (Str. 355, 358.)

5. Gutman, *op.cit.*, str. 345.

6. Ber Mark, *Powstanie w Getcie Warszawskim*. (Warszawa: Żydowski Instytut Historyczny, 1953), str. 184, 227, 245.

To było w pełni zgodne z uprzednimi i późniejszymi „dowodami” perfidii AK w jej stosunku do ŻOB-u. W niespełna miesiąc przed wybuchem powstania, 13 marca 1943 r., Anielewicz miał rzekomo przesłać ostry list do przedstawiciela ŻKK, Leona Feinera, domagający się bardziej kategorycznego przedłożenia AK potrzeb ŻOB-u. Oskarżając „rządowe koła Polski o przepojenie trucizną antysemityzmu”, autor listu oświadcza, że „nie mamy zamiaru przekonywać nikogo o naszej zdolności i gotowości do walki... Kto temu zaprzecza, albo temu nie wierzy, jest zjadłym antysemitą. My oczekujemy od przedstawicieli Rządu Polskiego... dania sprawie morderstw milionów żydowskich obywateli Polski bezwzględniego pierwszeństwa... (i) żądamy co najmniej 100 granatów, 50 rewolwerów, 10 karabinów i kilka tysięcy sztuk amunicji⁷”.

List ten pozostał bez odpowiedzi – najlepszy dowód lekceważenia przez AK wołania o ratunek ludzi skazanych na śmierć. I do dziś dnia jest on przytaczany przez historyków żydowskich jako dowód nie tylko nieczułości AK na tragedię lojalnych obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, ale „realistycznej” oceny przez ŻOB jej postawy, co miało spowodować jego ostrość.

Od Cukiermana dowiadujemy się teraz, że w czasie, gdy po aresztowaniu Wilnera przez Gestapo, 6 marca 1943 r., kontakty między polskimi władzami podziemnymi i ŻOB-em zostały zerwane, list ten został „zredagowany” przez przedstawiciela ŻKN na aryjskiej stronie, Adolfa Bermiana. I Cukierman nie widzi w tym nic złego, bo „w danej sytuacji inni uczyniliby to samo, nie biorąc pod uwagę historycznej prawdy. To były wymagania chwili.” (Str. 358.)

„Wymaganiami chwili” Cukierman nazywa *Dichtung und Wahrheit* – część prawdy, część „poetyckiego natchnienia”, zwłaszcza w komunikacjach z AK. (Str. 371). Ale nie tylko. W drugim dniu powstania, 20 kwietnia 1943 r., zawiadamia on Anielewicza, że AK „obiecała nam dać bazę partyzancką, tymczasowe pomieszczenia w Warszawie i transport”. I ujmuje to w sposób, który wywołuje wśród bojow-

7. Tekst rzekomego listu Anielewicza: Gutman, *op.cit.*, str. 358.

ców marzenia o nadchodzącym ratunku i otwarciu im drogi do Eretz Izraela. (Str. 355-6.)

W trzy dni później, 23 kwietnia, Anielewicz pisze do Cukiermana: „Ze wszystkich oddziałów bojowych w getcie... straciliśmy tylko Yehiela, który poniósł śmierć bohatera przy swoim karabinie maszynowym... Od dzisiejszego wieczoru przechodzimy na system walki partyzanckiej: W czasie dnia siedzimy w schronie... [a] w nocy wysyłamy zbrojne patrole na zwiady i zdobycie broni”. (Str. 357).

Cukierman wiedział, że ŻOB nie posiadał żadnego karabinu maszynowego, a broń Yehiela, o której tu mowa, była niemieckim Schmeisserem. Berman jednak nalegał, aby przetłumaczył to z hebrajskiego jako karabin maszynowy – „dla większego efektu”. Więc Cukierman uległ „nakazowi chwili” i tak to przetłumaczył, sprawiając tym kłopot późniejszym historykom żydowskim, którzy, na podstawie tego to listu, upierali się, że ŻOB musiał przecież mieć jakiś karabin maszynowy. (Str. 356, 358.)

„Poetyckiemu natchnieniu” uległ również Anielewicz, gdy w tymże liście pisał o wyczynach ŻOB-u jako jedynych wartych wzmianki: „Wydarzenia przeszły nasze najśmielsze marzenia: Niemcy uciekli z getta dwa razy. Jeden z naszych oddziałów wytrwał w walce 40 minut, a drugi ponad sześć godzin”.

Sześć godzin walki odnosi się do pierwszego starcia z Niemcami oddziału Droru pod dowództwem Zachariasza Artsteina na rogu Nalewek i Gęsiej, które według dowódcy sił niemieckich, gen. Stroopa, użytych do likwidacji getta, trwało nie dłużej niż 30 minut, a które Yisrael Gutman, członek oddziału Szomru na przedłużeniu Gęsiej, ul. Franciszkańskiej, nazywa *clash*-utarczka. Nastąpiło ponad pięć godzin przerwy, urozmaiconej bojomcom koncertem na harmonii, zanim Niemcy ponowili natarcie na ich placówkę, zmuszając ich do wycofania się do... schronu pod ul. Nalewki 37, którego mieszkańcy „nie byli zbyt szczęśliwi ich widzieć”. Wycofali się więc, szukając innego schronienia do nadejścia nocy i znaleźli je nareszcie na uliczce Rabina Majzela, do której Niemcy jeszcze nie dotarli⁸.

8. Kazimierz Moczarski, *Rozmowy z katem* (Warszawa: Państwowy

Ten bojowy wyczyn Droru historyk powstania w getcie, Bernard Mark, przytacza jako walkę, trwającą sześć godzin i jako swe źródło podaje... list Anielewicza z 23 kwietnia 1943 r. Gutman jest nieco skromniejszy, mówiąc: „Główna walka w dniu 19 kwietnia toczyła się na rogu ul. Zamenhofa i Miłej” i trwała około pół godziny. Mimochodem tylko wspomina, że główna walka toczyła się właściwie gdzieś indziej – na placu Muranowskim, w obronie kwatery głównej Rewizjonistów. Walka, o której Stroop mówi: „Najmocniejszy opór napotkaliśmy ze strony grupy buntowników, którzy wzniesli barykadę przy budynku Muranowska 7. Ta pozycja wytrzymała nasze ataki dłużej, niż jakakolwiek inna⁹”.

Wytrzymała kosztem 14 bojowników i dwóch dowódców zabitych i wielu rannych, nie mówiąc już o czterech członkach polskiego Korpusu Bezpieczeństwa, którzy polegli przychodząc im z pomocą. I uległa dopiero po czterech dniach walk, gdy porucznikowi SS Dehmke udało się nareszcie zedrzeć z jej dachu polską i syjonistyczną chorągiew, co przypłacił swym życiem. Ale oni byli przecież „faszystami”, więc się nie liczyli. Nie liczył się również przebojowy członek Bundu, Klepfisz, sekretarz Bundu, Berek Sznajdmil, dowódca harcerskiego oddziału Hanoar Hazioni, Jakub Praszquier, czy też jego wierna towarzyszka broni, Szoszana Mastbojm, którzy polegli w obronie terenu szczotkarzy. Liczył się tylko Yehiel, bo on był Szomrem, i dwie pomniejsze utarczki Droru, bo one mogły służyć późniejszym historykom jako najlepszy dowód, że powstanie w getcie było dziełem Halutzu z którego szeregów wywodzili się najprzedniejsi bojownicy ŻOB-u¹⁰.

Cukierman ani się nie pyta, ani nie wyjaśnia, jak to było możliwe, żeby w ciągu pięciu dni walk ŻOB mógł ponieść

Institut Wydawniczy, 1977), str. 208; Gutman, *op.cit.*, str. 372-373; Tuvia Borzykowski, *Between Tumbling Walls* (Tel Aviv: Ghetto Fighters House, 1972), str. 50-56.

9. Mark, *op.cit.*, str. 200; Gutman, *op.cit.*, str. 372-373; Chaim Lazar Litai, *Muranowska 7*. (Tel Aviv: Masada P.E.C. Press, 1966), str. 238.

10. Lazar, *op.cit.*, str. 232-242; Reuben Ainsztein, *The Warsaw Ghetto Revolt*. (New York: Holocaust Library, 1979), str. 111; Mark, *op.cit.*, str. 213.

tylko jedną stratę i to w czasie, gdy według raportów Stroopa zginęło 553 Żydów i „bandytów” z różnych „dzikich” grup, opierających się deportacji, i 35 polskich „bandytów”, pomagających im od zewnątrz. W ciągu tych pięciu dni Niemcy zagarnęli 19.450 Żydów i na oczach bojowników ŻOB-u zapędzili ich na *Umschlagplatz* bez jakiegokolwiek próby odbicia choć ich części przez tych, którzy głosili, że nie dopuszczą do deportacji ani jednego Żyda¹¹.

Ale to nie było właściwie ich odpowiedzialnością – to było moralnym obowiązkiem świata: „Do czego wzywaaliśmy Żydów? Nie wzywaaliśmy ich na barykady. Mówiliśmy im: ‘Kryjcie się, chowajcie wasze dzieci, szukajcie schronów...’ Cośmy chcieli osiągnąć? Uratować większość naszego narodu. Czegośmy żądali od świata? Zbawienia naszego narodu w jaki tylko sposób mógł”. (Str. 266.)

Ich odpowiedzialnością było stworzenie legendy Halutzu i Syjonistycznej Lewicy jako obrońców i organizatorów mas na drodze do lepszej, socjalistycznej przyszłości – okupionej, jeśli tego zajdzie potrzeba – przez „śmierć z honorem”. Toteż, gdy Michał Klepfisz został odznaczony pośmiertnie Orderem *Virtuti Militari*, ŻKN wniósł protest na ręce członka Polskiej Rady Narodowej w Londynie, Ignacego Szwarcbarta. Sformułowany „przy wybitnej pomocy Icka Cukiermana”, stwierdzał on, że „Walka getta warszawskiego była zorganizowana i prowadzona przez nas i organizacje afiliowane z nami... One to prowadziły walki, dostarczały przygniatającą większość bojowców i złożyły w ofierze największą ich liczbę pod dowództwem heroicznego komendanta Żydowskiej Organizacji Bojowej, Mordechaia Anielewicza... Byliśmy przeto wielce zdumieni, gdy Orderem *Virtuti Militari* został odznaczony Michał Klepfisz, członek Bundu. Odznaczenie to powinno było być przyznane komendantowi Żydowskiej Organizacji Bojowej... (aby) ludzie pracy całego świata byli uświadomieni, że Powstanie Getta Warszawskiego było zorganizowane i kierowane przez syjonistyczne organizacje pracy i że setki

11. Jürgen Stroop, *The Jewish Quarter in Warsaw Is No More: The Stroop Report*. (New York: Pantheon Books, 1979), dzienne raporty z dni 19-23 kwietnia 1943 r. (bez numeracji stron).

bojowników, którzy wzięli w nim udział i oddali swe życie w walce, czyniły to w głębokim przekonaniu, że ich śmierć stanie się fundamentem socjalistycznej przyszłości dla mas w Eretz Izraelu”¹².

Cukierman przyznaje, że bohaterstwo Anielewicz po zostawało pod znakiem zapytania, uważa jednak, że jego psychiczne załamanie się w chwili wybuchu powstania nie powinno przynosić ujmy jego honorowi. (Str. 258.) Nie wyjaśnia zresztą o co tu chodziło. Ale wyjaśnienie znajdujemy w słowach Marka Edelmana: „Anielewicz bardzo chciał być komendantem, więc go wybraliśmy. Był w tej ambicji trochę dziecinny,... [ale] miał dużo werwy i zapału”. Gdy Edelman go jednak zobaczył w drugim dniu powstania „był to inny człowiek... Siedział i powtarzał: ‘zginie wszyscy... Idziemy na śmierć – nie ma odwrotu, zginie dla honoru, dla historii’... Tylko raz się ożywił – kiedy dostaliśmy wiadomość od AK, żeby czekać w północnej części getta... (no ale) nic z tego nie wyszło”¹³.

Pozostawało mu więc prowadzić walkę, którą on określa jako walkę partyzancką. Cukierman nie pyta się, jaką to walkę zamierzał prowadzić, siedząc w bunkrze cały dzień i czekając na noc, aby po opuszczeniu getta przez Niemców, wysyłać patrole rozpoznawcze. Nie pyta się, bo odpowiedź na to pytanie jest dlań względnie jasna. Jak jego wierny towarzysz na aryjskiej stronie, Simcha Ratajzer, mówi: „Nasi towarzysze czekają tam i liczą na nas, abyśmy znaleźli dla nich drogę ratunku”. (Str. 367.) I Cukierman nie widzi w tym nic sprzecznego z twierdzeniami ŻOB-u, że jego członkowie palili się do walki, ale trzeba im było broni, aby mogli umierać z honorem – broni, której perfidna AK nie chciała im dać, bo nie chciała widzieć Żydów umierających z honorem.

„W naszym przekonaniu” – mówi on – „powstanie i ratunek szły ręką w rękę... Myśmy zawsze twierdzili, że te

12. Lazar, *op.cit.*, str. 11-12.

13. Władysław Bartoszewski i Marek Edelman, *Żydzi Warszawy, 1939-1943*. (Lublin: Towarzystwo Naukowe KUL, 1993), str. 168. (Wyjątek z książki Hanny Krall, *Zdążyć przed Panem Bogiem*; (Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1977) lub Hanna Krall, *Shielding the Flame: An Intimate Conversation with Dr Marek Edelman*. (New York: Henry Holt, 1977), str. 4-5.

dwie rzeczy nie są sprzeczne ze sobą... Ja zawsze mówiłem, że myśmy musieli ratować tylu Żydów, ilu tylko mogliśmy". Ale Żydów, czekających na ratunek, było zbyt wielu: „Cośmy mogli zrobić ze wszystkimi tymi Żydami? Nawet w Warszawie nie było dosyć miejsca na znalezienie dla nich kryjówek. Więc jedynym wyjściem było przerzucenie ich do oddziałów partyzanckich... Ale to nie było rozwiązaniem dla setek i tysięcy ludzi – nie było rozwiązaniem dla mas". (Str. 478, 514-516.) Jak Weizman powiedział: „My chcemy ratować naszą młodzież, która ma życie przed sobą. Starzy zejdą z tego świata, czy chcą pogodzić się ze swym losem, czy nie. Ale oni są tylko prochem... *Sheerith Hapleta* – tylko gałązka pozostanie przy życiu, reszta musi pogodzić się ze swym losem – musi widzieć przyszłość w swej młodzieży”¹⁴.

Chaluc widział siebie jako tę gałązkę – jako przyszłość Izraela, której uratowanie było moralnym obowiązkiem świata. Ale świat na ich tragedię nie reagował, a organizacje żydowskie na Zachodzie miały głowy zaprzątnięte swoimi własnymi sprawami. (Str. 90, 270-1.)¹⁵ Pozostawali więc tylko komuniści, a gdy ci okazali się niezdolnymi do spełnienia swej historycznej roli – AK, której moralnym obowiązkiem stało się teraz uratowanie gałązki. Problem był tylko, że gdy jedni chcieli, ale nie mogli, drudzy mogli, ale nie chcieli, bo byli prześląknięci duchem antysemityzmu. I na tym, z punktu widzenia Cukiermana, polegał cały dylemat Chalucu i ŻOB-u.

Z punktu widzenia AK jednak dylemat ten wyglądał nieco inaczej. W swym raporcie z 12 lutego 1943 r., Woliński mówi: „Jestem pod stałą presją ŻKN, domagającego się przygotowania dla nich baz partyzanckich”¹⁶. I w niedługim

14. Raport Królewskiej Komisji pod przewodnictwem Lorda Peela, 1937, cyt. w: David Wdowiński, *And We Are Not Saved*. (New York: Philosophical Library, 1985), str. 13.

15. David S. Wyman, *The Abandonment of the Jews*. (New York: Pantheon Books, 1984, *passim*; Arthur D. Morse, *While Six Million Died*. (New York: Random House, 1967), *passim*; Reb Moshe Shonfeld, *The Holocaust Victims Accuse*. (Brooklyn, N.Y.: Naturei Karta of U.S.A., 1977), *passim*.

16. Emanuel Ringelblum, *Polish-Jewish Relations During the Second World War*. (Jerusalem: Yad Vashem, 1974), str. 217, n. 23.

czasie zaczęły napływać do AK i Delegatury Rządu żądania dostarczenia różnym gettom broni i przygotowania dla nich również baz partyzanckich – to w czasie, gdy AK sama zaczynała dopiero je tworzyć dla własnej „spalonej” młodzieży, palącej się do walki.

Jedno z nich zostało pokazane Cukiermanowi przez Wolińskiego, jako że pochodziło od jego przyjaciela, Mordechaja Tennenbauma, który pod koniec 1943 r. został wydelegowany do Białegostoku celem doprowadzenia do zjednoczenia dwóch antyfaszystowskich bloków w getcie – A i B, z których jeden reprezentował koncepcję partyzantki, a drugi walki w obronie getta. Datowane 2 kwietnia 1943 r., zapewniało ono Kierownictwo Walki Cywilnej, że zarzuty prokomunistycznej orientacji ŻKN nie odpowiadały prawdzie i że, tak czy inaczej, nie był to czas na polityczne pertraktacje. Ważne było umożliwienie obywatelom polskim prowadzenia walki z okupantem, w toku której mogliby umierać z honorem. Z tego powodu, Tennenbaum domagał się broni dla bojowców getta i stworzenia dla nich baz partyzanckich, które, pozostając pod kierownictwem AK, dawałyby im możliwość „czynnej służby” dla wspólnej sprawy¹⁷.

Zaskoczony tym listem, Cukierman powiedział, że poglądy w nim wyrażone nie odpowiadały faktycznym poglądom Tennenbauma, ale że mogły one być poddyktowane wymaganiami chwili. (Str. 406-7.), jak to wyjaśnił, wykładając zasady *Dichtung und Wahrheit*: „nie wszystko, co jest zawarte w dokumencie historycznym, jest prawdą. Czasami stwarzaliśmy rzeczy, które nie odpowiadały ścisłej prawdzie... [zwłaszcza], gdy musieliśmy apelować do Polaków o sympatię dla naszej sprawy” (Str. 371.). „Ścisłą prawdą” było w tej petycji żądanie broni i baz partyzanckich dla bojowców getta. Ale „ścisłą prawdą” była też odpowiedź, jaką otrzymali: „Pozostaje nadal do rozwiązania problem waszego stosunku do Sowietów”.

Propozycja Tennenbauma podporządkowania się Armii Krajowej wymagała zaufania. A tego, wobec stałych kon-

17. Pełny tekst petycji Tennenbauma: Ringelblum, *op.cit.*, Editorial Appendix, str. 253-256.

szachtów ŻOB-u z komunistami, było po prostu brak, zwłaszcza w odniesieniu do Białegostoku, w którego ruchu podziemnym komuniści i sowieccy zbiedzy odgrywali poważną rolę.

Do rozwiązania pozostawała również sprawa innego rodzaju. Pod datą 24 lutego 1943 r., Ludwik Landau notuje w swej *Kronice lat wojny i okupacji*: „Działające w różnych okolicach bandy żydowskie spotykają się często z zarzutami mordowania i grabienia miejscowej ludności”¹⁸. A rozkazy Roweckiego z lutego i maja 1943 r. przychodzenia z pomocą uciekinierom z getta napotykały się z oporem terenowych komend AK: „Nastawienie do uzbrojonych Żydów jest tak wrogie, że w warunkach walki podziemnej nie jesteśmy w stanie przyjąć odpowiedzialności za ich bezpieczeństwo. Wielką rolę odgrywa tu wrogość, spowodowana postawą Żydów do nas pod okupacją sowiecką i obecne postępowanie band żydowskich, nękających ludność swą brutalnością i rabunkami”¹⁹.

Jak to wyglądało w praktyce, dowiadujemy się od Izaaka Arada (Rudnickiego), późniejszego generała brygady Sił Obronnych Izraela: „Ja byłem jednym z dziesięciu, wysłanych na ‘akcję ekonomiczną’. Polska wieś koło Hoduciszek została wybrana na nią. Przybywszy do niej, wystawiliśmy patrol ochronny i zażądaliśmy od czterech chłopów, aby zaprzęgnęli konie do swoich wozów. Potem szliśmy od chałupy do chałupy, zabierając worki z ziemniakami czy mąką i mięso. Wzięliśmy również dwie krowy. Po załadowaniu naszej zdobyczy na wozy i przywiązaniu do nich krów, zaczęliśmy odwrót do naszej bazy. Gdyśmy przybyli do rzeki niedaleko niej, zostawiliśmy chłopów na jej brzegu, a sami pojechaliśmy dalej. Po wyładowaniu naszych zapasów, powróciliśmy do czekających na nas chłopów i odesłaliśmy ich do domu z pustymi wozami”²⁰.

Wkrótce potem jednak Arad musiał przyznać, że to nie

18. Ludwik Landau, *Kronika lat wojny i okupacji*. (Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1962), tom II, str. 223.

19. Joseph Kermish, *Postscript to Ringelblum, op.cit.*, str. 290.

20. Yitzhak Arad, *The Partisan*. (New York: Holocaust Library, 1979), str. 118.

było najlepszym rozwiązaniem sprawy: „Tym razem trzydziestu z nas poszło na ‘ekonomiczną akcję’, na którą wybraliśmy litewską wieś, oddaloną o 25 km od nas. Bo do tego czasu nie pozostało już nic do zabierania ze wsi położonych bliżej nas, które zostały stopniowo ogołocone z zapasów żywności i była przez naszych partyzantów. I zdobywanie prowiantów stawało się coraz trudniejsze, prowadząc coraz to częściej do walki”²¹.

Żydowscy historycy mówią, że to było samo przez się zrozumiałe, bo przecież partyzanci musieli znaleźć gdzieś żywność, aby móc prowadzić walkę z okupantem. Ale sowieccy partyzanci patrzyli się na to nieco inaczej: „Cele i dążenia sowieckich partyzantów były odmienne od żydowskich, widzących swe główne zadanie w ratowaniu tysięcy Żydów, którzy, przeżywszy masakry w gettach, szukali schronienia w lasach... Dowódcy sowieckiej partyzantki byli zdania, że walka z Niemcami była ich głównym zadaniem. Ratunek Żydów ich nie obchodził. I z tego powodu uważali, że wszystkie siły, broń i wyposażenie partyzantów powinny być używane do walki z hitlerowcami”. A jako że, w ich opinii, żydowskie partyzantki nie paliły się do walki, byli zdania, że Żydzi nie mieli prawa do marnowania nawet tej skąpej ilości broni, jaką mieli, zwłaszcza do używania jej na rekwizycje żywności po wsiach, co powodowało wrogość miejscowej ludności do całej partyzantki jako takiej. Rozprawiali się więc z nimi po swojemu, co historycy żydowskie przypisują dzisiaj *polskim* partyzantom, którzy na zabużańskich terenach nawet się nie pojawili przed jesienią 1943 r.²².

Nieco inaczej widzi tę sprawę dzisiaj również i Cukierman. Choć nadal rzuca epitety „wstydu i hańby” pod adresem AK, która mogła, ale nie chciała wziąć żydowskich partyzantów pod swoją pieczę, to przyznać musi, że partyzanci, z którymi spotkał się po wojnie, byli ludźmi spod ciemnej gwiazdy: „Oni nie cierpieli biedy. Wielu z nich miało dosyć

21. *Ibid.*, str. 151.

22. Yitzhak Arad, „Jewish Family Camps in the Forests” *Rescue Attempts During the Holocaust: Proceedings of the Second Yad Vashem International Historical Conference*, 1974. (Jerusalem: Yad Vashem, 1977), str. 345-348.

zasobów, aby zacząć nimi handlować od razu”, chętnie się przy tym, że przenieśli dosyć „rupieci” ze sobą, aby pozwolić sobie na branie *sziks* do łóżka. (Str. 610-11.) „Bił od nich duch grubiaństwa i chuligaństwa,... [który] mógł ich łącznie sprowadzić na drogę terroryzmu lub przestępstwa... I choć byli oni niewątpliwie gotowi na śmierć w obronie Żydów, to jednak nie przeszkadzało im to w zatrzymaniu wozu pełnego Żydów i obrabowaniu ich od stóp do głów”. (Str. 591.)

Ale to też było winą AK, która mogła ich była uchronić od demoralizacji przez uznanie oddziałów żydowskich za swoją część składową, co by im zapewniało nie tylko broń i ekwipunek, ale i fundusze na nabywanie żywności. W swym obelżywym memorandum do gen. Bora-Komorowskiego z 26 listopada 1943 r., pisze on: „Apelowaliśmy o bazy partyzanckie – pozostaliśmy bez odpowiedzi; żądaliśmy broni, abyśmy mogli umierać z honorem – pozostaliśmy bez odpowiedzi”. Bez odpowiedzi pozostały również ich żądania przygotowania dla nich tajnych mieszkań na stronie aryjskiej, pomocy w opuszczeniu getta przez kanały, i uznania ich za partyzantów AK, co by ich uwalniało od konieczności rabowania ludności, aby wojnę jakoś przeżyć²³. Bo, jak Cukierman mówi, „nie przystąpiliśmy do wojny, aby umierać, czyniliśmy wszystko, co możliwe, aby ją przeżyć”.

Roman T. GERLACH

23. Częściowe cytaty z memorandum Cukiermana: Zuckerman, *op.cit.*, str. 417; Kermish, *op.cit.*, str. 290. Pełny tekst w języku hebrajskim: Nachman Blumental & Joseph Kermish, *Resistance and Revolt in the Warsaw Ghetto*. (Jerusalem: Yad Vashem, 1965), str. 141-144.

Maria TURLEJSKA

PRZYCZYNEK DO LOSÓW PRAWNIKÓW POLSKICH W LATACH 1935-1953

Lata przedwojenne (1935-1939)

Przed wojną prawnicy stanowili poważną część inteligencji polskiej. W roku akademickim 1937/1938 12.629 studentów czyli około 25 % ogółu uczęszczało na prawo i nauki polityczne. Dla porównania z innymi kierunkami w tymże roku 7.459 studiowało nauki techniczne, 4.288 – handel, 3.872 – medycynę. Na wszystkich 28 wyższych uczelniach w Polsce w roku akademickim 1938/1939 studiowało 50 tysięcy osób¹. Ludność Polski wynosiła wówczas około 35 mln. Wybiegając naprzód dodajmy, że ludność Polski osiągnęła 35 mln w 1980 roku. W roku akademickim 1979/1980 studentów było ponad 469 tysięcy² w 91 szkołach wyższych. Na kierunku prawno-administracyjnym było na studiach dziennych, zaocznych i eksternistycznych 33.526 studentów czyli 62%. W PRL atrakcyjność prawa zdecydowanie spadła, teraz zaś wybitnie się podniosła. Wróćmy jednak do okresu przedwojennego.

W okresie międzywojennym absolwenci prawa pracowali

1. *Mały Rocznik Statystyczny, 1939*, Warszawa 1939, s. 331 tabl. 35.

2. *Rocznik Statystyczny 1980*, Warszawa, 1980, s. 411, tabl. 28.

w sądownictwie, adwokaturze, notariatach, w urzędach państwowych różnych dykasterii. Pracowali także w firmach prywatnych. W 1937 roku było na przykład 3.109 sędziów, 442 prokuratorów, 1.620 aplikantów sądowych. W 1939 roku było 7.980 adwokatów i 3.257 aplikantów adwokackich³. W Ministerstwie Sprawiedliwości w 1939 roku pracowało 13.700 wyższych i 23.900 niższych funkcjonariuszy⁴. Kadra sądownicza składała się w całości z mężczyzn. Wyjątki stanowili sędziowie-kobiety, wyłącznie w sądownictwie dla nieletnich – sędziowie Wanda Grabińska i Wanda Kamińska (feminizacja sądownictwa nastąpiła w Polsce w latach 60-tych). Wszyscy prawnicy ukończyli Szkoły Podchorążych. Jeśli pracowali w sądownictwie wojskowym, byli oficerami zawodowymi. Do pracy w sądownictwie mieli w zasadzie dostęp wyłącznie obywatele wyznania rzymsko-katolickiego, ewentualnie ewangelicy. Stan ten można uznać za oparty na zasadzie *numerus nullus*, podobnie zresztą było i w innych urzędach państwowych, np. w kolejnictwie itd. Wyjątki dotyczyły legionistów, w większości katechumenów, neofitów. Dotyczyły one także zresztą i innych mniejszości narodowych, jak np. Ukraińców, których było o wiele więcej niż Żydów (około 5 mln.). Po śmierci Piłsudskiego w 1935 roku stosunki narodowościowe zaostrzyły się. Świadczą o tym dane statystyczne, dotyczące wyższych uczelni. Np. w roku akademickim 1928/1929 odsetek studentów wyznania mojżeszowego wynosił 26,4% w 1937/1938 roku spadł do postulowanych 10% (odpowiadających odsetkowi mniejszości żydowskiej w Polsce). Na prawie i naukach politycznych odsetek ten spadł do 6,5%. 10 lat wcześniej wynosił on 27,7%⁵. Studenci pochodzenia żydowskiego, o ile pozwalały im na to warunki rodzinne, wyjeżdżali na studia za granicę, szczególnie na medycynę. Nie zachęcały ich do studiów w Polsce również getta ławkowe, burdy i inne upokorzenia. W tym samym czasie podobne prześladowania spotykały studentów polskich na Politechnice Gdańskiej.

3. *Mały Rocznik Statystyczny*, 1939, s. 360, tabl. 4; s. 361, tabl. 6.

4. Tamże.

5. Tamże.

Lata 1939-1944

Przyszła wojna. W czasie kampanii wrześniowej oficerowie WP niezależnie od wyznania znaleźli się w szeregach WP. Walczyli i ginęli razem, maszerowali przez granice, leżeli w szpitalach, zamknięci byli w oflagach, mordowani w Katyniu*. W początkach okupacji niemieckiej *Einsatzkommando* przeprowadzały już jesienią 1939 r. akcję eksterminacyjną „*Tannenberg*” obejmującą warstwy przywódcze – nauczycieli, działaczy politycznych, przedstawicieli administracji, adwokatów, księży, ziemian. W sumie padło ofiarą około 20 tysięcy ludzi, trudno powiedzieć ilu z nich miało wykształcenie prawnicze. Wiosną 1940 roku rozpoczęła się na terenie Generalnego Gubernatorstwa akcja przeciwko inteligencji, nosząca kryptonim „AB” (*Ausserordentliche Befriedungsaktion*). Aresztowano wówczas wielu adwokatów. Ludwik Landau, kronikarz Warszawy, odnotował pod datą 18 lipca 1940 roku, że liczba zatrzymanych adwokatów doszła w Warszawie do 140 osób na trzy tysiące wszystkich aresztowanych przez policję niemiecką osób⁶, co wynosiło około 5%. Władysław Bartoszewski podaje pod datą 12 sierpnia 1940 r., że w pierwszym transporcie do obozu w Oświęcimiu-Auschwitz na 513 więźniów Pawiaka znalazło się 47 adwokatów, tj. blisko 10%⁷. W organizowanych przez okupanta hitlerowskiego gettach (najwcześniej w Łodzi, nazwanej *Litzmannstadt*); znalazło się kilka tysięcy adwokatów, aplikantów, radców prawnych, notariuszy i innych prawników, którzy w pierwszych latach umierali z głodu i chorób, od

* Według dotychczasowych obliczeń komputerowych Archiwum Wschodniego zamordowano wśród więźniów obozu w Kozielsku 374 oficerów po studiach prawniczych (wśród nich: 220 urzędników państwowych, 92 prawników, 33 sędziów, 17 adwokatów) na 4.421 zabitych z tego obozu, tzn. prawie 10%; pełne dane z Kozielska będą gotowe pod koniec października br., z pozostałych obozów w I półroczu 1996 r. (dane te zawdzięczam Agnieszce Gleb z Ośrodka „Karta”).

6. Ludwik Landau, „Kronika lat wojny i okupacji”, t. I, Warszawa 1962, s. 590. Dane te dotyczą strony „aryjskiej”.

7. Władysław Bartoszewski, „1859 dni Warszawy”, Kraków 1974, s. 147.

1942 r. ginęli w obozie w Chełmnie nad Nerem i od 1944 r. w Oświęcimiu. Sądownictwo polskie zostało, rzecz jasna, całkowicie zlikwidowane na terenach włączonych do Rzeszy (Pomorskie, Poznańskie, Łódzkie, Śląskie). Tu członkowie magistratury – ci, których nie rozstrzelano jesienią 1939 roku zostali wysiedleni do Generalnego Gubernatorstwa (GG) lub wysłani do obozów koncentracyjnych. Na terenie GG (dystrykt warszawski, radomski, krakowski, lubelski, od 1941 formalnie również lwowski) polskie sądy istniały w formie szczątkowej. Okupant ograniczył ich działalność do drobniejszych spraw cywilnych i karnych. Wszystkie ważniejsze sprawy (rozboje, zabójstwa, rabunki) traktowane były jako akty wrogie politycznie i znajdowały się w gestii sądów hitlerowskich różnego typu.

Po utworzeniu PKWN (1944)

20 lipca 1944 roku rozpoczęła się letnia ofensywa sowiecka. Oddziały Armii Czerwonej w składzie I Frontu Białoruskiego przeszły Bug pod Chełmem Lubelskim. W Moskwie powołany został PKWN. Kierownikiem resortu sprawiedliwości PKWN został Jan Czechowski, przedstawiciel SL „Wola Ludu” w utworzonej przez PPR (Polską Partię Robotniczą) Krajowej Radzie Narodowej. Nie miał on żadnych kwalifikacji i faktycznie resortem kierował Leon Chajn. Chajn był w latach 1933-1939 aplikantem w kancelarii warszawskiego adwokata – Michała Kulczyckiego (w okresie powojennym dziekana Rady Adwokackiej w Warszawie). Chajn był przed wojną działaczem komunistycznym – początkowo jako student. Po klęsce Polski znalazł się w ZSSR, walczył w I dywizji i został działaczem Stronnictwa Demokratycznego.

W jednym ze swych ówczesnych wystąpień L. Chajn określił w przybliżeniu straty wojenne prawników polskich, szacując je na jedną trzecią ich przedwojennego stanu⁸.

8. Grzegorz Jakubowski, „Dzieje sądownictwa powszechnego w Polsce Ludowej w l. 1944-1955” (maszynopis rozprawy doktorskiej, przygotowywany do druku. Dziękuję autorowi za udostępnienie mi tekstu tego cennego opracowania).

Leon Chajn z okazji dwudziestolecia powstania PKWN wydał ciekawie napisane wspomnienia i – jak na owe czasy – dość szczerze. Oto jak zreferował on dyrektywy, które otrzymał od przewodniczącego PKWN, Edwarda Osóbki-Morawskiego kiedy rozpoczął pracę w sierpniu 1944 roku w Lublinie:

„Aparat sądowy z okresu przedwrześniowego został obalony przez hitlerowskiego okupanta, można więc oprzeć się na przedwojennych sędziach i prokuratorach, o ile w okresie przedwojennym nie wykazywali nadmiernej gorliwości w prześladowaniu ruchu rewolucyjnego i demokratycznych instytucji. Jeśli zechcą lojalnie współpracować z władzą ludową, trzeba ich wciągnąć do pracy”⁹.

W ciągu pięciu miesięcy działalności PKWN zorganizowano 57 sądów grodzkich, 5 – okręgowych, trzy sądy apelacyjne: lubelski, warszawski z tymczasową siedzibą w Siedlcach oraz krakowski z tymczasową siedzibą w Rzeszowie. Do listopada 1944 roku sądy rozpatrzyły 3.452 spraw cywilnych i 3.560 spraw karnych¹⁰.

Prawnicy przychodzili do sądownictwa bez zahamowań. Wracali po pięciu latach do zawodu, tak niezbędnego we właściwym funkcjonowaniu państwa, wracali po okupacji hitlerowskiej, która zdemoralizowała znaczne warstwy społeczeństwa. Żaden jednak prawnik nie zgłosił się do resortu sprawiedliwości PKWN i nie ukrywał „politycznych motywacji odmowy współpracy” – jak pisał w swych wspomnieniach L. Chajn. „Prawnicy przychodzili do magistratury, bo chcieli dbać o porządek w państwie” – stwierdzał zastępca kierownika resortu sprawiedliwości PKWN.

Prawnicy zgłaszali się do utworzonych jesienią 1944 roku specjalnych sądów karnych (SSK), które miały wymierzać wyroki „faszystowsko-hitlerowskim zbrodniarzom oraz zdrajcom Narodu Polskiego”, jak głosił dekret z 31 sierpnia 1944 roku, wydany przez PKWN. Właśnie w oparciu o ten

9. Leon Chajn, „Kiedy Lublin był Warszawą”, Warszawa 1964, s. 20.

10. Krystyna Kersten, „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego”, 22 VII-31 XII 1944”, Lublin 1965, s. 68.

dekret powołano wyżej wspomniane SKK. Taki właśnie sąd wydał kilka wyroków śmierci na Niemców – oprawców z Majdanka (jeden z nich był więźniem). W tym samym czasie jednak skazano także pracownika RGO, organizacji charytatywnej, która potem przez wiele lat była traktowana przez prasę i propagandę partyjną jako „kolaborująca” z Niemcami.

Jesienią 1944 roku ukazały się dekrety PKWN, które przygotowywały „kodeksy” nowego typu, wprowadzające nader surowe wyroki, przeważnie kary śmierci za przestępstwa przeciwko „Państwu”, za działalność polityczną osób cywilnych, postawionych mimo to przed sądami wojskowymi. W czasie wojny sądy tego typu były powoływane przy jednostkach wojskowych – dywizjonach, korpusach, armiach, garnizonach itd. Kodeks Karny Wojska Polskiego z 23 września 1944 r. ogłoszono w *Dzienniku Ustaw* nr 6, poz. 27. Kolejny dekret o „ochronie państwa” z 30 października 1944 roku był opublikowany w *Dzienniku Ustaw* nr 10, poz. 50.

W początku października 1944 roku Stalin zaczął się stanowczo domagać od PKWN zaostżenia terroru na administrowanym przez niego terytorium. Jako argument posłużyły specjalne działania organów NKWD. Z Moskwy do Lublina słało liczne szyfrogramy, które alarmowały, że podziemie szykuje zamach na B. Bieruta i E. Osóbkę-Morawskiego.

Stosunek do AK i akowców, uważanych dotychczas w jawnej propagandzie za towarzyszy broni w walce ze wspólnym wrogiem, zmienił się zasadniczo. Prasa partyjna, dziennik KC PPR *Głos Ludu*, zaczął AK nazywać „pomocnikami Hitlera”. Przysłowiowy slogan „AK – zapluty karzeł reakcji”, który pojawił się na plakatach jakiś czas potem (obecnie bez końca cytowany) był trawestacją, zresztą zręczną, epitetu użytego przez Józefa Piłsudskiego pod adresem endecji po zabójstwie Gabriela Narutowicza, pierwszego prezydenta RP. Pomówienie AK o służenie reakcji było niczym wobec nieustannych oskarżeń o to, że są oni „agentami gestapo”, „zdrajcami narodu na równi z volksdeutschami”, „zbirami faszystowskimi w służbie Goebbelsa” itp. Tym językiem posługiwała się propaganda PPR od początku października 1944 roku.

Na obszarze zajętym przez Armię Czerwoną kontynuowano wzmożone obławy, pacyfikacje i aresztowania wśród ludności wiejskiej i wybranych osób, głównie akowców.

25 października 1944 roku aresztowano Mieczysława Tudreja – przed wojną podprokuratora Sądu Okręgowego w Lublinie, znanego ze swych demokratycznych poglądów, a w czasie wojny oficera Armii Krajowej. Od jesieni 1944 roku pracował on jako starszy asystent w KULu, po zarejestrowaniu się w RKU WP jako starszy oficer rezerwy. Jego aresztowanie miało na celu niewątpliwie zastraszenie szerokiego kręgu jego znajomych i kolegów – prawników, pracowników i studentów KULu, akowców, lewicowych działaczy, którzy w jego sprawie interweniowali, np. Paweł Dąbek¹¹.

W styczniu 1945 roku w ślad za wojskiem sowieckim oraz I i II Armią Wojska Polskiego wyruszyły polskie grupy operacyjne w celu organizowania na terytorium za Wisłą gospodarki, partii politycznych, administracji państwowej i samorządowej. Przyjechał do Kielc również świeżo mianowany przez Rząd Tymczasowy (zorganizowany mimo protestów Churchilla i Roosevelta) wiceminister sprawiedliwości – Leon Chajn. Przybywszy na miejsce dowiedział się od kierownika grupy operacyjnej, mającej odbudowywać sądownictwo, że komendant sowiecki Kielc wezwał na ogólne zebranie wszystkich pracowników wymiaru sprawiedliwości, rzekomo na spotkanie z przedstawicielem Rządu Tymczasowego RP. Sędziowie, prokuratorzy, urzędnicy, aplikanci, adwokaci, notariusze, nawet woźni sądowi, tłumnie się stawili. Po czym wszyscy zostali aresztowani, załadowani na ciężarówkę i wywiezieni w niewiadomym kierunku¹².

Interwencje Chajna, najpierw u komendanta wojennego Kielc, później u – z trudem odnalezionego – szefa kontrwywiadu, nie przyniosły żadnych rezultatów. Chajn dowiedział się tylko od komendanta, że sędziowie i prokuratorzy polscy „pracowali w hitlerowskim aparacie ucisku (...), stanowili

11. Maria Turlejska, „Te pokolenia żałobami czarne...”, Warszawa 1990, s. 123. Opublikowane po raz pierwszy pod pseudonimem Łukasz Socha w drugim obiegu w r. 1984, s. 147.

12. Marek Kielasiński, „Raport o sądowych morderstwach” w „Archiwum Kryminologii”, t. XX, 1994, s. 99.

człon represyjnej władzy okupanta”. Dopiero w Lublinie wiceminister sprawiedliwości uzyskał od Bieruta zapewnienie, że ten ostatni skomunikuje się ze Stalinem w celu interwencji i zwolnienia wywiezionych. Stalin udawał, że jest zaskoczony tą wiadomością. Uspokojony Chajn pojechał więc na inspekcję do Radomia. Tu dowiedział się, że ten sam los spotkał magistraturę radomską. Musiał więc dojść do wniosku, że nie był to przypadkowy „wybryk” lokalnego szefa kontrwywiadu, gdyż do Kielc wkroczyły oddziały I Frontu Ukraińskiego, a do Radomia – I Frontu Białoruskiego i że była to ogólna dyrektywa. Po kilkunastu dniach powróciło do Lublina 17 sędziów i prokuratorów¹³. Nie wiemy, jaką stanowili oni część wywiezionych. Interwencja Chajna u Bieruta tym razem częściowo poskutkowała.

Nowy dekret mobilizacyjny

22 marca 1945 roku, tzn. jeszcze w czasie trwania wojny, ukazał się w *Dzienniku Ustaw* nr 11, poz. 55 dekret o częściowej mobilizacji do służby wojskowej. Art. 1 głosił, że na terenach całkowicie wyzwolonych od okupacji niemieckiej powołuje się do czynnej służby wojskowej mężczyzn urodzonych w latach 1921-1925 (a więc liczących od 20 do 24 lat), podoficerów do lat 40 lub 45 (jeśli zawodowi), a oficerów: rezerwy i pospolitego ruszenia, byłych tajnych organizacji wojskowych – do lat 45, i zawodowych – do lat 50 włącznie. Artykuł 4 ostrzegał, że kto uchyla się od poboru i wcielenia do służby wojskowej podlega „odpowiedzialności w myśl Kodeksu Karnego WP przed sądami wojskowymi”.

Poprzednie dekrety mobilizacyjne wydał PKWN w sierpniu i październiku 1944 roku. Wyniki przekraczały ówczesne zapotrzebowanie WP. Trudno więc mówić o bojkocie poboru przez „reakcję” tzn. AK, o czym bez przerwy donosiła propaganda i prasa Polskiej Partii Robotniczej. Zdecydowana większość poborowych zgłosiła się do wojska, wielu poszło nawet na ochotnika, zwłaszcza na terenach włączonych

13. L. Chajn, jw., ss. 78, 80.

w 1939 r. do Rzeszy. Nie wiemy dokładnie jaki odsetek żołnierzy I i II Armii pochodził z dawnych wschodnich województw Rzeczypospolitej, prawdopodobnie duży, gdyż inaczej zostaliby oni wcieleni do Armii Czerwonej.

Dekret z 22 marca 1945 roku o częściowej mobilizacji dotyczył oczywiście także prawników od 45 do 50 roku życia. Właśnie przekształcać zaczęto sądy dywizyjne, garnizonowe, polowe i inne w sądy rejonowe i okręgowe, podległe Najwyższemu Sądowi Wojskowemu (NSW). Stanowisko Prezesa NSW było obsadzane (z jednym wyjątkiem) do czerwca 1954 roku przez oficerów sowieckich, a zatem obywateli ZSSR (z reguły pochodzenia polskiego).

Byli nimi kolejno:

płk, potem gen. bryg. Aleksander Tarnowski (2.9.1944-23.11.1945),

płk Aleksander Michniewicz (23.11.1945-18.3.1947),

płk Władysław Garnowski (18.3.1947-2.11.1949),

(p/o) płk WP Oskar Karliner (3.11.1949-1.11.1950)

płk Wilhelm Świątkowski (1.11.1950-22.6.1954).

Ciekawe, że od 30 sierpnia 1950 do 12 kwietnia 1951 roku przy prezesie NSW urzędował doradca sowiecki – płk Piotr Samsonow¹⁴.

14. Dane dotyczące personaliów kolejnych prezesów Najwyższego Sądu Wojskowego zawdzięczam dr hab. Aleksandrowi Kochańskiemu. Jerzy Poksiński przytacza następującą opinię o ostatnim przewodniczącym NSW – W. Świątkowskim, sformułowaną przez Komisję Mazura (Wasilewskiego), która badała działalność NSW w maju 1957 r.: „Głównymi inicjatorami wypaczeń w wojskowym wymiarze sprawiedliwości byli płk Wilhelm Świątkowski [...] i płk Aleksander Tomaszewski [jego zastępca w NSW]. Uznano ich także za współtwórców drakońskich wyroków w sfingowanych procesach. Nie wnioskowano jednak o ich ukaranie, gdyż byli obywatelami radzieckimi”. Świątkowski, ur. w 1919 r., Polak z pochodzenia, ukończył Instytut Prawa w Charkowie w 1940 r. i Wojskową Wyższą Akademię Prawa w Moskwie, w 1944 r. skierowany został do Wojska Polskiego. Jego zastępca był według powszechnej oceny „słabiutkim prawnikiem. Miał bardzo duże trudności z pisanem w języku polskim. We wszystkich sprawach zgadzał się ze swym przełożonym”. J. Poksiński „TUN. Tatar – Utnik – Nowicki. Represje wobec oficerów Wojska Polskiego w latach 1949-1956”, Warszawa 1992, ss. 75, 250.

Wyroki WSR, WSO i sądów doraźnych

Z reguły wyroki Wojskowych Sądów Rejonowych były zatwierdzane przez prezesa NSW. Bardzo często składy sądzące (złożone z trzech sędziów) w 1946 roku po zasądzeniu kary śmierci przysyłały jednocześnie do NSW wnioski o złagodzenie tego wyroku i zamianę na karę więzienia. Uzasadniały to takimi okolicznościami łagodzącymi jak młody wiek, niekaralność, zasługi w ruchu oporu itd. Z reguły prezes NSW wniosków tego rodzaju nie uwzględniał. Podobnie postępował B. Bierut, odrzucając co najmniej 70-80% analogicznych wniosków Naczelnika Wydziału Prawnego Biura Prezydyjnego KRN, Izaaka Klajnermana. Bierut wydał nawet specjalne pismo w tej sprawie, pouczając, że należy pozostawić mu decyzję co do stosowania prawa łaski¹⁵.

W Krakowie Przewodniczący Wydziału do Spraw Doraźnych, mjr Stanisław Janikowski nie wydał żadnego wyroku śmierci. Zapowiedziano więc przeciw niemu dochodzenie¹⁶.

W sprawozdaniu za czerwiec 1946 roku z działalności sądów doraźnych płk Konstanty Lasota zwracał uwagę, że w ostatnim czasie „niektórzy nasi sędziowie okazali się w pracy Sądów Doraźnych zbyt łagodni, a mianowicie mjr Stojanow-

15. Oto jak brzmiał fragment dyrektywy Bieruta: „Co się tyczy prawa łaski – nie ma ono na celu osłabienia ostrza kary lub niwelowania jej przez beztroski liberalizm, lecz jest jednym z nader ważnych i czułych środków penitencjarnych, którego w żadnym razie nie można przekształcać w jakiś rodzaj pasa ratunkowego dla elementów wykołojonych, zdeprawowanych i społecznie szkodliwych. Opinia składu sądzącego i nadzorczych organów sądownictwa winna więc być troskliwie przemyślana i uzasadniona, niemniej rozważnie niż sam wyrok.

Stwierdziwszy nader częstą powierzchowność tej opinii, przeznaczoną dla głowy państwa – prezydenta Rzeczypospolitej, który nie ma możliwości wnikać osobiście w szczegóły każdej sprawy – uznałem za konieczne zwrócić na to uwagę właściwym czynnikom sądowniczym...”. Tę notatkę skierował Bierut 27 sierpnia 1946 roku do gen. Spychalskiego, do prezesa NSW, ministra sprawiedliwości oraz do wicepremiera Gomułki i marszałka Żymierskiego. M. Turlejska, „Te pokolenia żałobami czarne...”, s. 83.

16. M. Turlejska, „Sądy na kółkach”, *Przegląd Powszechny*, nr 12, 1988, s. 339.

ski”, gdyż „bandytę Klinga z bandy Kreta” (była to organizacja poakowska, dowodzona przez „Warszycę”) skazał nie na karę śmierci, lecz na 15 lat więzienia. Szczególnie krytykowani byli przez Lasotę sędziowie cywilni, „zaskorupiali w swych zapatrywaniach, [którzy] kurczowo trzymali się litery prawa bez dostosowania jej do zmienionych warunków życia”¹⁷. Podobnie wypowiadała się prasa partyjna. *Głos Ludu* w kwietniu 1946 roku krytykował składy cywilne sądów doraźnych za ferowanie zbyt niskich wyroków wydawanych m.in. w Radomiu, Gdańsku i Kielcach. Sędziowie brali pod uwagę okoliczności łagodzące, jak młody wiek oskarżonych czy ich udział w organizacjach podziemnych w czasie okupacji.

Przygotowania do procesów przedwojennych oficerów

Jawnie manifestowano w propagandzie krytyczny stosunek do prawniczej kadry przedwojennej, która pracowała wówczas w sądownictwie. Dopóki jednak nie dysponowano własną kadrą, którą dopiero szkolono, nie można było pozbywać się starej. Czystki na większą skalę zaczęły się w 1948 roku. Rozpoczęto wówczas usuwanie osób niewygodnych, bo były niezależne, nieprzekupne, odważne, lub po prostu bezpartyjne. Zaczęły przeważać inne kryteria niż w 1944-1945 roku. O dyskwalifikacji sędziów i prokuratorów stanowiło ich odrębne zdanie odbiegające od „linii partyjnej”. „Weryfikację” prawników – oficerów przeprowadzono w oparciu o zebrane przez Informację donosy, bazujące najczęściej na fałszywych danych, lub pomówieniach i plotkach.

W końcu maja 1951 roku po dwóch planach: wrześniowym 1948 roku, potępiającym odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne oraz listopadowym 1949 roku, formułującym oskarżenia o prowokację i agenturę w PPR, pospieszenie przygotowywano publiczny proces (zwany „tatarowskim”) dziewięciu wyższych wojskowych, wśród nich 4 generałów. Aresztowano ich już jesienią 1948 r. W więzieniu Informacji w

17. tamże, s. 340.

Warszawie poddano ich torturom fizycznym i psychicznym. Wcześniej już przygotowywano „sprawę bydgoską” oraz „zamojsko-lubelską”. Objęto tą akcją zwłaszcza oficerów lotnictwa i marynarki – aresztowano 127 osób¹⁸. Sprawę prowadził Główny Zarząd Informacji (GZI) na czele z oficerami radzieckimi – płk Dymitrem Wozniesińskim i jego zastępcą – płk. Antonim Skulbaszewskim.

W tej sytuacji GZI uznał, że należy przeprowadzić „czystkę” wśród oficerów wojskowej służby sprawiedliwości, którzy mieli w niedalekiej przyszłości sędzić aresztowanych. Gen. Marian Spychalski, do marca 1949 roku pierwszy wice-minister obrony narodowej, został aresztowany we Wrocławiu 13 maja 1950 roku. Do początku 1956 zmieniano mu siedem razy wersję aktu oskarżenia i liczbę współoskarżonych¹⁹.

Geneza publikowanego poniżej Protokołu

Już w latach 1948-1950 usunięto z wojskowego aparatu prokuratorskiego i sądowego, jak stwierdza Jerzy Poksiński, około 250 oficerów „na skutek braku kwalifikacji politycznych”. 16 marca 1951 r. Bierut otrzymał tajny list od Stalina dotyczący śledztwa toczącego się w Pradze przeciw Vladimirowi Clementisowi, b. ministrowi spraw zagranicznych Czechosłowacji i Otto Slingowi, członkowi Biura Politycznego KPCz. Mieli się oni przyznać do działalności agenturalnej i przygotowań do burżuazyjnego przewrotu w Czechosłowacji. Bierut trafnie odczytał intencję Stalina²⁰. Biuro Polityczne PZPR podjęło 21 marca 1951 roku uchwałę, w której była mowa o potrzebie korzystania w znacznie

18. Nadużycia w śledztwie w organach Informacji omawia notatka Prokuratora NPW, kpt. Zbigniewa Domino i wiceprokuratora NPW kpt. Edwarda Wiącka w *Zeszytach Historycznych* nr 67, Paryż 1984, s. 37-70.

19. Protokół otwarcia kas zawierających dokumenty pozostałe po Bolesławie Bierucie i przekazane przez Jakuba Bermiana zawiera materiały o przygotowywaniu procesu Mariana Spychalskiego, „Te pokolenia...”, s. 410-417.

20. Jerzy Poksiński, „Spisek w wojsku. Victis honos”, Warszawa 1994, omawia szczegółowo biografie 20 oficerów, straconych w więzieniach na podstawie fałszywych oskarżeń.

szerszym stopniu z doświadczeń sowieckich w celu „doskonalenia metod demaskowania i unieszkodliwiania wroga klasowego”. Uchwałę w tej sprawie opracowali A. Zawadzki, R. Zambrowski, S. Zarakowski, R. Romkowski, O. Karlinger, W. Świątkowski, przy współpracy doradców sowieckich pułkowników Samsonowa, Milcyna i Zajcewa.

Zdecydowano, że należy powołać specjalną komisję dla przeprowadzenia weryfikacji kadr w sądownictwie wojskowym. Liczyła ona siedem osób i w dokumencie, oczywiście ściśle tajnym, a obecnie odtajnionym, nie ma mowy o jej trybie pracy, ani o tym, czy ktoś jej przewodniczył. W Protokole nie wymieniono nawet imion jej członków, ani ich funkcji w WP. Uzupełniono ten dokument o dane przekazane mi przez dr. hab. Aleksandra Kochańskiego. Oto skład owej Komisji, dokonującej „przeglądu kadr wojskowych organów”:

płk Leon Zieleniec, ur. 1907, sekretarz komisji partyjnej Wojska Polskiego;

płk Władysław Stapor, ur. 1912, szef Oddziału III personalnego Głównego Zarządu Politycznego WP;

płk Oskar Karliner, ur. w Drohobyczu 10 maja 1907 r., p/o prezesa NSW do listopada 1950 r., Szef Zarządu Sądownictwa Wojskowego (wniosek o mianowanie go generałem brygady został odrzucony w maju 1955 r. O. Karliner w 1956 roku wyjechał do Izraela. W marcu 1980 roku został zdegradowany do stopnia szeregowca. Zmarł w 1988 roku);

płk Wilhelm Świątkowski, ur. w 1919 r., prezes Najwyższego Sądu Wojskowego w tym czasie;

płk Jerzy Dobrowolski, zastępca Szefa Głównego Zarządu Informacji;

płk Ignacy Krzemień, ur. 1919 r., Szef Oddziału I Głównego Zarządu Informacji MON;

ppłk Helena Wolińska, ur. 1919 r., szef Wydziału Nadzoru Prokuratury nad śledztwami w wojsku (Naczelna Prokuratura Wojskowa) od 1 listopada 1950 roku. W tym czasie była ona żoną Franciszka Józwiaka, członka Biura Politycznego KC PZPR, co nie było bez znaczenia.

Ta, ściśle tajna wówczas lista, zawierająca 131 nazwisk nie była ostateczna i w późniejszym okresie ulegała kolejnym modyfikacjom. Zostały powołane podkomisje w terenie. Trudno stwierdzić, który z wymienionych w Protokole oficerów został w pierwszej bądź w drugiej kolejności usunięty z wojskowej służby sprawiedliwości, lub przesunięty na niższe stanowisko, czy wreszcie w niej pozostał, albo nawet awansował.

Sędzia Sądu Najwyższego, Mieczysław Szerer, w swym raporcie z 10 czerwca 1957 roku²¹ zwracał uwagę na to, że niektórzy, jak np. ppłk Józef Dziwgo wymieniony w omawianym Protokole jako kandydat do zwolnienia, pracowali jeszcze i orzekali w Sądzie Najwyższym do 1957 roku. Sędzia Szerer podkreślił z drugiej strony, iż w 48 procesach „tatarowskich” i „odpryskowych”, w których zasądzono 66 oficerów, w tym 38 na karę śmierci (została wykonana w 20 wypadkach) wyrokowało w sumie tylko 20 sędziów. Dziesięciu z nich było sędziami Najwyższego Sądu Wojskowego, pozostali wywodzili się z Sądów Rejonowych. Największą liczbę wyroków śmierci miał na sumieniu mjr Teofil Karczmarz, bo aż 39; był on przed wojną kierownikiem sekretariatu w sądzie grodzkim w Lublinie i nie miał średniego wykształcenia. Powołany do WP we wrześniu 1944 r. początkowo pełnił funkcje pomocnicze w aparacie sądowym. W 1947 roku został sędzią Sądu Marynarki Wojennej, w latach 1949-1951 stał na czele Sądu Garnizonowego w Elblągu. Stąd powołano go do Warszawy na stanowisko sędziego w Wydziale I rewizyjnym, gdzie brał udział w przygotowaniu „procesu generałów”. Po 1956 roku podkreślano jego braki w wykształceniu. Drugim z kolei, który wyrokował w 19 wypadkach karę śmierci był płk Feliks Aspis, sędzia NSW od lipca 1950 roku. Ukończył wyższe studia prawnicze w Uniwersytecie Jagiellońskim w 1926 r., przed wojną miał kancelarię adwokacką. Po roku 1950 był zaufanym prezesa NSW. Trzecim z kolei, który wyrokował w 14 wypadkach karę śmierci był płk Juliusz Krupski. Ukończył on Wydział Prawa

21. Mieczysław Szerer, Raport z 10 czerwca 1957, *Zeszyty Historyczne*, Zeszyt 49, Paryż 1979, s. 156-159. Wykaz spraw z grupy Tatarów i in., rozpatrywanych przez Najwyższy Sąd Wojskowy w I instancji.

na UJK we Lwowie w 1936 r. i był tamże aplikantem w sądzie grodzkim. Powołano go do wojska w sierpniu 1944 r. Często przewodniczył kompletom sędziowskim NSW. „Należał do sędziów wymierzających drakońskie kary”²².

Dodać należałoby, że część wyroków (wszystkie przez zastrzelenie w więzieniu) były wykonywane już po śmierci Stalina: np. ppłk pilot Roman Rypson został zabity 28 kwietnia 1953 r., ppłk nawigator Zygmunt Sokołowski – 29 sierpnia 1953 r., mjr Benno Zerbst – 21 sierpnia 1953 r., płk Feliks Michałowski – 26 maja 1953 r., płk Alaksander Rode – 26 maja 1953 r. Wszyscy pochowani zostali w bezimiennej mogile (22).

Wszystkich 20 oficerów w 1956 r. zrehabilitowano.



Czytelnikowi należy się wyjaśnienie, dlaczego pominęłam w Protokole nazwiska i imiona 131 przeznaczonych do zwolnienia w maju 1951 roku oficerów – prawników, pracujących w aparacie sądownictwa wojskowego. Poprzednio już zazaczyłam, że nie wiadomo, jakie były ich dalsze losy. Ustalenie tego wymagałoby szczegółowych badań. Uważam jednak, że zadaniem historyka, a także socjologa, jest przede wszystkim analiza mechanizmów społecznych – anatomii systemów represyjnych, totalitaryzmu w jego najgroźniejszej postaci. Zależy mi na przedstawieniu materiału źródłowego, który może pomóc wyjaśnieniu formowania aparatu terroru i represji, jakim był stalinizm.



Chciałabym wspomnieć, że na ten dokument zwrócił moją uwagę kapitan Edward Sikorski, kierownik filii Centralnego Archiwum Wojskowego w Modlinie, utalentowany i zamiłowany w historii archiwista. Kpt. Sikorski nie doczekał ukazania się tego materiału w druku – zmarł w kwietniu 1995 roku na nieuleczalną chorobę w 35 roku życia.

Maria TURLEJSKA

22. Jerzy Poksiński, „Spisek w wojsku”, Warszawa 1994, ss. 134, 141, 148, 154, 162.

Warszawa, dnia 29 maja 1951 roku
Ścisłe Tajne
Egz. Nr. ...

PROTOKÓŁ

Komisji dokonującej przeglądu kadr wojskowych
organów służby sprawiedliwości

Komisja w składzie:

płk Zieleniec
płk Stapor
płk Karliner
płk Świątkowski
płk Dobrowolski
płk Krzemień
ppłk Wolińska

Po przeanalizowaniu całości materiałów, charakteryzujących poszczególnych oficerów doszła do wniosków o konieczności zwolnienia z organów sprawiedliwości niżej wyszczególnionych oficerów w/g następującej kolejności:

w I-ej kolejności:

a) Najwyższy Sąd Wojskowy

1. ppłk J. A. – sędzia NSW

s. Jana r. 1903 b/p

Ojciec był nauczycielem, zaś teść administratorem majątku. Ppłk J. od 1928 r. do 1939 r. pracował w Sądzie Grodzkim jako aplikant, asesor i sędzia. Był jednocześnie aktywistą Związku Oficerów Rezerwy i Związku Obrońców Ojczyzny. Od 1939 r. do 1945 r. w KOP-ie i PAL-u pełnił funkcję oficera wyszkoleniowego i oficera do specjalnych zleceń Komendy Głównej PAL. Od 1945 r. należy do Stronnictwa Demokratycznego jest członkiem jego Rady Naczelnej. Żona posiadała po wyzwoleniu sklep i cukiernię w Warszawie. Brat żony był w Sztabie Armii Andersa. Zachowanie ppłk. J. wykazuje, że maskuje on swe reakcyjne poglądy polityczne.

2. ppłk S. J. – sędzia NSW

s. Walentego r. 1895 b/p

Syn 2,5 hektarowego chłopca. Ppłk S. od 1918 r. do 1939. pracował w sądownictwie wojskowym jako sędzia śledczy,

podprokurator, kierownik sądu rejonowego i sędzia Sądu Okręgowego. W 1937 r. otrzymał stopień majora.

3. ppłk G. T. – sędzia NSW

s. Henryka r. 1900 członek PZPR

Ojciec był dzierżawcą folwarku. Ppłk G. od 1912 r. należał do ZHP, w 1920 r. jako ochotnik brał udział w wyprawie na Kijów. Powyższe ukrył w aktach. Do 1939 r. był adwokatem oraz pełnił funkcję sekretarza Związku Adwokatów Polskich w Lublinie. Rodzina ppłk. G. należała do endecji. Zwalczał adwokatów broniących komunistów. Politycznie obcy.

b) Zarząd Sądownictwa Wojskowego i Sądy

4. ppłk H. M. – St. Inspektor Zarz. Sądow. Wojsk.

s. Stanisława r. 1906 b/p

Ojciec urzędnik, teść majster budowlany, posiadał dom czynszowy i sklep z obuwiem. Ppłk H. od 1937 r. do 1939 był adwokatem. Po wybuchu wojny w 1940 r. przenosi się na teren Zachodniej Białorusi, skąd zostaje internowany w głąb ZSRR. Są podejrzenia organów informacji o łapownictwo. Prześiąknięty drobnomieszczańską ideologią i żyje w środowisku drobnomieszczańskim. Jako fachowiec dobry.

5. kpt. K. M. – Kierownik Rejestrów Skazanych Zarządu Sądownictwa Wojskowego

s. Jana r. 1904 b/p

Kpt. K. pochodzenia robotniczego. Od 1935 r. do 1944 r. pracował w Ministerstwie Sprawiedliwości w Rejestrze Skazanych Wydziału Statystycznego. Obcy wywiad docierał do niego w celu zdobycia materiałów szpiegowskich. On wprowadził nie udzielił, ale też nie zasygnalizował o tym, nie wiedząc, że osoba starająca się otrzymać odeń wiadomości jest zaangażowana w wywiadzie. Politycznie obcy. W pracy typ urzędnika.

6. mjr M. S. – Sędzia Wojsk. Sądu Okr. Nr 2

s. Aleksandra r. 1909 b/p

Pochodzenia urzędniczego, do 1939 r. był asesorem i sędzią Sądu Grodzkiego, obecnie jest w badaniu sprawa jego współpracy z okupantem.

7. mjr H.K. – Szef Wojsk. Sądu Garnizonowego w Olsztynie

s. Kazimierza r. 1913 b/p

Syn lekarza, ukończył gimn. Jezuitów w Wilnie. Zarówno w gimnazjum jak i na uniwersytecie był aktywnym członkiem „Sodalicii Mariańskiej” oraz redaktorem dziennika katolickiego „PAX”. W okresie przedwojennym zapatrywał endeckich. Politycznie zupełnie obcy.

8. mjr K. E. – Sędzia Wojsk. Sądu Okręgowego Nr. 1
s. Bolesława r. 1916 b/p
Do 1939 r. ojciec jego był sanacyjnym starostą we Włodawie. Mjr. K. w 1938 r. ukończył Szkołę Podchor. Rezerwy. W okresie okupacji od 1940-1944 r. był w PZP, ZWZ i AK, jako wykładowca artylerii – służbowo nie przedstawia większych wartości.
9. kpt. N. J. – Sędzia Wojsk. Sądu Rejonowego w Białymstoku
s. Pawła r. 1911 b/p
Syn chłopca 7-mio hektarowego. W 1936 r. ukończył Szkołę Podchor. Rezerwy uzyskując stopień podporucznika rezerwy. W aktach przedwojennych jest zamieszczona opinia charakteryzująca go bardzo dodatnio. W okresie okupacji był d-ą plutonu w ZWZ i w AK. Brat w/wym. został wywieziony w 1940 r. do ZSRR, a obecnie przebywa za granicą.
10. ppłk W.R. – Szef Wojsk. Sądu Rejonowego w Lublinie
s. Michała r. 1915 b/p
Ojciec był funkcjonariuszem PP, teść posiada 3 place pod zabudowania i dom o 19 lokatorach. Żona ppłk. W. posiada 5 ha. Ppłk W. w 1938 r. ukończył Szk. Podchor. Rez. otrzymując w 1939 r. stopień ppor. rez. W latach 1939/1943 był aplikantem sądowym w Warszawie. W czasie okupacji należał do AK. Politycznie obcy.
11. mjr S.W. – Z-ca Szefa Wojsk. Sądu Rej. w Lublinie
s. Józefa r. 1914 b/p
Ojciec był st. sekretarzem sądowym, teść współwłaścicielem warsztatu mechanicznego. Mjr S. w 1937 r. ukończył Szkołę Podchor. Rezerwy. Brał udział w kampanii wrześniowej i od 1939 r. do 1945 r. przebywał w oflagu. Ma własną kamienicę w Lublinie. Politycznie obcy, jego orzecznictwa, budzą zastrzeżenia, cechuje go liberalny stosunek do band podziemnych.
12. mjr F. A. – Sędzia Wojsk. Sądu Rej. w Lublinie
s. Jana r. 1913 wykł. z PZPR
Ukończył KUL w 1938 r. W latach 1932/39 należał do Związku Polskiej Młodz. Demokrat. i pełnił funkcję sekretarza Zarządu Okręgu Lubelskiego. Wykluczony z Partii za obcość polityczną.
13. mjr P. J. – Z-ca Szefa Wojsk. Sądu Rej. w Olsztynie
s. Jerzego r. 1914 b/p
Ojciec był rządcą folwarku i posiadał 14 ha ziemi. Mjr P. w 1937 r. ukończył KUL. W 1932 r. Szkołę Podchor. Rez. OD 1944 r. był [nieczytelne].

14. kpt. R. K. – Sędzia Wojsk. Sądu Rej. w Olsztynie
s. Konstantego r. 1916 b/p
Pochodzenie robotnicze. Kpt. R. w 1938 r. zostaje wysłany jako prezes jednego z kół Tow. Przyjaciół Skandynawii na kurs do Danii. Politycznie obcy. Negatywnie ustosunkowany do ZSRR.
15. kpt. T. Z. – Sędzia Wojsk. Sądu Rej. w Gdańsku
s. Józefa r. 1916 czł. PZPR
Pochodzenie robotnicze. Przed wojną ukończył szkołę oo. Salezjanów. Z okresu przynależności jego do Gwardii Ludowej do 1943 r. są podejrzenia organów informacji o współpracy z okupantem i wydanie członków GL w ręce okupanta.
16. mjr N. N. – Sędzia Wojsk. Sądu Garn. w Łodzi
s. Wilhelma r. 1897 b/p
Ojciec był kierownikiem fabryki do 1939 r. Mjr N. Od 1928 do 1939 r. był adwokatem, w czasie okupacji urzędnikiem w fabryce w Łodzi. Zupełnie obcy politycznie.
17. mjr L. S. – Sędzia Wojsk. Sądu Rej. w Koszalinie
s. Jana r. 1916 b/p
Pochodzenie urzędnicze. Teść był kupcem i posiadał dom we Lwowie. Politycznie zupełnie obcy, przypadkowy w wymiarze sprawiedliwości wojskowej. Kilkakrotnie prosił o zwolnienie go z organów sądownictwa.
18. kpt. K. J. – Sędzia Wojsk. Sądu Rej. w Zielonej Górze
s. Jana r. 1912 czł. PZPR
Ojciec był woźnym sądowym. Kpt. K. w 1934 r. ukończył Szkołę Podchor. Rezerwy. Od 1939 r. do 1944 był sekretarzem Sądu Apelacyjnego w Krakowie. Od 1942 r. do 1944 r. był d-cą kompanii w AK.
19. mjr Z. J. – Wykładowca Ofic. Szkoły Prawniczej
s. Józefa r. 1916 wykl. z PZPR
Ojciec był urzędnikiem i równocześnie posiadał 12 ha; teść 15 ha. Mjr Z. od 1941 r. do 1943 r. był policjantem w Getcie Warszawskim.
20. mjr R. I. – Sędzia Wojsk. Sądu Rej. w Katowicach
s. Józefa r. 1905 b/p
Ojciec był konduktorem PKP. Mjr R. w 1929 r. ukończył Szkołę Podchor. Rezerwy. Od 1936 r. do 1939 r. pracował w Starostwie w Warszawie. Ostatnio tj. od VII do IX 1939 r. pełnił funkcję wicestarosty Warszawa-Południe. Politycznie obcy.

21. mjr P. W. – Szef Wojsk. Sądu Rejonowego w Rzeszowie
s. Józefa r. 1910 czł. PZPR
Syn chłopca 17-ha. Mjr P. od 1934 r. do 1939 r. należał do Polskiego Związku Zachodniego, pełniąc funkcję sekretarza Zarządu Powiatowego w Lublinie. W czasie okupacji był w AK. Miał kontakty z NSZ. Razem z nim w organizacji byli jego bracia. Organizacja ta zabiła pułkownika Wojsk Radzieckich. Politycznie obcy.
22. mjr M. W. – z-ca Szefa Wojsk. Sądu Rejonowego w Katowicach
s. Mieczysława r. 1915 b/p
Ojciec był urzędnikiem samorządowym. Mjr M. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy w 1935 r. Są podejrzenia w organach informacji o pobieranie łapówek. Liberalnie ustosunkowuje się w orzecznictwie do wroga klasowego, natomiast wykazuje nadmierną gorliwość w karaniu ludzi klasowo i politycznie bliskich.
23. kpt. W. K. – Sędzia Wojsk. Sądu Rejonowego w Katowicach
s. Wojciecha r. 1904 b/p
Ojciec jest emerytowanym inspektorem szkolnym, teść natomiast bogatym kupcem i kamienicznikiem. Mjr W. do 1939 r. był adwokatem, należał do „Sokoła” i Związku Powstańców Śląskich oraz był przywódcą bojówki ONR. Żona w czasie okupacji należała do Polskiej Organizacji Podziemnej.
24. ppłk. S. W. – Szef Wojsk. Sądu Rejonowego w Krakowie
s. Jana r. 1913 czł. PZPR
Syn chłopca 8-mio hektarowego. Ppłk S. w 1934 r. ukończył Szkołę Podchor. Rez. Od 1934 r. do 1939 r. należał do „Wici” w czasie okupacji od 1941 r. do 1944 należał do podziemnych organizacji: BCh. i AK, pełnił funkcję oficera do specjalnych zleceń. Podczas wyborów głosował na listę PSL-u.

c) Naczelnia Prokuratura Wojskowa i Prokuratury

1. ppłk W. J. – Wiceprokurator NPW
s. Konstantego r. 1916 b/p
Ojciec był urzędnikiem skarbowym. Ppłk W. do 1939 r. był oficerem zawodowym w stopniu kapitana. Pracował na stanowiskach p.o. sędziego śledczego i p.o. podprokuratora w organach sądownictwa wojskowego. W czasie wojny 1939 r. był szefem sądu polowego. Od 1939 r. do 1943 r. przebywa w Oflagu. Politycznie obcy, typ urzędnika.
2. ppłk R. J. – Wiceprokurator NPW
s. Stanisława r. 1907 b/p
Ojciec był do 1925 r. wiceprezesem NIK, posiadał dwa domy

w Wilnie. Teść był wiceprezesem Izby Skarbowej w Warszawie. Ppłk R. od 1932 r. do 1939 r. był oficerem zawodowym w stopniu kapitana, pracował na stanowiskach: sędziego śledczego, sędziego rejonowego i sędziego okręgowego. W czasie wojny 1939 r. został mianowany na stanowisko z-cy Szefa Służby Sprawiedliwości Armii Gen. Dąb-Biernackiego. Zupełnie obcy klasowo i politycznie.

3. kpt. A. S. – Wiceprokurator NPW

s. Józefa r. 1899 b/p

Syn palacza parowozowego. Kpt. A. w latach 1917-1918 pracował jako urzędnik w DOKP. Bez perspektyw ze względu na zupełną nieprzydatność polityczną i fachową w służbie sądownictwa wojskowego.

4. mjr C. S. – Wiceprokurator NPW

s. Bolesława r. 1893 b/p

Ojciec był maszynistą kolejowym. Mjr C. od 1918-1934 r. był oficerem zawodowym w stopniu kapitana. Jako zaufany pracował w Mobie. Od 1940-1944 r. pracował w Sądzie Okręgowym w Lublinie jako aplikant. Po wyzwoleniu sympatyzował z PSL. Politycznie obcy.

5. kpt. B. S. – Podprokurator Wojsk. Prok. Okręgowej Nr 1

s. Włodzimierza r. 1914 b/p

Ojciec był lekarzem weterynarii. Kpt. B. do 1939 r. jako oficer rezerwy w stopniu podporucznika był instruktorem PW i WF. Od 1925 r. do 1939 r. należał do ZHP. Po wyzwoleniu był współwłaścicielem firmy budowlanej. W/g danych organów informacji szerzył wrogą propagandę na terenie wojska. Nie chce służyć w wojsku. Politycznie obcy.

6. kpt. J. M. – Wiceprokurator NPW

s. Teofila r. 1911 b/p

Ojciec był rzeźnikiem. Teść posiada 21 ha w poznańskim. Przyjaciół jego, który wrócił z Anglii i z którym razem mieszkał został aresztowany za szpiegostwo. Do obecnego ustroju ustosunkowany z rezerwą. Służbowo mało przydatny.

7. mjr T. R. – Wiceprokurator NPW

s. Władysława r. 1915 b/p

Ojciec był urzędnikiem sądowym. Mjr T. do 1939 r. ukończył KUL. W 1939 r. ukończył Szkołę Podchor. Rezerwy. W 1944 r. był aplikantem sądowym. Obecnie zawieszony w czynnościach służbowych za niezaprotokołowanie wyjaśnień oskarżonych, stanowiących ich obronę. Politycznie obcy.

8. kpt. M. F. – Podprokurator Wojsk. Prok. Rej. w Olsztynie
s. Stanisława r. 1914 b/p
Ojciec posiada 24 ha. Teść do 39 r. był oficerem zawodowym w stopniu kapitana. Kpt. M. od 1935 r. do 1939 r. był sekretarzem korporacji studenckiej „Justycja”. W 1938 r. został mu obniżony stopień z majora do kapitana za pijaństwo z adwokatami. Nie nadaje się do służby w organach sądownictwa wojskowego.
9. kpt. W. B. – Podprokurator Wojsk. Prok. Nr 2
s. Fryderyka r. 1916 b/p
Ojciec był majstrem na PKP. Kpt. W. do 1939 r. był referendarzem Urzędu Wojewódzkiego. W czasie okupacji był urzędnikiem Urzędu Skarbowego. Został usunięty z organów informacji. Negatywnie ustosunkowany do obecnego ustroju. Pracuje słabo.
10. mjr B. J. – Podprokurator Wojsk. Prok. Okręg. Nr 2
s. Wojciecha r. 1910 b/p
Syn stolarza. Mjr B. w 1933 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. W 1931 r. studiował teologię. Od 1933 do 1937 r. był prezesem Akademickiego Koła Ziemi Krakowskiej oraz członkiem ZZZ. Od 1943 do 1945 należał do BCh związanego z AK, gdzie pełnił funkcję oficera oświatowego.
11. mjr B. I. – Prokurator Wojsk. Prok. Rej. w Białymstoku
s. Józefa r. 1914 czł. PZPR
Pochodzenie robotnicze. Mjr. B. od 1930 do 1939 r. należał do Harcerstwa Polskiego w Czeskim Cieszynie. Niejaki Jedliński, który siedzi obecnie w więzieniu zeznał na śledztwie, że mjr B. był w wywiadzie AK – sprawa w badaniu. Pracuje źle, nie ma żadnego autorytetu u podwładnych i przełożonych. Nie przydatny w służbie organów Sądownictwa Wojskowego.
12. por. Ł. L. – Oficer śledczy Wojsk. Prok. Okr. Nr 1
s. Tadeusza r. 1910 b/p
Ojciec do 1939 r. był nadleśniczym lasów państwowych, a w czasie okupacji kupcem drzewnym. Por. Ł. w 1930 ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. W czasie okupacji wraz z ojcem handlował drzewem. Od 1943 r. do 1944 r. należał do BCh związanego z AK, gdzie był d-cą kompanii. Pracuje słabo. Negatywnie ustosunkowany do obecnego ustroju. Otrzymuje dolary od krewnych z USA.
13. kpt. M. F. – Prokurator 8 KP
s. Józefa r. 1917 czł. PZPR
Syn 6-hektarowego chłopca. Kpt. M. w 1937 r. wstąpił do Seminarium Duchownego, następnie przeniósł się na Wydział Prawa. W czasie okupacji od 1940 r. do 1944 r. jako nauczyciel prowadził tajne komplety. Należał do NSZ.

14. kpt. S. J. – Wiceprokurator Wojsk. Prok. Rej. w Bydgoszczy
s. Adama r. 1911 b/p
Ojciec był urzędnikiem prywatnym. Teść do 1939 r. był oficerem zawodowym w stopniu kapitana, obecnie posiada dom piętrowy. Kpt. S. w 1935 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Do 1939 r. był podkomisarzem Policji Państwowej. Fakt ten ukrył w aktach personalnych. W 1947 usiłował wyjechać do USA.
15. mjr O. T. – Wiceprokurator Wojsk. Prok. Garn. w Łodzi
s. Wincentego r. 1912 wykluczony z PZPR
Ojciec był adwokatem. Mjr O. od 1936 r. do 1939 r. był oficerem zawodowym Sądownictwa Wojskowego w stopniu porucznika. W 1950 r. wystąpił z wnioskiem o zwolnienie z PZPR, uzasadniając, że jest wierzącym i praktykującym katolikiem i w związku z tym nie uznaje filozofii materialistycznej. Z Partii został wykluczony. Politycznie i klasowo obcy.
16. kpt. T. J. – Oficer Śledczy Wojsk. Prok. Garn. w Łodzi
s. Teodora r. 1909 b/p
Ojciec był technikiem budowlanym, teść zaś właścicielem restauracji. Kpt. T. ukończył w 1933 r. Szkołę Podchorążych Rezerwy i był od 1936 do 1938 r. instruktorem PW i WF, a od 1938 r. do 1939 r. Powiatowym Komendantem PW i WF na miasto Poznań. Od 1939 r. do 1945 r. był w oflagu. Politycznie obcy, jako pracownik słaby.
17. mjr K. S. – p.o. prokuratora Wojsk. Prok. Garn. w Łodzi
s. Michała r. 1914 czł. PZPR
Ojciec był właścicielem restauracji oraz domu o 14 pokojach. Teść był właścicielem apteki. Ojciec mjr. K. został wykluczony z PPS-u przed zjednoczeniem, a następnie aresztowany za handel dolarami. Mjr K. w 1938 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. W 1946 r. służąc w wojsku, handlował papierosami. Czuli na korzyści osobiste. Moralność jego budzi poważne wątpliwości. Mentalność mieszczańska. Nieprzydatny do służby w organach sądownictwa wojskowego.
18. mjr G. L. – Prokurator 11 RP
s. Macieja r. 1919 czł. PZPR
Ojciec był kupcem i posiadał dwie kamienice. Mjr G. w 1935 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1937 r. do 1939 r. pracował w Ministerstwie Sprawiedliwości w charakterze urzędnika. Był karany partyjnie naganą z ostrzeżeniem za karierowiczostwo i uleganie wpływom drobnomieszczańskim. Politycznie i klasowo obcy.

19. kpt. M. P. – Prokurator do spraw B.O.P. W.P.R. w Szczecinie
s. Michała r. 1912 czł. PZPR
Syn chłopca bezrolnego. Teść był urzędnikiem skarbowym.
Kpt. K. od 1932 r. do 1939 r. pracował jako urzędnik w
sanacyjnych sądach. Bardzo słaby pracownik. Politycznie
zupełnie pasywny. Zupełnie nieprzydatny do realizacji linii
partii w wojskowym wymiarze sprawiedliwości.
20. por. S. R. – Oficer Śledczy Wojsk. Prok. Rej. w Kielcach
s. Romana r. 1922 czł. PZPR
Pochodzenie robotnicze. Por. S. od 1940 r. do 1944 należał do
ZWZ i AK, pełniąc tam funkcje łącznika i d-cy plutonu. W/g
danych organów informacji utrzymuje kontakt z wrogiem
środowiskiem. Żona jest kleryką i negatywnie ustosunko-
waną do obecnego ustroju.
21. kpt. A. L. – Podprokurator Wojsk. Prok. Rej. w Krakowie
c. Zygmunta r. 1917 b/p
Ojciec był inżynierem i posiadał kamienicę w Stanisławowie.
Teść był nauczycielem gimnazjalnym i posiadał kamienicę we
Lwowie. Politycznie obca. Nie chce służyć w wojsku. Nie
przydatna w organach sądownictwa wojskowego.
22. por. D. T. – p.o. Podprokurator Wojsk. Prok. Rej. w Kielcach
s. Stanisława r. 1914 b/p
Ojciec był urzędnikiem Zarządu Miejskiego i jednocześnie do
1939 r. sekretarzem Polskiego Zjedn. Zawodowego. Por. D. od
1933 r. do 1939 r. był sekretarzem drużyny ZHP. Pracuje
słabo, bardzo religijny, politycznie obcy.
23. kpt. Ł. A. – Podprokurator Wojsk. Prok. Okr. Nr 5
s. Włodzimierza r. 1916 b/p
Ojciec był rzędcą. Teść posiadał warsztat stolarski i
zatrudniał 10 pracowników najemnych. Posiada kamienicę w
Gdyni. Kpt. Ł. od 1943 r. do 1944 r. należał do AK. Po wyzwoleniu
teść został skazany za sabotaż. Kpt. Ł. utrzymuje sto-
sunki z wrogiem środowiskiem.
24. ppłk T. J. – Prokurator Wojsk. Prok. Rej. w Opolu
s. Alfreda r. 1913 czł. PZPR
Ojciec był inżynierem. Ppłk T. w 1938 r. ukończył Szkołę
Podchorążych Rezerwy. Od 1941 r. do 1944 r. Należał do AK.
Do służby wojskowej w organach prokuratury nie nadaje się.
25. mjr K. F. – Podprokurator Wojsk. Prok. Garn. w Katowicach
s. Stanisława r. 1914 b/p
Ojciec był majstrem hutniczym, teść zaś leśniczym. Mjr K.
ukończył w 1939 r. Szkołę Podchorążych Rezerwy. Wychowy-
wał się w środowisku endeckim. Obecnie ignoruje szkolenie
polityczne. Utrzymuje kontakty z klerem.

26. ppłk J. T. – Prokurator Wojsk. Prok. Rej. w Kielcach
s. Stanisława r. 1907 czł. PZPR
Ojciec był ogrodnikiem. Ppłk J. ukończył Seminarium Narodowościowe przy Instytucie Badań Spraw Narodowościowych w Warszawie w 1938 r. W 1930 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. OD 1941 r. do 1942 r. służył w armii Andersa. Szwagier jego był członkiem AK i został zabity przez oddział AL-u. Ppłk J. nie nadaje się do służby w sądownictwie wojskowym.
27. kpt. J. J. – Podprokurator Wojsk. Prok. Okr. Nr 5
s. Józefa r. 1913 b/p
Syn małorolnego chłopca. Kpt. J. od 1930 r. do 1939 r. był podoficerem zawodowym, w czasie kampanii wrześniowej pełnił funkcje profesora i kierownika kancelarii Sądu Polowego. Religijny. Politycznie obcy.
28. por. K. J. – Oficer Śledczy Wojsk. Prok. Okr. Nr 5
s. Czesława r. 1923 b/p
Ojciec był oficerem zawodowym do 1939 r. Por. K. wychowywał się do 1939 r. w Korpusie Kadetów. Od 1940 r. do 1941 r. uczęszczał na tajne nauczanie w Tarnobrzegu. Politycznie i klasowo obcy.
29. kpt. S. O. – Podprokurator Wojsk. Prok. Rej. w Katowicach
s. Adama r. 1912 b/p
Ojciec był urzędnikiem. Kpt. S. w 1934 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. W 1939 r. uciekł z Wilna do Warszawy, gdzie pracował jako prowadzący meldunki w Zarządzie Miejskim. Nierób, pijak, politycznie obcy.
30. chor. P. Z. – Oficer Śledczy Wojsk. Prok. Garn. w Katowicach
s. Rocha r. 1925 czł. PZPR
Ojciec był konduktorem PKP. Chor. P. od 1941 r. do 1944 r. należał do AK jako łącznik. Powyższy fakt ukrył i przyznał się dopiero na zebraniu partyjnym w 1948 za co otrzymał nagane z ostrzeżeniem. Często słucha BBC.
31. mjr O. Z. – Podprokurator Wojsk. Prok. Rej. w Katowicach
s. Michała r. 1923 czł. PZPR
Ojciec był tercjanem szkolnym i należał do 1939 r. do PPS. Teść był urzędnikiem pocztowym i należał do „Strzelca”, a w czasie okupacji wraz z żoną do ZWZ i AK. Są poszlaki, że mjr O. w czasie okupacji był aktywnym akowcem na terenie lubelszczyzny. Służąc w Krakowie wiązał się z wrogiem środowiskiem.
32. mjr F. M. – Wiceprokurator Wojsk. Prok. Rej. w Katowicach
s. Grzegorza r. 1908 wykl. z PZPR
Pochodzenie rzemieślnicze. Mjr F. w 1930 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1939 r. do 1945 r. był w oflagu 2 G

Waldenberg. Związał się z żoną byłego oficera zawodowego, aktywną klerykałką, która w czasie świąt religijnych wywieszała flagi papieskie. Wyrzucony z partii za obcość ideologiczną.

33. ppor. Z. W. – Podprokurator Wojsk. Prok. Rej. w Rzeszowie
s. Piotra r. 1927 b/p
Ojciec był dentystą. Ppor. Z. w czasie okupacji należał do „Szarych Szeregów” później do AK. Po wyzwoleniu w czasie studiów w Warszawie należał do grupy „Dziś i Jutro” i utrzymywał kontakty z byłymi NSZ-cami.
34. kpt. S. F. – p.o. Podprokurator Wojsk. Prok. Rej. w Łodzi
s. Kazimierza r. 1912 b/p
Ojciec był kolejarzem. Kpt. S. w 1934 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Bardzo słaby pracownik, politycznie zupełnie bierny, do obecnego ustroju ustosunkowany z rezerwą.
35. kpt. D. R. – Podprokurator Wojsk. Prok. Rej. w Poznaniu
s. Grzegorza r. 1907 czł. PZPR
Ojciec do 1939 r. był sekretarzem sądowym. Kpt. D. od 1921 r. do 1939 r. był również sekretarzem Sądowym w Sądzie Grodzkim, a następnie Okręgowym w Tarnopolu. W czasie okupacji od 1940 r. do 1944 r. zajmował to samo stanowisko. Po 1939 należał do „Sokoła”, zaś od 1942 r. do 1944 r. do AK. Politycznie pasywny.
36. kpt. G. S. – Podprokurator Wojsk. Prok. Rej. w Olsztynie
s. Stefana r. 1916 b/p
Ojciec był właścicielem warsztatu, w którym zatrudniał siłę najemną. Kpt. G. W 1939 r. ukończył KUL. W czasie studiów powiązany był z O.N.R. Politycznie obcy, typ urzędnika.
37. por. S. K. – Oficer Śledczy Prok. 14 RP
s. Franciszka r. 1909 b/p
Por. S. w 19?? r. ukończył szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1935 r. do 1938 r. był nauczycielem w straży więziennej w Złoczewie. W toku badania jest sprawa jego współpracy z okupantem.
38. por. K. W. – Oficer Śledczy Wojsk. Prok. Okr. Nr 2
s. Wojciecha r. 1901 b/p
Ojciec był robotnikiem i należał przed wojną do PPS. Por. K. od 1927 r. do 1944 r. pracował jako urzędnik w Sądzie Grodzkim w Mińsku Mazowieckim. Bardzo słaby pracownik, politycznie obcy.
39. por. R. H. – Oficer Śledczy Wojsk. Prok. Rej. we Wrocławiu
s. Stanisława r. 1925 b/p
Ojciec do 1939 r. był przodownikiem P.P. Brat por. R. był

policjantem w czasie okupacji. Teść jest kupcem. Por. R. jest silnie związany ze środowiskiem mieszczańskim.

40. chor. W. S. – Aplikant Wojsk. Prok. Rej. we Wrocławiu

s. Jana r. 1926 b/p

Pochodzenia robotniczego. Chor. W. był wywieziony do Niemiec, gdzie pracował w fabryce broni i amunicji. Do kraju wrócił w sierpniu 1946 r. Będąc w Hamburgu do 1946 r. uczęszczał do gimnazjum. Nie przedstawia większych wartości dla służby w organach sądownictwa wojskowego.

w II-ej kolejności:

a) Najwyższy Sąd Wojskowy

1. ppłk. D. J. – Szef Wydz. II NSW

s. Ignacego r. 1907 czł. PZPR

Syn sędziego grodzkiego. Od 1934 do 1939 r. był kierownikiem Sądu Grodzkiego, w 1939 r. represjonowany przez władze Radzieckie, w późniejszym czasie skazany na 8 lat więzienia za wrogi stosunek do ZSRR. W partii od 1947 r., karany naganą partyjną za niewłaściwy stosunek do ZSRR. Zajmował liberalny stosunek do NSZ-towców. Utrzymywał kontakty z b. oficerem Andersa.

2. ppłk. K. M. – sędzia NSW

s. Leopolda r. 1904 b/p

Syn urzędnika skarbowego w latach 1930-1939 był kolejno asesorem, sędzią i kierownikiem Sądu Grodzkiego. Represjonowany przez władze Radzieckie w 1940 r. Nie wzbudza zaufania politycznego.

b) Zarząd Sądownictwa Wojskowego i Sądy

1. ppłk. S. K. – Szef Wojsk. Sądu Rejonowego w Szczecinie

s. Jana r. 1897 b/p

Syn cieśli. Od 1929 r. do 1939 r. był członkiem „Białego Krzyża”. Do 1916 r. służył w Armii Austriackiej. Od 1918 do 1921 r. w Armii Polskiej. Był w Szkole Podchorążych. Od 1932 do 1940 r. był sędzią i kierownikiem Sądu Grodzkiego w Próchniku. W czasie okupacji dzierżawił sądy. Bez perspektyw w organach sądownictwa wojskowego.

2. mjr B. A. – Sędzia Wojsk. Sądu Rejonowego w Poznaniu
s. Aleksandra r. 1905 b/p
Ojciec był właścicielem wytwórni soków i marmelady. Teść jest właścicielem 35 ha ziemi. Mjr B. od 1946 r. pracował jako referendarz i z-ca Naczelnika. Od 1938 r. do 1939 r. pracował w Ministerstwie Skarbu. Politycznie obcy.
3. kpt. W. S. – Sędzia Wojsk. Sądu Rejonowego w Szczecinie
s. Władysława r. 1910 b/p
Ojciec do 1939 r. był emerytowanym płk. służby sanitarnej. Kpt. Wróblewski w czasie studiów należał do korporacji N.D. od 1941 do 1944 r. posiadał własny sklep. Nie ma perspektyw w organach sądownictwa wojskowego.
4. kpt. P. Z. – Sędzia Wojsk. Sądu Rejonowego w Białymstoku
s. Józefa r. 1910 b/p
Syn urzędnika prywatnego. W 1934 r. ukończył Szkołę Podchor. Rezerwy. W latach 1938-39 pracował w Urzędzie Wojewódzkim w Wilnie jako referendarz. W orzecznictwie uwiadcznia się brak słusznej postawy politycznej. Do służby wojskowej nie nadaje się.
5. kpt. K. Z. – Sędzia Wojsk. Sądu Okręgowego Nr 2
s. Czesława r. 1912 b/p
Ojciec jest introligatorem i posiada dom 3-piętrowy w Bydgoszczy. Kpt. K. W 1936 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1940 do 1944 r. posiadał sklep. Słaby pracownik, politycznie obcy.
6. por. C. B. – Asesor Wojskowego Sądu Garnizonowego w Poznaniu
s. Michała r. 1911 b/p
Syn 3,5 hektarowego chłopca. Teść jest organistą. Por. C. od 1931 do 1951 był w Związku Strzeleckim – sekcyjnym. Od 1941 do 1944 r. należał do AK. Politycznie obcy, typowy urzędnik.
7. ppłk R. E. – Szef Wojskowego Sądu Rejonowego w Gdańsku
s. Stefana r. 1913 czł. PZPR
Ojciec jako stolarz zatrudniał 2 pracowników najemnych. Ppłk B. od 1937 do 1944 r. pracował w charakterze referendarza Izby Skarbowej w Lublinie. W latach 1943-1944 był wykładowcą prawa na Wyższych 2-letnich Kursach Specjalnych. W orzecznictwie niekiedy celowo obniżał wyroki wrogom klasowym. W okresie drugiej połowy 1950 r. zakwestionowano 26 jego orzeczeń. Politycznie obcy. Należy niezwłocznie zdjąć go ze stanowiska Szefa Sądu.
8. mjr M. T. – Szef Wojsk. Sądu Garnizonowego w Wałczu
s. Wojciecha r. 1913 czł. PZPR
Syn kierownika szkoły, w 1935 r. ukończył Szkołę Podchor.

Rezerwy. Do 1939 r. był praktykantem kancelaryjnym w sądzie. Nie chce służyć w wojsku. Mocno związany ze środowiskiem drobnomieszczańskim.

9. mjr L. E. – Sędzia Wojskowego Sądu Rejonowego w Poznaniu
s. Józefa r. 1900 b/p
Syn 2-hektarowego chłopca w 1928 r.; ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1931 do 1937 r. był aplikantem w Sądzie Okręgowym w Rzeszowie. Politycznie pasywny. Nie przedstawia wartości dla organów sądownictwa wojskowego.
10. kpt. K. F. – Sędzia Wojsk. Sądu Rejonowego w Warszawie
s. Leonarda r. 1914 b/p
Ojciec był udziałowcem w spółce stolarzy. Kpt. K. w 1937 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1938 do 1939 r. był aplikantem w Sądzie Grodzkim w Poznaniu. Ojciec jest bojowym klerykałem. Ze względu na bierną postawę polityczną i urzędniczy styl pracy nie ma perspektyw w aparacie sądownictwa wojskowego.
11. kpt. K. S. – Sędzia Wojskowego Sądu Okręgowego Nr 4
s. Jana r. 1912 b/p
Syn 2-hektarowego chłopca. W 1935 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Dopuścił się zdrady tajemnicy wojskowej. Klerykał o negatywnym stosunku do obecnej rzeczywistości i Związku Radzieckiego. Są podejrzenia organów informacji o przynależności do AK.
12. mjr A. W. – Sędzia Wojskowego Sądu Rej. w Katowicach
s. Marcina r. 1903 czł. PZPR
Ojciec był przemysłowcem, brat jest wysokim urzędnikiem w Izraelu. Ojciec niedawno wyjechał do Izraela. Ze względu na pochodzenie i rodzinę zagranicą, w aparacie sądownictwa wojskowego służyć nie może.
13. ppor. Ż. W. – p.o. Sędzia Wojskowego Sądu Okręgowego Nr 4
s. Konstantego r. 1924 b/p
Ojciec był mistrzem piekarskim, dzierżawił piekarnię. Ppor. Ż. w czasie okupacji należał do AK, gdzie ukończył Szkołę Podchorążych. W AK pracował na odcinku propagandy.
14. por. M. A. – Sędzia Wojsk. Sądu Rejonowego w Olsztynie
s. Leona r. 1902 b/p
Syn urzędnika skarbowego, od 1928 do 1939 r. pracował jako kierownik działu karnego urzędu akcyzowego. Religijny. Ma uprzedzenia antyradzieckie. Ze względu na bierną postawę polityczną i małą przydatność służbową – bez perspektyw w sądownictwie wojskowym.

15. kpt. K. K. – Sędzia Wojskowego Sądu Rejonowego w Rzeszowie s. Pawła r. 1910 b/p
Syn nauczyciela szkoły powszechnej. Od 1934 do 1936 r. był członkiem Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej w 1938 r. ukończył Szkołę Nauk Politycznych w Krakowie. W 1934 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Nadużywa alkoholu, miał miejsce wypadek pozostawienia w restauracji akt sprawy szpiegowskiej. Są poszlaki organów informacji w czasie okupacji był AK.
16. kpt. P. Z. – Sędzia Wojskowego Sądu Rejonowego w Rzeszowie s. Grzegorza r. 1910 b/p
Syn drukarza, w 1932 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Zdecydowanie negatywny stosunek do obecnego ustroju. Politycznie obcy.
17. por. H. E. – Sędzia Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie s. Wiktora r. 1922 b/p
Syn artysty malarza. Teść był dziennikarzem, posiada willę pod Warszawą i sklep cukierniczy w Warszawie. Por. H. od 1945 do 1947 r. należał do PPS i Z.N.M.S. Żona również należała do PPS do VIII 1948 r. Por. H. jest asystentem Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie wykłada prawo wyznaniowe. Politycznie obcy.
18. mjr K. E. – Sędzia Wojskowego Sądu Rejonowego w Opolu s. Mieczysława r. 1912 b/p
Ojciec był sędzią Sądu Okręgowego, teść zaś dzierżawcą tartaku. Mjr K. w 1936 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1938 do 1939 r. pracował w charakterze referendarza Starostwa Grodzkiego we Lwowie. Politycznie niezwiązany z nami, nie może zrealizować w praktyce obowiązującej linii politycznej.
19. por. P. T. – Sędzia Wojskowego Sądu Rejonowego w Kielcach s. Józefa r. 1918 b/p
Syn kułaka 34-hektarowego. Teść był nauczycielem. Por. P. po wyzwoleniu siedział 3 dni za udział w demonstracji antyrządowej. Żona negatywnie ustosunkowana do obecnego ustroju. Utrzymuje kontakty ze środowiskiem wrogim.
20. mjr O. N. – Z-ca Szefa Wojsk. Sądu Rejonowego w Kielcach s. Michała r. 1913 b/p
Syn kupca. Od 1936 do 1939 r. był aplikantem sądowym. W 1940 r. internowany w głąb ZSRR – w związku z tym występuje u niego uraz antyradziecki. Prześiknięty ideologią mieszczańską. Do obecnego ustroju ustosunkowany zdecydowanie negatywnie. Ma rodzinę w Anglii, z którą koresponduje.

21. ppłk K. C. – Szef Wojskowego Sądu Okręgowego Nr 5
s. Józefa r. 1908 b/p
Ojciec był kierownikiem pociągu. Ppłk K. do 1939 r. był kierownikiem Sądu Grodzkiego, a od 1940 do 1945 r. adwokatem w Krakowie. W 1931 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. W/g poszlak organów informacji w okresie okupacji należał do AK.
22. mjr G. E. – Pomocnik Szefa Wydz. do spraw wyszkol. fachowego Zarządu Sądownictwa Wojskowego
s. Marka r. 1913 czł. PZPR
Ojciec posiadał tekst [zapewne: sklep – M.T.] tekstylny, teść był właścicielem 500 hektarów ziemi. Mjr G. do 1939 r. należał do syjonistycznej organizacji „Jardenia”. Otrzymuje paczki z Belgii. Przesiąknięty ideologią drobnomieszczańską.
23. mjr T. K. – Sędzia Wojsk. Sądu Garnizonowego w Poznaniu
s. Stanisława r. 1914 b/p
Ojciec posiada dom piętrowy i restaurację. Mjr T. w 1937 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1940 do 1944 r. pracował w Arbeitsamcie jako urzędnik. Nie chce służyć w wojsku. Politycznie i klasowo obcy.

c) Naczelną Prokuraturą Wojskową i Prokuratury

1. mjr B. M. – Wiceprokurator NPW
s. Rudolfa r. 1907 b/p
Ojciec był krawcem. Mjr B. do 1939 r. był aplikantem adwokackim. W 1940 r. był aresztowany przez władze radzieckie i wywieziony do Komi ASRR. W czasie studiów należał do korporacji „Adelfia”. Skłonny do wygodnictwa. Posiada poważne naleciałości mieszczańskie. Bez perspektyw w aparacie sądownictwa wojskowego.
2. mjr D. M. – Wiceprokurator NPW
s. Romualda r. 1910 czł. PZPR
Syn krawca. Pracował od 1934 r. do 1939 r. w Sądzie Okręgowym w Zamościu jako aplikant i asesor. W 1933 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Są poszlaki organów informacji, że do 1939 r. był w ONR. W czasie okupacji był członkiem AK.
3. kpt. G. W. – Wiceprokurator NPW
s. Natana r. 1907 czł. PZPR
Ojciec był adwokatem. Posiadał 3 domy – 31 izb oraz 3 ha ziemi. Kpt. G. od 1938 do 1939 r. był adwokatem. W 1940 r. został internowany w głąb ZSRR. Kpt. G. przesiąknięty jest drobnomieszczańską ideologią.

4. mjr R. F. – Szef Wydziału I NPW
s. Antoniego r. 1914 czł. PZPR
Syn chłopca 7-hektarowego. W 1934 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1939 r. do 1945 r. przebywał w oflagu Woldenburg. Był klerykałem. W organach sądownictwa wojaskowego bez perspektyw. W oflagu był sekretarzem Stowarzyszenia pomocy wdowom i sierotom oflagowców.
5. mjr Z. T. – Wiceprokurator NPW
s. Franciszka r. 1909 b/p
Syn kupca. W 1931 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1937 r. do 1939 r. pracował w Okręgowym Urzędzie WF i PW w Warszawie w charakterze referenta cenzuralnego i prawnego. Od 1940 r. do 1942 r. prowadził potajemne nauczanie. Utrzymuje kontakty z osobami politycznie nie [nieczytelne].
6. mjr O. R. – Wiceprokurator NPW
s. Klemensa r. 1914 b/p
Syn 20-hektarowego chłopca, teść posiada dom piętrowy. Mjr O. posiada 4 ha. W 1937 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1941 r. do 1942 r. uczęszczał na tajny uniwersytet w Warszawie. Od 1945 r. do 1947 r. należał do PPS. Obecnie bezpartyjny. Zmienił nazwisko z C. na O. Politycznie i klasowo obcy.
7. mjr R. Z. – Kierownik Sekcji Nadzoru Prokuratorskiego NPW
s. Henryka r. 1912 b/p
Syn adwokata. Do 1939 r. był aplikantem adwokackim. Przechrzcił się w 1945 r., przesiąknięty drobnomieszczańską ideologią, politycznie obcy.
8. mjr B. M. – Wiceprokurator NPW
s. Edwarda r. 1912 wykl. z PZPR
Ojciec był buchalterem. Mjr B. od 1936 do 1939 r. był aplikantem sądowym. Do 1939 r. należał do rewizjonistycznej organizacji „Żelesja”. Fakt powyższy ukrył w aktach partyjnych i personalnych. Wykluczony z Partii za obcość ideologiczną.
9. kpt A. L. – Wiceprokurator NPW
s. Franciszka r. 1913 b/p
Ojciec był właścicielem cegielni, prócz tego posiadał 2 domy i 11 ha ziemi. Kpt. A. do 1939 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Istnieje podejrzenie, że podpisał volkslistę. Obcy klasowo i politycznie.
10. mjr R. J. – Oficer Śledczy Wojsk. Prokuratury Okr. Nr 2
s. Stanisława r. 1913 b/p
Syn chłopca 5-hektarowego. Do 1939 r. był podoficerem zawodowym. W okresie okupacji należał do BCh. Związany z

AK; pełnił funkcję instruktora w Szkole Podchorążych. Z pracy wywiązuje się słabo.

11. mjr S. M. – Prokurator Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Lublinie
s. Jakuba r. 1907 czł. PZPR
Ojciec był buchalterem, teść zaś adwokatem. Mjr S. do 1932 r. należał do Związku Młodzieży Żydowskiej „HAZ”. Od 1932 do 1937 r. był aplikantem adwokackim. Od 1938 r. do 1939 r. był adwokatem. Po powrocie z ZSRR prowadził kancelarię adwokacką do momentu powołania do wojska. Przesiąknięty ideologią drobnomieszczańską. Karierowicz. Nieprzydatny w aparacie sądownictwa wojskowego.
12. kpt. L. M. – Prokurator 3 DP
s. Jana r. 1914 czł. PZPR
Syn listonosza. W 1936 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1936 do 1937 r. był instruktorem WF i PW. W czasie okupacji należał do BCh. Politycznie nieskrystalizowany, powiązany z obcym środowiskiem. Stale słuchał „głosu Ameryki”. Negatywnie ustosunkowany do oficerów Radzieckich.
13. por T. Z. – Oficer Śledczy Wojskowej Prokur. Okręgowej Nr 1 s. Antoniego r. 1923 b/p
Ojciec do 1939 r. był podoficerem zawodowym. Por. T. jest zdecydowanie negatywnie ustosunkowany do obecnego ustroju i ZSRR. Prowadząc dochodzenia działał na korzyść oskarżonych. Istnieją poszlaki o pobieraniu łapówek.
14. kpt. W. J. – Podprokurator Wojskowej Prok. Rejonowej w Warszawie
s. Romana r. 1910 b/p
Syn ślusarza. W 1923 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1935 r. do 1939 r. był członkiem „Legionu Młodych”. Zdecydowanie negatywnie ustosunkowany do obecnego ustroju i ZSRR.
15. kpt. K. A. – Oficer Śledczy Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Lublinie
s. Jana r. 1916 b/p
Ojciec posiadał ogród o powierzchni 1100 m², zaś teść miał udział w przedsiębiorstwie budowlanym. Kpt. K. w 1936 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1936 r. do 1939 r. studiował na KUL-u. Od 1939 r. do 1944 pracował w charakterze urzędnika w Banku Gospodarstwa Krajowego. Politycznie bierny. Nie chce służyć w wojsku. Nieprzydatny do służby w sądownictwie wojskowym.

16. por. C. K. – Oficer Śledczy NPW
c. Władysława r. 1919 b/p
Ojciec był oficerem zawodowym do 1939 r. Następnie służył w Armii Andersa. Po powrocie do kraju zastrzelił się. Por. C. w 1940 r. została internowana w głąb ZSRR. Bardzo słaby pracownik. Do służby w organach sądownictwa wojskowego nie nadaje się.
17. kpt. K. A. – Podprokurator Wojskowej Prokuratury Okręgowej Nr 4
s. Pawła r. 1913 b/p
Ojciec był rządcą w majątku hrabiego Platter-Zyber. Kpt. K. w czasie okupacji był karbowym w tym majątku. W okresie okupacji posiadał kontakty z AK. Bez perspektyw w aparacie sądownictwa wojskowego.
18. kpt. K. A. – Prokurator Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Poznaniu
s. Ignacego r. 1905 b/p
Syn 5-hektarowego chłopca. W 1932 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1936 r. do 1939 r. był aplikantem sądowym. W 1940 r. ukrywał się przed internowaniem w głąb ZSRR. Wierzący i praktykujący katolik. Do sądownictwa wojskowego nie nadaje się.
19. kpt. W. J. – Wicoprokurator Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Poznaniu
s. Józefa r. 1905 b/p
Ojciec do 1939 r. był urzędnikiem Okręgowego Urzędu Ziemskiego. Obecnie jest emerytem. Kpt. W. od 1925 do 1930 r. studiował na KUL-u. W 1933 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1933 do 1937 r. był aplikantem sądowym. Od 1938 r. do 1939 r. był referendarzem w Starostwie. Prześiąknięty ideologią drobnomieszczańską. Politycznie obcy.
20. mjr D. J. – Prokurator 4 DP
s. Adama r. 1907 b/p
W 1929 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1939 r. do 1945 r. przebywał w oflagu „Woldenburg” [berg]. W pracy biurokrata i formalista. Żona mjr D. w 1946 r. wróciła z Teheranu. Politycznie obcy.
21. ppor. C. J. – Oficer śledczy 4 DP
s. Ludwika r. 1918 czł. PZPR
Ojciec był robotnikiem i należał do PPS. Ppor. C. od 1946 r. do Zjednoczenia również należał do PPS. Politycznie nieskrystalizowany. Fanatycznie religijny. Nie daje gwarancji realizacji linii naszej Partii na odcinku sądownictwa wojskowego.

22. kpt. M. S. – Prokurator 5 DP
s. Ludwika r. 1918 b/p
Ojciec był administratorem folwarku. Po śmierci ojca matka dzierżawiła folwarki. Kpt. M. W 1939 r. ukończył Wyższą Szkołę Nauk Politycznych przy Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej w Wilnie (placówka ta zorganizowana była przez dwójkę). Politycznie obcy.
23. kpt. N. S. – Podprokurator Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Rzeszowie
s. Józefa r. 1932 czł. PZPR
Ojciec do 1939 r. był chorążym zawodowym. W czasie okupacji należał do KB. Kpt. N. pomagał ojcu w pracy konspiracyjnej. W pracy powierzchowny. Politycznie obcy.
24. mjr M. J. – Wiceprokurator Prokuratury Wojsk Lotniczych
s. Władysława r. 1914 b/p
Syn nauczyciela. W 1936 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1934 r. należał do „Legionu Młodych”. Politycznie obcy.
25. mjr G. T. – Wiceprokurator Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Rzeszowie
s. Aleksandra r. 1913 b/p
Syn inżyniera. W 1936 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy a w 1935 r. KUL. Brat żony skazany przez władzę ludową za przynależność do nielegalnej organizacji. Bardzo słaby pracownik. Typ urzędnika. Politycznie obcy.
26. mjr G. H. – Podprokurator Wojskowej Prok. Rej. w Poznaniu
s. Franciszka r. 1921 czł. PZPR
Syn 5-hektarowego chłopca. OD 1937 do 1939 r. należał do „Wici”. Szwagier zdezerterował z odrodzonego WP. Drugi szwagier posiadał nielegalnie broń. Ujawnił się w 1947 r. Pozwany z obcym środowiskiem. Politycznie nieskrystalizowany.
27. por. O. W. – Oficer Śledczy Wojskowej Prok. Rej. w Poznaniu
s. Władysława r. 1924 b/p
Ojciec był urzędnikiem kolejowym. Teść płk. zawodowym do 1939 r. Por. O. politycznie obcy. Prowadzi mieszczański tryb życia.
28. kpt. L. S. – Podprokurator Wojskowej Prok. Rej. we Wrocławiu
s. Józefa r. 1912 b/p
Ojciec był urzędnikiem prywatnym i posiadał 30 ha ziemi. Kpt. L. ukończył Szk. Podchor. Rez. Politycznie obcy. Bez perspektyw w sądownictwie wojskowym.

29. kpt. W. A. – Podprokurator Wojskowej Prok. Rej. w Poznaniu
s. Tomasza r. 1901
Syn bezrolnego chłopa. Od 1922 do 1939 r. był podoficerem zawodowym. Nadużywa alkoholu. Politycznie bierny. Nie przedstawia wartości dla służby w sądownictwie wojskowym.
30. por. G. M. – Oficer Śledczy Wojskowej Prok. Okr. Nr 1
s. Franciszka r. 1917 b/p
Syn urzędnika. Od 1927 do 1935 r. był czł. ZHP. Od 1943 do 1944 r. był w BCH, związanego z AK, gdzie ukończył podchorążówkę. W okresie okupacji był tłumaczem u hitlerowców. Brat żony służył w „Luftwaffe”. Politycznie obcy.
31. por. P. W. – Oficer Śledczy Prok. 3 D.P.
s. Antoniego r. 1912 b/p
Ojciec był leśniczym. Por. D. od 1935 do 1939 r. należał do PPS. W okresie okupacji kolportował prasę akowską. Żona po wyzwoleniu założyła sobie sklep. Słaby pracownik. Negatywnie ustosunkowany do obecnego ustroju. Nadużywa alkoholu. Powiązany z obcym środowiskiem.
32. kpt. W. S. – Podprokurator Wojskowej Prok. Rej. w Lublinie
s. Stefana r. 1913 b/p
Syn nauczyciela. W 1935 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. W czasie okupacji pracował jako urzędnik gminny. Bardzo słaby pracownik. Politycznie obcy.
33. kpt. B. I. – Podprokurator Wojskowej Prok. Rej. w Lublinie
s. Stanisława r. 1924 czł. PZPR
Ojciec był podofic. zawodowym do 1939 r.; w czasie okupacji czł. PZW oraz szefem wywiadu na Częstochowę z ramienia rządu londyńskiego. Po wyzwoleniu został aresztowany przez władze radzieckie i wywieziony do ZSRR. Matka była w Armii Andersa, do kraju wróciła w 1946 r. Kpt. B. był w PZW razem z ojcem. Fakt ten ukrył w aktach partyjnych i personalnych.
34. por. P. W. – Podprokurator Wojskowej Prok. Rej. w Szczecinie
s. Franciszka r. 1921 czł. PZPR
Ojciec posiada 16 ha. Por. P. pracował w 1942 r. w RGO jako instruktor. Od 1942 do 1945 r. posiadał sklep spożywczy. W 1940 r. ukończył dwa lata seminarium duchownego. Nadużywa alkoholu. Politycznie obcy.
35. kpt. W. T. – Podprokurator Wojsk. Prok. Rej. w Katowicach
s. Józefa r. 1914 b/p
Do 1939 r. należał do Z.H.P. W 1937 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1938 do 1939 r. pracował jako kancelista w Sądzie Grodzkim. Gdy pracował w Prokuraturze D.O.K.P., zbijał z tropu świadków, którzy zeznawali na szkodę oskarżonych. Fanatycznie religijny. Nieprzydatny do służby w organach sądownictwa wojskowego.

36. kpt. S. J. – Podprokurator Wojskowej Prok. Garn. w Poznaniu
s. Józefa r. 1915 czł. PZPR
Syn nauczyciela gimnazjalnego. Kpt. S. W 1939 r. ukończył Szkołę Podchor. Rezerwy. Politycznie nieskrystalizowany. Bardzo religijny. Wiara jest mu droższą niż Partia. Do sądownictwa wojskowego nie nadaje się.
37. por. S. M. – Oficer Śledczy Wojskowej Prok. Okr. we Wrocławiu
s. Józefa r. 1917 b/p
Od 1942 do 1944 r. należał do AK w charakterze łącznika tajnego nauczania. Politycznie obcy. Bez perspektyw w organach sądownictwa wojskowego.
38. kpt. M. J. – Wiceprokurator NPW
c. Rachmila r. 1914 czł. PZPR
W 1947 r. starała się wraz z mężem o wyjazd do USA, gdzie ma krewnych. Ze względu na korespondencje z USA nie może pracować w organach sądownictwa wojskowego.
39. ppłk G. K. – Prokurator Wojskowej Prok. Rej. w Łodzi
s. Kajetana r. 1917 czł. PZPR
Syn nauczyciela gimnazjum. Od 1934 do 1935 r. był na kursie PW i FW. W 1939 r. należał do „Legii Akademickiej”. Jako prokurator nie dał sankcji na d-cę bandy „Oriona” dlatego, że gdy został schwytany przez tę bandę poprzednio nie został zamordowany a wypuszczony. Politycznie obcy. Powiązania ze środowiskiem drobnomieszczańskim.
40. kpt. G. J. – Podprokurator Wojskowej Prok. Rej. w Kielcach
s. Józefa r. 1901 czł. PZPR
Syn urzędnika skarbowego. W 1933 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy. Od 1945 r. należał do PPS. Był zastępcą kierownika Wydz. Kadr w W.K.PPS i referentem wydz. personalnego w „Czytelniku”. Obecnie natomiast politycznie pasywny. W/g danych organów informacji sympatyzuje z podziemiem.
41. por P. M. – Podprokurator Wojskowej Prok. Rej. w Kielcach
s. Jana r. 1909 kand. PZPR
Ojciec jest organistą. Brat sekretarzem w parafii. Por. P. jest bardzo słabym pracownikiem. Politycznie bierny. Powiązany z klerem.
42. kpt. W. S. – Podprokurator Wojskowej Prok. Rej. w Krakowie
s. Józefa r. 1912 b/p
Syn 10-cio morgowego chłopca. Od 1940 do 1943 r. pracował jako aplikant sądowy. Pracownik bardzo słaby. Bez perspektyw. Typowy urzędnik. Politycznie obcy.

Teresa SKINDER-SUCHCITZ

PRÓBY UWOLNIENIA OKRĘTÓW PODWODNYCH Z INTERNOWANIA W SZWECJI. WRZESIEŃ 1939 – CZERWIEC 1940

Od czasu zawinięcia okrętów podwodnych do Szwecji we wrześniu 1939 r. (OORP „Sęp” – 17-go, „Ryś” – 18-go, „Żbik” – 24-go) i przybyciu ORP „Wilk” do brzegów Wielkiej Brytanii 20 września, troską władz Polskiej Marynarki Wojennej w Londynie a później i w Paryżu było wydostanie okrętów podwodnych z internowania i doprowadzenie ich do portów brytyjskich. Powiększyłoby to polską flotę działającą pod dowództwem brytyjskim o 75%¹. Już 4 października 1939, w liście do Admiralicji Brytyjskiej, *attaché* morski kdr por. Tadeusz Stoklasa, zapytywał czy po udanej ucieczce ze Szwecji okręty podwodne mają dalej działać na Bałtyku, czy też przejść do Wielkiej Brytanii i wejść w skład polskich jednostek służących pod dowództwem

1. Według umowy polsko-brytyjskiej dywizjon kontrtorpedowców: OORP „Burza”, „Błyskawica” i „Grom” przybył do Rosyth 1 września 1939, a ORP „Wilk” dołączył 20 IX. Okręty te służyły pod dowództwem brytyjskim, a administracyjnie były początkowo podporządkowane *attaché* morskemu w Londynie kdr. por. Tadeuszowi Stoklasie i kdr. por. Romanowi Stankiewiczowi, dowódcy dyonu kontrtorpedowców.

brytyjskim². Nie była to pierwsza wzmianka o losach polskich okrętów w Szwecji, gdyż kdr por. Stoklasa odnosił się do swojego listu z 28 września na ten temat.

Przybycie ORP „Orzeł” do Rosyth 14 października po ucieczce z internowania w Tallinie i po dalszym trzytygodniowym patrolowaniu na Bałtyku, a szczególnie przejście przez zaminowany Sund wzbudziło nie tylko podziw i uznanie u władz i marynarzy brytyjskich, lecz wywołało też entuzjazm i chęć wzorowania się na tym wyczynie wśród młodszych oficerów internowanych w Szwecji. Kdr por. Stoklasa oraz Kierownictwo Marynarki Wojennej (KMW) w Paryżu zaczęli planować wydostanie jednostek polskich z internowania w Vaxholmie z, lub bez zgody władz szwedzkich i doprowadzenie ich do Anglii.

Stosunek władz brytyjskich do tego przedsięwzięcia był o wiele bardziej powściągliwy. Adm. R.H. Carter z Admiralicji odpowiedział na list polskiego *attaché* morskiego dopiero 30 października, oznajmiając mu, że jak na razie nie było widoków na szybkie zwolnienie polskich okrętów przez władze szwedzkie i wskazał konieczność cierpliwości³.

K.adm. Świrski po objęciu swego przedwojennego stanowiska szefa KMW był poważnie zaniepokojony stanem dyscypliny i morale internowanych załóg⁴. Interweniował on u ministra Spraw Wojskowych i premiera rządu polskiego we Francji, gen. Władysława Sikorskiego, aby mianował kdr. Tadeusza Podjazd-Morgensterna na stanowisko *attaché* morskiego w Sztokholmie, który – posiadając autorytet pośród personelu – mógłby nie tylko dbać o zachowanie gotowości bojowej ale i też czuwać nad sytuacją polityczną aby wy-

2. Wszystkie dokumenty pochodzące z *Public Record Office*, Kew, Londyn są objęte *Crown Copyright* i są cytowane za pozwoleniem *Controller of Her Majesty's Stationary Office*, za co autor składa mu podziękowania. PRO (*Public Record Office*) ADM (*Admiralty*) 116/40 64 (Zbiór ten jest bez paginacji). Lista kdra por. Stoklasy do H.A. Carter w Admiralicji z 4 X 1939.

3. PRO: ADM 116/4064. List R.H. Carter do kdra por. Stoklasy z 30 X 1939.

4. K. adm. Świrski przybył do Paryża z Rumunii 6 X 1939, a już 11 X objął swe przedwojenne stanowisko Szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej z poleceniem odtworzenia tej instytucji.

korzystać pierwszą okazję do zarządzenia ucieczki. W międzyczasie, na początku grudnia, Admiralicja otrzymała raport od zastępcy brytyjskiego *attaché* morskiego w Sztokholmie, Commandera Johna Polanda na temat polskich okrętów podwodnych⁵.

„Polskie Okręty Podwodne Internowane w Szwecji.

Asystent polskiego *attaché*, por. Cedro powiadomił mnie, że trzy polskie okręty podwodne – OORP „Sęp”, „Ryś” i „Żbik” – obecnie internowane w Vaxholmie powinny być gotowe do wyjścia na morze pod koniec grudnia, jeśli części zapasowe zamówione w Holandii i Anglii będą dostarczone na czas.

Władze szwedzkie przychylniej się ustosunkowują do sprawy remontów; do tej pory pozwalały tylko na naprawy zgodne z przepisami neutralności. Cedro dostał zlecenie od Polskiego Admirala w Paryżu⁶ aby zbadać możliwości wydostania się okrętów z, lub bez pomocy szwedzkiej, w celu przyplłynięcia do Anglii. Miał on też nakazane uzyskanie porady ode mnie i od mego francuskiego kolegi Capitaine de Frégate Lamberta.

Naturalnie Polacy są bardzo skorzy do wydostania się z internowania, zwłaszcza mając przykład „Orła” do naśladowania. Dwaj dowódcy jednak nie są uważani za zdolnych do powzięcia tak ryzykownego przedsięwzięcia na skutek załamania nerwowego. Zastąpili ich pierwsi oficerowie⁷. Zastępca dowódcy „Sępa” jest przekonany, że mógłby się wydostać bez pomocy Szwedów. Polacy są pełni odwagi i trudno ich powstrzymać, ale przedstawiłem im swoje poglądy:

1. Nie uważam iż jest możliwe aby jakikolwiek okręt podwodny mógł się przedostać na morze bez pomocy szwedzkiej i bez tajnych map. Tylko normalna handlowa trasa mogłaby być użyta; byłaby obserwowana i mogłaby zostać zablokowana. Inne trasy mają podwodne przeszkody i nie nadają się do nawigacji bez szczegółowej ich znajomości.

5. Brytyjski stopień *commander* odpowiada polskiemu komandorowi podporucznikowi.

6. PRO: ADM 116/4064. List J. Poland’a do Dyrektora Wywiadu Morskiego w Admiralicji adm. John Godfrey z 9 XII 1939.

7. Dla utrzymania dyscypliny żaden z dowódców nie był zastąpiony przez swego zastępcę.

2. Nawet gdyby okręty osiągnęły otwarte morze, to miałyby 600-milowy rejs do Morza Północnego, narażone na nieograniczony pościg niemiecki i przejście przez bardzo trudną przeszkodę pola minowego przy Falsterbo, a potem przejście przez Sund lub Bełty – przedsięwzięcie nie niemożliwe, ale bardzo niebezpieczne.

3. Z pomocą Szwedów lub bez niej, ucieczka nawet jednego okrętu podwodnego, byłaby Niemcom od razu znana i uważana przez nich jako naruszenie neutralności przez Szwecję. Mogłoby to posłużyć za odpowiedni pretekst do zaatakowania tego kraju.

4. Szwecja w tym momencie znajduje się w bardzo trudnej sytuacji i może się znaleźć w każdej chwili w stanie wojny z Rosją lub Niemcami, albo też z obydwojoma krajami. W takim wypadku, trzy sprawne okręty podwodne na Bałtyku byłyby bezcenne dla Aliantów.

Mój francuski kolega zgadza się z moimi poglądami i w dzisiejszym spotkaniu radziliśmy Polakom zachowanie cierpliwości czekając na instrukcje z Admiralicji i do najszybszego przysposobienia swych okrętów, a w międzyczasie do zaniechania czynności, które by mogły przysporzyć kłopotów Szwedom.

Będę od czasu do czasu donosił o stanie okrętów podwodnych.

Proszę o instrukcje”⁸.

Wojna sowiecko-fińska trwająca od końca listopada 1939 r. dawała nadzieję, że Szwedzi zgodzą się przynajmniej na przymknięcie oczu na opuszczenie Vaxholmu przez polskie okręty, szczególnie gdyby miały działać po stronie fińskiej, z którą Szwecja sympatyzowała i udzielała ograniczonej pomocy w materiale wojennym. 15 grudnia kdr por. Stoklasa oświadczył w piśmie do Admiralicji, że „według instrukcji Szefa Polskiej Marynarki Wojennej informuje, że: „ze względu na sytuację polityczną na Bałtyku, Polskie Dowództwo zdecydowało wycofać nasze trzy okręty podwodne ze Sztokholmu (sic)...”⁹.

8. Wojska sowieckie wkroczyły na terytorium Finlandii 30 listopada 1939. Tak zwana ‘Zimowa Wojna’ fińsko-sowiecka zakończona została Traktatem Moskiewskim z 12 marca 1940.

9. PRP: ADM 116/4064. List J. Poland’a do Dyrektora Wywiadu Morskiego w Admiralicji adm. John Godfrey z 9 XII 1939.

Polacy prosili o mapy, informacje o polach minowych, oraz o pomoc brytyjskiego *attaché* morskiego w Sztokholmie. Gdyby Admiralicja się zgodziła na udzielenie pomocy, k.adm. Świrski wydałby rozkaz dowódcom okrętów podwodnych bezwzględnego opuszczenia Szwecji i udania się na Morze Północne¹⁰. Reakcja brytyjska była prawie natychmiastowa. A. Ker, z ramienia oddziału wojskowego przy Admiralicji, zaopiniował z zaniepokojeniem, że opuszczenie Szwecji przez polskie jednostki będzie uważane jako naruszenie neutralności Szwecji¹¹. Poza tym w wypadku gdyby Szwecja przystąpiła do wojny albo przeciwko ZSSR albo przeciw Rzeszy Niemieckiej, obecność tych jednostek na Bałtyku byłaby o wiele więcej wartościowa niż ich przedostanie się na Morze Północne. *Foreign Office*¹² momentalnie odpisało na memorandum Kera, podkreślając, iż należy powstrzymać się od wszelkich akcji, które dałyby Niemcom pretekst do zaatakowania Szwecji. Polacy powinni pozostawić swe okręty podwodne w Vaxholmie na wypadek najazdu Niemców lub wojsk rosyjskich na Szwecję. Sytuacja radykalnie odmieniłaby się gdyby władze szwedzkie zdradzały jakiegokolwiek chęci do przystosowania się do żądań Niemiec aby im zdać polskie okręty¹³.

Zamiary niemieckie zagarnięcia polskich okrętów podwodnych internowanych w Szwecji były dobrze znane władzom polskim, gdyż mjr dypl. F. Brzeskwiński, *attaché* wojskowy w Sztokholmie, powiadomił o tym k. adm. Świrskiego już 13 grudnia 1939 r.

„...ze względu na niepokojące wiadomości dotyczące presji Niemiec na Szwecję, przygotowujemy wszystko aby okręty mogły jak najszybciej być gotowe do ucieczki, nawet bez zgody na to władz szwedzkich. Poczyniliśmy również

10. ibidem.

11. *Foreign Office* – brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

12. PRO: ADM 116/4064. Memorandum A. Ker'a z 17 XII 1939. Zawartość została zakomunikowana *Foreign Office* 20 XII 1939.

13. PRO: ADM 116/4064. List L. Collier z *Foreign Office* do A. Ker'a z 21 XII 1939.

wszelkie przygotowania do zniszczenia okrętów, licząc się ze wszystkimi ewentualnościami”¹⁴.

KMW jak i *attaché* wojskowy w Szwecji byli stanowczo zdecydowani, że w żadnym wypadku okręty polskie nie dostaną się w ręce niemieckie.

Priorytety polskie i brytyjskie nie pokrywały się gdy chodziło o los internowanych okrętów. Dla władz polskich, wydostanie tak cennych jednostek ze Szwecji i powiększenie polskiej floty walczącej u boku Aliantów było najważniejsze. Jednostki te zbudowane z tak dużym wysiłkiem finansowym nie powinny stać bezczynnie, w chwili gdy Marynarka Wojenna była jedyną częścią sił zbrojnych aktualnie zaangażowanych w działaniach wojennych przeciw Rzeszy Niemieckiej, i przeciwdziałała propagandzie niemieckiej o kompletnej zagładzie Państwa Polskiego i jego sił zbrojnych. Dla rządu brytyjskiego natomiast, sprawą pierwszorzędnej ważności było niedopuszczenie do zagarnięcia Szwecji przez Niemcy. Choć eksport wysokowartościowej rudy, niezbędnej dla przemysłu zbrojeniowego Niemiec trwał nieprzerwanie, nie równało się to jednak z kompletną kontrolą nad tymi kopalniami. Jeżeli Szwecja miała utrzymywać swą neutralność kosztem pozostawienia trzech polskich okrętów podwodnych w internowaniu, to w oczach Anglików było warto zrezygnować z usług tych jednostek.

Problemy, które kdr ppor. Poland i mjr Brzeskwiński poruszali w swych raportach, zostały w pełni omówione przez kdra Morgensterna w pierwszym sprawozdaniu do k.adm. Świrskiego z 2 stycznia 1940. Zgadzał się on z Poland'em, że w danej chwili nawet rozmowy ze Szwedami na temat zwolnienia okrętów podwodnych nie byłyby wskazane, aby:

„Nie wzbudzić u Szwedów niepokoju i nie wywołać reakcji w postaci ewentualnych obostrzeń w stosunku do

14. Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie, dalej IPMS. IPMS. MAR. A V 9/3. List *attaché* wojskowego mjr. dypl. F. Brzeskwińskiego do k. adm. Świrskiego z 13 XII 1939.

naszych okrętów i ich załóg, co naturalnie bardzo utrudniałoby nam pracę”¹⁵.

Dalej kdr Morgenstern donosił, że Admiralicja wyjaśniła, że te jednostki nie podlegają jej rozkazom, lecz Polskiemu Sztabowi.

Możliwość użycia polskich okrętów podwodnych do wsparcia Finlandii w wojnie z Rosją Sowiecką, była również skomentowana przez kdra Morgensterna, który uważał, że mogłby to być jeden ze sposobów zwolnienia polskich okrętów aczkolwiek kosztem przynajmniej czasowego udziału w kampanii fińskiej. Na marginesie k.adm. Świrski zanotował własnoręcznie, że Szwecja nie wypuści okrętów, aby brały udział w wojnie nie tylko przeciw Rosji. W wypadku wojny szwedcko-niemieckiej, okręty mogłby działać z baz szwedzkich i ze współpracą jednostek nawodnych szwedzkich: „a potem – Anglia”.

Kdr Morgenstern potwierdził, że stan psychiczny dwóch dowódców, kdra ppor. Władysława Salamona z „Sępa” i kdra ppor. Aleksandra Grochowskiego z „Rysia” czynił ich niezdatnymi do dowodzenia jednostkami bojowymi. Już przedtem mjr Brzeskwiński pisał:

„Poczuwam się natomiast do obowiązku zwrócić uwagę Pana Admirala na zły stan psychiczny dowódców ORP „Sęp” kdr. ppor. Salamona, oraz ORP „Ryś” kdr. ppor. Grochowskiego, który powstał pod wpływem działalności wojennej, a szczególnie pod wpływem depresji wywołanej internowaniem”¹⁶.

Kdr ppor. Salamon sam wspomniał o swych obawach por. mar. Łętkiewiczowi i kdr. ppor. Ziembickiemu podczas ich wizyty w Vaxholmie na początku grudnia 1939:

„Z obozu do przystani odprowadził nas komandor ppor. Salamon; myślę że celowo, dla zaznajomienia nas ze stanem

15. IPMS MAR.A V 9/3. Pierwszy raport kdra Tadeusza Podjazd-Morgensterna do k. adm. Świrskiego z 2 I 1940.

16. IPMS. MAR. A V 9/3. List mjra Brzeskwińskiego z 13 XII 1939.

dyscypliny w obozie i trudnościami na jakie on się napotyka. Wyraził kdr ppor. Salamon obawę, że lada dzień spodziewać się może odmówienia wykonania rozkazu¹⁷.

Kdr Morgenstern zaś pisał:

„Z dowódców kdr ppor. Salamon i kdr ppor. Grochowski robią wrażenie nerwowo wyczerpanych. Nie odniosłem tego samego wrażenia w stosunku do kmdra ppor. Żebrowskiego, jednak sądzę, że młodszy dowódca z większą inicjatywą i temperamentem dawałby większą rękojmę powodzenia w czasie wojny. Z zastępców dowódców tylko kpt. mar. Rekner może moim zdaniem zastąpić dowódcę, podczas gdy kpt. mar. Karpiński i kpt. mar. Kamuda nie posiadają jeszcze należytego doświadczenia... W razie projektowanego tylko przejścia oop. do Anglii trzeba by moim zdaniem zmienić 2 dowódców a w wypadku ewent. operacji dodać 2 do 3 młodszych oficerów. Jeżeli chodzi o szeregowych, to na ogół zmiany nie będą potrzebne¹⁸.

Tempo wypadków w pierwszych miesiącach 1940 roku kulminujące inwazją niemiecką Danii i Norwegii 9 kwietnia, przyniosło wzrastającą nadzieję władz polskich, jak i internowanych załóg, że ich bezczynność prędko się skończy i że wreszcie będą mogli brać czynny udział w wojnie na morzu. Niemniej dla załóg był to okres dużej niepewności. Wojna fińsko-sowiecka wzbudziła nadzieję prędkiego uwolnienia i powrotu do czynnej służby i brania udziału w kampanii po stronie fińskiej, której Szwecja okazywała poparcie. W lutym Szef KMW telegrafował kdrowi Morgensternowi: „Wkrótce przyjedzie kpt. mar. Karnicki aby w wypadku wyjścia z Vaxholmu objął dowództwo ORP „Sęp”¹⁹.

W marcu nastąpiło jednak odprężenie polityczne po podpisaniu paktu fińsko-sowieckiego w Moskwie 12 III 1940.

17. IPMS. MAR.A. V 31/2. „Sprawozdanie z Wizyty w Obozie Internowanych w Szwecji Załóg Okrętów Podwodnych”. Por. mar. Bronisław Łętkiewicz, Paryż 8 XII 1939.

18. IPMS. MAR. A V 9/3. Raport kdra Morgensterna z 2 I 1940.

19. IPMS. MAR.A V 9/3. Brulion telegramu k. adm. Świrskiego do kdra Morgensterna z 19 II 1940. Kpt. mar. Borys Karnicki był zastępcą dowódcy ORP „Wilk”.

Spowodowało to znaczne obniżenie morale załóg o czym donosił kdr Morgenstern 24 marca 1940. Nie pomagało internowanym członkom załóg, że przez ich ręce przewijały się znaczne sumy pieniędzy, które koledzy z Anglii przesyłali za ich pośrednictwem do swych rodzin w Polsce, gdy oni sami nie mieli zasobów aby pomóc własnym rodzinom. Kdr Morgenstern pisał o tym do k. adm. Świrskiego prosząc o wypłacenie dodatków z „Funduszu Pomocy Weteranom, Jeńcom, oraz Rodzinom Poległych i Jeńców Wojennych”, szczególnie że pełnili oni nieprzerwanie ważną służbę na okrętach podwodnych²⁰.

Niemiecka inwazja Danii i Norwegii zagroziła też Szwecji. Ścisłe przestrzegana neutralność mogła jej nie obronić przed inwazją. W pewnym stopniu zmieniło to szwedzkie ustosunkowanie się do sprawy polskich okrętów. Polski *attaché* morski był w ciągłej styczności z dowództwem szwedzkiej marynarki wojennej i omawiał zmieniającą się sytuację. Szwedzi wahali się początkowo, ale wreszcie zgodzili się na przesunięcie polskich okrętów podwodnych do basenu Arsenалу w Sztokholmie – bazy szwedzkiej marynarki wojennej, gdzie była silna obrona przeciwlotnicza, oraz łatwiej tam było zapobiec aktom sabotażu. Przystąpiono też do przeprowadzania remontu okrętów, pobierania amunicji, jak i zbrojenia torped. Załogi zostały zakwaterowane na „Darze Pomorza”, szkolnym żaglowcu Polskiej Szkoły Morskiej. W tym okresie pełnym nadziei i napięcia, k. adm. Świrski zarządził stan pogotowia morskiego na okrętach podwodnych i odkomenderował dowódcę ORP „Wilk” kpt. mar. Bogusława Krawczyka do Sztokholmu²¹.

Tak doświadczony dowódca jak kpt mar. Krawczyk, który zdołał w bardzo trudnej sytuacji, z uszkodzonym okrętem przejść przez Sund i pomyślnie dotrzeć do brzegów Szkocji, który też miał za sobą szereg patroli bojowych, miał służyć przykładem dla młodszych oficerów. Oddając pod jego dowództwo ORP „Sęp”, k. adm. Świrski miał nadzieję, że

20. IPMS. MAR. A V 9/3. List dra Morgensterna do KMW z 24 .III 1940.

21. Kpt. mar. Bogusław Krawczyk został awansowany do stopnia komandora podporucznika 3 V 1940.

przynajmniej jeden i to najbardziej wartościowy okręt podwodny, będzie szczęśliwie doprowadzony do portów brytyjskich. Mapy pól minowych na wodach zachodniego Bałtyku były w rękach KMW jak i *attaché* morskiego w Sztokholmie już od połowy grudnia 1939 r. kiedy to zostały przekazane przez francuskie władze morskie.

Kdr Morgenstern złożył listę załóg, wybierając ludzi młodszych, którzy w jego opinii posiadali odpowiedni potencjał do skutecznego działania w ryzykownych sytuacjach, które były bardzo prawdopodobne w akcjach tych jednostek. Wybór oficerów na stanowiska dowódców był jednak bardzo ograniczony. Ostateczny zestaw załóg wyglądał następująco:

ORP „SĘP”: kpt. mar. Krawczyk, kpt. mar. Karpiński, por. mar. Hackbeil, por. mar. Duczyński, por. mar. Minkiewicz, ppor. mar. Górnicki²².

ORP „RYS”: kpt. mar. Rekner, por. mar. Jankisz, por. mar. Pochociński, ppor. mar. Hedinger;

ORP „ŻBIK”: kdr ppor. Żebrowski, kpt. mar. Kamuda, por. mar. Zdzeniecki, ppor. mar. Sadowski, ppor. mar. Tarczyński²³.

Admiralicja brytyjska też żywo interesowała się losem polskich okrętów podwodnych i sposobami ich wykorzystania. C.S. Daniel, Dyrektor Planowania (*Director of Plans*) w Admiralicji szerzej omówił możliwości użycia tych jednostek. Dokument ten został przekazany k. adm. Świrskiemu oraz brytyjskiemu *attaché* morskiemu w Sztokholmie. Treść memorandum była następująca:

a) Gdyby Szwecja pozostała neutralna.

Dopóki Szwecja pozostaje neutralna to okręty podwodne, nawet w wypadku zwolnienia z internowania – co jest mało prawdopodobne – mogłyby działać na Bałtyku tylko przez krótki czas, przed reinternowaniem się lub zagładą. Opuszczenie Bałtyku stało się niemożliwe przez ostatnio

22. IPMS. MAR. A V 31/3. List kdra Morgensterna do Szefa KMW z 25.IV.1940.

23. Ppor. mar. Mieczysław Tarczyński przybył do Szwecji w grupie wojskowych i cywili, którzy opuścili Hel 1 X 1939 motorówką ORP „Batory” za pozwoleniem Dowódcy Floty k.adm. Józefa Unruga.

postawione pola minowe. Powinny one więc pozostać w Sztokholmie, jednak w stanie gotowości do bardzo szybkiego wyjścia na morze i zachować czujność na możliwość sabotażu.

b) Szwecja przystępuje do wojny po stronie Aliantów.

Okręty podwodne powinny przejść pod rozkazy władz morskich, poznać lokacje działań szwedzkich jednostek nawodnych i podwodnych i działać wspólnie z nimi na Bałtyku.

W wypadku gdyby Szwecja została zajęta i w rezultacie tego nastąpiłaby utrata baz, okręty podwodne powinny działać tak długo jak tylko to będzie możliwe.

Zaistniałaby wtedy kwestia czy okręty podwodne powinny internować się w portach fińskich. Sytuacja Finlandii jednak może w każdej chwili stać się krytyczna i w tym wypadku trzeba będzie rozważyć potrzebę zniszczenia okrętów aby zapobiec dostaniu się w ręce niemieckie.

W wypadku powzięcia decyzji o zniszczeniu okrętów, trzeba rozpatrzyć możliwość przedostania się załóg drogą lądową do Norwegii.

c) Gdyby Szwecja uległa niemieckiej presji.

Okręty podwodne powinny natychmiast wyjść na morze i podjąć wszelką możliwą akcję przeciwko Niemcom na Bałtyku, i potem działać w myśl punktu (b).

W sytuacji zdecydowanego wahania się Szwecji w obliczu opresji niemieckiej co do wyboru między punktem (b) i (c), okręty podwodne powinny zrobić wszystko aby wyjść na morze, przed podjęciem decyzji przez Szwedów; będą wtedy mogły wybrać stosowny kurs działania w zależności od decyzji szwedzkiej²⁴.

Na ogół k. adm. Świrski zgadzał się z oceną sytuacji Dyrektora Planowania i jego wytycznymi do ewentualnego postępowania; jednak ostrzegął kdra Morgensterna:

„Pan Komandor otrzyma opinię Admiralicji o postępowaniu naszych okrętów podwodnych Stop Ta opinia jest na ogół słuszna i powinna być wzięta pod uwagę dla Pana

24. PRO: ADM 116/4064. Memorandum od Dyrektora Planowania do wiadomości Adm. Chalmers. Francuskie tłumaczenie tego dokumentu jest w IPMS. MAR. A V 9/3.

decyzji, ale tak ona jak i ewentualne rady *attaché* morskiego angielskiego Pana formalnie nie obowiązują Stop”²⁵.

Szef KMW podkreślał, że ostateczna decyzja o losach okrętów podwodnych może być tylko pobrana przez władze polskie, które kdr Morgenstern reprezentował w Szwecji. Internowane okręty podwodne nigdy nie weszły pod dowództwo brytyjskie, więc Admiralicja mogła tylko radzić, a nie rozkazywać. Wielką troską nie tylko Naczelnego Wodza, gen. Sikorskiego, ale i władz morskich polskich jak i brytyjskich było niedopuszczenie do zagrabienia tych jednostek przez Niemców: lepiej niech zostaną zniszczone, niż miałyby się znaleźć w rękach wroga i użyte przeciw Aliantom.

Od swego przyjazdu do Szwecji kdr Morgenstern kierował pracą *attachatu* w opracowywaniu alternatyw o użyciu okrętów podwodnych: współpraca z flotą szwedzką, ucieczka do Wielkiej Brytanii oraz w ostateczności, zniszczenie okrętów. Alternatywy opracowane przez Polaków pokrywały się z wytycznymi brytyjskiego Dyrektora Planowania. Mimo groźby inwazji, Szwedzi nie chcieli rozpocząć konsultacji, obstając przy skrupulatnie przestrzeganej neutralności, szczególnie względem zagadnień dotyczących interesów niemieckich, – a wiadomym było powszechnie, że Niemcy poświęcali dużo uwagi polskim okrętom podwodnym, ich załogom i polskiemu personelowi dyplomatycznemu. Ucieczka okrętów oceniona była przez wszystkich jako bardzo trudne przedsięwzięcie, lecz Polacy uważali, że w ostateczności była możliwość powodzenia. Ze Sztokholmu do otwartego morza okręty miały trzy godziny drogi wąskimi „skerrami” z dwoma mocno strzeżonymi punktami, które trzeba było przejść w wynurzeniu. Wyrwanie się ze Sztokholmu bez przynajmniej biernego stanowiska Szwedów było trudniejsze niż z Vaxholmu, gdzie okręty nie były tak pilnie strzeżone, i miały łatwiejsze i krótsze przejście na otwarte morze.

25. IPMS. MAR.A V 9/3. Depesza k. adm. Świrskiego do kdra Morgensterna z 26 IV 1940.

Już w marcu 1940 roku *attachat* zrobił wszelkie możliwe przygotowania do ucieczki. W swym sprawozdaniu z 27 III kdr Morgenstern wylicza, że łączność z okrętami podczas ucieczki oraz specjalny szyfr zostały przygotowane, ustalono sposoby dostarczenia ropy na morzu i dyskretnie zamówiono nowe części na miejsce skonfiskowanych przez Szwedów, bez których ucieczka nie była możliwa²⁶.

Aliancka kampania norweska w kwietniu-czerwcu 1940 r. zakończyła się zwycięstwem niemieckim i okupacją kraju²⁷. Nie doszło natomiast do niemieckiej inwazji Szwecji, która nie pozwoliła Aliantom aby w jakikolwiek sposób naruszyli jej neutralność, a patrzyła przez palce na niemieckie przekroczenia. Po upadku Danii i Norwegii rozwiały się wszelkie nadzieje na wydostanie polskich jednostek z internowania. Stan pogotowia na okrętach został odwołany 10 czerwca, a z końcem lipca kdr ppor. Krawczyk powrócił do Wielkiej Brytanii. Załogi musiały zdać do magazynów amunicję i torpedy pobrane podczas krytycznych dni kwietnia. Przystąpiono też do pełnienia normalnej służby wachtowej, składającej się z pięciu członków załogi na każdym okręcie. Wśród załóg, które przez pół roku żyły nadzieją wyrwania się z internowania i ponownego udziału razem ze swymi kolegami w Szkocji w działaniach wojennych – szczególnie żywa była chęć zastąpienia ORP „Orła”, który zatonął razem z całą swą załogą na początku czerwca, wypadki te wywołały gorzkie rozczarowanie, przygnębienie i obawę o przyszłość²⁸.

Szwedzi pomimo silnych nacisków niemieckich nie wydali im polskich okrętów podwodnych, lecz zamienili im miejsce zakotwiczenia. Ze Sztokholmu zostały one przeholowane nad jezioro Malaren, gdzie warunki były bardzo ciężkie. Stamtąd przeprowadzono je do małej zastronionej wysepki Fallskor, a 11 października 1940, dzięki staraniom

26. IPMS. MAR.A V 9/3. Sprawozdanie kdra Morgensterna otrzymane przez k. adm. Świrskiego 27 III 1940 w Paryżu.

27. 7 czerwca 1940 r. król Haakon i rząd norweski opuścili kraj a 9 V norweskie Naczelne Dowództwo podpisało zawieszenie broni.

28. Oficjalna data zatonięcia ORP „Orzeł” jest uznana jako 8 czerwca 1940, dzień, w którym miał powrócić do Rosyth z patrolu.

kdra Morgensterna okręty podwodne zostały przeholowane do miejscowości Mariefeld też nad jeziorem Malaren, gdzie warunki zakwaterowania jak i klimatyczne były dogodniejsze²⁹. Mariefeld leżący 80 km w głąb lądu od Sztokholmu położył kres jakimkolwiek marzeniom opuszczenia Szwecji. KMW zdecydowanie zabroniło członkom załóg prób ucieczki³⁰. Tam też polskie okręty podwodne pozostały aż do końca wojny.

Teresa SKINDER-SUCHCITZ

29. Stanisław Piaskowski, *Kroniki Polskiej Marynarki Wojennej 1918-1946*, tom II, Sigma Press, Albany N.Y. 1987, s. 143 i 153.

30. Czesław Rudzki, *Polskie Okręty Podwodne 1926-1969*, wyd. Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1985, s. 170.

Janusz WRÓBEL

POLACY W AFRYCE WSCHODNIEJ I POŁUDNIOWEJ 1941-1950

Kontakty Polaków z kontynentem afrykańskim nie były nigdy częste ani bliskie. W okresie gdy Europejczycy kolonizowali „czarny ląd” Polska nie istniała jako niepodległe państwo. Docierali tu tylko nieliczni podróżnicy i misjonarze. W okresie dwudziestolecia międzywojennego zainteresowanie Afryką w Polsce nieco wzrosło, a to głównie za sprawą projektów osadnictwa, lansowanych przez Ligę Morską i Kolonialną. Nie przybrały one jednak szerszego, praktycznego wyrazu. Poziom zainteresowania kontynentem dobrze odzwierciedla fakt, iż mieliśmy tam zaledwie jedno poselstwo (Egipt od 1928 r.) i ani jednego konsulatu. Interesy polskie reprezentowali jedynie konsulowie honorowi.

Dramatyczne wydarzenia II wojny światowej, powodując przemieszczenia ludności na niespotykaną skalę, zmieniły tę sytuację. Do Afryki trafiło kilkanaście tysięcy polskich uchodźców, którym przyszło tam mieszkać przez kilka lat. Nigdy przedtem, ani potem, tak liczna społeczność polska nie przebywała na „czarnym lądzie”.

Pierwsza niewielka grupa Polaków przybyła do Afryki już w sierpniu 1941 r. Byli to uchodźcy, którzy w 1939 r. uszli przed Niemcami do Rumunii a później zostali ewakuowani na Cypr. Wobec zagrożenia ze strony państw Osi całego base-

nu Morza Śródziemnego, zdecydowano ewakuować ich do Rodezji Północnej. Statek wiozący uchodźców do Afryki zawiązał po drodze do portów palestyńskich, gdzie część pasażerów pozostała na stałe. Od grupy cypryjskiej odłączyli wówczas m.in. znany historyk literatury Łukasz Kurdybacha, pisarz Melchior Wańkowicz oraz grupa byłych wysokich urzędników, w tym wojewoda tarnopolski Tomasz Malicki, minister rolnictwa Juliusz Poniatowski i wicemarszałek sejmu Lech Surzyński. Do grupy zmierzającej do Afryki dołączono natomiast ok. 100 osób przebywających dotąd w Palestynie. „Cypryjczycy” dotarli do portu Beira w portugalskim Mozambiku 7 VIII 1941 r. Po przewiezieniu na teren Rodezji Północnej ulokowano ich w ośmiu miejscowościach. Jedynym osiedlem, które przygotowano specjalnie dla potrzeb przybyszów był zespół 20 owalnych murowanych domków w Fort Jameston na północy kraju u zbiegu granic z Mozambikiem i Nyasą. Ulokowano tu 80 osób. Pięć niewielkich skupisk polskich powstało wzdłuż głównego szlaku komunikacyjnego południowej Afryki, który stanowiła linia kolejowa z Konga Belgijskiego do Kapsztadu. W stolicy Rodezji Północnej – Lusace, w niewielkim hotelu zamieszkało 28 osób, w Kafue – 25 osób, w Mazabuka – 50 osób, w Monze – 50 osób. Na niewielkiej farmie w pobliżu tej ostatniej miejscowości zamieszkało 12 osób. Największym skupiskiem Polaków przybyłych z Cypru, było Livingstone, gdzie w 5 hotelach ulokowano 170 Polaków. Poza wymienionymi miejscowościami kilkanaście osób zamieszkało w polskich misjach zakonu jezuitów istniejących tu już od kilkudziesięciu lat. W Kasisi znalazło schronienie 8 osób, a w Mpimpie dalsze 6.

Ogółem w Rodezji Północnej znalazło się 429 polskich uchodźców, w tym 209 mężczyzn, 143 kobiety i 77 dzieci w wieku do 17 lat. Biorąc pod uwagę strukturę zawodową przybyszów, najliczniejsi byli urzędnicy – 78 osób, przedstawiciele wolnych zawodów – 52 osoby oraz inżynierowie, technicy i rzemieślnicy – łącznie 52 osoby¹. Większość mężczyzn przy-

1. Hoover Institution on War, Revolution and Peace (dalej: HI), Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej (dalej: MSZ RP), box 593, Sprawozdanie Konsula Generalnego RP w Lusace

byłych do Rodezji była w starszym wieku i z tej racji nie podlegała obowiązkowi służby wojskowej. Ich wysokie kwalifikacje zawodowe nie mogły być wykorzystane w instytucjach polskiego rządu na uchodźstwie na skutek braku wolnych stanowisk. Niektórzy spośród „cypryjczyków” nie znajdowali uznania w oczach polskich władz z powodów politycznych, gdyż powiązani byli z przedwojenną ekipą rządową. W ich środowisku pobyt w Rodezji był odczuwany jako swego rodzaju zesłanie. Dopiero przybycie kolejnych, licznych grup polskich uchodźców z Iranu zmieniło położenie „cypryjczyków”, gdyż otworzyły się przed nimi możliwości objęcia, w powstających osiedlach, niezłe płatnych posad dających szansę wykorzystania doświadczenia zawodowego i kwalifikacji.

Wiosną i latem 1942 r. ewakuowano do Iranu ok. 115.000 obywateli polskich. W większości byli to żołnierze Armii Polskiej w ZSSR, dowodzonej przez gen. W. Andersa. Wraz z wojskiem imperium Stalina opuściło kilkadziesiąt tysięcy cywilów stanowiących tzw. rodziny wojskowe. Według danych Delegatury Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w Teheranie, do 1 XI 1942 r. przybyło do Iranu ogółem 41.248 osób cywilnych, z czego 40.349 drogą morską z Krasnowodzka do Pahlevi, a 899 drogą lądową z Aszhabadu do Meshedu².

Iran nie był przewidywany na miejsce stałego pobytu Polaków. Wojsko przeniesiono szybko do Iraku i Palestyny, gdzie poddano je reorganizacji i przeszkoleniu na nowym sprzęcie. Cywile pozostali na razie w obozach pod Teheranem, w Isfahanie, Ahwazie i Meshedzie oczekując na decyzje co do dalszych swych losów. Zarówno władze polskie jak i brytyjskie, wspólnie organizujące ewakuację, zdawały sobie sprawę, iż państwo szacha nie jest najlepszym miejscem dla uchodźców z ZSSR. Kraj ten daleki był od stabilizacji

dla MSZ; J. Wróbel, „Z dziejów polskiego uchodźstwa w Rodezji Północnej (Zambii) w okresie II wojny światowej”, *Przegląd Polonijny*, t. XIX, 1993, z. 3, s. 137-139.

2. Archiwum Akt Nowych w Warszawie (dalej: AAN), Poselstwo RP w Teheranie, sygn. 42, Sprawozdanie nr III z działalności Delegatury Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej (dalej: MPiOS) w Teheranie za okres od 16 IX 1942 do 3 XI 1942 r.

politycznej, przeżywał ponadto trudności ekonomiczne. Część jego terytorium okupowana była przez wojska rosyjskie (północ) i brytyjskie (południe), wprowadzone w celu postawienia tamy infiltracji niemieckiej. Mimo wszystko należało się w dalszym ciągu liczyć z zagrożeniem ze strony III Rzeszy, której wojska podjęły właśnie latem 1942 r. wielką ofensywę na południowym odcinku frontu wschodniego i dotarły do Kaukazu. Wojska gen. Rommela czyniły też postępy w północnej Afryce. Realne stało się więc ujęcie całego Bliskiego Wschodu w kleszcze ofensywy hitlerowskiego Wehrmachtu.

W tych warunkach, szybkie przemieszczenie cywilnych uchodźców polskich w bezpieczne rejony świata, było zadaniem pilnym, chociaż niełatwym do przeprowadzenia. Rząd polski na uchodźstwie, nie dysponując własnym terytorium, był w tej sprawie zdany na pomoc swoich wielkich sojuszników, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Już podczas trwania ewakuacji Brytyjczycy rozważali zagadnienie przeniesienia Polaków do Afryki. W lipcu 1942 r. rząd angielski w porozumieniu z gubernatorami Kenii, Ugandy, Tanganiki i Nyasy podjął decyzję o osiedleniu tam – na czas wojny – uchodźców polskich. Ponadto brano pod uwagę możliwość skierowania polskiej ludności cywilnej do północnej i południowej Rodezji oraz Unii Południowej Afryki³.

W dniu 5 VII 1942 r. polskie MSZ zostało zawiadomione o zgodzie Konferencji Gubernatorów Brytyjskiej Afryki Wschodniej na przyjęcie 10.000 polskich uchodźców, a w dwa dni później Foreign Office zaprosiło stronę polską do rozmów w sprawie ewakuacji ludności cywilnej z Iranu. Dyplomaci polscy zostali poinformowani, iż w następstwie prośby rządu gen. W. Sikorskiego, władze brytyjskie rozpatrywały możliwość ewakuacji Polaków do Indii bądź do Afryki. Wobec zagrożenia Indii przez Japończyków zdecydowano się na Afrykę. Transporty na „czarny ląd” miały wyruszyć z chwilą wyznaczenia i przygotowania osiedli dla

3. HI, MSZ RP, box 187, A. Ross, „Report on Polish refugees in Persia (April 1942 to December 1943)”, s. 8.

uchodźców oraz w miarę uzyskiwania potrzebnych środków transportu, a głównie statków morskich⁴.

Sprawa ewakuacji Polaków z Iranu miała jednak i szerszy kontekst międzynarodowy i stała się przedmiotem rokowań z rządami kilku innych krajów. Celem dyplomacji JKM było skłonienie sojusznicznych i zaprzyjaźnionych państw do uczestniczenia w wysiłkach na rzecz rozwiązania problemu polskich uchodźców. Największe możliwości mieli niewątpliwie Amerykanie dysponujący odpowiednio wielkimi zasobami finansowymi i środkami transportu. Władze USA, zasłaniając się obowiązującą ustawą imigracyjną, odmawiały jednak przyjęcia uchodźców na własne terytorium, godziły się natomiast na partycypowanie w kosztach ich utrzymania. Z kolei niektóre rządy krajów środkowoamerykańskich (Meksyk, Gwatemala) zgadzały się na przyjęcie Polaków, ale pod warunkiem, że nie będą oni ciężarem dla miejscowych władz.

Ważnym osiągnięciem dyplomacji brytyjskiej było natomiast zawarcie porozumienia z Waszyngtonem w sprawie skierowania do USA 25 tys. włoskich jeńców wojennych, przetrzymywanych dotąd w obozach rozlokowanych w posiadłościach afrykańskich Wielkiej Brytanii. Stwarzało to możliwości umieszczenia we wschodniej Afryce większej liczby Polaków⁵.

Rząd polski na uchodźstwie, akceptując decyzje władz brytyjskich o ewakuacji i rozmieszczeniu cywilnej ludności polskiej, podjął ze swej strony przygotowania do roztoczenia opieki nad swymi obywatelami w Afryce. Ministerstwo Spraw Zagranicznych wystąpiło do Rady Ministrów z projektem utworzenia konsulatów w krajach przewidzianych na miejsce osadnictwa Polaków. Został on przyjęty i rozpoczęto przygotowania do otwarczenia placówek polskich w Kenii, Tanganice i Ugandzie. Najpierw utworzono Konsulat Generalny RP w Nairobi obejmujący swym zasięgiem nie tylko Kenię, ale również graniczące z nią Ugandę i Tanganikę. Kierownikiem

4. HI, MSZ RP, box 586, Notatka z rozmowy radcy Rucińskiego z p. Randallem z Foreign Office w Londynie, 8 VII 1942 r.

5. HI, MSZ RP, box 322; tamże Rada Narodowa RP, box 7, Przemówienie ministra E. Raczyńskiego na posiedzeniu Komisji Spraw Zagranicznych Rady Narodowej w dniu 25 IX 1942 r.

konsulatu został Jan Chmieliński, który nie posiadał jednak oficjalnej nominacji rządu polskiego, co rodziło problemy w kontaktach z władzami kolonialnymi. Taki stan rzeczy trwał przez dwa miesiące, listopad i grudzień 1942 r., po czym sprawę uregulowano formalnie w ten sposób, że nominację na konsula generalnego otrzymał M. Wierusz-Kowalski, przebywający już w Afryce z zadaniem zbadania możliwości zatrudnienia Polaków poza osiedlami uchodźczymi. Jego zastępcą został dotychczasowy kierownik konsulatu w Nairobi – J. Chmieliński.

Wkrótce utworzono też konsulaty w stolicach Ugandy i Tanganiki. W Kampali konsulem mianowano T. Drobnika, a w Dar-es-Salaam J.B. Wiercińskiego. Konsul Drobnik pracował w Ugandzie krótko, po jego odwołaniu skierowano do Kampali doświadczonego w pracy na gruncie afrykańskim J. Chmielińskiego, który przetrwał na tym stanowisku do końca istnienia placówki⁶.

Polskie placówki konsularne utworzono również na południu Afryki, w obu Rodezjach i Unii Południowej Afryki. Najwcześniej, już w 1941 r., w związku z przybyciem niewielkiej grupy polskich uchodźców z Cypru, powstał Konsulat Generalny RP w Lusace. Jego szefem został S. Fiedler-Alberti. Z chwilą gdy zdecydowano skierować na południe Afryki Polaków ewakuowanych z ZSSR, podjęto decyzję o utworzeniu kolejnych placówek. W Salisbury – stolicy Rodezji Południowej powstał nowy konsulat generalny, któremu, jak się wydaje, podlegał odtąd konsulat w Lusace. Na jego czele stanął Aleksander Zawisza. W UPA funkcjonowały dwa konsulaty polskie, w Kapsztadzie i Pretorii. Konsulat Generalny w stolicy Unii objął dr Stanisław Łepkowski, a placówkę w Kapsztadzie konsul T. Kawalec⁷.

6. H1, MSZ RP, box 189, Pismo konsula J. Chmielińskiego do MSZ z 13 IV 1944; tamże, box 586, Sprawozdanie Delegata MPIOS w Afryce Wschodniej za okres od 30 IX 1942 r.; tamże, box 187.

7. E. J. Pałyga, „Stosunki dyplomatyczno-konsularne Drugiej Rzeczypospolitej z krajami Afryki”, *Przegląd Orientalistyczny*, 1973, nr 3(87), s. 198, 200; H. Zins, „Polacy w Zambezji”, Lublin 1988, s. 71; J. Wróbel, „Z dziejów polskiego uchodźstwa w Rodezji Północnej (Zambii) w okresie II wojny światowej”, *Przegląd Polonijny*, t. XIX, 1993, z. 3, s. 138.

Ważną rolę w organizowaniu osiedli polskich w Afryce odegrały placówki Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. W dniu 18 VIII 1942 r., na krótko przed przybyciem pierwszego transportu Polaków z Iranu, do Afryki przyjechał inż. S. Daszyński, pierwszy tymczasowy delegat MPiOS, który zapoczątkował proces organizowania placówki trwający przez kilka następnych tygodni. Począwszy od 23 IX 1942 r. funkcję szefa delegatury MPiOS z siedzibą w Nairobi i kompetencjami na całą Afrykę Wschodnią i Południową objął K. Kazimierczak. Ponieważ zasięg działania delegatury był ogromny, utworzono dodatkowo ekspozytury MPiOS w krajach gdzie powstały polskie osiedla uchodźcze. W Ugandzie szefem placówki MPiOS został Mikołaj Szyszkowski, w Tanganice inż. Waldemar Kuczyński, w Rodezji Północnej Kazimierz Świerczyński, a w Rodezji Południowej Władysław Kralewski. Wspomnieć jeszcze trzeba, że odrębne delegatury utworzyły inne ministerstwa rządu polskiego na uchodźstwie. Wymienić tu trzeba zwłaszcza kierowaną przez Szczepańskiego Delegaturę Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz Delegaturę Ministerstwa Skarbu, na czele której stał Marynowski⁸.

Powołanie do życia tak wielu placówek polskich w Afryce zrodziło spory o podział kompetencji. Początkowo swoisty dualizm władz polskich reprezentowanych przez konsulaty i delegatury MPiOS nie stanowił większego problemu, gdyż J. Chmieliński, organizujący konsulat w Nairobi, zgodnie współpracował z powstającą delegaturą MPiOS. Konflikty zaczęły się z chwilą objęcia funkcji konsula w stolicy Kenii przez M. Wierusz-Kowalskiego. Kierował się on w swej działalności instrukcjami MSZ rezerwującymi wyłączne prawo pertraktowania z władzami brytyjskimi dla konsulów. Kierownictwo polskiej dyplomacji stało na stanowisku, iż obowiązuje nadal ustawa konsularna z 1924 r., dająca dostateczne podstawy do organizowania opieki nad obywatelami polskimi poza granicami Rzeczypospolitej. Uważano, iż delegaci poszczególnych ministerstw – także MPiOS – winni

8. HI, MSZ RP, box 586, Sprawozdanie Delegata MPiOS w Afryce Wschodniej za okres do 3 X 1942 r.; tamże, box 187.

zostać włączeni w skład personelu konsulatów z tytułem tzw. *attachés* społecznych. Poglądy urzędników MSZ nie znalazły jednak uznania wśród wszystkich członków Rady Ministrów i w rezultacie poszczególni delegaci uzyskali w Afryce zupełnie niezależny status, podporządkowani byli jedynie własnym centralom w Londynie. Musiało to w konsekwencji prowadzić do spięć między konsulami działającymi według wytycznych MSZ a urzędnikami delegatur innych ministerstw, pragnącymi odgrywać samodzielną rolę na gruncie afrykańskim.

Próbą uregulowania sporów kompetencyjnych pomiędzy konsulatami a Delegaturą MPiOS oraz jej ekspozyturami, była instrukcja MSZ skierowana do konsulatów polskich w Afryce. Stwierdzono w niej, iż „konsulowie reprezentując wobec miejscowych władz brytyjskich Rząd Polski, są jedynie uprawnieni do występowania w jego imieniu, zaś Delegaci MPiOS mający za zadanie organizowanie życia uchodźczego, są wyłącznie uprawnieni do organizowania tego życia w osiedlach.” W dalszej części instrukcji podkreślano, iż tylko konsulowie mogą rokować ze strony polskiej wszystkie sprawy natury zasadniczej, takie jak statuty polskich osiedli i ogólne uprawnienia działającej tam polskiej administracji. W pewnych przypadkach godzono się jednak na bezpośrednie kontakty Delegatury MPiOS z miejscowymi władzami brytyjskimi, ale pod kierownictwem lub przynajmniej za wiedzą konsułów.

Niestety instrukcja MSZ nie rozwiązała problemu podziału kompetencji. Wkrótce na tle jej interpretacji powstały zadrażnienia między konsulem M. Wierusz-Kowalskim a delegatem MPiOS K. Kazimierczakiem. O ile delegat MPiOS uważał, iż zezwala mu ona na bezpośrednie kontakty z władzami kolonialnymi wszystkich szczebli, to konsul chciał je maksymalnie ograniczyć. Po kilku miesiącach obaj doszli do wniosku, iż konieczny jest kompromis i formalne rozdzielenie zakresu uprawnień polskich placówek w Afryce. W dniu 26 V 1943 r. podpisano umowę, w której znalazł się zapis stanowiący, iż wszelkie sprawy u władz centralnych w koloniach załatwiać będą konsulowie, zaś problemy związane z życiem wewnętrznym osiedli znajdują się w kompetencjach Delegatur MPiOS oraz szefów poszczególnych ekspozytur.

Przewidziano jednak ważne odstępstwo od przyjętej zasady w postaci upoważnienia dla K.Kazimierczaka do występowania do władz brytyjskich w kwestiach dotyczących warunków życia w osiedlach⁹.

Zawarcie umowy bynajmniej nie zakończyło sporów, a nawet skomplikowało sytuację, gdyż centrala MSZ odmówiła jej uznania wysuwając argument, iż M. Wierusz-Kowalski przekroczył swe uprawnienia zawierając porozumienie bez wiedzy przełożonych. Sprawy nie ułatwiała również postawa Ministra Pracy i Opieki Społecznej – J. Stańczyka, który 6 II 1943 r. w liście do delegata w Nairobi wyjaśnił, iż do „kompetencji konsulatów należy reprezentowanie Rządu RP wobec miejscowych władz centralnych. Do zakresu natomiast działalności Delegata Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej należą wszystkie sprawy związane z potrzebami uchodźstwa”. W sprawach tych „delegaci MPiOS występują bezpośrednio wobec tych władz brytyjskich, które zostały powołane do zajmowania się sprawami polskich uchodźców. Jeżeli zachodzi potrzeba interwencji u władz centralnych (...) wówczas interweniuje właściwy konsul na podstawie wniosków przedstawionych przez delegata MPiOS i przy ewentualnym jego udziale.”

MSZ, które aż do początków września nic nie wiedziało o liście J.Stańczyka, energicznie zaprotestowało, wskazując, iż jest to kolejna próba ograniczenia uprawnień konsułów. Słusznie podkreślano, że w przypadku zawężającej interpretacji terminu „interwencja” może dojść do sytuacji, iż nie będzie takiej sprawy, którą by Delegat MPiOS musiał załatwiać za pośrednictwem konsulatu¹⁰.

Konflikty o podłożu kompetencyjnym między placówkami polskimi w Afryce przenosiły się na grunt londyński i stały się przedmiotem przetargów w łonie rządu na uchodź-

9. HI, MSZ RP, box 189, Pismo konsula J. Chmieleńskiego do MSZ z 13 IV 1944 r.; tamże, Odpis instrukcji Ministerstwa Spraw Zagranicznych w sprawie współzależności Konsulatów RP na terytorium Wschodniej Afryki, Rodezji i Niasalandu i podziału kompetencji tych placówek; tamże, box 187, Opracowanie pt. „Uchodźcy w Afryce Wschodniej”.

10. HI, MSZ RP, box 187, Opracowanie pt. „Uchodźcy w Afryce Wschodniej”; E. Wróbel, J. Wróbel, „Rozproszeni po świecie. Obozy i osiedla uchodźców polskich ze Związku Sowieckiego 1942–1950”, Chicago 1992, s.145-146.

stwie. Doprowadziło to również do zmian w obsadzie personalnej niektórych placówek konsularnych w Afryce. W połowie 1943 r. odwołano z Kampali konsula T. Drobniaka, który nie potrafił ułożyć zgodnej współpracy z miejscowym przedstawicielem MPiOS Szyszkowskim. Zastąpił go J. Chmieliński. Wkrótce placówkę w Nairobi opuścił konsul M. Wierusz-Kowalski, a na jego miejsce przybył z Salisbury Aleksander Zawisza¹¹.

Przyjazd polskich uchodźców do Afryki poprzedziły również przygotowania władz brytyjskich. Istniał tu wyspecjalizowany urząd, East Africa Refugee Administration – EARA, skupiający w swych rękach wszystkie sprawy związane z pobytem uchodźców. Kierował nim Ch. Bruton. W poszczególnych krajach podlegali mu miejscowi dyrektorzy do spraw uchodźców. W Kampali funkcję tę sprawował D.W. Robertson, w Nairobi G.H. Kirkham, w Dar-es-Salaam najpierw płk N. Stewart a później A.O. Pennington¹². Podobną instytucję powołano do życia także w Rodezji Północnej. Komisarzem do Spraw Uchodźców Wojennych mianowano tam mjr H.K. McKee.

Pierwszy transport uchodźców polskich z ZSSR dotarł do portu Tanga w Tanganice 27 VIII 1942 r. Na pokładzie alianckiego statku przybyło 1.400 osób, przewiezionych następnie do Dar-es-Salaam, gdzie nastąpiło rozdzielenie transportu na dwie grupy. Jedna miała pozostać w Tanganice, drugą zdecydowano wysłać do Ugandy. Następny transport przybył do portu Mombasa w Kenii 19 września i po trzytygodniowym odpoczynku wysłany został w głąb kontynentu. Ogółem do końca września 1942 r. w ugandyjskim osiedlu uchodźczym w Masindi umieszczono 1.044, a w dwu miejscowościach Tanganiki – Morogoro i Kondoa – odpowiednio 510 i 401 osób¹³. W październiku przybyły następne grupy, które skierowano do osiedli Tenggeru, Kondoa, Ifunda

11. W. Korabiewicz, „Gdzie stoł a gdzie Polska”, Warszawa 1980, s. 81.

12. HI, MSZ RP, box 187, Opracowanie pt. „Uchodźcy w Afryce Wschodniej”; E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 147.

13. HI, MSZ RP, box 586, Sprawozdanie Delegatury MPiOS w Afryce Wschodniej za okres do 30 IX 1942 r.

i Kidugala w Tanganice. W przejściowym osiedlu Makindu w sąsiedniej Kenii na dalszy transport do obozów stałych oczekiwało ponad 600 osób. Ogółem, uwzględniając uchodźców przebywających już w Ugandzie, na całym terytorium Afryki Wschodniej znajdowało się 4.674 Polaków¹⁴. Już w toku ewakuacji uchodźców trwały dalsze rozmowy polsko-angielskie w sprawie ustalenia ostatecznej liczby Polaków, którzy mieli schronić się w Afryce. W związku ze wspomnianą już zgodą rządu amerykańskiego na przyjęcie jeńców włoskich, powstały odpowiednie warunki do zwiększenia kontyngentu polskich uchodźców. W październiku Foreign Office zawiadomiło polskie MSZ, iż istnieje możliwość skierowania do brytyjskich posiadłości w Afryce Wschodniej oraz do obu Rodezji łącznie 31.500 Polaków. Liczby tej nigdy nie osiągnięto.

Przyczyn tego stanu rzeczy było kilka. Przede wszystkim napotymano na wielkie trudności w zdobyciu środków transportu, głównie statków morskich. Ponadto już po wyznaczeniu limitu osadnictwa na „czarnym lądzie” pojawiły się nowe możliwości ulokowania uchodźców w innych, atrakcyjniejszych krajach, takich jak Meksyk czy Nowa Zelandia. Dodać należy, iż Polacy niechętnie wyjeżdżali do Afryki obawiając się tamtejszego klimatu i prymitywnych warunków bytowych. Nic zatem dziwnego, że szukano sposobów pozwalających na pozostanie w Iranie, gdzie po początkowych trudnościach uchodźcy mieli znośne warunki bytu oraz możliwości znalezienia pracy w alianckich instytucjach cywilnych i wojskowych. Początkowo jednak tempo ewakuacji polskich uchodźców do Afryki było bardzo duże. Do początków listopada 1942 r. do Afryki wysłano już 11.131 osób, z czego 949 mężczyzn, 5.157 kobiet i 5.025 dzieci w wieku do lat 14. Stanowiło to 27% ogółu ewakuowanych z ZSSR do Iranu¹⁵. W następnych miesiącach liczebność transportów wyraźnie zmalała. Według danych z 1 VII 1944 r. w trzech krajach Brytyjskiej Afryki Wschodniej przebywało

14. Tamże, Sprawozdanie Delegata MPiOŚ w Nairobi z 27 X 1942 r.

15. AAN, Poselstwo RP w Teheranie, sygn. 42, Sprawozdanie nr III z działalności Delegatury MPiOŚ w Teheranie za okres od 16 IX 1942 do 31 X 1942 r.

łącznie 13.280 obywateli polskich¹⁶, w pięć miesięcy później 13.364. Zbliżający się koniec wojny spowodował, iż dalsza ewakuacja do Afryki straciła sens, zaczęto natomiast zastanawiać się nad rozwiązaniem problemu polskich uchodźców w drodze repatriacji lub też emigracji do innych krajów.

Rozmieszczenie ludności polskiej w Afryce Wschodniej było nierównomierne. Największe skupiska powstały w Tanganice i Ugandzie, gdzie w szczytowym okresie polskiego osadnictwa przebywało po około 6.500 osób. W Kenii, dokąd zamierzano początkowo skierować kilka tysięcy Polaków, według stanu z 3 XII 1944 r. przebywało zaledwie 290 osób, z czego blisko połowę stanowił personel polskich instytucji w Nairobi. Władze kolonialne w Kenii deklarowały chęć przyjęcia uchodźców, ale gdy dochodziło do konkretnych rozmów pojawiały się nieprzewidziane przeszkody uniemożliwiające realizację konkretnych – zdawałoby się – projektów. Sytuacja zmieniła się dopiero w 1945 r. wraz z założeniem w Rongai polskiego osiedla szkolnego, w którym zamieszkało ok. 300 dzieci.

Szybki początkowo wzrost liczby uchodźców polskich wymagał podjęcia decyzji co do organizacji życia wewnątrz osiedli oraz podziału obowiązków między administracją kolonialną a instytucjami polskimi. Początkowo przewidywano przyjęcie rozwiązania sprawdzonego w Iranie, gdzie kierownictwo obozów spoczywało w rękach polskich. Współpracę z Brytyjczykami zapewniali angielscy oficerowie łącznikowi. Powtórzenie tego rozwiązania w warunkach afrykańskich okazało się jednak niemożliwe, a to z powodu braku dostatecznej liczby polskiego personelu administracyjnego, jak również na skutek oporu miejscowych władz kolonialnych, które czuły się odpowiedzialne za całość przedsięwzięcia i nie zamierzały rezygnować z możliwości bezpośredniego zarządzania osiedlami uchodźców polskich. Sprawy te dyskutowano na Konferencji Gubernatorów Afryki Wschodniej, odbytej w Nairobi w końcu 1942 r. z udziałem przedstawicieli polskich: konsula M. Wierusz-Kowalskiego i Delegata MPiOS – K. Kazimierczaka. Uzgodniono wówczas,

16. E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 157.

że na czele administracji osiedli stać będzie komendant, mianowany przez właściwego dyrektora do spraw uchodźców. Zazwyczaj był nim urzędnik brytyjski, często oficer rezerwy. Teoretycznie nie wykluczano możliwości dopuszczenia do tych stanowisk również Polaków, ale w praktyce byli nimi wyłącznie Anglicy. Komendantowi podlegała cała administracja osiedli, był on odpowiedzialny za bezpieczeństwo, zaopatrzenie w żywność i opał.

W wykonywaniu swych funkcji miał do dyspozycji własny aparat administracyjny oraz kierownika obozu (Polish Camp Leader) z jego aparatem pomocniczym. Kierownika mianowała Delegatura MPiOS w Nairobi i przed nią był odpowiedzialny. Do jego zadań należało wykonywanie zarządzeń komendanta osiedla jak również kierowanie polską administracją.

Osiedla dzielono na sekcje i grupy, wyznaczano ponadto kierowników poszczególnych referatów tj. szkolnictwa, duszpasterstwa, opieki zdrowotnej, a także wydziałów kultury i pracy. Kierownicy referatów wchodziłi w skład Komitetu Doradczego zbierającego się co dwa tygodnie, do którego zadań należała m.in. koordynacja prac poszczególnych działów administracji. Na czele komitetu stał z urzędu kierownik osiedla. W zarządzaniu starano się uwzględnić również czynnik społeczny. Powoływano w tym celu rady osiedli w składzie 4-8 osób, reprezentujących – w zależności od wielkości osiedla – od 70 do 300 mieszkańców. Większość kosztów utrzymania uchodźców pokrywały władze brytyjskie, zapisując poniesione wydatki na konto długu rządu polskiego. Z funduszy tych utrzymywano budynki i instalacje oraz kupowano wyżywienie. Ze środków Delegatury MPiOS utrzymywano polską administrację osiedli, szkolnictwo, personel służby zdrowia, duszpasterstwo i wewnętrzną służbę bezpieczeństwa¹⁷.

W Afryce Wschodniej powstało ogółem sześć stałych osiedli uchodźców polskich. Cztery z nich utworzono na terenie Tanganiki. Największe było osiedle Tengeru położone na stokach góry Meru w kompleksie wulkanicznym otacza-

17. Tamże, s. 150-151.

jącym najwyższy szczyt Afryki – Kilimandżaro. Wzniesiono je od podstaw. W krótkim czasie administracja kolonialna wybudowała 947 domków, przypominających chaty tubylców. W środkowej części kraju położone było następne osiedle polskie w Kondoa. Pierwotnie przeznaczone ono było dla włoskich jeńców wojennych. Polacy zamieszkali tu w 20 prostokątnych barakach zbudowanych z gliny, pokrytych słomianymi dachami. Kolejne osiedle zorganizowano znacznie dalej na południe w miejscowości Ifunda. Polacy znaleźli tu najlepsze warunki mieszkaniowe. Do ich dyspozycji oddano 100 murowanych domków skupionych w pięciu dzielnicach, z których każda posiadała własny budynek kuchenny, jadalnię, magazyny, łaźnie i pralnie. Najdalej na południe położonym osiedlem uchodźczym była Kidugala znajdująca się w kompleksie górskim Njombe u południowych granic Tanganiki. Polaków umieszczono w pobliżu zabudowań polniemieckiej misji protestanckiej, zlikwidowanej przez władze z początkiem wojny. Warunki mieszkaniowe były tam najgorsze, uchodźcy zamieszkali w prostokątnych szałasach z surowej gliny na szkieletach z drewnianych żerdzi. Każdy z prymitywnych szałasów podzielony był wewnątrz na 3–4 izby. Solidniejsze były jedynie budynki administracji, szpital i pralnia.

Dwa wielkie osiedla uchodźcze powstały w Ugandzie. Największe zorganizowano w Masindi, w centralnej części kraju. Z zewnątrz sprawiało ono wrażenie wielkiej kresowej wioski o nieregularnej zabudowie, co odróżniało je od innych koszarowo zabudowanych osiedli w Afryce Wschodniej. Domostwa wzniesiono z powszechnie tu dostępnych materiałów: drewnianych żerdzi, słomy słoniowej i trzcinowych mat. Trwalszych materiałów użyto jedynie do wzniesienia szpitala i kościoła. Koja, drugie z osiedli ugandyjskich znajdowało się bardziej na południe, nad brzegami Jeziora Wiktorii. Pobudowano je na niewielkim półwyspie, a szczupłość miejsca narzuciła konieczność zwartej, planowej zabudowy.

Oprócz osiedli stałych na terenie Afryki Wschodniej utworzono kilka obozów przejściowych i specjalnego przeznaczenia. Wymienić trzeba zwłaszcza ośrodki przejściowe w

Morogoro, Kigoma, Dar-es-Saalam, Irynga Tosamaganga (Tanganika) oraz w Makindu, Mombasa i Manira (Kenia). Spełniały one istotną rolę zwłaszcza podczas przemieszczania transportów przybyłych z Iranu w głąb kontynentu afrykańskiego. Umożliwiały odpoczynek po wyczerpującej podróży, a także spokojne zorganizowanie i zaopatrzenie kolejnych grup uchodźczych. Na odrębne potraktowanie zasługuje osiedle szkolne w kenijskiej miejscowości Rongai położonej w pobliżu Nakuru na północny-zachód od Nairobi. Umieszczono tu dzieci z innych osiedli gdzie panowały trudne warunki klimatyczne i nie było szkół na odpowiednim poziomie.

Liczebność osiedli polskich w Afryce Wschodniej była bardzo zróżnicowana. Obok dużych, liczących po kilka tysięcy osób istniały mniejsze, skupiające po kilkaset uchodźców, a ponadto w różnych miejscach omawianego obszaru rozmieszczone były niewielkie placówki polskie liczące od kilkunastu do stukilkudziesięciu osób. Zdecydowanie największe było osiedle w Tengeru, w którym liczba uchodźców osiągnęła w szczytowym okresie ok. 4.018 osób. Niewiele ustępowało mu osiedle w Masindi, gdzie znalazło się 3.635 osób. W drugim osiedlu ugandyjskim, Kojja, zamieszkiwało 2.800 osób. Trzy pozostałe, stałe osiedla uchodźcze: Ifunda, Kidugala, Kondoa, liczyły odpowiednio: 780, 798, 430 osób.

Warunki życia Polaków w Afryce Wschodniej nie były – zwłaszcza na początku – łatwe. Wiele problemów stwarzała gorąca, a w niektórych miejscowościach (Uganda) także bardzo wilgotny klimat. Sprzyjał on rozwojowi wielu chorób tropikalnych, głównie malarii, której wielu uchodźców nabawiło się jeszcze w ZSSR. Warunki mieszkaniowe – jak już wspomniano – były prymitywne, co nie wynikało bynajmniej ze złej woli gospodarzy a raczej z ogólnie niskiego standardu życia ogromnej większości miejscowej ludności. Podjęte na miejscu przygotowania na przybycie uchodźców nie mogły dać natychmiastowych efektów, i w konsekwencji rozbudowa osiedli trwała jeszcze długo po przybyciu polskich transportów. Wielkim problemem było również zaspokojenie potrzeb w zakresie żywienia, zaopatrzenia w odzież i opieki

zdrowotnej, co wymagało nie tylko przeznaczenia na te cele odpowiednich funduszy, ale również zorganizowania sprawnego systemu dystrybucji towarów w warunkach afrykańskich bezdroży i wielkich odległości dzielących osiedla od portów na wybrzeżu. Pamiętać przy tym trzeba, iż poza zaspokojeniem najbardziej podstawowych potrzeb uchodźców należało zająć się edukacją młodzieży oraz zorganizowaniem życia zbiorowego dorosłych, z których przynajmniej część zdolna była do pracy.

Trzeba stwierdzić, iż zarówno placówki polskie działające z ramienia rządu polskiego jak i brytyjskie władze kolonialne zrobiły bardzo wiele, aby życie Polaków było znośne. Sami zaś uchodźcy potrafili własną pracą i zaradnością – w niełatwych warunkach – stworzyć na afrykańskiej ziemi małe oazy polskości.

Skupiska polskich uchodźców z ZSSR powstały również na południu Afryki, w obu Rodezjach i Unii Południowej Afryki. Jak wiemy, już w 1941 r. na terenie Rodezji Północnej znalazło schronienie ok. 450 Polaków ewakuowanych z Cypru. W kilkanaście miesięcy później w ich ślady ruszyli uchodźcy z ZSSR. W dniu 11 VIII 1942 r. rząd brytyjski zawiadomił władze Rodezji Południowej o podjętej w Londynie decyzji skierowania do tego kraju uchodźców polskich. Wyjaśniono przy tym, iż poniechano realizacji uprzednich projektów wysłania ich do Ameryki. Na przełomie sierpnia i września rząd kolonialny wyraził zgodę na przyjęcie 1000 polskich uchodźców i rozpoczął przygotowania do utworzenia osiedli. Zdecydowano rozpocząć wysiedlenia ludności afrykańskiej i zapoczątkować budowę domów mieszkalnych. Prace te posuwały się w szybkim tempie i już 24 IX 1942 r. T.C.Fynn, podsekretarz stanu w rządzie rodezyjskim poinformował swych przełożonych, że osiedla w Marandellas i Rusape będą gotowe na przyjęcie Polaków 20 XII 1942 r.¹⁸

Tymczasem w Londynie, w toku rokowań angielsko-polskich, ustalono liczebność transportów, które niebawem miały wyruszyć do Afryki Południowej. Do Rodezji Północ-

18. H. Zins, op. cit., s. 68-69.

nej zamierzano wysłać 3.500 osób, do Nyasy 1.000 osób, a do Unii Południowej Afryki 500 osób. Ponadto zdecydowano zbadać możliwości skierowania do Rodezji Południowej dodatkowego kontyngentu 2.500 uchodźców polskich. Podobnie jak w przypadku Afryki Wschodniej plany te nie zostały nigdy zrealizowane. Niewątpliwie decydującą rolę odgrywały trudności transportowe oraz niechęć władz polskich do dalszego rozpraszania uchodźców po rozległych terenach Afryki¹⁹.

Pierwszy transport Polaków ewakuowanych z Iranu przybył do portu Beira w Mozambiku w dniu 14 II 1943 r. Skierowano go do przygotowanego wcześniej osiedla w Marandellas. Nieco później, 25 marca, kolejny transport trafił do Rodezji Północnej, a 9 IV 1943 r. miejscowa prasa doniosła o przybyciu sześciu polskich transportów o ogólnej liczebności 2.500 osób. Niektóre z nich docierały do obu Rodezji po wyokrętowaniu w porcie Durban i dłuższej podróży pociągiem. Wykorzystywano również szlak północny prowadzący koleją z Dar-es-Salaam do Jeziora Tanganika i dalej drogą wodną do Rodezji Północnej²⁰. Ogółem, do grudnia 1944 r. osiedlono w Rodezji Północnej 2.894, w Rodezji Południowej 1.437, łącznie 4.331 osób. Tylko część przybyszów skierowano do miejscowości, w których przebywali już Polacy z grupy „cypryjskiej”, większość lokowano w nowych osiedlach. Na północy, przy granicy z Tanganiką, założono osiedle w miejscowości Abercorn, bardziej na południe w Bwana Mkubwa w pobliżu granicy z Kongiem Belgijskim, powstało największe skupisko ludności polskiej w Afryce Południowej. Ponadto kierowano uchodźców do istniejących już skupisk polskich w Fort Jameston, Lusace i Livingstone.

Polscy uchodźcy znaleźli również schronienie na południowych krańcach kontynentu w Unii Południowej Afryki. Starania o uzyskanie zezwolenia władz w Pretorii na

19. HI, MSZ RP, box 593, Pismo T. Kopcia, zastępcy Delegata MPiOS w Nairobi do Delegata MPiOS w Teheranie z 24 VII 1943 r.; tamże Notatka dla MSZ z 5 II 1943 r. E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 184-185.

20. H. Zins, op. cit., s. 69-72; W. Korabiewicz, op.cit., s. 160-161.

przyjęcie Polaków początkowo były bezowocne. W lipcu i sierpniu 1942 r. rząd UPA odmawiał zgody na przyjęcie Polaków, zasłaniając się obowiązującym na czas wojny zakazem emigracji do tego kraju. Wydaje się, iż w rzeczywistości decydującą rolę odgrywała tu obawa przed trudnymi problemami, które w sposób nieunikniony mogłyby towarzyszyć ewakuacji Polaków, zwłaszcza, że w rozmowach jakie dyplomaci polscy prowadzili padła liczba 10.000 polskich dzieci. Nawet poparcie Anglików i Amerykanów, obiecujących pokrycie większości wydatków związanych z utrzymaniem przybyszów, nie mogły rozwiązać obaw gospodarzy. Dopiero rezygnacja z masowego transferu Polaków do UPA skłoniła rząd marszałka Smutsa do zgody na sprowadzenie na czas wojny 500 sierot polskich z ZSSR²¹.

Status prawny sierocińca polskiego ustalono w październiku 1942 r. w drodze wymiany not pomiędzy Konsulem Generalnym RP w Pretorii a Sekretarzem Spraw Zagranicznych UPA. Ustalono, że będzie on instytucją polskiego Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, które pokryje koszty związane z utrzymaniem sierocińca oraz sprawować będzie wyłączną jurysdykcję w sprawach wewnętrznego życia placówki. W praktyce rolę pośrednika w finansowaniu sierocińca spełniały konsulaty polskie, gdyż na miejscu nie było delegatury MPiOS. Na jego siedzibę przeznaczono część obozu wojskowego położonego w odległości 3 km od miasta Oudtshoorn w Prowincji Przylądkowej. Stanisław Łepkowski, Konsul Generalny RP w Pretorii, zajął się energicznie doborem personelu wychowawczego dla sierocińca. Nie oglądając się na władze polskie w Iranie, które kompletowały skład transportu do UPA, sprowadził w początkach marca 1943 r. z Rodezji Północnej grupę 10 osób, wśród których znalazł się ks. Franciszek Kubieński, przeznaczony na kierownika sierocińca, a ponadto 3 nauczycieli, 2 lekarzy i kilka osób personelu pomocniczego²².

21. HI, Dom Polskich Dzieci (dalej: DPDz), box 1, Korespondencja Konsula RP w Kapsztadzie z MSZ; E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 192.

22. HI, DPDz, box 1, Raport Konsula Generalnego RP w Pretorii dra S. Łepkowskiego z 19 V 1943 r.; tamże, Pismo ks. F. Kubieńskiego do konsula S. Łepkowskiego z 10 III 1943 r.

W tym samym czasie w Iranie zorganizowano transport dzieci, który odpłynął statkiem „Dunera” do Afryki Południowej. Dotarł on do Port Elizabeth w początkach kwietnia. Po kilkudniowej kwarantannie, 9 IV 1943 r. 500 dzieci i 38 osób z personelu wychowawczego zeszyły na ląd i specjalnym pociągiem udały się do Oudtshoorn²³.

Ustalenie dokładnej liczby Polaków przebywających w latach wojny w Afryce jest możliwe dzięki stosunkowo dokładnym danym opracowanym w afrykańskiej Delegaturze MPiOS. Według stanu na dzień 3 XII 1944 r. w Afryce Wschodniej i Południowej znajdowało się 18.245 obywateli polskich, z czego zdecydowana większość, aż 13.364 w Afryce Wschodniej (Kenia, Tanganika, Uganda). W Afryce Południowej (Rodezja Północna i Południowa oraz UPA) przebywało 4.881 osób. Większość uchodźców stanowiły kobiety i dzieci, odpowiednio 8.297 i 7.924. Mężczyzn było zaledwie nieco ponad 2.000, zresztą głównie w starszym wieku. Mieszkańcy afrykańskich osiedli uchodźczych pochodzili głównie z Kresów Wschodnich. Ta kategoria stanowiła 92% ogółu, przy czym najliczniej byli reprezentowani mieszkańcy województw: wołyńskiego (3.043 osób), tarnopolskiego (2.875 osób), lwowskiego (2.173 osób). Nieco mniej liczne były środowiska dawnych mieszkańców Kresów Północno-Wschodnich. Z Nowogródczyny pochodziły 1.753 osoby, Wileńszczyzny – 1.378, Białostocczyzny – 1.863. Z innych dzielnic Polski pochodziło tylko 8% uchodźców, z czego nieco ponad 500 z Warszawy i województwa warszawskiego, 225 z woj. krakowskiego, 116 z woj. kieleckiego²⁴.

Ustalenie struktury narodowościowej obywateli polskich w Afryce jest trudna do uchwycenia, gdyż brak informacji na ten temat. Przypuszczać można, iż była podobna jak w całej społeczności cywilów, którzy opuścili ZSSR wraz z armią gen. W. Andersa. Według szacunków Delegatury MPiOS w Teheranie 95% stanowili Polacy, a 4% Żydzi. Jeśli chodzi o

23. HI, DPDz, box 1, Sprawozdanie ks. F. Kubieńskiego za czas od 10 kwietnia do 31 maja 1943 r., E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 192-194.

24. AAN, Generalny Pełnomocnik ds. Repatriacji (dalej: GPR), sygn.111, Sprawozdanie ogólne T. Jacobsona, przedstawiciela Polskiej Misji Repatriacyjnej na Afrykę za okres od 17 IX 1946 r. do 4 IV 1947 r.

strukturę wyznaniową, dominującą pozycję zajmowali katolicy – 90%. Z innych wyznań liczniej reprezentowani byli wyznawcy religii mojżeszowej – 8%, grecko-katolickiej i prawosławnej, pozostałe 2%. Prawdopodobnie do Afryki wyjechało mniej Żydów, którzy próbowali raczej dostać się do Palestyny, więcej natomiast prawosławnych Polaków, Białorusinów i Ukraińców²⁵.

Warunki życia Polaków w afrykańskich posiadłościach i dominiach Wielkiej Brytanii, po trudnościach okresu początkowego szybko ulegały poprawie. Świadczą o tym nie tylko zachowane dokumenty urzędowe, ale również relacje samych uchodźców i osób odwiedzających osiedla. Według opinii J. Suskiego – wysłannika rządu polskiego do zbadania stosunków w obozach uchodźczych w Afryce i na Bliskim Wschodzie – warunki życia Polaków w osiedlu Tengeru „były na poziomie dość skromnie zorganizowanego letniska. Od polskiej wsi (...) w Poznańskim różniły się na niekorzyść, od warunków włościanina na kresach czy w Polsce środkowej – były lepsze”²⁶.

Wyżywienie dostarczano do osiedli w sposób centralnie zorganizowany. Utworzono duże kuchnie i jadalnie, gdzie stołowała się cała ludność. Niekiedy zabierano gotowe posiłki do domu, rzadziej natomiast przekazywano uchodźcom surowe produkty, którymi poszczególne rodziny gospodarowały we własnym zakresie. Jakość i ilość żywności była zasadniczo wystarczająca, niekiedy tylko zdarzały się niedobory określonych produktów. Dużą rolę w uzupełnianiu zaopatrzenia ludności osiedli w żywność odgrywały farmy prowadzone przez Polaków. Uprawiano tam jarzyny, hodowano drób i bydło. Niektóre farmy osiągnęły duże rozmiary i mogły pochwalić się sporymi osiągnięciami produkcyjnymi. Przykładowo farma w Tengeru obejmowała 415 akrów pastwisk, 165 akrów ziemi ornej. Utrzymywano tam 249 sztuk bydła ras europejskich, 52 sztuki bydła miejscowego, a

25. AAN, Poselstwo RP w Teheranie, sygn. 42, Sprawozdanie nr IV Delegata MPiOŚ w Teheranie za okres od 1 do 30 XI 1942 r.

26. J. Suski, „W służbie publicznej na dwóch kontynentach”, Warszawa 1988, s. 209.

ponadto blisko 100 owiec, 42 woły, trochę kóz i koni²⁷.

Zupełnie nieźle przedstawiało się zaopatrzenie w odzież. Polska ludność cywilna ewakuowana z ZSSR już w Iranie otrzymała odzież, gdyż przywiezione z Rosji łachmany trzeba było zniszczyć w Pahlevi, w obawie przed zawleczeniem chorób zakaźnych. W Afryce stopniowo uzupełniano odzież dzięki nowym transportom zaopatrzenia, napływającym z różnych źródeł. Przykładowo tylko w 1943 r. Rada Polonii Amerykańskiej przesłała do Afryki pomoc na łączną sumę blisko 618 tys. dolarów. Składała się na nią głównie odzież i żywność²⁸.

Warunki mieszkaniowe w osiedlach polskich w Afryce były dosyć zróżnicowane w zależności od tego czy wykorzystywano wcześniej wybudowane, solidniejsze budynki, czy też pośpiesznie wznoszone chaty wzorowane na domostwach tubylców. W Tengeru, które było największym osiedlem polskim na Czarnym Łądzie, miejscowe władze kolonialne wybudowały 947 domków. Do ich wzniesienia przyczyniły się walnie okoliczne plemiona murzyńskie, które dostarczyły niektórych materiałów budowlanych i siły roboczej. Konstrukcja domów była prosta. Drewniany szkielet z drągów oblepiano gliną i pokrywano strzechą z liści bananowych²⁹. Wyposażenie domków było skromne. Jedna z mieszkańek Tengeru tak oto je opisuje: „Za chwilę wprowadzą nas do glinianego domku. Na klepisku wewnątrz, wokoło okrągłej

27. HI, MSZ RP, box 586, Sprawozdanie Delegatury MPiOŚ w Afryce Wschodniej za okres do 30 IX 1942 r.; W Ostrowski, „Safari przez Czarny Łąd. Szkice z podróży po Keni, Tanganyce, Ugandzie i wyspie Zanzibar”, Londyn 1947, s. 258–259; Ł. Z. Królikowski, „Skradzione dzieciństwo”, wyd. II, Buffalo brw, s.132–133; E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 157–158, 177.

28. Według danych dotyczących osiedla w Morogoro, obejmujących okres od 25 VI 1944 r. do 25 VII 1945 r., mężczyźni otrzymali tam m.in. marynarkę, 3 pary spodni, 2 koszule, podkoszulek, sweter, 4 pary obuwia, a ponadto sporo płótna tropikalnego i materiału koloru khaki. Kobiety otrzymały m.in. 2 suknie, koszulę dzienną, koszulę nocną, 2 pary pończoch, 4 pary obuwia, a dodatkowo nieco większą niż mężczyźni ilość tkanin. W. Ostrowski, który znał warunki bytowania Polaków w Afryce i w Niemczech, stwierdził iż „w zestawieniu z tym, jak wegetuje ta część naszej ludności, którą zły los rzucił na teren Niemiec – są to warunki doskonałe”. W. Ostrowski, op.cit., s. 267–269.

29. H. Zins, „Polacy w Afryce Wschodniej”, Lublin 1978, s. 36; E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 152.

ściany, stoją cztery łóżka, dotykają się wzajemnie końcami. W środku mały stół i dwa krzesła. Okienko bez szyby zamykane okiennicą. Za jednym z łóżek szafka z worka. (...) Przychodzi blokowa, wiedzie za sobą kilka dziewcząt. Przyniosły koce, poduszki, prześcieradła, latarnię naftową, jakiej się u nas używało w stodołach, zapalki, miednicę, wiadro, ręczniki, mydło – ale gdzie to wszystko ustawić?”³⁰ Podobnie przedstawiała się sytuacja mieszkaniowa w innych powstałych od podstaw osiedlach uchodźczych. Mieszkanka ugandyjskiego osiedla w Koju, opisując swe pierwsze wrażenia, stwierdza: „Podoba mi się w osiedlu, chociaż domki nie są ładne, bo ściany tu brudne, jakby ulepione z gliny, trzciniowe dachy i w ogóle nie ma podłóg oraz sufitów. W każdym domku są dwie sypialnie i pokój jadalny. W sypialniach mieszka po pięć osób, a w środkowym pokoju stoi ogromny stół i dwie ławy”³¹. Nieco gorzej mieszkali Polacy w osiedlu Kidugala, gdzie umieszczono ich w długich szałasach z drewnianych żerdzi pokrytych surową gliną. Podzielono je wewnątrz na izby stanowiące mieszkanie jednej rodziny. Podobnie wyglądała sytuacja mieszkaniowa w Kondoa. Znacznie lepsze warunki lokalowe znaleźli Polacy w Ifundzie. Dzięki temu, iż w pobliżu znajdowały się złoża doskonałej gliny, nadającej się do wyrobu cegieł, w osiedlu wzniesiono ok. 100 solidnych domków. Podobnie rzecz wyglądała w rodezyjskim osiedlu Fort Jameston. Jeszcze przed przybyciem Polaków z grupy „cypryjskiej” wzniesiono tam 20 owalnych, murowanych, wygodnych domków. Każdy składał się z trzech pomieszczeń, dwóch pokoi sypialnych i hollu. Poza tym znajdowała się tam mała łazienka i komórka na bagaże³².

Przybywający na kontynent afrykański Polacy stykali się siłą rzeczy z miejscową ludnością murzyńską. Plemiona tubylcze z rozkazu Brytyjczyków ale i również z własnej

30. W. Szymczak, „Z pożogi w busz”, Warszawa 1982, s.5.

31. B. Rybałtowska, „Szkoła pod baobabem”, Warszawa 1979, s. 25.

32. HI, MSZ RP, box 192, Opracowanie pt. „Uchodźstwo wojenne (osiedla polskie w Tanganice)”; tamże Ministerstwo Informacji i Dokumentacji (dalej MIiD), List nieznanego autora do Ministra Informacji i Dokumentacji rządu polskiego w Londynie; J. Wróbel, „Z dziejów...”, s. 138.

inicjatywy pośpieszyły przybyszom z pomocą w najtrudniejszym, początkowym okresie pobytu na afrykańskiej ziemi. Według danych pochodzących z dokumentacji władz kolonialnych w Tanganice, plemiona Waarusha, Meru i Chagga dostarczyły Polakom duże ilości materiałów budowlanych (głównie pale cyprysowe i strzechy bananowe) oraz żywność. Ponadto ok. 1.000 robotników murzyńskich pracowało przy wznoszeniu polskich osiedli. Sądzić należy, iż również w innych krajach Afryki Wschodniej i Południowej wkład ludności rodzimej w budowę polskich osiedli uchodźczych był równie duży. Zachowany materiał źródłowy daje niewiele danych do oceny charakteru i zakresu stosunków uchodźców polskich z miejscową ludnością afrykańską. W osiedlach zatrudniano nieco murzyńskich robotników, których pracę jak się wydaje ceniono. Okazji do kontaktów poza osiedlami było niewiele a Brytyjczycy niechętnie na nie patrzyli obawiając się zachwiania w oczach tubylców dotychczasowego wizerunku „białego człowieka”. Niewątpliwie częściej kontaktowała się ze sobą ruchliwa młodzież murzyńska i polska, nierzadko wymykając się spod kontroli dorosłych. Ogólnie podkreślano jednak dobre stosunki Polaków z miejscową ludnością. Świadczy o tym również fakt, iż jeszcze wiele lat po wojnie tubylcy z terenów gdzie przebywali Polacy dobrze ich wspominali, a niektórzy z nich mówili trochę po polsku.

Z chwilą gdy pierwsi uchodźcy polscy dotarli do afrykańskiego brzegu, wojna była w stadium przełomowym, a prawie cała Europa znajdowała się pod okupacją państw faszystowskich. Było więc jasne, iż pobyt uchodźców w Afryce potrwa dłużej, co najmniej kilka lat. W tych okolicznościach należało pomyśleć o zorganizowaniu w osiedlach odpowiednich służb i instytucji, w których mogłoby się realizować życie zbiorowe w różnorodnych jego formach, właściwych dla normalnie funkcjonujących społeczności. Palącą koniecznością było zorganizowanie szkolnictwa, gdyż młodzież i dzieci stanowiły bardzo liczną grupę wśród mieszkańców osiedli, sięgającą 43% ogółu.

Szkolnictwo polskie w Afryce obejmowało placówki na różnych poziomach, od przedszkoli po szkoły średnie,

ogólnokształcące i zawodowe. Początkowo organizacją placówek oświatowych zajmowała się Delegatura MPiOS w Nairobi, która powołała w poszczególnych osiedlach referaty oświatowe. Na przełomie lat 1943/1944 sprawy nauczania przejęła Delegatura Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, któremu podlegały cztery inspektoraty szkolne, w Tengeru dla Tanganiki, w Koja i Masindi dla Ugandy oraz w Salisbury dla Rodezji Północnej i Południowej. Ponadto powołano dwa samodzielne referaty oświatowe, w Johannesburgu i Oudtshoorn, obowiązki Delegata MWRiOP piastował S. Szczepański, inspektorami mianowano J. Jagielskiego (Tengeru), K. Bielańskiego (Koja), K. Niementowskiego (Masindi) i S. Tarnowicz (Salisbury). Placówkę w Johannesburgu objął M. Mayer z zadaniem opieki kulturalno-oświatowej nad studiującą tam młodzieżą, a także junakami i żołnierzami polskimi, przebywającymi w szpitalu w Baraqwanath oraz w obozie polskim w Pietermaritzburgu. Na czele referatu w Oudtshoorn stanął dr T. Strzembosz. Zajął się on nadzorem placówek oświatowych w tamtejszym sierocińcu³³.

Znaczna liczba dzieci w osiedlach uchodźczych skłaniała ich kierownictwo do tworzenia przedszkoli. Już w końcu września 1943 r. do placówek tego typu uczęszczało 355 dzieci, z czego 166 w Masindi. W początkach grudnia liczba podopiecznych przedszkoli wzrosła do niespełna 500 osób. Wzrosła też liczba wychowawczyń, z 17 do 19. W szczytowym okresie rozwoju, który przypadł na grudzień 1944 r., w 24 przedszkolach istniejących w osiedlach polskich w Afryce Wschodniej i Południowej pracowało 26 wychowawczyń, sprawujących opiekę nad 632 dziećmi³⁴. Z czasem, wraz z dorastaniem dzieci i wyjazdami, zapotrzebowanie na opiekę przedszkolną zmniejszało się. O ile na przełomie lat 1944/1945 tylko w Ugandzie i Tanganice funkcjonowało 17

33. HI, MSZ RP, box 191 „Organizacja władz szkolnych w osiedlach”; E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 162. H. Zins, „Szkice o Anglii i Afryce”, Lublin 1978, s. 300-301, 315.

34. HI, MSZ RP, box 187, „Statystyka szkolnictwa polskiego w „Afryce Wschodniej i Południowej”; tamże, box 191; E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 161.

przedszkoli z 481 dziećmi, to w rok później pracowało tam 11 tego rodzaju placówek opiekujących się 346 dziećmi³⁵.

Największymi ośrodkami szkolnictwa stopnia podstawowego były oba osiedla ugandyjskie i Tengeru. W każdym z nich znajdowały się po 3 szkoły, skupiające łącznie ponad 3.100 uczniów, co stanowiło 58% ogółu uczniów szkół powszechnych w Afryce. W pozostałych osiedlach utworzono po jednej szkole stopnia podstawowego. Wyjątek stanowiło osiedle w Oudtshoorn, gdzie utworzono odrębne szkoły dla dziewcząt i chłopców. Ogółem w końcu 1944 r. w afrykańskich szkołach powszechnych pobierało naukę 5.342 uczniów, a personel nauczycielski liczył 178 nauczycieli. Liczba szkół, uczniów i nauczycieli była stosunkowo stabilna. Jeszcze na przełomie lat 1945/1946 działało 19 szkół, skupiających 5.051 uczniów³⁶.

Niewątpliwie największą chlubą polskiego systemu szkolnego na Czarnym Lądzie były szkoły średnie, gimnazja i licea ogólnokształcące. W Afryce Wschodniej największe tego typu placówki powstały w Masindi i Tengeru. Państwowe Gimnazjum Ogólnokształcące i Liceum Humanistyczne w Masindi liczyły łącznie 5 klas (274 uczniów) prowadzonych przez 13 pedagogów. W pobliskim osiedlu Koja zorganizowano kursy gimnazjalne, początkowo dla 38 osób, później dla blisko 70. Uczniowie zamierzający kontynuować naukę w liceum mogli przenieść się do Masindi. Prężnym ośrodkiem szkolnictwa średniego było Tengeru. Istniało tu pełne gimnazjum koedukacyjne oraz klasy licealne, do których uczęszczało łącznie około 250 uczniów z Tengeru i osiedla w Kondoa. Na południu Tanganiki zorganizowano z początkiem lutego 1944 r. gimnazjum koedukacyjne w Kidugala skupiające 80 uczniów. Pochodzili oni z osiedli uchodźczych w Tanganice i Rodezji Północnej³⁷. Na południu Afryki powstały dwie szkoły o profilu ogólnokształcącym. W Livingstone założono

35. H. Zins, „Szkice ...”, Lublin 1978, s. 311.

36. HI, MSZ RP, box 187, „Statystyka szkolnictwa polskiego w Afryce Wschodniej i Południowej”; H. Zins, „Szkice...”, s. 311.

37. HI, MSZ RP, box 187, Statystyka szkolnictwa polskiego w Afryce Wschodniej i Południowej; E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 162-163.

Państwowe Liceum Humanistyczne i Gimnazjum Męskie, liczące 90 uczniów, a w Digglefold Państwowe Żeńskie Gimnazjum Ogólnokształcące, gdzie naukę pobierało 145 dziewcząt. Ponadto w Rusape i Marandellas prowadzono kursy gimnazjalne. Ogółem, według danych Delegatury MWRiOP w Nairobi z 1944 r. w klasach gimnazjalnych i licealnych pobierało naukę 829 uczniów³⁸.

Szkolnictwo zawodowe rozwijało się początkowo słabiej. Większe placówki tego typu powstały jedynie w Ugandzie i Tanganice. W Masindi założono Żeńską Szkołę Przysposobienia Gospodarczego. Podobny profil miała również szkoła zawodowa w Tengeru. Statystyki szkolnictwa polskiego w Afryce wykazują według stanu na 1944 r. tylko 112 uczniów szkół zawodowych. Sytuacja w tej dziedzinie zmieniła się w późniejszym okresie, gdyż według danych opublikowanych przez H. Zinsa, na przełomie lat 1945/1946 w 8 średnich szkołach zawodowych kształciło się 800 osób a w 2 tzw. niższych szkołach zawodowych dodatkowo 40 osób. Nadal jednak dominowały gimnazja i licea, gdzie uczyło się 1.340 chłopców i dziewcząt. Wspomnieć trzeba ponadto, iż 74 młodych Polaków pobierało naukę w szkołach angielskich³⁹.

Przed szkołami polskimi w Afryce piętrzyły się od początku poważne trudności, związane głównie z brakiem dostatecznej liczby wykwalifikowanej kadry pedagogicznej i pomocy naukowych, zwłaszcza podręczników. Na „czarnym lądzie” pracowało w szczytowym okresie rozwoju szkolnictwa ogółem 334 nauczycieli. Średnio na jednego pedagoga przypadało więc 23 uczniów. Wskaźnik ten różnicowany był w zależności od rodzaju szkół. W szkołach powszechnych jeden nauczyciel przypadał na 30 uczniów. Odpowiednio lepsze warunki nauczania mieli pedagodzy zatrudnieni w szkołach

38. HI, MSZ RP, box 187, „Statystyka szkolnictwa polskiego w Afryce Wschodniej i Południowej”.

39. HI, MSZ RP, box 191; tamże, box 189, Sprawozdanie Delegata Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, S. Szczepańskiego ze stanu szkolnictwa za okres od 1 lipca do 30 września 1944 r.; tamże, box 187, Statystyka szkolnictwa polskiego w Afryce Wschodniej i Południowej; H. Zins, „Szkice...”, s. 311. W. Ostrowski, op.cit., s. 303–304.

średnich. Niewiele wiadomo o kwalifikacjach kadry nauczycielskiej zatrudnionej w afrykańskich placówkach oświatowych. H. Zins twierdzi, iż „w ogromnej większości nauczyciele ci nie posiadali kwalifikacji i fachowego przygotowania”. Z kolei W. Ostrowski, znający z autopsji sytuację w osiedlach uchodźczych, za błąd władz oświatowych uznał zaniedbanie kształcenia kadr nauczycielskich o czym świadczył chociażby brak seminariów nauczycielskich i liceów pedagogicznych⁴⁰. Wydaje się jednak, że sytuacja nie przedstawiała się tak źle. W Afryce znalazła się spora grupa osób dobrze wykształconych, których kwalifikacje mogły być z pożytkiem wykorzystane w pracy oświatowej. Dla przykładu wymienimy kilka nazwisk. W Afryce pracowali m.in. Stanisław Tarnowicz – inspektor szkolny z Bydgoszczy, Józef Jagielski – kierownik szkoły powszechnej w Wieliczce, Karol Bielański – kierownik szkoły powszechnej z pow. kałuskiego, Karol Niementowski – kierownik szkoły powszechnej z Kowla, Marian Mayer – redaktor *Nowego Kuriera* z Poznania, Ferdynand Zarzycki – generał brygady WP, dr Witold Eichler znany entomolog.

Piękną kartę historii polskich osiedli w Afryce stanowi ich działalność kulturalna. W trudnych, specyficznych warunkach w jakich egzystowali uchodźcy, rola pracy kulturalnej była szczególnie ważna. Pozwalała ciekawie zapełnić wolny czas dorosłych i młodzieży, uwolnić się – chociaż na pewien czas – od rozpamiętywania tragicznej przeszłości i zapomnieć o ciężkim losie najbliższych, pozostałych w okupowanym kraju lub walczących na frontach wojny. Nie wolno też zapominać o fakcie, że przedsięwzięcia kulturalne odgrywały wielką rolę wychowawczą w środowisku młodzieży.

Życie kulturalne osiedli koncentrowało się na codzień w świetlicach. Najwyższy poziom reprezentowały placówki Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej-YMCA. W latach wojny utworzono w Afryce ogółem 14 oddziałów tego stowarzyszenia, dobrze wyposażonych dzięki pomocy finansowej i materialnej nowojorskiej centrali Polskiej Ymki. Dotacje napływające z USA sięgały 2 tys. dolarów miesięcznie, a pomoc materiałowa obejmowała m.in. dostawy gramo-

40. H. Zins, „Szkice...”, s. 311; W. Ostrowski, op.cit., s. 307.

fonów, prasy, wydawnictw, materiałów szkoleniowych. Poza Ymką pracę świetlicową prowadziły również inne organizacje. Dużą aktywność przejawiały zwłaszcza referaty kulturalno-oświatowe działające w ramach rad osiedlowych. Świetlice prowadziła również Akcja Katolicka i harcerstwo⁴¹.

Nieodłącznym elementem życia społeczności polskiej był sport. We wszystkich osiedlach polskich budowano boiska do gier zespołowych i lekkoatletyki. W niektórych skupiskach uprawiano dyscypliny sportowe, które miały szczególne szanse rozwoju, dzięki specyficznym warunkom najbliższego środowiska. Tak więc specjalnością osiedla Koja, położonego nad Jeziorem Wiktorii, było wioślarstwo, żeglarsstwo i rybołówstwo. W większości osiedli uprawiano jednak gry zespołowe, głównie piłkę nożną, siatkówkę i koszykówkę. Z czasem sport został ujęty w jednolite ramy organizacyjne, czego przejawem było utworzenie w Tengeru Międzyszkolnego Klubu Sportowego skupiającego 78 zespołów sportowych. Klub dysponował dobrze urządzonymi boiskami i dużą ilością sprzętu sportowego.

Swoistym fenomenem był rozwój polskiej prasy i radia. Wiosną 1943 r. brytyjska rozgłośnia w Nairobi zaczęła nadawać audycje polskie. Emitowano je początkowo trzy razy w tygodniu, a od początków 1944 r. w każdy dzień tygodnia z wyjątkiem niedziel. Na programy składały się przeglądy bieżących wydarzeń, komentarze, pogadanki, muzyka. Z chwilą zwiększenia czasu nadawania audycji polskich wprowadzono więcej informacji o sprawach polskich oraz audycje przeznaczone dla dzieci i młodzieży. W ich tworzeniu brała udział Delegatura MWRiOP w Nairobi. Audycje radiowe utrzymano także w okresie po wycofaniu uznania dla polskiego rządu na uchodźstwie. W latach 1945-1947 polskie programy radiowe finansowane były – przynajmniej w części – przez tzw. szkolne sumy likwidacyjne, którymi dysponował były delegat MWRiOP, S. Szczepański⁴².

41. HI, MSZ RP, box 192. Sprawozdanie z działalności Polskiej YM.C.A. w Afryce za lipiec 1944; E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 167-170.

42. Nowy rok audycji polskich w Nairobi, *Polak w Afryce*, 1-8 I 1944, AAN, GPR, sygn. 417, Sprawozdanie ogólne T. Jacobsona, przedstawiciela Polskiej Misji Repatriacyjnej na Afrykę za okres od 17 IX 1946 do 4 IV 1947.

Zaskakująco bujnie rozwinęła się polska prasa. Jej centrum było Nairobi, gdzie znajdowały się centrale najważniejszych urzędów polskich. W stolicy Kenii wychodziły *Polak w Afryce* i *Głos Polski*. Pierwszy z tych periodyków wydawała Delegatura MPiOS od marca 1943 do lipca 1945 r., kiedy to nastąpiła formalna likwidacja agend rządu „londyńskiego” i Brytyjczycy cofnęli dotacje udzielane dotąd na działalność prasową. Naczelnym redaktorem tygodnika *Polak w Afryce* był Janusz Knake. Poza redaktorem naczelnym na jego łamach często publikowali S. Szczepański – delegat MWRiOP, dr Bronisław Fryling, Tadeusz A. Wójcicki i książe Eustachy Sapieha – delegat PCK w Afryce Wschodniej. Tygodnik miał dwa stałe dodatki: przeznaczony dla dzieci *Plomyczek Afrykański* i *Księżkę Polską*.

W 1945 r., w miejsce *Polaka w Afryce* zaczął ukazywać się *Głos Polski*. Tygodnik *Uchodźstwa Polskiego w Afryce* wydawany przez Polski Fundusz Prasowy, w którym wiodącą rolę odgrywał książe Sapieha. Redagowali go Krzysztof i Noemi Czyżewscy. Układ treści, szata graficzna, wzorowane były na *Polaku w Afryce*. Oba pisma drukowane były zresztą w tej samej drukarni W. Boyd & Co.Lt. Pismo Czyżewskich przetrwało aż do 8 VIII 1948 r.

Poza tymi dwoma tygodnikami ogólnoinformacyjnymi wydawano w Afryce kilka innych polskich periodyków. W Nairobi wychodził w latach 1944-1947 dwutygodnik *Nasz Przyjaciel* organ Duszpasterstwa Katolickiego. Redagował go ks. Władysław Słapa. Delegatura MWRiOP publikowała dwutygodnik *Nauka i Wychowanie* poświęcony problematyce edukacyjnej. W 1945 r. wychodziły też periodyczne *Komunikaty Polskiej Agencji Prasowej* redagowane przez wspomnianego już J.Knake. Podobny charakter miały *Komunikat Radiowy Polskiego Centrum Informacji w Nairobi* i *Komunikat Informacyjny Polskiego Funduszu Prasowego* wydawane i bezpłatnie kolportowane przez K. Chodzikiewicza. Próby wydawania periodyków podejmowano również w poszczególnych osiedlach. Krótko wychodził *Głos Ifundy*, *Biuletyn Duszpasterski* w Kampali i periodyk *Na Czarnym Łądzie*. Sporą aktywność wykazywali w tym zakresie harcerze. W Masindi od lipca 1943 r. wychodziły: dwumiesięcznik

Czuj Duch i powielaczowy *Brzask*. W Koja wychodził *Znicz*, w Tengeru *Głos Harcerza*, w Kidugala *Jutrzenka*, a w Kondoa *Zza Równika*⁴³. Działalność prasowa słabsza była na południu Afryki. Wiadomo, że w Oudtshoorn ukazywał się w latach 1944-1945 *Krzyż Południa*, a w 1945 r. ks. Leon Łomiński publikował biuletyn duszpasterstwa polskiego *Pod Krzyżem Południa*. Z kolei Polskie Centrum Informacji w Johannesburgu publikowało w latach 1944-1945 anglojęzyczny periodyk *Polish Digest*⁴⁴. Nie mamy natomiast danych o periodykach ukazujących się w obu Rodezjach. Dodać jeszcze trzeba, że do Afryki regularnie, chociaż z opóźnieniem, docierała polska prasa z Bliskiego Wschodu, Anglii i Stanów Zjednoczonych.

W skupiskach ludności polskiej ewakuowanej z ZSSR działały już w Iranie liczne organizacje społeczne i polityczne. W Afryce istniały one również lecz na mniejszą skalę, co było następstwem specyficznej struktury społecznej osiedli polskich. Większość mieszkańców osiedli stanowiły kobiety, młodzież i dzieci, których polityka nie pasjonowała. Dość wąska grupa inteligencji zaangażowana była w pracę oświatową i kulturalną i nie znajdowała już czasu na działalność partyjną. Pewne znaczenie odegrała też niewątpliwie odległość od głównych centrów życia politycznego na emigracji, co skazywało wszelkie wysiłki o charakterze politycznym na marginalność. Nieliczne próby utworzenia w afrykańskich osiedlach ekspozytur „londyńskich” stronnictw i partii nie przyniosły godnych uwag efektów.

Powodzeniem zakończyły się natomiast wysiłki zmierzające do zorganizowania stowarzyszeń o charakterze regionalnym i młodzieżowym. W poszczególnych osiedlach powstały oddziały Związku Południowo-Wschodnich Ziem Rzeczypospolitej Polskiej i Związku Północno-Wschodnich

43. J. Kowalik, „Bibliografia czasopism polskich wydawanych poza granicami Kraju od września 1939 roku”, t. I Lublin 1976, s. 194, 204, t. II Lublin 1976, s. 46, 48, 113, 132, 133, 153, t. III Lublin 1976, s. 44; Z. Buczewski, „Czasopisma harcerskie na świecie od 1939 r.”, Vancouver 1986, s. 11, 12, 14, 16, 27.

44. J. Kowalik, op.cit., t. II Lublin 1976, s. 60, t. III Lublin 1976, s. 36, 62. E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 198-199.

Ziem Rzeczypospolitej Polskiej. W niektórych osiedlach istniał wspólny Związek Kresów Wschodnich. Organizacje te na codzień nie przejawiały szerszej działalności, uaktywniały się natomiast w okresach obchodów rocznicowych, świąt państwowych i religijnych.

Do bardziej znanych organizacji polskich w Afryce należał Polski Czerwony Krzyż, którego delegatura urzędowała w Nairobi. Na jej czele stał książę Eustachy Sapieha, były minister spraw zagranicznych RP w latach 1920-1921. PCK zajmował się niesieniem pomocy medycznej dla uchodźców, organizował szpitale, krzewił wiedzę z zakresu higieny życia codziennego w tropikach. Rola PCK wzrosła jeszcze bardziej po likwidacji większości polskich instytucji opiekuńczych w lipcu 1945 r.⁴⁵

Największą popularnością w środowisku dzieci i młodzieży cieszyło się harcerstwo. Niewiele wiadomo o początkowym okresie działalności skautingu w Afryce, wiemy natomiast, iż już jesienią 1943 r. harcerstwo stanowiło rozwiniętą, liczną i aktywną organizację. W październiku 1943 r., zarówno w Afryce Wschodniej jak i Południowej ZHP, skupiało ogółem 2.681 członków w 64 jednostkach organizacyjnych. W przeciągu następnego roku liczba harcerzy wzrosła do 3.241. Zajęcia harcerskie były różnorodne, a przez to atrakcyjne dla młodzieży. Spotykano się w Izbach Harcerskich, gdzie prowadzono prace świetlicowe i szkolenie teoretyczne w oparciu o dobrze zaopatrzone biblioteki. W terenie prowadzono natomiast zajęcia sprawnościowe, zawody sportowe, wycieczki krajoznawcze, ogniska⁴⁶.

Życie w osiedlach polskich w Afryce, chociaż coraz lepiej zorganizowane, biegło pod znakiem tymczasowości. Zarówno sami uchodźcy jak i władze polskie i brytyjskie oczekiwali, iż po zakończeniu wojny w Europie nastąpi repatriacja wszystkich Polaków. Skomplikowane wydarzenia polityczne wokół sprawy polskiej u schyłku wojny pokrzyżowały te plany. Z biegiem czasu stało się jasne, że ZSSR nie zamierza zrezygnować z ziem Rzeczypospolitej zagarniętych po 17 września, co oczywiście stawało pod znakiem zapytania powrót do domów

45. E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 172-173. *Polak w Afryce*, 1-7 III 1945, *Głos Polski* 25 XI 1945 i 10 II 1946.

46. Tamże, s. 173-174.

ludzi skupionych w afrykańskich osiedlach, pochodzących wszak, w ogromnej większości, z kresów wschodnich. Przełomowym wydarzeniem w dziejach wojennego wychodźstwa polskiego było wycofanie przez USA i Wielką Brytanię uznania dla rządu polskiego w Londynie. Nastąpiło to w dniu 5 lipca 1945 r. Tym samym Polacy w Afryce, od Nairobi po Kapsztadt, pozbawieni zostali opieki władz uznawanych dotąd przez mocarstwa Zachodu. Logiczną konsekwencją tej decyzji w sprawie uznania władz w Warszawie była likwidacja agend rządu londyńskiego w Afryce. W koloniach brytyjskich przestały funkcjonować polskie konsulaty i delegatury ministerstw, a całą odpowiedzialność za sytuację w osiedlach przejęli Anglicy.

W praktyce niewiele się jednak zmieniło, gdyż na miejsce rozwiązanych placówek powołano tzw. polskich doradców z analogicznym zakresem obowiązków i odpowiedzialności, chociaż podlegających już tylko władzom brytyjskim. I tak przy urzędzie komisarza East African Refugee Administration funkcjonował Główny Polski Doradca K. Chodzikiemowicz, a ponadto Główny Doradca ds. Oświaty, S. Szczepański i Główny Doradca ds. Zdrowia dr M. Ruciński. Ponadto powołano polskich doradców terytorialnych, K. Skwierczyńskiego w Ugandzie, W. Kuczyńskiego w Tanganice oraz doradcę konsularnego J. Gruję. Duszpasterstwo katolickie pozostało w rękach księdza kanonika W. Słapy⁴⁷.

Nieco inaczej wyglądała początkowo sytuacja w Unii Południowej Afryki, kraju w pełni suwerennym. Rząd marszałka Smutsa nie poszedł w ślady wielkich mocarstw i nie wycofał uznania dla polskiego rządu w Londynie, dzięki czemu polskie konsulaty w UPA mogły funkcjonować dalej i sprawować opiekę nad polskim osiedlem w Oudtshoorn. Dopiero 9 V 1946 r. Konsul Generalny RP w Pretorii, S. Łepkowski otrzymał notę podpisaną przez sekretarza spraw zagranicznych Unii, powiadamiającą go o wycofaniu uznania udzielanego mu dotąd jako konsulowi⁴⁸.

47. Z konferencji dyrektorów uchodźczych w Nairobi, *Głos Polski*, 6 X 1946.

48. E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 202.

Nowy status polityczno-prawny osiedli polskich w Afryce nie miał na razie konsekwencji w codziennym życiu uchodźców, było jednak jasne, że sytuacja zmieniała się zasadniczo, i o dalszych losach uchodźców będą decydowały obce rządy przy współudziale zdominowanych przez komunistów władz warszawskich. Musiało to oczywiście budzić uzasadnione obawy wśród uchodźców, którzy zdecydowali się powołać własną reprezentację polityczną. Wśród krążących pogłosek o mającej rychło nastąpić wizycie misji repatriacyjnej z Polski, zapadła 30 IV 1946 r. decyzja o powołaniu w Nairobi Polskiego Komitetu Obywatelskiego z ogólnie zakreślonym zadaniem obrony praw politycznych tych wszystkich, którzy postanowili nie wracać do kraju. Na czele PKO stanął książę Eustachy Sapieha, a jego członkami zostali Jan Barański, Józef Brzeziński, Kazimierz Chodzikiemowicz, Jan Gruja, ks. Władysław Słapa, Seweryn Szczepański, płk Mieczysław Staszewski, prof. Władysław Wargowski i Józef Wnukowski.

Komitet wystosował pismo do mieszkańców osiedli polskich w całej Afryce, w którym zadeklarował swe poparcie dla rządu emigracyjnego w Londynie, czym w praktyce przesądzał też swój stosunek do repatriacji. W dwa tygodnie później PKO, uzyskawszy w międzyczasie poparcie szeregu rad osiedlowych, wystosował memorandum do władz angielskich wręczone Głównemu Sekretarzowi Konferencji Gubernatorów Afryki Wschodniej Ch. Lockhartowi. W dokumencie członków rządu warszawskiego określono jako „agentów Rosji” zmierzających do przekształcenia Polski w jedną z sowieckich republik i stwierdzono, iż „większość polskich uchodźców w Afryce nie wróci do Kraju w obecnych warunkach”⁴⁹.

Stanowisko PKO podzielane przez większość uchodźców, żywiących uzasadnione obawy przed powrotem do rządzonego przez komunistów kraju, przekonały władze angielskie, że szybka likwidacja osiedli polskich w Afryce nie wchodzi w rachubę. Sprawa przyszłości uchodźców polskich dyskutowa-

49. „Polacy w Afryce”, *Polak w Indiach*, II połowa VI 1946, E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 180-181. J. Wróbel, „Wojenne losy ludności cywilnej ewakuowanej z ZSSR w 1942 r.” *Przegląd Powszechny*, nr 5(885), V 1995, s. 208.

na była w odpowiedzialnych za ich los urzędach, a także publicznie na łamach prasy. *The East African Standard* opublikował artykuł pt. *Reluctant Refugees*, którego autor zastanawiał się dlaczego Polacy, pomimo zakończenia wojny, nie chcą wracać do kraju. Podkreślał, iż istniejący stan rzeczy nie może trwać w nieskończoność, gdyż w Afryce brakuje dla nich pracy. Jednocześnie jednak zaznaczał, iż władze brytyjskie nikogo nie będą siłą zmuszały do powrotu. Artykuł ten spotkał się z odpowiedzią członka PKO J. Wnukowskiego, który replikował, „że to właśnie Churchill i Roosevelt oddali w dzierżawę Stalinowi domy tych ‘opornych’ uchodźców i dlatego nie mają oni dokąd wracać”⁵⁰.

Wielka Brytania, ponosząca większość kosztów utrzymania Polaków w Afryce, starała się przynajmniej ich część przerzucić na barki instytucji międzynarodowych. Nastąpiło to z dniem 1 VIII 1946 r., kiedy to odpowiedzialność finansową za utrzymanie uchodźców przejęła UNNRA. Sprawy przyszłości uchodźstwa polskiego w nowej sytuacji, dyskutowane były w dniach 2-4 września w gronie komisarzy do spraw uchodźczych z poszczególnych brytyjskich kolonii w Afryce, z udziałem brygadiera Waddingtona, szefa UNNRA na Środkowy Wschód, Indię i Afrykę. Obecny był również, reprezentujący stronę polską K. Chodzikiewicz. Rozwiano raz jeszcze obawy uchodźców przed przymusową deportacją do Polski, wyraźnie wskazując, iż może ona dotknąć jedynie kryminalistów. Zadeklarowano jednocześnie wszelką pomoc dla tych Polaków, którzy zdecydują się na repatriację, łącznie z opłaceniem wszystkich kosztów związanych z podróżą. Nadal jednak nie zapadły żadne postanowienia w sprawie dalszych losów osób sprzeciwiających się powrotowi do Polski. Co więcej podkreślono, że UNNRA nie będzie opłacała podróży do innych krajów⁵¹.

Jak widać władze angielskie i UNNRA, wyraźnie starały się skłonić Polaków do repatriacji, proponując daleko idącą

50. J.S. Wnukowski, „Dlaczego Polacy nie wracają”, *Polak w Indiach*, II połowa VI 1946.

51. Z konferencji dyrektorów uchodźczych w Nairobi, *Głos Polski*, 6 X 1946.

pomoc w jej przeprowadzeniu, zarazem pozostawiając tych, którzy odmawiali powrotu, w stanie niepewności co do ich dalszego losu. Przyznać jednak trzeba, że nie stosowano nacisku bezpośredniego, a argumenty przeciwników repatriacji znajdowały zrozumienie.

Władze polskie w Warszawie stosunkowo późno zainteresowały się Polakami w Afryce. W pierwszej kolejności zwrócono uwagę na uchodźców w krajach europejskich, którzy byli znacznie liczniejsi, a ich powrót do kraju miał większe znaczenie gospodarcze i polityczne, a także wymowę propagandową. Od początku zdawano sobie też sprawę, iż skłonienie do powrotu ludzi, którzy świeżo mieli w pamięci piekło deportacji w głąb Rosji, będzie najtrudniejsze.

Zapowiedź objęcia akcją repatriacyjną Polaków na Bliskim Wschodzie, Indiach i Afryce ukazała się w noworocznym numerze wydawanego w Warszawie *Repatrianta* z 1946 r. W tydzień później poinformowano czytelników, iż z końcem lutego do Egiptu uda się specjalna misja repatriacyjna⁵². W jej skład weszło pięć osób: mjr Stanisław Seńczuk (szef misji), kpt. Tadeusz Kozub, Tadeusz Jacobson, Teofila Korczyńska i Włodzimierz Wereszczyński. Członkowie Polskiej Misji Repatriacyjnej w Kairze, obejmującej swym zasięgiem działania obok Bliskiego Wschodu, także Indie i Afrykę, opuścili Polskę 11 marca i udali się najpierw do Londynu. Przed wyjazdem do Egiptu Seńczuk przedstawił władzom UNNRA projekt współdziałania w kwestiach repatriacji obywateli polskich. Strona polska deklarując, że chce przyjąć wszystkich obywateli Rzeczypospolitej domagała się od UNNRA zaopatrzenia powracających uchodźców w żywność, odzież i przewożenia ich do portów polskich jak również włączenia w skład swego sztabu delegata rządu polskiego, odpowiedzialnego za sprawę repatriacji. Zanim jednak doszło do jakichkolwiek ustaleń misja odleciała 13 kwietnia samolotem do Kairu i rozpoczęła pracę w oparciu o istniejące tam poselstwo polskie. Początkowo skoncentrowano się – zresztą bez większych efektów – na pracy wśród skupisk polskich w bliskiej Palestynie i Libanie, a dopiero jesienią poświęcono

52. *Repatriant*, r. II, 1946, nr 8, s. 5.

więcej uwagi skupiskom polskim w Afryce Wschodniej i Południowej⁵³.

Posel Kuligowski, który po rychłym odwołaniu Seńczuka objął kierownictwo akcji repatriacyjnej, skierował do Kenii Tadeusza Jacobsona, który udał się tam 16 września. Najpierw odwiedził English Point Camp w Mombasa, który służył za punkt tranzytowy dla repatriantów. Zastał tam 250 uchodźców, którzy nie czekając na inicjatywę rządu polskiego w Warszawie zdecydowali się na powrót do kraju i oczekiwali tu od dłuższego czasu na statek do Europy. Już na wstępie Jacobson spotkał się z niechęcią niektórych rodaków, co utwierdziło go w przekonaniu, że czeka go trudne zadanie. Biuro delegata Polskiej Misji Repatriacyjnej założono w Nairobi w budynku EARA, ale już na wstępie doszło do nieporozumień z władzami brytyjskimi, które zabroniły mu ingerowania w wewnętrzne sprawy osiedli polskich. Dopiero groźba natychmiastowego powrotu do Kairu, skłoniła komisarza Brutona do zmiany stanowiska w tej sprawie⁵⁴.

Jacobson, mający za sobą doświadczenie bezowocnych zabiegów w Palestynie, na gruncie afrykańskim poczynął sobie ostrożnie i rozważnie. Pragnąc zadokumentować dobrą wolę złożył wizyty K. Chodzikiemiewiczowi, pełniącemu funkcję głównego polskiego doradcy przy władzach brytyjskich oraz księdzu Władysławowi Ślupie, szefowi duszpasterstwa polskiego w Afryce. Chciał przede wszystkim uzyskać przychyłność lub przynajmniej neutralność kleru, z którego wpływu na uchodźców zdawał sobie sprawę. Rozwinął także akcję wyjaśniającą, kierując do poszczególnych osiedli list otwarty wyjaśniający zasady repatriacji oraz ukazujący warunki życia w Polsce. Wszędzie spotkał się jednak ze zdecydowanym przeciwdziałaniem przeciwników powrotu do kraju. Wrogość okazano mu już podczas pierwszych wizytacji osiedli w

53. AAN, GPR, sygn. 411, Pismo wiceministra Wolskiego do Delegata RP na Palestynę i Transjordanę w Jerozolimie z 27 III 1946 r., tamże, Depesza mjr Seńczuka z 16 IV 1946 r. do wiceministra Wolskiego.

54. AAN, GPR, sygn. 411, Depesza posta Kuligowskiego do wiceministra Wolskiego z 25 IX 1946 r., tamże sygn. 417, Sprawozdanie ogólne Tadeusza Jacobsona, przedstawiciela Polskiej Misji Repatriacyjnej na Afrykę za okres 17 IX 1946–4 IV 1947.

Ugandzie a później i w Tanganice, zwłaszcza w Tengeru. Zdecydowanie odmówiono też opublikowania listu otwartego na łamach *Głosu Polskiego*. Próby zdobycia poparcia Brytyjczyków dały tylko częściowy rezultat. Wysocy urzędnicy władz kolonialnych przyjmowali życzliwie wysłannika rządu polskiego, a prasa angielska publikowała jego odezwy, ale na tym poparcie kończyło się. Mimo próśb Jacobsona, Anglicy stanowczo odmówili interwencji w redakcji *Głosu Polskiego*, która sprzeciwiała się publikowania jego artykułów. W tej sytuacji Jacobsonowi nie pozostało nic innego jak zaniechać prób prezentowania swego stanowiska na łamach prasy polskiej⁵⁵.

Przedstawiciel PMR podjął próbę przełamania izolacji, w jakiej się znalazł, przez pozyskanie współpracowników w poszczególnych osiedlach. Poparcia spodziewał się zwłaszcza ze strony nielicznych zwolenników repatriacji. W Tengeru Jacobson nawiązał kontakt z Franciszkiem Królem, używającym tytułu przedstawiciela Polskiego Stronnictwa Ludowego na Afrykę, i skłonił go do wydania oświadczenia popierającego powrót do kraju. Nie odniosło to jednak żadnego efektu, a sam F. Król, jak informował Jacobson, okrzyknięty został płatnym agentem Moskwy.

Za główny powód swych niepowodzeń wysłannik Warszawy uznał przeciwdziałanie licznych wrogów repatriacji rekrutujących się spośród dawnego polskiego kierownictwa osiedli, duchowieństwa i zwolenników rządu londyńskiego. Zdaniem Jacobsona przeciwnicy repatriacji działali z ukrycia terroryzując ogół mieszkańców jak również otwarcie zwalczając akcję repatriacji, strasząc uchodźców represjami pod rządami komunistów. Jediną możliwość neutralizacji wpływów przeciwników powrotu widział Jacobson w likwidacji placówek polskich doradców przy władzach kolonialnych. Żądał też powołania w poszczególnych osiedlach oficerów repatriacyjnych spośród wskazanych przez niego ludzi. Sprawę tę poruszył na jednym ze spotkań z komisarzami do spraw uchodźczych w Dar-es-Salaam. Propozycje te zostały częściowo uwzględnione w obu Rodezjach, ale zdecydowanie prze-

55. AAN, GPR, sygn.417, Sprawozdanie ogólne T. Jacobsona...

ciwił się im komisarz Pennington z Tanganiki. Ostatecznie ustanowiono oficerów repatriacyjnych tylko w Gatooma, Bwana-Mkubwa oraz Lusace i Mombasie. Funkcje te objęli odpowiednio Jonak, Kotowicz, Gonet i Kownacki⁵⁶. Drugi z postulatów Jacobsona został zrealizowany 15 IV 1947 r., kiedy to decyzją EARA uległy likwidacji urzędy polskich doradców, które tak krzyżowały szyki wysłannikowi rządu polskiego. Wiązało to się jednak nie tyle z żądaniami władz polskich w Warszawie, co z przejęciem opieki nad polską ludnością cywilną w Afryce przez wyspecjalizowaną agendę ONZ – International Refugee Organization (IRO), co nastąpiło z początkiem lipca 1947 r. Jacobson nie zdołał jednak wykorzystać tych zmian w swej akcji na rzecz repatriacji, gdyż wyjechał do Polski w początkach kwietnia. Bilans jego pracy był skromny. Do Polski do kwietnia 1947 r. wyjechało zaledwie 1.013 uchodźców a dalszych 1.500 oczekiwało na transport do kraju. Pamiętać przy tym trzeba, że część repatriantów zdecydowała się na powrót jeszcze przed jego przybyciem do Afryki⁵⁷. Było jasne, że bez przełamania obaw ludności osiedli polskich nie uda się przeprowadzić repatriacji na większą skalę.

Specyficznym problemem, który narastał od zakończenia wojny w Europie, a zwłaszcza wycofania uznania dla polskiego rządu w Londynie przez mocarstwa zachodnie, była sprawa dalszego losu sierot przebywających w osiedlach afrykańskich. Dotąd ich prawnym opiekunem był rząd na uchodźstwie reprezentowany na miejscu przez konsulatory i delegatury ministerstw, lecz po 5 lipca 1945 r. ten stan rzeczy stracił podstawy prawne. Należało liczyć się z ewentualnością, że rząd w Warszawie zechce wkrótce przejąć pełną kontrolę nad sierocińcami w Afryce i doprowadzić do repatriacji przebywających w nich dzieci. Dotychczasowi opiekunowie pragnęli tego uniknąć i utworzyli komitety opieki nad dziećmi.

56. Tamże

57. AAN, GPR, sygn. 417, Sprawozdanie ogólne T. Jacobsona..., E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 182-183. Zbliżone dane publikowano w Polsce. Według stanu na początek maja 1947 r. z Afryki wróciło do kraju 1100 osób, a ponad 1500 oczekiwało w Mombasa na statek do Europy. Uchodźcy polscy w Afryce, *Repatriant*, nr 15(66) z 8 V 1947, s. 8.

W końcu 1946 r. Sąd Najwyższy Tanganiki uznał Komitet Opieki nad Dzieckiem, pod przewodnictwem biskupa Edgara Maranta, za jedyny organ uprawniony do sprawowania funkcji opiekuńczych w stosunku do polskich sierot w tym kraju. W marcu 1947 r. Sąd Najwyższy Kenii zarejestrował Komitet Opiekuńczy nad Polskimi Dziećmi z siedzibą w Nairobi. Przewodniczył mu ksiądz T.J. Ennis, wiceprzewodniczącą była księżna Teresa Sapieżyna, a członkami księża W. Wargowski, W. Słapa, Dorothy Hughes i Regina Budzyńska⁵⁸. Podobny organ pod nazwą Rady Opiekuńczej utworzono w Południowej Rodezji. Przewodniczył jej biskup Salisbury, a w jego składzie znaleźli się zarówno Polacy jak i przedstawiciele władz kolonialnych⁵⁹.

Nikłe rezultaty repatriacji w okresie do wiosny 1947 r. skłoniły władze w Warszawie do zaproszenia przedstawicieli społeczności polskiej w Afryce do kraju, aby na miejscu mogli zorientować się w panujących tu warunkach i po powrocie udzielili wyczerpujących wyjaśnień rodakom pozostającym w osiedlach. Spodziewano się, że tą drogą uda się przełamać nieufność wielu uchodźców, którzy traktowali dotąd zapewnienia wysłanników rządu polskiego w Warszawie o doskonałych warunkach życia i pracy na Ziemiach Odzyskanych, za propagandowe kłamstwa.

Delegacja tzw. Polonii afrykańskiej przebywała w Polsce w dniach od 25 maja do 7 czerwca 1947 r. W jej skład weszły trzy osoby: ks. dziekan Władysław Słapa, ks. Bolesław Szmania oraz instruktor szkolny Jan Inglot. Towarzyszył im delegat UNNRA na Afrykę A. Curtis oraz T. Jacobson. Wizycie nadano dużą rangę, przez zorganizowanie spotkań z politykami, prasą; zadbane również o bogaty program wizytacji miejscowości, gdzie przebywali już repatrianci z Afryki lub gdzie zamierzano ich skierować. 27 maja delegacja została przyjęta przez ministra Wolskiego, który powiedział, iż „Raju u nas nie ma, każdy dorosły i zdrowy, kto przyjeżdża musi

58. AAN, GPR, sygn. 417, Sprawozdanie ogólne T. Jacobsona..., *Głos Polski* z 22 XII 1946 i 8 VI 1947.

59. AAN, GPR, sygn. 416, Pismo L. Jonaka oficera repatriacyjnego w Rodezji Południowej do T. Jacobsona z 19 IV 1947 r.

zakasać rękawy i ciężko pracować, ale wie przynajmniej, że pracuje dla siebie i kraju na swojej nie obcej ziemi”. Zapewnił jednocześnie, że kobiety, dzieci i chorzy zostaną otoczeni opieką państwa. Jako miejsce osiedlenia repatriantów wskazał Ziemię Odzyskaną⁶⁰.

Podróż po kraju delegacja rozpoczęła od krótkiej wizyty w Łodzi, skąd wyjechała do Częstochowy a następnie do Katowic, pierwszej miejscowości na Ziemiach Odzyskanych. Zwiedzano tu zakłady przemysłowe oraz punkt etapowy Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Dziedzicach, na granicy z Czechosłowacją, gdzie przybysze mogli zapoznać się z procedurą przyjmowania repatriantów. Dalsze etapy podróży wiodły przez Kraków, Opole, Wrocław, Poznań, Szczecin, Gdynię i Olsztyn. Poza zwiedzaniem obiektów przemysłowych, szkół i zabytków kultury, delegaci mieli okazję spotkać się z krewnymi a nawet rozmawiać z repatriantami z Afryki, osiedlonymi na Ziemiach Odzyskanych. Brali też udział w konferencjach z udziałem miejscowych władz i przedstawicieli PUR. Odbywały się również konferencje prasowe.

Według oceny organizatorów wizyty, spełniła ona swe zadanie. Przełamano początkową nieufność delegatów, rozproszono ich obawy, przekonano, że w nowej Polsce repatrianci znajdą warunki do spokojnego, w miarę dostatniego życia z zachęcającymi perspektywami na przyszłość. Autor nie dotarł do relacji członków delegacji, ale ich poglądy częściowo ujawniają dokumenty organizatorów wizyty. Podczas konferencji w Katowicach na zarzut T. Jacobsona, iż w Afryce prowadzona jest propaganda „antypowrotowa”, ks. Słapa odpowiedział, iż jej nie ma, a istota problemu tkwi w nieufności „Polonii Afrykańskiej” wobec ZSSR. Zapewnił jednocześnie, że jeśli delegacja skonstatuje, że w Polsce spokojnemu repatriantowi nic nie grozi, poprze repatriację. Relacje prasowe omawiające przebieg wizyty wspominają wprawdzie, iż J. Inglot twierdził, iż „nie ma żadnych przeszkód, by liczne rzesze uchodźców powróciły z przymusowej tułaczki do

60. AAN, GPR, sygn. 417, Sprawozdanie E. Naganowskiego – delegata Polskiego Związku Zachodniego z pobytu delegacji Polonii afrykańskiej w Polsce; *Repatriant*, nr 18(69) z 30 V 1947.

kraju” a ks. Słapa przyznawał, że podczas pobytu w Polsce delegacja nie była poddawana żadnym naciskom, ale brakuje w nich wyraźnego stwierdzenia delegatów, że poprą akcję repatriacyjną Polaków przebywających w osiedlach afrykańskich⁶¹. Możemy tylko przypuszczać, że za wyraźną wstrzeżnością delegatów w składaniu jakichkolwiek deklaracji kryła się nadal głęboko zakorzeniona obawa przed komunizmem. Nie ulega wątpliwości, że w toku nieformalnych spotkań mogli zorientować się w rzeczywistej sytuacji w Polsce, a zwłaszcza dążeniu polskich komunistów i ich moskiewskich mocodawców do wyeliminowania wszelkiej opozycji.

Pobyt ks. Słapy i jego kolegów w Polsce nie wpłynął w znaczący sposób na przebieg akcji repatriacyjnej. Większość uchodźców nie wyzbyła się głębokiej nieufności do komunizmu i nie zamierzała ryzykować powrotu do kraju zdominowanego przez komunistów. Na repatriację decydowali się natomiast ci, którzy mieli w kraju najbliższych, pochodzili z terenów nadal należących do państwa polskiego, mieli dosyć tułaczki i nie wyobrażali sobie życia na obczyźnie. W połowie 1947 r. ogólna liczba osób, które wyjechały z Afryki do Polski sięgnęła 1.696. Repatriacja nie przybrała też większego zasięgu w okresie późniejszym, mimo kłopotów na jakie napotykali uchodźcy w staraniach o emigrację do zamożniejszych krajów Zachodu. W okresie od lipca 1947 do października 1949 r. wyjechało do Polski ok 2.100 osób, a łączna liczba repatriantów z Afryki sięgnęła 3.800 osób, co stanowiło 21% ogółu mieszkańców afrykańskich osiedli. Inne źródła oceniają liczbę repatriantów na 3.500 osób, czyli na 19% ogółu uchodźców⁶².

Szlaki transportów repatriacyjnych biegły najpierw do Mombasa, gdzie mieścił się obóz tranzytowy. Tu oczekiwano na transport morski, niekiedy po kilka miesięcy. Statki przewoziły kolejne transporty na północ, wzdłuż wybrzeży afrykańskich do Suez, a stąd Morzem Śródziemnym do portów włoskich. We Włoszech repatriantów lokowano

61. AAN, GPR, sygn. 417, Sprawozdanie E. Naganowskiego...; *Repatriant* nr 23(74) z 5 VII 1947, s. 9.

62. R. Królikowski, „Polacy w Afryce Wschodniej”, *Kultura*, (Paryż), 1949, nr 9(26), s. 139-140.

zazwyczaj w obozie tranzytowym w Bari, gdzie oczekiwali na ostatni etap podróży do kraju. Transporty repatriacyjne były dobrze zorganizowane, a UNNRA, potem IRO dbały o właściwe warunki podróży i zaopatrzenie w żywność. Skarżono się jednak na długie oczekiwanie w obozach przejściowych w Mombasa i Bari, i brak ciepłej odzieży potrzebnej w chłodniejszej Europie. Z Włoch do Polski repatrianci przyjeżdżali specjalnymi transportami kolejowymi. Ten ostatni etap podróży przebiegał przeważnie bez większych zakłóceń i w dobrych warunkach. Przykładowo transport 509 repatriantów z Afryki, który wyjechał z Bari 4 II 1947 r. dotarł do Dziedzic na granicy polskiej po sześciu dniach podróży. Ogółem liczył 47 wagonów, w tym wagon sanitarny. Podróżnym wydano już w Bari żywność na 5 dni, a dodatkowo chleb w Pradze. Dzieci otrzymały mleko i cukierki. Po przybyciu do Dziedzic repatrianci zostali przeniesieni do baraków tamtejszego obozu PUR, podjęto też załatwianie niezbędnych formalności. Od 11 do 13 lutego, zaopatrzeni w dokumenty i stuzłotową zapomogę wyjechali wagonami osobowymi do swych miejsc zamieszkania. Jest rzeczą charakterystyczną, że tylko 122 osoby spośród 509 wyjechały na Ziemie Odzyskane, co wskazywałoby, iż wśród repatriantów przeważały osoby pochodzące z terenów, które znalazły się w granicach nowej Polski lub też mogły liczyć na pomoc zamieszkałej tam rodziny⁶³.

Zdecydowana większość uchodźców polskich w Afryce odmówiła powrotu do kraju, wybierając tym samym los emigrantów. Było jednak rzeczą przesądzoną, iż nie pozostaną oni w Afryce. Rozwiązanie problemu Polaków z Afryki było jednym z poważniejszych zadań IRO, która sprawowała kontrolę nad osiedlami polskimi od lipca 1947 r. Zanim jednak do tego doszło władze brytyjskie poważnie ograniczyły wydatki na rzecz uchodźców polskich. Na skutek zarządzenia EARA, z dniem 15 IV 1947 r. zostały zlikwidowane urzędy polskich doradców, co wyeliminowało resztki polskiego samorządu w osiedlach⁶⁴.

63. AAN, GPR, sygn. 417, Sprawozdanie Mariana Deca – naczelnika punktu etapowego PUR w Dziedzicach z przybycia transportu repatriacyjnego z Włoch w dniu 10 II 1947 r.

64. E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 182-183.

Do rzędu decyzji mających na celu ograniczenie wydatków na utrzymanie uchodźców zaliczyć trzeba również koncentrację uchodźców w wybranych obozach, co było też wstępem do ich przesiedlenia. W Rodezji Południowej już w końcu 1946 r. zlikwidowano osiedla w Marandellas, Rusape i ośrodek szkolny w Digllefold, a uchodźców przeniesiono do obozu w Gatooma, gdzie dotąd przetrzymywano obywateli włoskich. Warunki bytu, zwłaszcza wyżywienie, w tym obozie były gorsze niż poprzednio, co wywołało protesty Polaków. Powtarzające się skargi sprawiły, iż skierowano do Gatooma dr S. Krupko, wykładowcę jednego z południowoafrykańskich uniwersytetów. Sporządził on raport, w którym potwierdził fakt zbyt niskiej kaloryczności dostarczanych posiłków i złego traktowania uchodźców przez urzędników kolonialnych. Władze Rodezji Południowej skierowały w dniu 24 VIII 1947 r. specjalną komisję reprezentującą resorty spraw wewnętrznych i sprawiedliwości aby na miejscu oceniły sytuację w osiedlu. Komisja potwierdziła wcześniejsze ustalenia dr S. Krupko. Należy przypuszczać, iż spowodowało to poprawę warunków bytu w Gatooma⁶⁵.

Proces koncentracji uchodźców postępujący wraz z repatriacją i emigracją do innych krajów miał też miejsce w Afryce Wschodniej. W ciągu lat 1946-1948 zlikwidowano wszystkie mniejsze osiedla polskie, pozostawiając jedynie Tengeru w Tanganice i Koja w Ugandzie⁶⁶. Autor nie dysponuje informacjami, jak koncentracja uchodźców przebiegała w Rodezji Północnej. Prawdopodobnie przebywających tam Polaków przeniesiono do Rodezji Południowej lub Tanganiki.

Największe nadzieje uchodźców polskich, skupionych w osiedlach afrykańskich, budziła zapowiadana od dawna akcja łączenia rodzin wojskowych. Większość uchodźców posiadała krewnych służących w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, fakt ten przesądził wcześniej o możliwości opuszczenia ZSSR. Dopóki jednak żołnierze pozostawali w czynnej służbie, a problem przyszłości wojska nie znalazł politycznego rozwiązania, dopóty połączenie rodzin nie było możliwe.

65. H. Zins, „Polacy...”, s. 88–92.

66. R. Królikowski, *op.cit.*, s.140.

Dopiero w końcu czerwca 1946 r. król Jerzy VI podpisał rozkaz stanowiący podstawę prawną powołania Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia dla żołnierzy odmawiających powrotu do kraju. Nieco później, z początkiem 1947 r. Izba Gmin uchwaliła Polish Resettlement Act, a polskie rodziny wojskowe zostały zrównane w prawach z wojskowymi rodzinami obywateli brytyjskich. Otworzyło to drogę do wyjazdów Polaków z Afryki do Wielkiej Brytanii⁶⁷. Zapowiadano, że do końca 1947 r. na wyspy przybędzie ok. 17.000 członków rodzin wojskowych, w tym wielu z Afryki⁶⁸.

W praktyce jednak akcja łączenia rodzin odwlekała się w czasie i dopiero 18 II 1948 r. odpłynął z Mombasa pierwszy wielki transport złożony z 1.800 osób. Odtąd, co półtora miesiąca na wyspy brytyjskie wyruszały kolejne transporty. Ogółem, w okresie od początków października 1947 r. do końca roku 1948 wyjechało z Afryki do Anglii ok. 9.500 osób. Większość podróżowała statkami z Mombasy przez Kanał Sueski, Morze Śródziemne i Atlantyk do portów brytyjskich, część przybyła tam samolotami. Angielskie władze wojskowe przydzieliły Polakom 1.000 miejsc w samolotach odlatujących z Nairobi do Europy. Loty odbywały się co dwa tygodnie, a kolejne transporty oczekiwały na odlot w Kenton Transit Camp na przedmieściach Nairobi⁶⁹. W przeciągu 1948 r. liczba Polaków w Afryce Wschodniej zmniejszyła się do 3.497 osób z czego 2.080 przebywało w Tanganice, 1.387 w Ugandzie i 30 w Kenii. Po zakończeniu akcji łączenia rodzin IRO sprawująca opiekę nad uchodźcami w Afryce stanęła w obliczu problemu tych osób, które odmówiły powrotu do komunistycznej Polski, a nie zostały objęte akcją łączenia rodzin wojskowych. Długo nie potrafiono uporać się z tym niełatwym problemem. Jeszcze 1 X 1949 r. w Afryce Wschodniej przebywało 3.238 osób, z czego 2.016 w Tengeru i 972 w Kojach. W osiedlach afrykańskich znalazła się również kilkusetosobowa grupa Polaków, mieszkańców

67. J. Linowski, „Trudne powroty. Losy żołnierzy polskich na Zachodzie 1945–1949”, Warszawa 1987, s. 99–100, 142.

68. *Dziennik Związkowy* (Chicago), 1 VII 1947, s. 1.

69. R. Królikowski, op.cit., s. 139; E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 183.

Valivade w Indiach, którzy nie zakwalifikowali się na wyjazd do Anglii w ramach akcji łączenia rodzin wojskowych. Ponadto przebywały tam 173 osoby pracujące poza osiedłami i 70 osób w Kenii. W porównaniu ze stanem sprzed dziesięciu miesięcy sytuacja – przynajmniej jeśli chodzi o liczebność uchodźców – zmieniła się niewiele⁷⁰.

W przeciągu 1948 r. rozwiązano w zasadzie problem uchodźców polskich w Rodezji Południowej. Do końca roku do Wielkiej Brytanii wyjechało 1.108, do Polski 211, a do Tanganiki przeniesiono dalszych 500 osób⁷¹. Nadal jednak pozostało na miejscu kilkaset Polaków, z których część znalazła pracę w Salisbury lub fabryce tekstylnej w Gatooma. Łączna liczba Polaków, którzy znaleźli pracę na miejscowym rynku i usamodzielnili się wynosiła 472. Fakt ten próbował wykorzystać Polski Komitet Obywatelski, który razem z IRO zwrócił się do władz kolonialnych kilku krajów afrykańskich o zgodę na stałe osiedlenie pewnej liczby Polaków, zwłaszcza tych, którzy mieli pracę, poszukiwane kwalifikacje i poznali język angielski. Mimo poparcia tych starań przez brygadiera H. Lusha, szefa IRO na Afrykę, ich wynik był skromny. Jedynie cztery kraje przyznały Polakom tzw. kwoty osiedleńcze. Kenia przyrzekła przyjąć 300 osób, Tanganika 250, Rodezja Północna 350, a Rodezja Południowa 150. Odmownie natomiast odpowiedziały władze Ugandy, Konga Belgijskiego i Unii Południowej Afryki. Procedura przyznawania prawa stałego pobytu była skomplikowana i stwarzała wiele wymagań trudnych do spełnienia. Kandydaci musieli okazać ważny kontrakt pracy i złożyć kaucję gwarantującą, że nie będą ciężarem dla miejscowych władz. Jej wysokość, zależnie od kraju, wahała się od 50 do 200 funtów. Podania rozpatrywane były indywidualnie przez właściwe władze po zasięgnięciu opinii IRO. Osadnictwo Polaków najlepiej przebiegało na terenie Kenii, gdzie do 1 X 1949 r. prawo pobytu otrzymało 300 osób, a więc tyle ile wynosił przyznany limit. Sporządzono nawet listę rezerwową na wypadek gdyby ktoś zrezygno-

70. R. Królikowski, op.cit., s. 140; E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 184.

71. H. Zins, „Polacy...”, s. 102.

wał. W Tanganice prawo pobytu otrzymało 230 osób, a w Rodezji Północnej 340. W Rodezji Południowej osiedliło się 120 osób. Ciekawy eksperyment przeprowadzono w Kenii, gdzie stworzono polski zespół rzemieślników zatrudnionych przy robotach publicznych. Otrzymali oni działki, na których pobudowali, przy pomocy rządu, kolonię polską. Tytułem próby nadano im prawo pobytu na 4 lata a po ich upływie prawo stałego pobytu⁷².

Polacy, którzy osiedlili się na stałe w Afryce na ogół zajęli wysoką pozycję w tamtejszym społeczeństwie białych. Wielu pracowało w miejscowej administracji, przemyśle budowlanym, hotelarstwie, niektórzy dorobili się pięknych farm. Oznaką stabilizacji były też małżeństwa z miejscowymi obywatelami. Tylko w Rodezji Południowej 45 Polek poślubiło Anglików.

Stosunkowo niewielka liczba uchodźców z osiedli polskich w Afryce nie objętych repatriacją ani akcją łączenia rodzin wojskowych, wyemigrowała do innych krajów. W przeciągu 1948 r. około 200 osób uzyskało, drogą indywidualnych starań, prawo pobytu w USA, Argentynie i Kanadzie. Przy pomocy IRO zorganizowano też wyjazd 544 osób do pracy we Francji, i 300 osób do pracy w Anglii. W maju następnego roku kanadyjska komisja werbunkowa zakwalifikowała na wyjazd 316 osób, z czego 212 do pracy, a pozostałe do zamieszkałych już w Kanadzie rodzin. Prowadzono również akcję werbunkową do pracy w Australii⁷³.

Najtrudniejszym problemem do rozwiązania była sprawa dalszej przyszłości sierot przebywających w osiedlach afrykań-

72. R. Królikowski, *op.cit.*, s. 142-143. Inaczej sprawę osadnictwa Polaków w Rodezji Południowej przedstawia H. Zins. Na podstawie dostępnych mu źródeł stwierdził, iż pierwotnie kwota imigracyjna dla Polaków została ustalona przez miejscowe władze w wysokości 90 osób, chociaż IRO zabiegało o jej podniesienie do wysokości 400 osób. Ostatecznie zgodzono się na rozpatrzenie 196 indywidualnych podań z których 62 załatwiono pozytywnie, 109 odrzucono, a decyzję w sprawie 25 odroczone. Dane te odnoszą się do stanu z 1947 r. i być może w latach późniejszych kilkudziesięciu Polakom udało się dodatkowo uzyskać prawo pobytu, i tym samym ich ogólna liczba w tym kraju sięgnęła 120 osób. H. Zins, „Polacy...”, s. 99-101.

73. R. Królikowski, *op.cit.*, s. 139-140.

skich. Jak już wspomniano, ich prawnymi opiekunami były komitety zarejestrowane w Kenii i Tanganice po likwidacji polskich konsulatów i delegatur reprezentujących rząd polski na uchodźstwie. Pozostał jednak problem przyszłości dzieci, które nie mogły pozostawać w nieskończoność w likwidowanych stopniowo osiedlach afrykańskich. Wokół sprawy tej toczyły się poufne rozmowy pomiędzy komitetami opiekuńczymi, IRO, Stolicą Apostolską a rządami kilku zainteresowanych krajów. Ostatecznie zapadła decyzja o wysłaniu dzieci do Kanady pod opiekę tamtejszego episkopatu katolickiego⁷⁴. Towarzyszyć im mieli polscy opiekunowie. Transport wyruszył z Mombasy w dniu 4 VI 1949 r. i dotarł do włoskiego obozu w Solerno, gdzie mieścił się duży obóz skupiający dzieci i młodzież z różnych krajów. Podczas pobytu we Włoszech władze polskie próbowały objąć kontrolę nad dziećmi, powołując się na prawo polskie i międzynarodowe. Przedstawiciele ambasady polskiej w Rzymie kontaktowali się z dziećmi, próbowali też wywrzeć nacisk na IRO a nawet rząd włoski, aby pozwoliły na repatriację dzieci. Ponieważ naciski stawały się coraz silniejsze IRO zdecydowała się przenieść dzieci do Bremy, amerykańskiej enklawy w brytyjskiej strefie okupacyjnej. W początkach sierpnia dzieci przewieziono w tajemnicy do Bremy, co stało się przyczyną wielkiej akcji propagandowej rozpętanej przez prasę polską kontrolowaną przez komunistów. *Życie Warszawy* wywiezienie dzieci określało jako kidnaping na skalę międzynarodową, *Rzeczpospolita* pisała o IRO jako agencji dostarczającej taniej siły roboczej do bogatych krajów Zachodu, a *Trybuna Ludu* urzędników IRO nazwała „handlarzami niewolników”. Prasie centralnej wtórowały wielkie dzienniki prowincjonalne, prześcigając się w krytyce IRO i państw zachodnich. Katowicka *Trybuna Robotnicza* karmiła swych czytelników rewelacjami o planowanym zatrudnieniu dzieci w charakterze służących w bogatych domach Kanadyjczyków lub jako niewolników na farmach. Krakowski *Dziennik Polski* określił

74. Ł. Z. Królikowski, „Skradzione dzieciństwo”, wyd. II, Buffalo, brw. s. 242-253; Tenże, „Stolen Childhood. A Saga of Polish War Children”, Buffalo 1983, s. 177-184.

całą sprawę jako akt gangsterstwa. Rząd w Warszawie zdecydował się nawet na wystosowanie do rządu USA specjalnej noty dyplomatycznej. W warunkach „zimnej wojny” interwencje te nie miały jednak szans na pozytywne załatwienie⁷⁵. W początkach września polskie dzieci dotarły do Kanady.

Inaczej potoczyły się losy sierocińca w Oudtshoorn. Z początkiem 1947 r. departament opieki Unii Południowej Afryki przejął polskie placówki oświatowo-wychowawcze na terenie całego kraju. Rząd południowoafrykański, dążąc do rozwiązania sprawy dalszych losów polskich dzieci, zwrócił się do Delegata Apostolskiego w UPA arcybiskupa Lucasa z prośbą, aby zechciał współdziałać w rozwiązaniu problemu. Na wieść o tym były konsul S. Łepkowski spotkał się z arcybiskupem i zaprezentował mu punkt widzenia strony polskiej. Łepkowski poparł projekt polskich Sióstr Służebniczek z Rodezji Północnej, które pragnęły założyć w Johannesburgu nowicjat z bursą dla dziewcząt polskich. Projektu tego ostatecznie nie zrealizowano i polskie dzieci umieszczono w kilku katolickich konwentach, gdzie zapewniono im jedynie naukę religii w języku polskim. Próbowano jeszcze interwencji za pośrednictwem urzędującego przy Stolicy Świętej ambasadora Kazimierza Papee, ale jak się wydaje, bez większych efektów. Ostatecznie dziewczęta z Oudtshoorn umieszczono, na koszt władz UPA, w ośmiu konwentach katolickich, chłopców starszych skierowano do szkół przygotowujących do pracy w kopalniach UPA, a młodszych do placówek prowadzonych przez księży salezjanów. Część młodzieży wyjechała do Anglii w ramach akcji łączenia rodzin⁷⁶. W lipcu 1947r. osiedle w Oudtshoorn postawiono w stan likwidacji. Polscy wychowawcy oraz reprezentanci rządu emigracyjnego utrzymywali nadal kontakt z podopiecznymi; powołano też miejscowy oddział Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Młodzieży.

Ostateczny kres polskich skupisk uchodźczych w Afryce

75. Ł. Z. Królikowski, „Stolen...”, s. 193-210; Głosy prasy polskiej podano za *Repatriantem* nr 32 z 12 VIII 1949; nr 33 z 20 VIII 1949; nr 34 z 27 VIII 1949; nr 35 z 3 IX 1949.

76. E. Wróbel, J. Wróbel, op.cit., s. 202-204; „Przetrwaliśmy. We Have Survived”, Johannesburg 1993, s. 44-45.

nastąpił w 1950 r. Jeszcze w końcu 1949 r. w Afryce przebywało pod opieką IRO ponad 3000 Polaków. W końcu 1950 pozostali już tylko osadnicy z prawem stałego pobytu. Według sprawozdania H.C. Curtisa nadzorującego proces likwidacji polskich osiedli w Afryce, 11.129 uchodźców wyjechało do Anglii, 3.500 repatriowało się do Polski, do Australii wyjechało 1.226 osób, Kanady 792, Francji 563. Przyjmując, iż ogółem w Afryce przebywało ok. 18.250 Polaków (stan z 1944 r.) pozostałe 1.030 osób stanowili uchodźcy, którzy otrzymali prawo stałego pobytu w krajach afrykańskich⁷⁷.

Pobyt kilkunastu tysięcy Polaków w Afryce Wschodniej i Południowej, fakt bez precedensu w historii kontaktów Polski z „czarnym lądem”, nie przyniósł poważniejszych następstw w dziedzinie politycznej, gospodarczej i kulturalnej. Już w dziesięć lat po likwidacji największego osiedla uchodźców polskich w Tengeru, trudno było tam znaleźć ślady pobytu Polaków. Wiedza i doświadczenie ludzi, którzy spędzili kilka wojennych lat w Afryce nie mogły być spożytkowane dla dalszego rozwijania stosunków Polski z krajami afrykańskimi. Komunistyczne władze w Polsce podejrzliwie traktowały repatriantów, ze względów politycznych nie mogło też dojść do współpracy władz polskich z tymi, którzy pozostali w Afryce na stałe. Jedynie na emigracji pisano o tym egzotycznym rozdziale wojennych losów Polaków.

Janusz WRÓBEL

77. H. Zins, „Szkice...”, s. 322-323. Nieco inne dane zawiera artykuł R. Królikowskiego. Liczbę repatriantów ocenia na 3.800 osób, nie wspomina też o masowych wyjazdach do Australii. Biorąc pod uwagę fakt, iż Curtis miał pełny wgląd w dokumentację dotyczącą uchodźców sądzę, iż jego zestawienie jest wiarygodne tym bardziej, że potwierdzają je dane z innych źródeł.

WSPOMNIENIA

Jerzy STRASZAK

„SZKOŁA SZPIEGÓW”

Sierpień 1943

Budynek szkoły był poprzednio czyjaś dość okazała rezydencja – granitowy, solidny, trzypiętrowy, stał na szczycie niewielkiego pagórka, otoczony trawnikiem, drzewami i krzakami, z podjazdem na samochody i kamiennymi schodkami prowadzącymi do mocnych dębowych drzwi. Nie było przy tych drzwiach żadnych znaków ani napisów, tylko nad elektrycznym dzwonkiem mały napis „Proszę dzwonić”.

Zadzwoniłem i po chwili otworzył mi drzwi bystro wyglądający kapral, który natychmiast wydawał się wiedzieć kim jestem, ale potwierdził to przez zapytanie.

„Pan pułkownik czeka już na pana porucznika” – powiedział, „w tej chwili zabiorę pana na górę”.

Weszliśmy do dużego hallu, z kilkoma parami zamkniętych drzwi prowadzących na prawo i lewo na tym samym poziomie i poprowadził mnie na wyższe piętro po łuku szerokich kamiennych schodów. Hall na tym piętrze był mniejszą repliką hallu na parterze. Tu też było szereg różnych drzwi prowadzących, jak się domyślałem, do pokoiów wykładowych, ale regi tego pomieszczenia były ozdobione naturalnej wielkości

złowrogo wyglądającymi manekinami SS-manów, niemieckich lotników, oficerów i żołnierzy Wehrmachtu i Kirgsmarine w mundurach. Ściany pomiędzy drzwiami były zawieszone plakatami pokazującymi różne oznaczenia niemieckich rang wszystkich trzech sił zbrojnych, *ordres de bataille* poszczególnych jednostek i fotografie niemieckich okrętów, czołgów, armat i samolotów. Z jednej z sal wykładowych dochodziło *beep-beep* Morse'a.

Kapral zapukał do drzwi prowadzących do narożnego pokoju, poczekał na „Wejść!” z wewnątrz, otworzył drzwi przede mną i wpuściwszy mnie, zameldował służbiście strzelając obcasami – „Porucznik Straszak, panie pułkowniku”. I wyszedł zamykając drzwi za sobą.

Mężczyzna, który wstał zza biurka nie czekał na moją formułkę „melduję się posłusznie...”, ale natychmiast obszedł biurko z wyciągniętą do mnie ręką i miłym uśmiechem.

Pułkownik Stefan Mayer, jak się później dowiedziałem od innych początkujących „administratorów” był szefem Polskiego Wojskowego Wywiadu (Drugiego Oddziału) przez parę lat przed wybuchem wojny i był odpowiedzialny za szereg sukcesów polskiego wywiadu w okresie tego niełatwego pokoju między wojnami. Niektórzy mówili, że jego ranga pełnego pułkownika nie oddawała jego prawdziwych zasług – to podobno dlatego, że nie był specjalnym faworytem generała Sikorskiego, który, do swojej tragicznej śmierci parę miesięcy temu, był Naczelnym Dowódcą Polskich Sił Zbrojnych. Stąd też ta stosunkowo nie bardzo ważna, bo nieoperacyjna komenda Szkoły Wywiadu.

Płk Mayer był imponującym człowiekiem. Trochę poniżej sześciu stóp wzrostu, miał sposób bycia osobnika, którego Francuzi nazwaliby *un vrai chef* – spokojną pewność siebie, absolutną kontrolę w zachowaniu i niski, kulturalny głos.

– „Poruczniku” – powiedział – „jest pan tu mile widziany. Komandor Jabłoński mówił mi, że zna pana z dawnych okrętowych lat i wyraża się o panu bardzo pochlebnie, jak również o pańskiej determinacji osiągnięcia sukcesu na tym nowym polu. Nie wątpię, że wszystko panu dobrze pójdzie i że będzie pan chlubą marynarki”.

– „Przyjechał pan rzeczywiście na czas. Nowy kurs właśnie się zaczął i z łatwością będzie pan mógł nadłapać te początkowe

rzeczy. Jak pan zapewne wie (nie wiedziałem), nasze działania w Polsce dzielą się tak ogólnie na dwie kategorie: sabotaż i dywersja, tak jak wysadzanie w powietrze mostów i linii kolejowych, ataki na poszczególne niemieckie posterunki, egzekucje itd. są zwykle wykonywane przez personel Oddziału VI (Dywersja). Praca wywiadowcza, to jest zbieranie informacji, dostarczanie raportów na ten temat i łączność jest robiona przez Oddział II-gi (Wywiad). Niekiedy, z oczywistych powodów, funkcje Oddziałów VI i II mieszają się ze sobą, ale to zależy już od miejscowych warunków i operacyjnych wymagań. Pańską rolą jako oficera marynarki i po otrzymaniu wyszkolenia tutaj, będzie dołączenie się do Armii Krajowej jako oficer wywiadu morskiego i w ten sposób, nominalnie, będzie pan częścią Oddziału II (Wywiad Morski) po przerzuceniu pana do kraju. Teraz... co do pańskiego wyszkolenia tutaj. Nasz kurs jest bardzo ogólny i trwa około sześciu miesięcy. Nauczą pana trochę podstawowej chemii, fotografii i prostych aplikacji mechaniki; jak otwierać zamki, podrabiać klucze, jak wyjść z kajdanek i inne podobne a pożyteczne rzeczy (to ostatnie powiedziane z lekkim uśmiechem). Nauczy się pan także trochę podrabiania dokumentów, podstaw łączności radiem, poćwicz pan Morse'a i damy panu okazję poprawienia pańskiej znajomości języka niemieckiego. Będzie pan miał dużo zaprawy strzeleckiej z pistoletu i ręcznej broni maszynowej i dużo zaprawy fizycznej wraz z walką gołymi rękami, bez broni. Nauczymy pana prowadzić samochód, jeżeli pan tego nie umie (powiedziałem, że „nie” ruchem głowy), a ja sam będę wykładał technikę wywiadu i będę mówił o strukturze niemieckiej armii jak również o życiu w obecnej Polsce pod niemiecką okupacją”.

Zatrzymał się na chwilę, uśmiechnął się by mnie nieco zachęcić i mówił dalej: „Pod koniec pańskiego wyszkolenia tutaj odbędzie pan wyszkolenie i skoki spadochronowe a potem przejdzie pan w ręce S.O.E. (*Special Operations Executive* – Kierownictwo Operacji Specjalnych), gdzie brytyjscy i polscy specjaliści zaopatrzą pana w fałszywą tożsamość, fałszywe papiery, itd. i będzie pan gotów do operacyjnego skoku do Polski. Jak panu to odpowiada?”

Siedziałem tam w zachwycającej ciszy, słuchając jego słów z zapartym tchem. To było to czego chciałem! Niezwykłe i podniecające tematy, cień niebezpieczeństwa, wymagania

fizycznego i mentalnego hartu, możliwość wypróbowania samego siebie – wszystkie te rzeczy o których młodzi ludzie marzą. Byłem tym wszystkim uradowany i powiedziałem mu to.

„No cóż, to pewnie na tymczasem wszystko” – powiedział pułkownik, patrząc na zegarek, „czas na mój wykład. Przedstawię panu jednego czy dwóch instruktorów, którzy są teraz wolni. Innych spotka pan wkrótce w kasynie na obiedzie. Ja też tam będę”.

Po czym podniósł słuchawkę telefonu i zamienił z kimś parę słów.



Ten ktoś, kto pokazał się w drzwiach gabinetu pułkownika okazał się panem w średnim wieku, z wesołymi uśmiechniętymi oczyma, ubranym w tweedową marynarkę w głośną kratę i szare flanelowe spodnie.

„Sir!”, powiedział po angielsku do pułkownika, którego w oczywisty sposób lubił i śliznął mi ukośnie mały uśmiešek.

„To jest porucznik Straszak” – rzekł pułkownik – „nowy przybysz. Proszę łaskawie nim się zająć. Pokazać mu wszystko i ogólnie nim się zaopiekować. Zobaczę panów później”. I znów rzucił okiem na zegarek. Zwrócił się do mnie i powiedział: „To jest chorąży Kazimierz Ćwirko-Godycki, nasz fotograficzny ekspert. Zajmie się on panem tymczasem i odpowie na wszystkie pytania. Ja już jestem prawie spóźniony, więc panowie mi wybaczają...”.

I wyszliśmy z gabinetu razem, ekspert fotograficzny i ja.

Kazik, z którym natychmiast się zaprzyjaźniłem, stanął w korytarzu przed biurem pułkownika i zaraz „przyjął pozę”. Zawód fotografa wymaga, prawie z konieczności, wiedzy jakie są najlepsze pozycje do fotografii i jak gwiazdy filmowe, wszyscy z nich dobrze wiedzą czy ich profil prawy czy lewy jest najlepszy. W ten sposób Kazio (z którym bardzo prędko przeszliśmy na „ty”) ustawił się korzystnie (pochylony trochę w biodrach, tors na trzy-czwarte, głowa naprzód i świecące się oczka) i powiedział: „To pan jest tym nowym marynarzem! Świetnie... na pewno będzie się panu tu podobać – tak długo jak pan tu będzie w każdym razie! Staramy się was tu wszyst-

kich zabawić i dać wam również bezcenne instrukcje na różne tematy. W każdym razie tak wszyscy mówią. Proszę za mną do laboratorium”. – Powiedział to wszystko jednym tchem, nie nabierając prawie oddechu.

Uśmiechnąłem się do tego miłego człowieka, powiedziałem: „Wspaniale”. I zeszliśmy na dół do piwnicy.

Było tam zadziwiająco dużo miejsca; powietrze było przesycone kwaśnym zapachem chemikaliów, na środku duże stoły, pod ścianami ławy robocze, ciemnia, zlewy z ciekącą do nich wodą, płaskie tace z wywoływaczami i utrwalaczami i drewniane framugi z wiszącymi na nich taśmami suszących się filmów. Stoły i robocze ławy były obstawione aparatami do powiększeń, suszarkami i jakimiś innymi aparatami, których przeznaczenia nie znałem. Były tam aparaty fotograficzne ustawione na trójnogach z czarnymi zasłonami z tyłu, reflektory w formie parasoli, stojące światła – zwykły fotograficzny sprzęt.

Kazik poruszał się w tym dobrze znanym sobie otoczeniu z łatwością człowieka obeznanego z tym co się wkoło dzieje i gadał cały czas. „Ponieważ to jest pański pierwszy dzień tutaj, (byliśmy jeszcze na „pan”, ale ta formalność załatwiła się tego wieczora przy małej wódce), oprowadzę pana tylko po pracowni, ale o niczym poważnym nie będziemy tymczasem mówić. Nie żeby coś specjalnie poważnego czy trudnego tu było, jak się pan wkrótce sam przekona. Nie jest naszym zamiarem zrobić z was ekspertów w fotografii – tych też mamy – dosyć byście mogli sami sobie dać radę w wypadku gdyby nikogo innego nie było pod ręką”.

Na osobnym stole był ustawiony mikroskop z aparatem fotograficznym podłączonym do soczewki i zapytałem go czemu ma służyć to urządzenie. Odpowiedział mi: „Ach, tego nie będziecie się uczyć, bo to jest część kursu specjalnego, który tu mamy dla mikrofotografów. Nie wiem czy pan wie ale możemy zmniejszyć fotografię dwuszpaltowej strony gazetowej do wielkości kropki w drukowanym liście. Mamy jeszcze trochę kłopotu z preparowaniem dość drobnej emulsji tak aby ziarnistość filmu nie przeszkadzała przy robieniu dużych powiększeń. Doktor Hartman, nasz chemik, którego pan za chwilę spotka, pracuje właśnie nad tym, starając się rozwinąć pracę zrobioną już w tym kierunku przez Anglików i Amerykanów”.

– To jest bardzo ciekawe – powiedziałem, ale właściwie

tylko po to by utrzymać rozmowę, gdyż przesadnie techniczne detale za bardzo mnie nie fascynowały. Musiał to wyczuć, albo po to by zmniejszyć to, co uważał może za niepokój z mojej strony, powiedział jeszcze raz: – Ale pan nie musi tego wiedzieć... Nauczmy pana elementów prostej fotografii, no i jeszcze niektórych innych rzeczy, które z niej wynikają a które mogą być panu bezpośrednio potrzebne w pracy.

I zaprowadził mnie do szafy w ścianie, w której były poukładane na półkach różnego rodzaju aparaty fotograficzne – głównie Leiki, Voigtlandery, jakieś rosyjskie kopie Leik; Zorki, wydaje mi się, bardziej toporne w wykonaniu i nie mające tego wielkiego plusu Leiki, jej soczewki.

„Po kursie tutaj, będzie się pan czuł zupełnie w domu z większością tych aparatów. I może ich pan używać kiedy pan zechce. Mamy masy filmów i może pan ćwiczyć fotografię na swoich dziewczynkach. Połączy pan piękne z pożytecznym, bo nie tylko wykona pan swoje „zadanie domowe” w pewnym sensie, ale przyczyni się to również do podniesienia pańskiej popularności u poci pięknej”.

I poszliśmy na górę, gdzie doktor miał swoje małe królestwo w niewielkim pokoju obok łazienki przemienionej na laboratorium.

Doktor Hartman okazał się niewysokim, okrągłutkim człowiekiem, tak różowym na twarzy jak Kazik, ale w odróżnieniu od tego ostatniego, bardzo nieśmiałym. Był jedynym cywilem w Szkole, ale miał dawne połączenie z Drugim Oddziałem, o czym się dowiedziałem podczas naszej rozmowy.

Kazik nas przedstawił i w czasie gdy Hartman mówił, miałem okazję lepiej mu się przyjrzeć. Był ubrany we flanelowe szare spodnie i kremową koszulę z ciemno-czerwonym krawatem. Biały laboratoryjny chałat, tzw. *drei-viertel*, trzy-czwarte długości, pokrywał jego krótką postać. Na chałacie były ślady wypranych plam pozostawionych tam przez jakieś kwasy a sam właściciel kitła miał na małym palcu lewej ręki pierścionek z diamentem wielkości małego ziarna grochu. Dowiedziałem się później, że dobry doktor Hartman nie miał dużego zaufania do stabilności jakiegokolwiek waluty i że zamieniał wszystkie swoje zarobki w drogocenne kamienie. Na pewno jego wojenne doświadczenia w Polsce – a musiał pewnie nielegalnie przechodzić przez szereg różnych granic zanim dostał się do Anglii

– nauczyły go że domy, włości, samochody i inne stałe i duże obiekty miały dość efemeryczną wartość podczas wojennych zaburzeń i stara filozoficzna zasada *omnia mea mecum porto* jeszcze raz okazała się cenna. A co było łatwiej ukryć na sobie i stale ze sobą nosić, a później zamieniać na żywą gotówkę, niż małe kamienie o prawie niezmiennej wartości?

Kazik szybko się urwał, mówiąc że spotkamy się później w kasynie a my zostaliśmy we dwójkę rozmawiając o tym i owym w chemicznym laboratorium doktora. Dał mi krótkie *resumé* na temat tego, co będziemy robili na polu chemii podczas mego pobytu w Szkole. A więc miałem się nauczyć jak używać sympatycznych (tzn. niewidzialnych) atramentów – różnych substancji, których można używać do pisania tajnych listów (okazuje się, że można używać nawet własnej uryny, jak człowiek naprawdę nie ma nic innego pod ręką), metod wywoływania ich (kąpiele w kwasowych oparach, gorące żelazko, itd.), fałszowania oficjalnych stempli i dokumentów i postarzania ich pod ultra-fioletowym światłem. Fascynujące!

Niemieckie dokumenty na których mieliśmy próbować swoich fałszerskich umiejętności to były *Kennkarten* (dowody osobiste), *Ausweise* (pozwolenia) i cała masa innych *Papiere*, które wymyślali dokładni Teutoni aby trzymać pod kontrolą wrogi polski naród. Formularze na te dokumenty były często oryginalne a nie fałszowane i były nieraz szmuglowane z okupowanej Polski z narażeniem czyjegoś życia, trzeba było więc ostrożnie z nimi postępować by ich nie niszczyć przez niezaradne podróbki.

Fałszowanie oficjalnych pieczęci na takich dokumentach jest może więcej sztuką niż wiedzą. Pokazano nam, a później sami tego próbowaliśmy jak w taki dość ordynarny sposób można przenieść oryginalną pieczęć z oficjalnego papierka (jeśli człowiek się śpieszy i nie jest perfekcjonistą) na fałszywy dokument, używając świeżo ugotowanego na twardo, gorącego jeszcze jajka. Ale oczywiście to nie jest perfekcja! Taka pieczęć rozmazuje się wokoło krawędzi i nawet jeżeli oryginał jest wyraźny i czysty, co się rzadko zdarza, to tak przeniesiona pieczęć wygląda bardzo słabo, jest bardzo niewyraźna i nietrwała. I oryginału można używać tylko raz czy dwa zanim tusz z niego zejdzie. Ta metoda stanowczo nie jest dla poważnych fałszerzy!

Jeżeli chodzi o „fachową” metodę fotograficzną, to spróbuję ją opisać tak jak ją pamiętam. Najpierw trzeba sfotografować oryginalną pieczęć w silnym, twardym świetle, wywołać i utrwalić film i zrobić powiększoną odbitkę jakiejś 25x20 cm na mocno kontrastowym papierze. Potem, jak odbitka jest już sucha, poprawia się czarnym tuszem wprost na odbitce te nie do uniknięcia przerwy w normalnie okrągłej pieczęci, niewyraźne litery, jakieś przerwy w liniach czy obrazkach, które pieczęć może przedstawiać, itd. – w niemieckich pieczęciach zwykle te spłaszczone groźnie hitlerowskie orły ze swastykami lub błyskawice S.S. To jest praca wymagająca wiele cierpliwości, ale jak się ją skończy, ma się przed sobą czystą, perfekcyjną odbitkę pieczęci ok. 20 cm średnicy. Fotografuje się to tym razem na szklaną kliszę a nie na film i wywołuje. Potem wkłada się ten szklany negatyw do aparatu do powiększeń (który tym razem działa jako aparat do pomniejszeń), zmniejsza się ten ogromny 20-centymetrowy stempel do właściwych wymiarów oryginału i odbija się go na elastycznej plastikowej kliszy, pokrytej na grubość prawie milimetra specjalną emulsją. Po zrobieniu odbitki, emulsja jest chemicznie zmyta w miejscach nie pokrytych tuszem na powiększeniu fotografii pieczęci, pozostawiając wspaniałą fałszywą pieczęć, podniesioną jakiś milimetr ponad plastikiem. Taka pieczęć jest często lepsza od oryginału i może być natychmiast używana (i to powtarzalnie) na tuszowej poduszce tak jak zwykła normalna pieczętka, którą można znaleźć w każdym biurze.



Poznałem tego dnia szereg nowych ludzi i zabrało mi trochę czasu by sobie ich wszystkich poukładać w głowie. Było kilku więcej wykładowców i około 18-stu przyszłych skoczków; głównie z wojska, chociaż było też paru lotników, sądząc po mundurach, ale większość z obecnych była w cywilu. Wszyscy byli młodzi, paru mogło mieć trochę powyżej wczesnej trzydziestki; najwyższy rangą był major a najniższy, podchorąży, pewnie oczekujący nominacji na podporucznika z dnia na dzień, która na pewno wcześniej przyjdzie jako rezultat zgłoszenia się do tej podobno niebezpiecznej pracy.

Po obiedzie wróciłem do Szkoły na moją nieformalną wizytę obejścia tej instytucji podczas reszty dnia, tak jak umówiliśmy się z pułkownikiem.

Poznaliśmy kapitana N., eksperta od łączności, co w tym czasie znaczyło komunikację radiową Morsem. To był jeden aspekt szkolnego *curriculum*, który nie bardzo mi odpowiadał. Uważałem, że próbowanie osiągnięcia żądanej szybkości nadawania (jakieś 40 słów na minutę, wydaje mi się) było prawie, że niemożliwe dla normalnej osoby i w ogóle pomysł siedzenia godzinami nad kodem Morse'a raczej mnie nudził. Przecież mieli na to swoich fachowców – ale zwarta solidność i waga krótkofalówek w ich małych walizkach była imponująca.

Później odprowadzono mnie do kapitana Kobusa, eksperta od zamków i skrytek. Jego twardeńskim asystentem był kapral Szymek Sylwestrowicz, który wcześniej odwiedził mnie na kwaterę. Szymek był generalnym totumfackim szkoły i zajmował się wszystkim, legalnym i nielegalnym i umiał wszystko zrobić – to był *un débrouillard* pierwszej klasy. Między innymi, był naszym instruktorem jazdy samochodowej, biorąc początkujących kierowców, po czterech czy pięciu w szkolnym, trochę już poobijanym Chevrolecie, który miał zainstalowaną prawostronną kierownicę na angielskie lewostronne drogi. Te lekcje jazdy, które mieliśmy wieczorami po parę razy w tygodniu były zawsze bardzo zabawne.

W przedwojennej Polsce, Szymek (o którym jakoś nie spodziewanie dużo tutaj piszę) był szoferem Dwójki i brał udział w różnych incydentach, które nie zawsze były koszerne. Jedną z jego ulubionych historyjek było jak pewnego razu polski kontrwywiad złapał niemieckiego szpiega. Najpierw go grzecznie indagowali, potem go straszili, później go trochę pobili, ale ten uparty człowiek nie chciał wyjawic swoich kontaktów. Zdjeli mu więc spodnie, rozpostarli mu ręce i nogi kładąc go na stole twarzą w dół i unieruchomili głowę, tak że mógł widzieć tylko to, co miał przed nosem podczas gdy jego obnażone półdupki patrzyły w sufit. Potem przed jego oczyma, wyłazącymi z głowy ze strachu, napełnili metalowy kosz gorącym węglem drzewnym, w którym z sadystyczną rozkoszą zaczęli rozgrzewać do czerwoności półtoracentymetrowej średnicy żelazny drążek, mówiąc że mu go wsadzą do dupy jak już będzie dość gorący. Przy tym żartowali okrutnie i to w wul-

garny sposób, mówiąc że po aplikacji tego drążka, nigdy nie będzie miał zatwardzenia ani też hemoroidów i że w końcu, jak mu się to należy, będzie idealną dupą. Potem, jak drążek był już rozgrzany do białego, podnieśli go używając ciężkich skórzanych rękawic i żelaznych obcęgow, zanieśli to gdzieś do tyłu, robiąc z tego wielki pokaz tak długo jak delikwent to widział – i wsadzili mu sopol lodu do tyłka. Podobno, dla ofiary, pierwsze wrażenie oparzenia ogniem czy lodem jest takie same. W każdym razie, podziało to świetnie i ten biedak śpiewał później jak skowronek.

Bardzo mi się ta historyjka podobała, chociaż nie byłem pewien czy Szymek trochę nie koloryzował – Kobus wszystko jednak później potwierdził.

Kapitan Kobus sam miał długi związek z Drugim Oddziałem, najpierw jako aktywny oficer wywiadu a później w Komendzie Głównej w Warszawie. Jego specjalnością w szkole było robienie skrytek w artykułach codziennego użytku (w pędzlach lub maszynkach do golenia, w pudełkach na krem, itd.), w meblach, pod podłogą, w ścianach – zależnie od wielkości obiektu, który miał być schowany. Uczył nas także otwierania zamków przez podrabianie kluczy z ich odcisków w mydle lub wosku, przez wyświdrowywanie zamków Yale albo przez wciskanie cienkich, giętkich plastikowych płytek w automatyczne zamki operujące na sprężynie.

Uczyli nas jak wychodzić z kajdanek. Sposób, którego nas uczyli miał zastosowanie właściwie tylko w płaskich kajdankach amerykańskiego typu, jakich Niemcy używali w tym czasie. Po instrukcjach i demonstracjach były zawsze ćwiczenia praktyczne, by nas upewnić, że chociaż było to niełatwe, było jednak możliwe.

W pierwszym rzędzie, jeżeli już ktoś miał pecha być złapanym, to trzeba było urwać się jak najszybciej (no, w tym w każdym razie nie było nic nowego), dlatego że nawet Gestapo czy niemiecka żandarmeria, natychmiast po aresztowaniu jakiegoś osobnika miała pewnie (może tylko bardzo przejściowy) sens osiągnięcia czegoś zdecydowanego i miała tendencję aby trochę się odprężyć. Poza tym wierzyli że ich ofiara jest nieco zdemoralizowana – do czego z pewnością miała pełne prawo – i wobec tego niczego takiego jak natychmiastowa ucieczka nie będzie próbować. W wypadku aresz-

towania należy więc udawać kompletną uległość, nie walczyć z nimi i dać się ubrać w kajdanki. Ale cały czas myśleć i wszystko bacznie obserwować. Być może, że ponieważ jesteś w kajdankach mogą cię uważać już za bezpiecznie schwytanego i zanim cię zamkną we właściwym więzieniu, pozostawią cię samego na pewien czas. Dlatego zbytne opieranie się przy aresztowaniu nie jest wskazane, bo wtedy nakładają kajdanki ciasno. To jest ważne, bo kajdanki powinny być dość luźno nałożone, jeżeli ma się próbować z nich wysliznąć. Jeżeli jakiś łagodny gestapowiec założy je na rękach z przodu, to jest łatwiej, ale zwykle skuwają delikwenta z rękami w tyle. Wtedy, zakładając że zostawią cię samego, kładziesz się na boku i najpierw przepychasz siedzenie przez swoje związane ręce. Potem nogi, najpierw jedną potem drugą. Dla normalnych, młodych i dość chudych ludzi nawet to jest trudne; dla innych z wielkimi tyłkami to jest anatomiczną niemożliwością! Ja mogłem wtedy jeszcze to zrobić, tak samo jak większość innych. Jak już raz ma się ręce przed sobą, spocony jak ruda mysz (to wcale nie jest tak łatwo, przeciągnąć siedzenie przez związane ręce), wyciąga się z kołnierzyka koszuli taki wąski, cienki metalowy lub plastikowy usztywniacz (wszyscy je mieliśmy), wyciąga się go z kołnierzyka i wkłada w mechanizm kajdanek tak daleko jak tylko wejdzie. Wtedy – i tu nie opieranie się przy aresztowaniu się opłaca – jeżeli jest dosyć luzu w kajdankach naokoło przegubu, ruchoma część kajdanek powinna posunąć się do wewnątrz mechanizmu poza urządzenie zapadkowe wraz z plastikowym usztywniaczem kołnierzyka, który nie pozwala się kajdankom zamknąć i w ten sposób kompletnie je otwiera. Nie jest to łatwe, ale można zrobić!

Udane wykonanie tego ćwiczenia w szkole dawało poczucie małego triumfu i robiąc to w ten sposób, dla wprawy, pozwalało zapomnieć, że w wypadku prawdziwej wpadki, ten mały sukces, jeżeli w ogóle był możliwy, byłby tylko pierwszym małym krokiem do ucieczki. Woleliśmy więc nie myśleć o reszcie, mając nadzieję, że potrzeba prawdziwej próby tego rodzaju nigdy nie nadejdzie. Ale mądrość tego ćwiczenia, jak teraz o tym myślę, leżała w tym, że uczono nas, że człowiek nigdy nie jest zupełnie bezbronny tak długo jak mózg u niego działa i że bystry umysł może zobaczyć możliwości tam, gdzie zrezygnowany

ich nie widzi. A to pomagało stworzyć mentalne nastawienie, które nie chciało przyjąć klęski.



Jeżeli idzie o zaprawę fizyczną – najpierw kazali nam biegać wokół sali gimnastycznej przez 15 minut (to była naprawdę nuda!), potem robiliśmy różne ćwiczenia szwedzkiej gimnastyki, później były różne skoki na przyrządach i ćwiczenia na kółkach i równoległych poprzeczkach. To mi się raczej podobało i całkiem dobrze mi szło.

Następnie mieliśmy sesje *unarmed combat*, gdzie instruktorzy pokazywali nam różne chwytty i demonstrowali powalenie przeciwnika na matę (bardzo twardą!), co robili z widoczną przyjemnością. W tym czasie ta forma walki nazywała się ju-jitsu albo judo, terminy takie jak karate czy kung-fu nadeszły o wiele później. Ale to właściwie było mniej więcej to samo – chodziło o to by nam dać wiarę we własną sprawność fizyczną i może trochę treningu w razie gdyby jakaś sytuacja przerodziła się w fizyczną. Uczyłem się więc jak unikać przeciwnika z nożem w rękę, jak, przy szczęściu, przeciwdziałać facetowi, który chce mi zrobić dziurę w brzuchu – najlepszą metodą będący szybki kopniak stopą lub kolanem w klejnoty rodzinne. Ale znów, w takich okolicznościach, prawie każdy atakujący spodziewa się niegrzecznej odpowiedzi, i sztuka polega na ostrożnym manewrowaniu aby znaleźć odpowiednie otwarcie, starając się jednocześnie trzymać z daleka od majcherka. To było całkiem niemiłe, bo nigdy właściwie nie lubiłem noży w bójce!

Nauczyłem się także – chociaż nie używaliśmy do tej demonstracji prawdziwej amunicji ani nawet ślepej – że jeśli ktoś, który grozi ci pistoletem może być sprowokowany, by podejść za blisko, zawsze prawie można odbić ten pistolet na bok zanim on będzie miał czas nacisnąć na cyngiel. Co może stać się potem, to inna sprawa, ale trzeba działać szybko i brutalnie – kopniak w jaja jest nadal mocno rekomendowany, tylko tym razem musi być wykonany z wielką dokładnością.

Na strzelnicy strzelaliśmy z większości pistoletów i rewolwerów wtedy używanych, jak również z kilku ręcznych maszynowych pistoletów. Tak więc strzelałem z .32", .38" i .45"

Coltów, 6.35mm i 7.65 mm Mauserów, z 9 mm Parabellum (także znanym tu jako Luger), z 9 mm Walthera (to wspaniały pistolet!), z 9 mm hiszpańskiej Llamy, polskiego 9 mm Visa i belgijskiego 7.65 mm F.N.'a – wszystko automatyczne pistolety, oprócz brytyjskiego .44” albo .45” Webley’a i jakiegoś jednego czy dwóch Smith & Wessonów. Z pistoletów maszynowych strzelaliśmy z .45” Thompsona – rzeczywiście przerażająca broń z odrzutem jak kopnięcie muła, z 9 mm niemieckiego Schmeissera, w wersji dla spadochroniarzy, ze składaną kolbą i z brytyjskiego Stena, w normalnej wersji i z tłumikiem. Sten był wykonany bardzo topornie, ale był łatwy i tani do zrobienia (jakieś 18 szylingów sztuka, jak mówili), a poza tym był zupełnie wystarczający do swojej funkcji i można go było produkować szybko i w wielkich ilościach. Tylko że trzeba było obchodzić się z nim jak ze śmierdzącym jajkiem bo miał tendencję się zacinąć.

Na pływanie chodziliśmy do Western Baths, prywatnego klubu pływackiego na jednej z bocznych uliczek do Byres Rd. To był świetny klub, z pół-olimpijskim basenem, wyekwipowanym trampolinami na różnych wysokościach, dwoma trapezami nad głębokim końcem i serią stalowych kółek zawieszonych na linach wzdłuż całej długości, tak że można było kołyszając się z kółka na kółko przelecieć jak Tarzan całą długość basenu i w ogóle się nie zamoczyć. To było wspaniałe ćwiczenie na siłę ramion i jak się tak człowiek przeszedł raz czy dwa tam i nazad, to prawie widział jak mu rosną bicepsy. Potem była parówka, po której skakało się do lodowatej wody w małym baseniku, który człowieka na chwilę zamieniał w to, co Anglicy nazywali *frigid midget with a rigid digit* („lodowatego karzełka ze sztywnym palcem”, czytaj „kutasem”, tylko po angielsku to się rymuje!), ale późniejsze uczucie błogostanu było tego warte. Mam bardzo miłe wspomnienia tej pływalni.

Naukowa strona mego życia, jeżeli tak można powiedzieć, postępowała bardzo dobrze. Wykłady były interesujące, chociaż nie wszystkie – najciekawsze były te, które dotyczyły bezpośrednio mojego przyszłego tajnego życia w Polsce. Tak, że praktyczne aspekty codziennego życia pod okupacją były właściwie najważniejsze.



Było oczywiście wiadomo, że ażeby sobie dawać radę w Polsce w obecnej sytuacji, znajomość języka niemieckiego, pomimo że niekonieczna, była pożyteczna. Wszyscy z nas w Szkole znali trochę ten język z lat szkolnych. W moim własnym wypadku liznałem go przez parę lat gimnazjum. W Szkole mieliśmy chorążego nazwiskiem Kowalski, który zorganizował nam kursy, mające na celu poprawienie naszej znajomości tego języka.

Kowalski, który pracował w przedwojennych Niemczech jako oficer wywiadu, wspaniale znał niemiecki i mógł mówić różnymi regionalnymi akcentami, od czystego berlińskiego do bardziej miękkiego bawarskiego – tak mnie zapewniano, bo moje ucho nie potrafiło ich rozróżnić.



Leven (a raczej, Largo House pod Leven) było bazą Pierwszej Samodzielnej Brygady Spadochronowej, dowodzonej przez pułkownika (później generała) S. Sosabowskiego i w tym czasie było centralnym ośrodkiem wyszkolenia wszystkich polskich spadochroniarzy w armii czy też z Oddziałów Specjalnych. „Małpi Gaj”, jak nazywano ten ośrodek ćwiczebny, był w Largo House.

Intensywna zaprawa fizyczna, której podlegali kandydaci na skoczków normalnie trwała od dwóch do czterech tygodni i uczyła nie tylko techniki skoku i bezpiecznego lądowania – to znaczy tak bezpiecznego jak warunki na to pozwalały – ale także przygotowywała go fizycznie by to wszystko znieść z uśmiechem na twarzy. Stąd codzienna gimnastyka, długie marsze i biegi przez okoliczne lasy i łąki – na ogół w okropnej pogodzie, z której Szkocja była znana o tej porze roku. Oprócz tego ćwiczenia samego skoku z makiety samolotu przez dziurę w pokładzie (nie skakaliśmy przez drzwi, tak jak to robią dzisiejsze wojska spadochronowe); huśtanie się w spadochronowej uprzęży na wysokości 5-ciu metrów, po to by być gwałtownie spuszczone, w najbardziej nieodpowiednim momencie, na ziemię. No i przepisowa przewrotka po wylądowaniu – nogi razem, palce u nóg do góry, kolana z lekka ugięte, ręce na szelkach nośnych spadochronu, łokcie razem, głowa w dół; ląduj na piętach, zakotysz kolana razem, rozłóż wagę ciała wzdłuż nóg,

ud, pośladków i pleców – *et voilà* – wszystko w jednym pełnym ruchu. Robiłem to na pewno setki razy! I naturalnie reakcja na słowo, *Go!* („Idź”, w tym wypadku „Skacz!”) musiała być natychmiastowa i automatyczna, jak już raz zaczęliśmy używać wieży spadochronowej.

Ta wieża, jak się później dowiedziałem, była pierwszą wieżą spadochronową wybudowaną na terenie Brytyjskiego Imperium (przed Drugą Wojną Światową armia brytyjska nie miała spadochroniarzy) i była postawiona przez żołnierzy Sosaba. Byłem zdziwiony, że przed wojną Anglia nie interesowała się tym rodzajem broni – przecież ostatecznie Niemcy użyli spadochroniarzy w *Anschluss*’ie Austrii w 1938 roku i skoki spadochronowe były ćwiczone jako sport na kontynencie Europy jeszcze przedtem. Nawet w naszym małym Równem, gdzie spędziłem parę ostatnich lat przed wojną, postawili wieżę spadochronową na terenie Targów Wołyńskich na jesieni 1938 roku, gdzie za jedyne 50 groszy każdy nastolatek mógł osobiście doświadczyć dreszczy uwiązanego skoku. Cały czas z tej wieży skakałem, na ile tylko moje uczniowskie finanse pozwalały; w pierwszym rzędzie, aby zaimponować okolicznym gapiom, a tych zawsze było dużo, a po drugie, aby sobie dowieść, że mogę to zrobić mimo początkowego strachu, później zastąpionego przez lekki niepokój przed każdym skokiem, który jednak zawsze pozostaje w podświadomości. Skoki z wielkich wysokości to bardzo nienaturalna rzecz dla normalnych ludzi – ale fakt, że jest tam trochę ryzyka dodaje w końcu przyjemności, szczególnie po szczęśliwym wylądowaniu. Miałem doświadczyć tego uczucia radosnego osiągnięcia w większym stopniu jak już raz zaczęły się skoki z samolotu.

Wieża miała jakieś 30 metrów wysokości i była zbudowana z solidnych metalowych kątników ustawionych w kratę. Wchodziło się na górę, na ośmioboczną drewnianą platformę, po szeregu kondygnacji schodów w tej otwartej na cztery wiatry konstrukcji, starając się nie patrzeć na dół. Ponad główną platformą, była jeszcze jedna, mniejsza, która podtrzymywała ramię dźwigu, z którego wisała stalowa linka z otwartą czaszą spadochronu.

Dla niektórych z nas, już samo wejście na platformę było niemiłym doświadczeniem w taternictwie – ale jak już raz było się na górze, z otwartą próżnią wokoło, otoczoną tylko

słabiutkimi drewnianymi barierkami, które w dodatku były miejscami poprzerywane cienkimi linkami, które umożliwiały używanie wieży ze wszystkich stron, w różnych kierunkach wiatru, utworzyła się generalna tendencja dla całej grupy aby się zgromadzić gdzieś w środku platformy, z dala od krawędzi. I nic w tym nie było właściwie dziwnego!

Na górę wpuszczano tylko po parę osób na raz, razem z instruktorem – młodym, pełnym brawury podchorążym – który naturalnie trochę się pokazywał. Aby nam pokazać jakie to jest bezpieczne, skoczył później (ale tylko raz!) trzymając uprząż spadochronu w rękach, bez założenia jej na siebie.

Wszyscy byliśmy ubrani w *battle-dress'y* i w krótkie kurtki spadochroniarzy w kolorach ochronnych i mieliśmy na sobie uprząż spadochronową a na głowach gumowe hełmy. Najważniejszą częścią takiego hełmu był pas z gumowej gąbki, jakieś 8 cm szerokości na 3 cm grubości, otaczający głowę wokoło w płótnie koloru khaki, bo to właśnie chroniło głowę przed niespodziewanymi rzeczami, które mogły się zdarzyć podczas skoku. Cały hełm zapinał się pod brodą skórzanym paskiem. Przystrojeni w hełmy wyglądaliśmy trochę jak spłaszczone grzyby i spojrzawszy na ziemię z tej dużej wysokości, niektórzy nawet mieli właściwy grzybom kolor, tzn. niezdrowo zielony, to co Francuzi nazywają *dauphin malade*.

Instruktor przyczepił pierwszego ochotnika – mnie – do spadochronu, kazał mi usiąść na brzegu platformy z nogami wiszącymi luźno w powietrzu, powiedział by mocno trzymać się rękami jej krawędzi (nie musiał tego mówić!) i patrzeć prosto przed siebie. To była pozycja *Action Stations* („Gotowy do skoku”). Potem, przechylając się bokiem nad drewnianą barierką i patrząc mi w twarz próbował zobaczyć czy już się boję. Ponieważ maszty „Daru Pomorza” były wyższe niż ta ich głupia mała wieża, powiedziałem sobie że nie dam mu tej satysfakcji. Sadystycznie przetrzymał mnie trochę w tej pozycji a potem powiedział: „Na komendę, ‘Go!’, odepchnąć się od brzegu platformy, z nogami razem i zgiętymi kolanami i chwycić obiema rękami za pośladki. Potem to już samo się robi. Jak przestaniecie spadać jak kamień – jakieś 10 metrów – chwycić przednie szelki spadochronu trochę nad głową i zgasić wahania. Potem lądować robiąc przewrótkę. I to wszystko – czy wszyscy zrozumieli?” zapytał innych. Naokoło pomruki zgody.

„Dobrze więc – *Action Stations!*”, zeszywniałem znów nieco, „*Go!*” i rzuciłem się w przestrzeń z zamkniętymi oczyma. Otworzyłem je dopiero jak mój ciężar zaczął wpływać na mechanizm hamulca i zacząłem się huśtać – to wszystko okazało się drobnostką – moja początkowa lekka trema znikła, szok lądowania na grubej warstwie piasku równał się mniej więcej skokowi z wysokości jakichś trzech metrów bez spadochronu, a przewrotka wyeliminowała nawet ten wstrząs.

Po tej demonstracji nastąpiło szereg innych skoków. Ta swego rodzaju wprawa w tym co robiliśmy spowodowała u mnie trochę pogardy dla przepisów bezpieczeństwa; bo w końcu ażeby temu młodemu beczelnemu instruktorowi też zaimponować zrobiłem „trupka” z platformy, najpierw przodem, a potem jeszcze tyłem. To wtedy właśnie skoczył on ten jeden jedyny raz trzymając uprząż w rękach; ponieważ następny logiczny krok w tym co raptem stało się konkurencją między nami, był by skakać bez spadochronu i to była moja kolej, musiałem z pewnym żalem zaniechać dalszego konkursu. Ale muszę przyznać, że ten instruktor wystawił mi wspaniałą opinię, jak mi później powiedział pułkownik Mayer. Wyglądało z niej, że nie tylko byłem świetnym prospektem na spadochroniarza, ale także, że zachęcałem innych swoim przykładem. Takich frajerów to wojsko pewnie zawsze szuka!



Jak tylko skończyliśmy przeszkolenie w Leven, może dlatego, by nie dać nam szansy zastanowić się nad mądrością decyzji skakania z wysoko położonych miejsc, posłano nas natychmiast do Ringway, koło Manchesteru, do brytyjskiej No. 1 P.T.S. (*Parachute Training School* – Szkoła Wyszukolenia Spadochronowego) na skoki.

P.T.S. zorganizowano jako szkołę spadochroniarzy przy końcu 1940 roku, jak Anglia zdecydowała się w końcu ich szkolić, ale jak się do tego zabrali, to zabrali się do tego porządnie. Szkolili tam setki ludzi naraz, nie tylko swoich własnych żołnierzy, ale także Czechów, Norwegów, Francuzów, Holendrów, Jugosłowian i nawet jednego czy dwóch Węgrów. Polacy byli jedynymi aliantami, którzy byli szkoleni przez swoich własnych ludzi w Szkocji i przyjeżdżali do Ringway tylko na skoki.

Każdy spadochroniarz musiał wykonać kilka skoków, zwykle 6 – normalnie 2 z nich z balonu, a 4 z samolotu. Skoki były robione z wysokości około 200 metrów aby ograniczyć czas przebywania w powietrzu – kiedy spadochroniarz jest zupełnie bezbronny – i aby na ziemi nie było dużego rozrzutu, jak rzuciło się ich kilku naraz. Ilość skoków wymaganych do ukończenia wyszkolenia wahała się właściwie przez całą wojnę, jak zmieniał się program w zależności od nabywanego doświadczenia – zaczęło się od 4-ech z samolotu, a skończyło aż na 8-iu. Ja sam zrobiłem tylko 6 skoków, i byłem zdziwiony, że nie mieliśmy w ogóle nocnego skoku, chociaż wszyscy dobrze wiedzieliśmy, że nasz najważniejszy operacyjny skok będzie miał miejsce na pewno w nocy. Może zwiększone ryzyko skoku nocnego usunęło go z programu – zawsze było więcej wypadków zwichniętych nóg czy wykręconych kostek w nocy – albo ci „u góry” zdecydowali, że jeden operacyjny nocny skok to było dosyć. Jakikolwiek był tego powód, ja nie chciałem nalegać!

Nawet lotników, których paru u nas było, też trzeba było wyćwiczyć w nowej technice. Uczono ich w lotnictwie, że spadochronu używa się w ostateczności, wyskakując z płonącego samolotu, zwykle z wielkiej wysokości i każdy musiał sobie sam spadochron otworzyć. Tu było inaczej. Wyskakiwało się z niewielkiej wysokości i spadochron otwierał się sam automatycznie, będąc przymocowany do samolotu za pomocą linki statycznej. Te ostatnie każdy z nas trochę nerwowo i niepotrzebnie sprawdzał kilkakrotnie podczas lotu na zrzutowisko. Szybkość w opuszczaniu samolotu, jak już raz skoczył pierwszy skoczek była pierwszej wagi – aby skrócić ten niemiły proces i żeby nie było rozrzutu na dole. W skoku seryjnym przez dziurę lała się lawina skoczków – następny za tobą, z drugiej strony wjazdu (albo raczej wyjazdu!), zaczynał przerzucać swoje ogromne ciężkie buty do pozycji skoku zanim ty jeszcze zdążyłeś w dziurze zniknąć – pamiętam to dobrze, bo kopnięto mnie w twarz przy jednej takiej okazji i zrobiłem koziołka w powietrzu w momencie jak otwierał się spadochron, zaplątałem sobie nogi w linki. Z wielkim trudem i w ostatniej chwili udało mi się je uwolnić przed lądowaniem bo bym pewnie złamał sobie kark.

Używaliśmy spadochronów Irvin QD. Najważniejszą

częścią takiego spadochronu była naturalnie okrągła jedwabna czasza (z której podobno można było zrobić świetne koszule) około 8 metrów średnicy, przymocowana do uprząży szeregiem jedwabnych linek. Uprząż spadochroniarska składała się z dwóch prawych i dwóch lewych szelek, pasa pod siedzeniem, dwóch piersiowych i dwóch udowych szelek oraz jednej szelki na plecach i metalowego zamka na piersiach. Zamek był szybko działającym zatraskiem i zbierał w sobie wszystkie cztery klamry, którymi szelki się kończyły – aby klamry zwolnić trzeba było go tylko przekręcić i uderzyć dłonią, wtedy można było wyjść z uprząży. Tak było w teorii, ale lądując w wietrzny dzień, podczas gdy zwariowany spadochron ciągnął się po ziemi, to mogło być trochę trudniejsze.

Wszystko to pokazano nam zaraz na początku i także oglądaliśmy proces pakowania spadochronów – robiony przez uśmiechnięte WAAF'ki (*Women's Auxiliary Air Force Service*, Żeńska Służba Pomocnicza w Lotnictwie Królewskim) w hangarze, na długich szerokich stołach. Mieliśmy nadzieję, że robiły to z odpowiednią troską! Na zwykłe pytanie, które na pewno zostało zadawane setki razy instruktorom (teraz nazywanymi *despatchers*), co zrobić jak spadochron się nie otworzy, otrzymywaliśmy standardową odpowiedź: „Natychmiast wracać tutaj i dać go do wymiany!”. Ta odpowiedź gwarantowała niepewne półuśmieszki u słuchaczy.

Powiedziano nam także, że po opuszczeniu samolotu skoczek spada swobodnie przez jakieś 2 sekundy, w którym to czasie przelatuje około 50 metrów (to trwa trochę dłużej skacząc z balonu, który nie ma szybkości postępowej – w każdym razie wydaje się to o wiele dłużej!) i wtedy spadochron się otwiera. Szybkość opadania z otwartym spadochronem jest jakieś 4 metry na sekundę, w zależności od warunków atmosferycznych. Radzili nam zawsze robić przewrotek przy lądowaniu, nawet jeżeli podczas dobrej bezwietrznej pogody można było czasem lądować uginając tylko mocno kolana, z czasem opadającą wolno na głowę jak jakiś ektoplazmiczny całun. Lądując na wodzie, trzeba było jeszcze w powietrzu otworzyć zamek trzymający pasy szelek razem, wyjść z nich i siedząc tylko na pasie siedzeniowym wpaść do wody. To sugerowało założenie, może nawet niesłuszne, że wszyscy umieli pływać – jeżeli nie umieli to przypuszczalnie nie powinni byli pchać się

do skoków ze spadochronem. A nie pamiętam by się mnie ktoś o to specjalnie pytał jak się zgłosiłem do tego zajęcia.

Zrobiłem swój pierwszy skok z balonu następnego dnia po przyjeździe.

Ktokolwiek był w Anglii podczas wojny będzie pamiętał balony zaporowe, używane do obrony pasywnej wokoło miast aby chronić takie obiekty jak stacje kolejowe, magazyny, składy wojskowe i tym podobne cele, które mogły być specjalnie kuszące dla nurkujących bombowców. Były one także używane na wolno poruszających się statkach żeglugi przybrzeżnej aby zniechęcić napastnika i musiały być dość efektywne, bo widziało się je nieraz tuzinami. Jak były używane na lądzie, były wypuszczane do góry na sprężystych stalowych linkach przymocowanych do solidnych wind, które były zwykle obsługiwane przez WAAF'ki.

Balony były wypełnione helem i wyglądały jak sflaczałe, srebrno-szare, grube i ciężko-ciężarne ryby – miały około 10 metrów długości i jakieś 3 metry w najgrubszym przekroju, z tępyimi nosami i niezgrabnymi stabilizatorami na rufie. Na skoki były wyekwipowane w małą otwartą gondolę zawieszoną pod spodem, która miała 4-ro stopową dziurę wyciętą w pokładzie, z bardzo małą przestrzenią podłogi naokoło. Zabierali nas w górę po dwóch, z instruktorem, niedbale przechylającym się nad dziurą, jako trzecia osoba.

Czułem dotkliwą chęć siusiania, chociaż zrobiłem to właśnie przed paroma minutami. W ustach natomiast miałem raptem bardzo sucho (pewnie cała moja wilgoć przeciekła na dół!) i bardzo się cieszyłem, że nie muszę nic mówić bo pewnie nic nie mógłbym z siebie wykrztusić. Mój towarzysz w gondoli nerwowo przełykał i musiał mieć podobne uczucia. Siedział na krawędzi dziury i próbował w nią nie patrzeć. Ja siedziałem z drugiej strony z podkurczonymi kolanami (to trochę pomagało ścisnąć mi pęcherz) i zerkąłem na dziurę z ukosa od czasu do czasu. W międzyczasie wznosiliśmy się do góry, wydawało mi się, na niesłychaną wysokość. W miarę jak balon się podnosił, coraz więcej było widać wokoło. Był ładny, bezwietrzny dzień z takim jesiennym oparem na ziemi; czyste, płaskie, zielone lotnisko z oddalonymi drzewami z jednej strony i dalekim małym jeziorkiem z drugiej. Instruktor na dole z megafonem w rękę wykrzykiwał swoje komentarze w kierunku grupy

skoczków właśnie wypuszczonych z samolotu: „Numer jeden – złóż stopy razem, ugnij kolana, ciągnij za prawą szelkę – bardzo dobrze!” – „Numer dwa, numer dwa – wygaś wahania. OK!” – „Numer trzy, wciśnij w dół głowę – dobrze!”. Ładnie i bez emocji.

Nasz *despatcher* jeszcze raz przeszedł przez litanię swoich prostych instrukcji ale go właściwie nie słuchałem – teraz chciałem tylko usłyszeć i zrozumieć słowa, *Action Stations!*”, potem opuścić nogi do dziury i czekać na rozkaz, „Go!” i wtedy po prostu rzucić się w przestrzeń bez żadnej myśli w głowie. Jeszcze raz sprawdził czy byłem dobrze przyczepiony (przyczepialiśmy nasze linki statycznie do gondoli zanim posłali nas do góry), dał mi znak kciukami podniesionymi do góry i pocieszający uśmiech, i spokojnie rzekł: *Action Stations*. Wsadziłem obie nogi do dziury, położyłem obie ręce na jej krawędzi nie patrząc w dół i obserwowałem jego podniesioną rękę jakbym był w transie. „Go!” – i wyskoczyłem odpychając się obiema rękami, stopy razem, oczy ciasno zamknięte.

Spadałem, wydawało mi się, bez końca. Przestałem oddychać, wszystkie mięśnie miałem napięte jak struny i nie miałem żadnej myśli w głowie dopóki spadochron się nie otworzył z wielkim trzaskiem pękających sznurków i pokrowców, które go trzymały razem. Ogromna ulga – i otworzyłem oczy. Przez parę krótkich sekund wahałem się dziko, zawieszony w przestrzeni; ziemia wydawała się daleka, zielona i spokojnie nieruchoma pod moimi stopami. Nie miało się wrażenia spadania. Ale to była tylko chwilowa iluzja – bo bardzo szybko ziemia zaczęła się do mnie zbliżać z nieuchronnością i prędkością ekspresu. „Uważaj, uważaj”, powiedziałem sobie z pewnym niepokojem, „Spokojnie, spokojnie” – i wylądowałem z małym szokiem, ale właściwie nieźle.

Natychmiast humor mi się poprawił i byłem gotów mówić z kimkolwiek, kto tylko chciał słuchać, na temat tego skoku. Suchość w gardle od razu mi przeszła, chęć siusiania również, jesienne słońce nabrało nowego blasku. Ale ponieważ wszyscy inni byli dotknięci w ten sam sposób, nie było wielu słuchaczy – każdy raptem zrobił się bardzo gadatliwy, o ile przed skokiem nie mógł z siebie słowa wydusić.

Tego dnia zrobiliśmy jeszcze jeden skok z balonu – i z dokładnie tymi samymi symptomami – jak czas skoku się

zbliżał każdy robił się trochę ponury i zamknięty w sobie, po skoku przychodziło uczucie ulgi i radości, z prawie nieprzystojnym gadulstwem.



Po balonie zostaliśmy promowani do skoków z dwumotorowego bombowca (*Armstrong Whitworth Whitley Mk.V*), który został przystosowany do użytku dla skoczków. Były cztery skoki: jeden pojedynczy skok, potem dwójkami, czwórkami i szóstkami (w Polsce mieliśmy skakać szóstkami). Sama technika skoku była taka sama jak z balonu – tylko jak rzucało się za jednym razem kilku skoczków, połowa delikwentów siedziała przed okrągłą dziurą od strony dziobu samolotu, a druga połowa od tyłu, siedząc w poprzek do długości maszyny i skacząc na zmianę z dziobowej i rufowej części. Tak, że jak zrzucało się szóstkę, numery 1, 3 i 5 siedziały od rufy dziury i skakały twarzą do kierunku lotu a numery 2, 4 i 6, siedzące od strony dziobu samolotu, skakały tyłem do tego kierunku. Tuż przed skokiem, jak dochodziliśmy do zrzutowiska, siedzieliśmy jak sardynki; numer 1 miał nogi skierowane na lewą burtę a numer 3 na prawą i tak dalej. Na rozkaz *Action Stations!*, jak zapaliło się czerwone światło, numer 1 przerzucał nogi do dziury, chwycił za krawędź dziury rękami w przepisowy sposób i bacznie obserwował czerwone światełko, usytuowane na wysokości oczu oraz rękę *despatcher*'a, którą ten podnosił w tym samym czasie jak zapaliło się światło. *Despatcher* trzymał się trochę z boku dziury aby nie przeszkadzać w skoku.

Jak zapaliło się zielone światełko, ręka *despatcher*'a zeszła na dół jednocześnie i poszliśmy, jeden po drugim, tak jak byśmy byli połączeni niewidzialnym sznurkiem. Chodziło o to by opuścić samolot w jak najkrótszym czasie – jak tylko skoczył pierwszy skoczek, reszta posuwała się do dziury na pośladkach, tak że numer 2 skoczył, numer 3, z drugiej strony dziury, już był w pozycji skoku, itd., itd. cały interes zabierał tylko parę sekund – zwykle bez wypadków. W ogóle skoki były bardzo bezpieczne (wbrew temu co myśleli cywile), podczas tygodnia, który spędziłem w Ringway widziałem setki skoków i nigdy nie było poważnego, tzn. śmiertelnego, wypadku.

Ten nowy duch *esprit de corps* i dumy z naszych

osiągnąć kazał nam patrzeć z pewną pogardą na Amerykanów, którzy, jeżeli można było wierzyć kronikom filmowym, skakali z dwoma spadochronami. No, popatrzcie, jak można.



Wróciłem do Londynu w pierwszych dniach stycznia 1944.

Jerzy STRASZAK

JERZY STRASZAK urodził się w 1922 w Lublinie. Wstąpił do Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni w lecie 1939. W chwili wybuchu wojny był uczniem najmłodszego kursu nawigatorów na „Darze Pomorza”, który pozostał w Sztokholmie na czas wojny. Wraz z innymi nawigatorami pojechał do Anglii, gdzie wstąpił do polskiej marynarki wojennej w grudniu 1939. Służył jako marynarz na okrętach Rzeczypospolitej i pływał jako marynarz w polskiej marynarce handlowej do 1942, kiedy poszedł do Szkoły Morskiej w Southampton. Po jej ukończeniu w 1943 wrócił do marynarki wojennej w roli oficera wywiadu morskiego.

Przeszkolony jako oficer wywiadu i cichociemny odbył z Włoch dwa loty nad Polską w 1944, które nie doszły do skutku. Po powrocie do Anglii w grudniu 1944 został odkomenderowany na studia budowy okrętów w Glasgow, które ukończył w 1950. Pracował w swoim zawodzie w Anglii na stocznjach i w Admiralicji Brytyjskiej do 1953, a później wyemigrował do Kanady jako konstruktor-porucznik w Royal Canadian Navy. Przez długie lata pracował w National Research Council, Ministry of Supply and Services i Canadian International Development Agency.

„Szkoła szpiegów” jest fragmentem jego wspomnień „Wojenko, wojenko...”.

RECENZJE

Michał PAZIEWSKI

OPOZYCJA POLITYCZNA À LA PRL

Kilka lat temu, gdy pytano mnie, na czym polegało „knucie” przeciwko „czerwonemu”, zwykłem odpowiadać przewrotnie: w zasadzie na... piciu herbaty. Aby bowiem zebrać informacje czy artykuły do podziemnego „Obrazu”, telefonem np. mogłem się posłużyć co najwyżej w celu umówienia się na spotkanie. Niestety częstokroć polegały one właśnie na konsumpcji tego napoju połączonej z wysłuchiwaniem sfrustrowanych byłych działaczy „Solidarności” udających (przede wszystkim przed sobą), że konspirują w jakimś podziemiu. Zbywałem ich zażenowanym milczeniem. Najgorsze jednak, że robię to i dzisiaj, choć coraz częściej, czytając i słuchając ich werbalnych urojeń, mam ochotę krzyknąć: nie piernicz!

Trudno byłoby mi wszak udowodnić swoje racje, a im wykazać mitomaństwo. Tymczasem, i w tym przypadku, powtarza się prawidłowość z okresu Polski Ludowej - im dalej od wojny, tym więcej zbawidowców.

Powyższe przyszło mi do głowy po lekturze ponad 600 stronicowego przedsięwzięcia, autorstwa Andrzeja Friszkego z Instytutu Studiów Politycznych PAN, kierownika działu historycznego w redakcji miesięcznika *Więź*, pt. „Opozycja polityczna w PRL 1945-1980”, a nadto jej uczestnika, który

jednemu z nurtów tej „bajki”, podpisując się Witold Wolski, poświęcił obszerną broszurę „KOR. Ludzie, działania, idee”, (2 wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza oraz Spółka Wydawnicza NORMA, Warszawa 1983).

Badacz ten, opierając się na przynajmniej setce relacji świadków wydarzeń, w tym głównie liderów różnych ugrupowań (niemal wyłącznie z Warszawy), nazbyt chyba zaufał tego typu przekazom, podczas gdy do innych źródeł historycznych odniósł się nie najlepiej. Wypowiedzi te z reguły udzielane były dziesiątki lat po zdarzeniach (jak wiadomo higieną mózgu jest zapomnianie). I zapewne dlatego ani słowem A. Friszke nie napomyka w swojej pracy, ot choćby o szczecinianach, godnych odnotowania nie tylko z powodu ich późniejszej drogi życiowej, aktualnych szefach MSW Andrzeju Milczanowskim i Jerzym Zimowskim – przedsiębiorniowych współpracownikach Biura Interwencyjnego KSS „KOR” (potwierdzić to mogą jego interlokutorzy Z. Romaszewski, T. Bogucka) albo o Przemysławie Fenrychu – posierpniowym członku Prezydium Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Pomorza Zachodniego i jego rzeczniku prasowym, natomiast wcześniej, pod pseudonimem Tadeusz Jastrzębiec, wspierającym drugoobiegowy dwumiesięcznik *Bratniak* A. Halla (który może to zaręczyć). Nierzadko, szczególnie dla „zawodowych opozycjonistów”, rodząca się książka mogła być (jak np. dla L. Moczulskiego) ważnym instrumentem w toczących się obecnie i przewidywanych w przyszłości grach politycznych. Stąd i tutaj trzeba było się spodziewać „skażenia” wywiadów i, co za tym idzie, swoistej amnezji u wielu rozmówców. Zarazem, co niebywałe, nie odwołał się Friszke do z roku na rok dostępnejszych archiwów resortu spraw wewnętrznych. Pozwoliłoby mu to m.in. ukazać stanowiska władz „na różnych etapach” socjalistycznego reżimu.

Prawdę mówiąc to potraktowanie Szczecina dało mi asumpt do przedstawienia, i pod tym kątem napisania, krytycznych uwag. Gdyby historyk ów porozmawiał z kimkolwiek nawet powierzchownie zorientowanym w problematyce, a związanym z tym miastem, to nie popełniłby chociażby paru znamiennych potknięć (przykładowo s.566): stwierdzając istnienie w nim przedsiębiorstwa „Polfa” (jest „Selfa”), myląc za korowskim *Robotnikiem* (nr 38/39, 5 października 1977) imię Podolskiego (nie Stanisław, lecz Zdzisław) i w ogóle skład Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodniego, których był on współzałożycielem (co

można sprawdzić na tej samej stronie w *Robotniku Szczecińskim*, nr 1, 31 marca 1980). W świetle jedynie powyższego faktu łatwo polemizować z tezą na wyrost, iż grupa ta „w Sierpniu ani później istotnej roli nie odegrała”. Czyżby? Inicjatorem strajku 18 sierpnia 1980 w Stoczni Remontowej „Parnica”, który poprzedziło wystąpienia „Warskiego”, był Aleksander Krystosiak, późniejszy wiceprzewodniczący zachodniomorskiej „Solidarności”, a przywódcą sierpniowego protestu w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacji Miejskiej był członek związkowego prezydium w regionie, obaj współdziałający z KZ WZZ (o czym można przeczytać w znakomitej książce reportażowej M. Szejnert i T. Zalewskiego „Szczecin: Grudzień-Sierpień-Grudzień”, NOW-a 1984). Przecież to stanowi „istotną rolę”! Dodam jeszcze, że działacz wolnozwiązkowy Andrzej Kamrowski z „Warskiego”, próbujący wywołać przerwanie pracy w swoim zakładzie (nb. udało się to dopiero Eugeniuszowi Szerkusowi, podobnie aktywnemu w Grudniu '70) wybrany został wtenczas do „trójki wydziałowej, a potem do Zarządu Regionu oraz delegatem na zjazd krajowy Związku. Z kolei Stefan Kozłowski, redaktor *Robotnika*, w czasie gorącego lata '80 zaproszony został do stoczniowej świetlicy głównej, gdzie wraz z A. Kamrowskim obradowali z przedstawicielami Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Oczywiście, ich „zakorzenienie w środowiskach robotniczych”, w porównaniu do WZZ w Gdańsku, było – tutaj zgodzę się z Friszkiem – mniejsze.

Wiele błędów, zrozumiałych okolicznościami w jakich powstały – np. w zbiorze materiałów „Dokumenty Komitetu Obrony Robotników i Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”, dokonaniu londyńskiego „Aneksu” powstałym we współpracy z Wydawnictwem Naukowym PWN i opublikowanym w drugiej połowie zeszłego roku, opracowanym przez Andrzeja Jastrzębskiego (gdzie zachodniopomorscy WZZ-owcy występują dubeltowo, z poprzekręcanymi nazwiskami: Andrzej Kamrowski jednocześnie jako A. Komorowski, Tadeusz Kocięłowicz to też T. Kociński, zaś Waldemar Jadłowski zostaje naraz W. Jodłowski) – w tym ambitnym tomie jest nie do przyjęcia.

Poważne lapsusy, zresztą wynikające ze „stołecznej” perspektywy badawczej, dotyczą i innych ośrodków kontestacji. Aby nie być posądzonym o „prowincjonalne zacietrzewienie” podam dowody z „konkurencyjnego Trójmiasta”. Znany tam powszechnie w środowiskach opozycyjnych duszpasterz aka-

demicki, jezuita o. Bronisław Sroka, który wywarł silny wpływ ideowy na grono studentów, przyszyłych czołowych działaczy Ruchu Młodej Polski, na kilku stronicach (313 i in.) występuje jako Bolesław Friszke (s. 267) powiela – mimo iż, jako Zygmunt Korybutowicz, jest twórcą monografii „Grudzień 1970” (Instytut Literacki, Paryż 1983) i nie powinien był tego uczynić – gafę wydawców, niewłaściwe nazwisko Wiesławy Kwiatkowskiej, autorki opracowania „Grudzień '70 w Gdyni” (Wydawnictwo „Pokolenia”, W-wa 1986). A poza tym nie zauważa jej wywiadu-rzeki z Andrzejem Gwiazdą, animatorem powstania WZZ Wybrzeża, wiceprzewodniczącym pierwszej „Solidarności”, połączonego z wyborem jego tekstów, pt. „Gwiazda, miałeś rację” (ZP Sopot, Gdynia 1990).

Do mocnej strony dzieła bez wątpienia należy wzbudzające duże zaufanie dla gruntowności opisu (tak jak i imponujący indeks blisko 1,5 tysiąca nazwisk), dość szerokie skupienie się na publikacjach spoza zasięgu cenzury, oraz polonijnych. Wnoszę iż jest to jednak pozór, gdyż eksploatując, zdawałoby się głęboko, rozmaite kroniki represji, papierowe deklaracje, spektakularne gesty szeregu bohaterów z czasów walki z komunistycznym Lewiatanem, konieczne było potraktowanie ich z dużo większą dozą sceptycyzmu i dystansu.

Żeby nie być gołosłownym. Pod koniec rozdziału prezentującego Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela Friszke przytacza (s.486) głośnie aresztowanie we wrześniu 1980 r. przewodniczącego marginalnej Konfederacji Polski Niepodległej L. Moczulskiego, a w następnych miesiącach R. Szerebietiewa, T. Stańskiego, T. Jandziszaka. Nie ma tutaj większego znaczenia kolejne przeoczenie autora, do zweryfikowania w prasie „z epoki”, że nie byli to – jak pisze – jedyni wtedy więźniowie sumienia (zapomniał o W. Ziemińskim, Z. Goławskim, K. Bzdylu, J. Sychucie), ciekawe jest coś innego. Otóż m.in. ostatniego z tych kontestatorów w różnych tekstach, powszechnie uważa się za KPN-owca. Nikt jednak, zarówno w okresie „solidarnościowego karnawału”, jak też tym bardziej później, włącznie z nim samym (oraz niżej podpisanym pisującym o jego sprawie w tygodniku *Jedność*) nie uznał za stosowne, ażeby zaprzeczyć tej bzdurze partyjnej propagandy, kreującej kolportera NOW-ej na... Kierownika Akcji Bieżącej KPN Obszaru Północnego w Szczecinie. Po prostu Sychutowi nie wypadało odcinać się czymkolwiek od pozostałych pensjonariuszy aresztu śledczego MSW w War-

szawie przy ulicy Rakowieckiej 2, zaś wszystkim innym dzielić uwięzionych; jako że najważniejsza była ich obrona.

Takich, nie tylko kuriozalnych, przykładów fikcyjnych inicjatyw, szumnie określanych np. partiami, ruchami, czasopismami, zaklinania rzeczywistości, było co niemiara. Wielu laików, czytelników „Friszkego”, może się nabrać na sporą część tych haseł lub widzieć je w zupełnie innym wymiarze niż na to zasługują.

Tym razem ilustracja tego fenomenu, w której znów odwołam się do wniosków i doświadczeń z własnej „obserwacji uczestniczącej”. Redagując np. „Grotę” wielokrotnie podpisywałem się... Tajna Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego czy nazwiskami co bardziej skompromitowanych dziennikarzy reżimowych, aby – w tym samym numerze gazetki – zamieścić, też produkt spod pióra niżej podpisanego, list do... redakcji, po czym... sobie odpowiedzieć. Kiedy indziej, „robiąc” inne piśmanko, przemienne je tytułowałem – „BIS” bądź „KOS”, ażeby czytelnicy i Służba Bezpieczeństwa odnieśli wrażenie mnogości przeciwników „komuny” oraz niezależnych działań. Nie muszę chyba dodawać, iż w tego rodzaju praktykach nie byłem odosobniony (np. działacz WZZ z Gryfina, Mirosław Witkowski, periodyki swoje jeszcze ubarwiał własną poezją, pod pseudonimem Krzysztof Bajor, oraz osobiście je drukował i kolportował), a miały one miejsce i przed Sierpniem '80, stanowiącym cezurę końcową recenzowanej „Opozycji”.

Przeróżne braki i niedopatrzenia, które dalej można by wymieniać, na co ramy recenzji polemiki nie pozwalają, wskazują – moim zdaniem – na nieprzeprowadzenie pełnej i wszechstronnej analizy faktów, w miarę „rzeczowo” przedstawiających tytułową kwestię. Zresztą, czy spojrzenie na „opozycję w PRL” może być tzw. obiektywne skoro nie istnieje dla Friszkego – jak to wynika z treści i przypisów jego publikacji – zmuszając go do próby bardziej przemyślanego, niepowierzchnowego widzenia polskich problemów, korzystając z wcale pokażnej literatury przedmiotu spoza naszego kręgu językowego? Przykro mi, ale muszę zwrócić uwagę chociaż na niektóre, elementarne książki: Helgi Hirsch, „Politische Opposition und unabhängige gesellschaftliche Bewegungen in Polen 1976-1980” (Mainz/ München 1985), wybór tekstów w opracowaniu Rudolfa L. Tökesa, „Opposition in Eastern Europe” (London/ Basingstoke 1979), a w nim godny szczególnego zainteresowania artykuł Jaques'a

Rupnika „Dissent in Polen 1968-78: the End of Revisionism and the Rebirth of the Civil Society” (ss. 60-112), zbiór przygotowany przez Leonarda Schapiro „Political Opposition in Poland 1954-1977” (London 1978). Tyczy się to także multum materiałów w *Problemes of Communism, Foreign Affairs, Survey'u, Osteuropie, Kontinencie, Svedectvi*”.

A zatem, czy nie było za wcześnie na syntezę?

Zasygnalizuję wreszcie bardziej typowe uchybienia edytorskie: nie Antoni Liehm (s. 113) lecz Antonin Liehm; nie L. Czubińskiego (s. 282), lecz A. Czubińskiego; nie E. Ostałowska (S. Niesiołowski) Ruch (s. 336), lecz E. Ostrołęcka (S. Niesiołowski) „Ruch”; nie wyznań (s. 361), lecz wyznań; nie robciowcy (s. 468), lecz ropciowcy; nie Starogardu Szczecińskiego (s. 530) lecz Stargardu Szczecińskiego.

Michał PAZIEWSKI

Tadeusz WYRWA

ANTOLOGIA LITERATURY KATYŃSKIEJ

Wśród różnych symboli, które uosabiają dzieje drugiej wojny światowej, symbol Katynia ma wieloraką wymowę. W przedmowie do książki Janusza K. Zawodnego w języku polskim „Katyń”, Zbigniew Brzeziński napisał, że słowo Katyń kojarzy się „z okrucieństwem, bestialstwem i podstępem”, oraz – trzeba jeszcze dodać dla ścisłości – z oportunizmem i obojętnością państw zachodnich wobec haniebnych zbrodni, świadomie i z premedytacją ignorowanych, a co gorsza – symbolizujących do dziś konformizm Zachodu. Chodzi przeto o dużo więcej niż o wskrzeszanie symbolu tego co kiedyś było, gdyż w dalszym ciągu to wszystko się powtarza i to w nieporównywalnie większych rozmiarach, w różnych krajach i na różnych kontynentach. Wystarczy przypomnieć ofiary Biafry, Kambodży, Czeczenii i byłej Jugo-

sławii, żeby nie mieć dłużej wątpliwości, iż zbrodnie zostały „umiędzynarodowione”, podobnie jak okazywana względem nich obojętność. Wiele trzeba będzie wysiłków, a może i kataklizmu w skali światowej, żeby przebić mur oportunistów, jakim odgradziły się społeczeństwa od nieszczęść milionów ludzi. Muru tego nie zburzy się z dnia na dzień i bardzo w tym pomocne jest wszystko to, co ułatwia zrozumienie i bezpośrednie odczucie losu ofiar, oraz bólu i żalu ich rodzin.

Takim też wkładem, jedynym w swoim rodzaju, jest książka opracowana przez prof. Jerzego R. Krzyżanowskiego, pisarza i krytyka literackiego¹. We wprowadzeniu Autor pisze, że pomysł wydania utworów literackich poświęconych tematyce katyńskiej powstał w 1988 roku, kiedy z okazji odczytu, który wygłosił wówczas w Nowym Jorku i uczuciowej reakcji słuchaczy, uświadomił sobie niepowetowaną szkodę, jaką byłoby odejście w niepamięć wierszy, esejów i fragmentów prozy opublikowanych na łamach prasy emigracyjnej. Później, po zmianie w Polsce sytuacji w 1989 roku, doszły publikacje z prasy krajowej różnych wspomnień, reportaży z pielgrzymek i podróży do Katynia, oraz z innych odnalezionych cmentarzysk. W wyniku mozolnej pracy prof. Krzyżanowski zebrał kilkaset utworów, z których ponad sto czterdzieści, napisanych przez przeszło stu autorów zostało włączonych do Antologii.

Wstęp do tej książki napisał, z dużym wyczuciem naglających potrzeb chwili obecnej, Włodzimierz Odojewski. Jego punktem wyjścia jest pytanie: „Ile jest prawdy w założeniu, że jesteśmy narodem o wyostrzonej świadomości historycznej i dobrej pamięci?” Odpowiedź nie jest łatwa i Odojewski najpierw przypomina, że od około 1979 roku zaczął się okres „wzmoczonego zanurzania się Polaków w historię, coraz śmielszego likwidowania tzw. białych plam, odrabiania zaległości i braków wiedzy historycznej”. Następnie pisze, że później impet badań nad przeszłością spowolniał a zainteresowanie historią zmalało. Zwłaszcza wśród młodzieży zwycięża tendencja do naśladowania Zachodu z jego zapominaniem własnej historii i narzucaniem cywilizacji zmierzającej do „zniewolenia umysłu i ducha przez wartości czysto materialne...”. Odojewski zastanawia się z kolei dlaczego tak się dzieje? „Czyżby

1. „Katyń w literaturze. Międzynarodowa antologia poezji, dramatu i prozy”. Opracował Jerzy R. Krzyżanowski. Wstęp Włodzimierz Odojewski, Norbertinum, Lublin 1995, str. 330.

na naszych oczach rwała się jakaś tradycja rodzinna? Tradycja kształcenia? Kultury?” Czy rzeczywiście przeważać będzie tendencja, że „dość tej martyrologii narodowej, dość tych cierpień, odstawmy je wreszcie do lamusa...?”. Mimo tego wszystkiego Odojewskiemu trudno jest uwierzyć, żeby Polacy zagubili świadomość historyczną i potrzebę czerpania nauki tak z własnej, jak i ze zbiorowej, innych narodów pamięci.

Warto zwrócić tutaj jeszcze uwagę na pogłębiającą się coraz bardziej wadliwość naszej historiografii, której specyfiką nadal jest masochistyczne kultywowanie ideału poniesionych klęsk. Żałobne przedstawianie dziejów Polski nie będzie nigdy właściwie odbierane przez młode pokolenia i nie tam będą one mogły odnaleźć zagubioną swoją tożsamość. Historia nie budzi już na ogół zainteresowania również i dlatego, że brak jest wnikliwszych a zwłaszcza krytycznych analiz najnowszych dziejów Polski. Wszystko jest przeważnie u nas na jedną modłę w stylu widowisk rocznicowych, które ułatwiają raczej manipulowanie historią a nie wzbogacanie o niej wiedzy. Różnie też jest interpretowany i wykorzystywany symbol Katynia, w nienajlepszym niejednokrotnie celu. Opracowany przez Krzyżanowskiego zbiór utworów literackich winien ułatwić zrozumienie i odczucie tego symbolu, jako dramatu ogólnoludzkiego o czym świadczy również i to, że zawiera pozycje z literatur amerykańskiej, białoruskiej, czeskiej, izraelskiej, rosyjskiej, węgierskiej i włoskiej.

Utwory prof. Krzyżanowski podzielił na dziewięć zasadniczych części: „Wrzesień”, „W niewoli”, „Śmierć w lesie”, „Nad grobami 1943”, „Ojciec”, „Przeciw zмовie milczenia”, „O sprawiedliwość”, „Refleksje i pogłosy tragedii”, „Nad grobami 1989-1991”. Następnie znajdują się noty biograficzne autorów, podane chronologicznie według umieszczonych utworów, co bardzo ułatwia ich umiejscowienie, niezbędne właściwie do lepszego zrozumienia i wycucia tego rodzaju literatury. W dalszej kolejności jest indeks autorów, po nim indeks utworów i na końcu synopsis w języku angielskim.

W Antologii przemieszana jest poezja i proza „z uwagi na ich wzajemne zazębiania tematyczne”, jak wyjaśnia prof. Krzyżanowski, z tym że przeważa poezja, rzecz zrozumiała, co przypomina Krzyżanowski w innym miejscu, gdyż „na tragedie narodowe najżywiej reaguje poezja – tak było zawsze w dziejach literatury polskiej, a jak się okazuje, również w literaturach innych”. Antologia zawiera także wiersze znalezione przy zwłokach ofiar Katynia, Miednoje i Charkowa.

Specjalny do Antologii esej napisał Simon Schochet, historyk amerykański, autor szeregu prac naukowych o Żydach, ofiarach zbrodni katyńskiej. W eseju tym Schochet pisze, że „Katyń był polską tragedią, ale w niej mieściła się inna, mało znana, a mianowicie tragiczna strata najbardziej wykształconej grupy ludzi żydowskiego pochodzenia, oficerów, którzy zostali wzięci do niewoli i zamordowani wraz ze swymi polskimi braćmi za to, że wzięli udział w obronie swego kraju”. Schochet podaje, że spośród czternastu tysięcy zabitych oficerów zidentyfikował z dużym prawdopodobieństwem nazwiska około dwustu oficerów żydowskiego pochodzenia, których rodziny, w większości wypadków, wojny również nie przeżyły.

Jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów rosyjskich, Andrej Wozniesiński, w utworze pt. „Skarbiec Katynia” pisał: „KATYŃ – to jest skarbiec kłamstwa, stalinowskiego i poststalinowskiego, globalnego załamania rządów, komisji międzynarodowych, pisarzy – to skarbiec naszej hańby... Boże, odpuść nasze grzechy, Boże, daj ukojenie душom niewinnie zamordowanych w Katyniu”.

Dopominanie się o prawdę zbrodni katyńskiej, będące motorem wielu manifestacji i różnych publikacji, nie jest już na szczęście aktualne. Dość dużo robi się z kolei szumu o potrzebie oficjalnych przeprosin Moskwy, co winien był zrobić zwłaszcza Jelcyń z okazji 50-lecia kapitulacji Niemiec. Jaką jednak wartość miałyby przeprosiny wyrażone na pokaz przez człowieka przesiąkniętego atmosferą epoki dokonanych zbrodni? Bardziej natomiast aktualne byłoby, żeby przeprosił Zachód – skądinąd dumny ze swojej cywilizacji – za półwieczny kamuflaż sowieckiego morderstwa. Z polskiego punktu widzenia nie to jest najważniejsze, a próba zmonopolizowania polskich cierpień i krzywd, wobec nieustających dramatów w innych krajach, dalekie jest od zasad kultury chrześcijańskiej, które tak często są na ustach naszych rodaków. W tym wszystkim nie można zapominać, o czym pisze red. Jerzy Giedroyc, że „eksploatowanie Katynia przez *mass media* będzie tylko zadrażniać nasze niełatwe stosunki z Rosją. Trzeba pamiętać, że ofiarami zbrodni stalinowskich były także miliony samych Rosjan i dziesiątki tysięcy Ukraińców, Białorusinów i Litwinów”².

Tadeusz WYRWA

2. Zob. „Notatki Redaktora” w *Kulturze* nr 5, maj 1995, str. 126.

POKOLENIE AKOWSKIE W PAMIĘTNIKARSKIM PIŚMIENNICTWIE

Najliczniejszą i najofiarniejszą warstwą pokolenia akowskiego były roczniki, które wychowały się w dwudziestoleciu Polski niepodległej oraz dorastająca wówczas młodzież. Do pierwszej kategorii należał Jan F. Morelewski, autor omawianej tutaj książki¹.

Głównym celem książki Morelewskiego jest danie świadectwa atmosfery i warunków, w jakich kształtowało się jego pokolenie i następnie wojennych, a później powojennych jego losów.

Książka dzieli się na trzy części: pierwsza – to dzieciństwo i lata młodzieńcze do wybuchu wojny 1 września 1939; druga obejmuje okres wojny, okupacji i tułacznej emigracji; część trzecia od 1963 do 1990 r. miała zawierać lata ustabilizowanego życia w Stanach Zjednoczonych, ale nie zdołał już jej napisać i Leszek J. Malinowski, akowiec, współtowarzysz wojennych przeżyć Autora, zebrał i opracował w skrócie dane z życia Morelewskiego z lat 1964-1993 i gdzie też został zamieszczony jego dorobek publicystyczny, oraz kilka o nim głosów z grona przyjaciół.

Urozmaicone i dalekie od wygod było dzieciństwo Morelewskiego. Ojciec, oficer saperów w armii carskiej, po wybuchu rewolucji w Rosji połączył się z rodziną, która mieszkała wówczas w Smoleńsku i razem wyjechali do Chełmna Lubelskiego. Mieszkali później w Baranowiczach i Stołpcach, co uzależnione było od miejsca pracy ojca. Po zdaniu matury i krótkim pobycie w Warszawie, wyjechał w 1931 r. na studia do Poznania. W 1935 roku, po 4 latach studiów w Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, otrzymał dyplom magistra praw, „pół” dyplomu z ekonomii politycznej oraz świadectwo ukończenia studiów dziennikarskich, co wszystko razem świadczyło o intensywnej

1. Jan Morelewski, „Pokolenie akowskie”, Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Oddział w Bydgoszczy; Biblioteka Wileńskich Rozmaitości. Redaktor Jan Malinowski, Bydgoszcz, 1995, str. 352.

pracy i znaczeniu, jakie miało dla niego zdobycie wiedzy. Po rozpoczęciu służby wojskowej został w 1935 roku odkomenderowany do podchorążówki rezerwy kawalerii w Grudziądzu (stopień podporucznika otrzymał w 1938 r.).

W dalszej kolejności to praca w wydziale przemysłowo-handlowym urzędu wojewódzkiego w Warszawie, później w podobnym wydziale w Wilnie, dokąd został przeniesiony i tam też poznał wtedy Bronisławę, jedną z urzędniczek, przyszłą żonę. Wkrótce otrzymał z ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie, gdzie uprzednio starał się o zajęcie, ofertę pracy w Korpusie żandarmerii. Ofertę przyjął i we wrześniu 1938 roku zameldował się w Centrum wyszkolenia żandarmerii w Grudziądzu. Po przeszkoleniu wrócił do Wilna, przydzielony do 1 plutonu żandarmerii, którego dowódcą był kpt. Julian Dziurzyński.

Kampanię wrześniową 1939 roku Morelewski odbył w Wileńskiej Brygadzie Kawalerii, walczącej m.in. pod Piotrkowem Trybunalskim, a później cofającej się na wschód, z podobnym rezultatem i losem do innych jednostek wojska polskiego. Po ciężkich tarapatach powrócił do Wilna, okupowanego już przez Sowieców. W końcu października część Wileńszczyzny, z Wilnem włącznie, Sowieci odstąpili Litwie. Aresztowany przy staraniach o dostanie się do Francji, zostaje zwolniony dzięki wysiłkom Mariana Morelewskiego, dalekiego krewnego (nazwisko o trochę odmiennej pisowni), profesora historii sztuki na Uniwersytecie Stefana Batorego, któremu wiele jeszcze później zawdzięczał.

Wraz z ojcem i bratem Henrykiem, Morelewski zaczął zarabiać fizycznie na życie. Jednocześnie włączył się w działalność konspiracji i w pierwszej jej fazie istotne było połączenie spontanicznie powstających organizacji, z których jedną był tworzony przez niego Związek Młodzieży Chrześcijańskiej. Nawiązał kontakt z Witoldem Zahorskim, działaczem akademickim, prof. Adamem Żółtowskim, Bronisławem Krzyżanowskim, kpt. (późniejszym ppłk.) Antonim Olechnowiczem, mjr. Aleksandrem Krzyżanowskim, późniejszym płk. „Wilkiem”, oraz ppłk. – a w przyszłości generałem Nikodemem Sulikiem. Przysięgę wstąpienia do Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) składał przed ppłk. Adamem Obtułowiczem. W tym samym czasie, dnia 6 lutego 1940 Morelewski zawarł ślub ze wspomnianą już Bronisławą, również członkinią konspiracji.

Ofiarowana Litwinom część Wileńszczyzny została

wkrótce, bo w czerwcu 1940 roku włączona do ZSSR. Druga okupacja sowiecka trwała do wkroczenia Niemców do Wilna dnia 23 czerwca 1941. Roczna ta okupacja charakteryzowała się deportacjami ludności wileńskiej i aresztowaniami członków ZWZ, m.in. komendanta Okręgu Nikodema Sulika, którego na tym stanowisku zastąpił Aleksander Krzyżanowski – „Wilk”. Autor ustrzegł się przed aresztowaniem przez Sowietów, ale nie mniejsze niebezpieczeństwo groziło mu nadal, jak i całej konspiracji podczas okupacji niemieckiej. Zwiększyły się nadto kłopoty gospodarcze, brak żywności i środków na ich kupno. Jednocześnie wzrastał się terror niemiecki o czym pisze obszernie Autor podając, że w samych tylko Ponarach, letniskowej miejscowości podwileńskiej, straciło życie około 80 tysięcy Żydów, jeńców sowieckich i Polaków, a pierwszymi tam ofiarami była egzekucja aresztowanych w maju 1942 roku 125 studentów i studentek.

Okrucieństwu okupanta towarzyszył antagonizm polskolitewski z fatalnymi tego skutkami, co z ubolewaniem Autor przypomina. Na domiar wszystkiego oddziały dywersji sowieckiej coraz większe wyrządzały szkody. W tych warunkach powstawała polska partyzantka, która – dając schronienie akowcom poszukiwanym przez Niemców – broniła ludność wiejską przed jej wyniszczeniem. W lutym 1944 roku, poszukiwany przez Gestapo Morelewski zdołał zbiec, ale aresztowano jego żonę i po kilkumiesięcznym pobycie w więzieniu na Łukiszkach zaginął po niej na dłuższy czas ślad. On został przydzielony do 6 Brygady partyzanckiej, którą dowodził skoczek mjr Franciszek Koprowski-„Konar”. Okres ten upamiętnił Autor opisem życia partyzantów. Z chwilą grupowania oddziałów przez płk. Krzyżanowskiego – „Wilka”, Morelewski został przydzielony do jego sztabu. Następnie – w ramach akcji określonej kryptonimem „Ostra Brama” – bierze udział w lipcu 1944 w walkach o Wilno, a po jego opanowaniu i podstępny aresztowaniu przez Sowietów płk. „Wilka”, dzieli los swojego zgrupowania, które daremnie przebijało się do Puszczy Rudnickiej, wyłapywane i rozbrajane po drodze przez armię czerwoną. Później, w przebraniu cywilnym, wraz z bratem Henrykiem, powrócili po różnych tarapatach do Wilna okupowanego przez Sowietów.

W Wilnie szalał terror. Nowym komendantem Okręgu AK został ppłk Julian Kulikowski-„Ryngraf”, wkrótce również aresztowany wraz z innymi działaczami Podziemia, a wśród nich prof. Stefanem Ehrenkreutzem, ostatnim rektorem Uni-

wersytetu Stefana Batorego. Warunki w więzieniu były przerażające, podobnie jak w transportach deportowanych do Rosji. W mieście panował chaos i dezorientacja co robić dalej? Stanowisko komendanta Okręgu AK objął z kolei ppłk Stanisław Heilman-„Wileńczuk”, który wyznaczył Morelewskiego i drugiego oficera, por. Bolesława Nowika-„Majewskiego” na spotkanie dnia 28 stycznia 1945 r. z mjr. Piotrem Motylewiczem-„Krzemieniem”, delegatem „Związku Patriotów Polskich”, który szukał kontaktu z komendą Okręgu AK. Spotkanie to zakończyło się fiaskiem, gdyż „Krzemień”, jak pisze Morelewski, „myślał o Polsce jako satelicie Rosji, my chcieliśmy Polski niepodległej”.

Z uwagi na ciągłe zagrożenie Morelewski nie mógł dłużej pozostać w Wilnie i wyjechał do Polski centralnej. Miał nadto zlecone nawiązanie kontaktu z władzami Podziemia. Najpierw udał się do Lublina, po 16 dniach podróży, takie były wówczas warunki. W Lublinie bardzo mu pomógł wspomniany już prof. Marian Morelewski. Tam też zaczął pracować i co najważniejsze odnalazła go w Lublinie żona, gdzie przyjechała w maju schorowana po 15 miesiącach więzienia i obozów koncentracyjnych. Trudności w Lublinie spowodowały, że Morelewski szukał wyjścia na Ziemiach Zachodnich, co również się nie powiodło i zdecydował udać się za granicę. Zamiar ten zbiegł się z zaleceniem ppłk. Antoniego Olechnowicza-„Pohoreckiego”, komendanta Okręgu wileńskiego, następcy aresztowanego ppłk. Heilmana-„Wileńczuka”, żeby pojechał na Zachód i przywiózł stamtąd konkretne instrukcje. Podróż odbył wraz z Leszkiem J. Malinowskim, który pod pseudonimem „Orland” służył w 3 Brygadzie partyzanckiej „Szczerbca”. Obaj mieli wyrobione w Warszawie papiery belgijskie i jechali jako „Belgowie”, Morelewski na nazwisko Jean Carrer.

W sierpniu 1945, przez Czechosłowację dojechali do Meppen, miejsca postoju 1 Dywizji pancерnej w Niemczech. Niewiele potrzeba było czasu, żeby się zorientować w sytuacji, jakże odmiennej od tej, jaką sobie wyobrażano w Kraju. Postanowili wrócić do Polski i złożyć ustny raport ppłk. Olechnowiczowi, który w tym czasie przeniósł się ze sztabem z Wilna do Warszawy. Po powrocie Morelewski zdecydował z żoną wyjechać razem i pozostać za granicą, co też popierał ppłk Olechnowicz, chcąc żeby był na Zachodzie jego wysłannikiem i informatorem. W listopadzie 1945 opuścił Polskę i wkrótce znalazł się po raz drugi w Meppen.

Dalsze dzieje, to już tułaczy szlak emigracji wojskowej. Po półrocznym pobycie w Meppen, skąd wysyłał jeszcze za pośrednictwem Leszka J. Malinowskiego informacje do Polski, Morelewski wyjechał do II korpusu we Włoszech, gdzie został przydzielony do 5 Kresowej Dywizji, której dowódcą był gen. Nikodem Sulik, znany mu jeszcze z Wilna. Wkrótce udało się tam również przyjechać żonie. Z żołnierzami II Korpusu przeżywał likwidację PSZ na Zachodzie, później wyjazd do Anglii, wstąpienie do PKPR, następnie nauka języka angielskiego, studia w Szkole Handlu Zagranicznego i praca zarobkowa, a miał na utrzymaniu, oprócz żony, córkę Barbarę urodzoną w Anglii w grudniu 1946 r.

W lutym 1947 roku przyjechał do Paryża ppłk Olechnowicz, chciał się spotkać z Morelewskim, który starał się o potrzebne wówczas dokumenta podróży, ale zanim je otrzymał Olechnowicz wrócił do Polski, wysyłając przed wyjazdem list do Morelewskiego (odbitka tego listu jest na str. 257), gdzie na temat sytuacji w Polsce pisał: „... jeśli tak potrwa rok, to naprawdę nie będzie kogo ratować”. Nie uratował się i Olechnowicz, gdyż aresztowany w lipcu 1948 roku został stracony, prawdopodobnie w więzieniu na Mokotowie.

Morelewski postanowił z żoną wyjechać do USA, co następuje w maju 1951 r. Początki były trudne. Pierwszym zajęciem była nocna praca fizyczna w dużym zakładzie handlowo-przemysłowym Clark Equipment Company, gdzie szanowany doszedł do wysokiego tam stanowiska. Z ramienia tego zakładu wiele podróżował po krajach Ameryki południowej i Europy. Jednocześnie nadal studiował, tym razem prawo amerykańskie; zdobył tytuł doktora. Był zadowolony z osiedlenia się w Stanach, zamieszkał na stałe w Chicago, ale – jak pisał – „wspaniałość życia w Ameryce nie przytłumia jednak świadomości, że jest to żywot tułaczy, będący konsekwencją nieustającej walki o Ojczyznę, okupowaną przez wroga”. Walkę tę prowadził na różnych frontach, przede wszystkim ofiarną pracą w licznych organizacjach. Najbliższe mu były organizacje kombatanckie, co zrozumiałe, z wojskiem związany był przecież od młodych lat i od podporucznika sprzed wojny doszedł do stopnia podpułkownika w stanie spoczynku, jaki otrzymał w 1990 roku. Prelegent licznych odczytów i autor różnych artykułów na tematy polskie, ogłaszanych również pod pseudonimem „Roland”, oraz książki w języku angielskim pod tytułem

„Poprzez kontynenty... w poszukiwaniu sprawiedliwości”²., Morelewski był aktywny do końca swojego życia. Miał szerokie znajomości, byłem też z nim w korespondencyjnym kontakcie około 20 lat.

Osoby, które bliżej go znały i z nim współpracowały potwierdzają również: „Dr Jan F. Morelewski należał do czołówki działaczy niepodległościowych na terenie Stanów Zjednoczonych po drugiej wojnie światowej” (Andrzej S. Ehrenkreutz).

Na łamach swojej książki Morelewski zwraca uwagę, że „energia i wiedza pokolenia wychowanego w wolnej już Polsce (dwudziestolecia międzywojennego) zostały zahamowane... W Kraju było ono niszczone przez wszystkich okupantów, łącznie z osadzonymi po 1945 r. służalcami Stalina; za granicą dusiło się, gdyż w emigracyjnych instytucjach polskich nie było dla niego miejsca. Z czasem dopiero z energii i wiedzy tego pokolenia zaczęli korzystać obcy” – i do nich należał Autor oraz nieliczni na ogół akowcy. Jak pisał Jerzy R. Krzyżanowski w liście kondolencyjnym do Bronisławy Morelewskiej: „Odchodzi nam AK-owskie pokolenie i nie ma na to rady, pozostawia jednak po sobie pamięć ludzi wspańiałych i niezłomnych, a śp. Jan jest ich najlepszym przykładem”, a Jego książka wymownym tego dowodem, stanowiąc swoistego rodzaju sagę rodzinno-akowską, co jest również znamienne dla pokolenia Autora i rodzinnych rozgałęzień, jakie charakteryzowały szeregi Armii Krajowej.

Tadeusz WYRWA

2. Jean Carrer (Jan F. Morelewski), „Across the Continents... in Search of Justice”, Alliance Press, Chicago 1970, str. 235.

„LIŚCIE NA WIETRZE”

Dzieje obywateli polskich w Sowietach w okresie 1939-42 zostały opisane względnie obszernie przez tych, którzy w 1942 r. wyjechali z Armią gen. Andersa. Panowało wśród nich przekonanie, że większość Polaków zdołała wraz z nimi przedostać się „na południe” i opuścić Związek Sowiecki. Tymczasem wyjechał wówczas do Persji jedynie niewielki procent, a dominująca większość pozostała nadal rozrzucona na Syberii, w Kazachstanie, w północnej Rosji i „na południu”. Dzieje tych, którzy pozostali są bardzo źle udokumentowane, bo ci, którzy przeżyli znaleźli się potem w PRL, gdzie przez pół wieku ich przeżycia były tematem zakazanym lub też zakłamywanym. Dlatego dobrze się stało, że Felicja Konarska wydała ostatnio swe wspomnienia pt. „Liście na wietrze”¹.

Autorka książki ma niewątpliwie zdolności narracyjne. Piszze żywo i przekonująco. Niewątpliwie też musiała korzystać z pamięci swej mamy lub starszego rodzeństwa, a może z uprzednio przygotowanych notatek, bo przytacza ogromną ilość ciekawych zresztą szczegółów. Jednak początkowy okres, aż do „amnestii” nie wnosi wiele nowego, bo transporty z lutego 1940 r. i praca w lesie zostały już dawno opisane. Natomiast od przymusowego pozostania „na północy” jesienią 1941 r. wspomnienia Konarskiej są rzeczywiście ciekawe.

Omawiając te wspomnienia należy zwrócić szczególną uwagę na Kotłas, który w losach wielu obywateli polskich odegrał zasadniczą rolę. Tu kończyła się wówczas kolej. Tu przyjeżdżali nie tylko leśnicy i osadnicy (z lutego 1940 r.) i uciekinierzy (z czerwca 1940 r.), skierowani do pracy w lasach nad Północną Dźwiną, ale również tysiące więźniów „cywilnych”, skazanych na wieloletni pobyt w łagrach, których skierowano do budowy kolei Kotłas-Workuta. Tutaj również, w tym samym celu, przywieziono wiosną 1940 r. znad Donu, około 10 tysięcy jeńców wojennych (szeregowych), trzymano

1. Warszawska Drukarnia Akcydensowa, Warszawa 1994.

ich jednak w osobnych obozach, separując od cywilnych łagierników.

Po „amnestii” NKWD nie informowało organizujących się władz polskich, gdzie znajdują się największe skupiska Polaków, ale z wiadomości dostarczanych przez tych, którzy docierali do Buzułuku, wynikała ważna rola Kotłasu. Dlatego 15 lutego 1942 r. wyruszył z Buzułuku wyjątkowo dobrze zaopatrzony i liczny transport, który miał dać w Kotłasie poważną pomoc obywatelom polskim i jednocześnie organizować rekrutację do Wojska Polskiego. Transport ten miał trzy wagony zaopatrzenia² i w jego skład wchodziły następujące osoby: mjr Tadeusz Zieliński, kapelan ks. Ryszard Grabski (kapucyn), pchor. Jerzy Berlin, plutonowi (czy też kaprale) Bezdell i Kazimierz Jerywański³ oraz szer. Szaciłło. Do Kotłasu transport ten dotarł dopiero 1 kwietnia 1941 r. Tam dołączyła do tego zespołu siostra Bernarda Mosakowska⁴ i kpr. Antoni Arciszuk, który przez pół roku organizował wysyłanie stąd ochotników do Wojska Polskiego. W Kotłasie była również placówka cywilna działająca z ramienia ambasady w Kujbyszewie, na której czele stał Józef Mychal⁵.

Oficerowie wysłani z Buzułuka w teren powstrzymywali od wyjazdu do wojska tych, którzy mieli zobowiązania rodzinne⁶.

2. Przypuszczalnie zaopatrzenie to pochodziło z darów wysłanych z Londynu 12 sierpnia 1941 r., które dotarły do Archangielska 21 października, a do Buzułuku dopiero 24 listopada (Z.S.S., „W sowieckim osaczeniu 1939-43”, str. 230).

3. Konarska pisze, że Jerywański, którego nazywa Jerwańskim, miał największe zasługi w wyszukiwaniu polskich dzieci w *dietdomach* rosyjskich (str. 130).

4. Ks. Grabski podaje w swych wspomnieniach, iż Bernarda Mosakowska była zarówno siostrą szpitalną, jak i siostrą zakonną ze Zgromadzenia Sióstr św. Rodziny Misjonarek z Pińska (str. 35), natomiast Konarska nazywa ją Bernardettą i pisze, że miała ona narzeczonego kaprała (str. 140).

5. Wiadomości tu podane pochodzą ze wspomnień ks. Grabskiego pt. „Gdyby nie opatrność” (Editions Spotkania, Paryż 1985) i z pracy Z.S.S. „W sowieckim osaczeniu 1939-1943” (PFK, Londyn 1991).

6. Bolesław Dańko, który pracował jako tragarz na statku kursującym po Dźwinie, pisze (str. 216), iż w sierpniu 1942 r., kiedy przybył po dwóch tygodniach przerwy do Kotłasu, by ostatecznie zarejestrować się do wojska, placówki polskiej już tam nie było. I w ten sposób znalazł się potem u Berlinga. („Nie zdążyli do Andersa”, Unicorn, Londyn 1992, str. 216). Omówienie tej książki – Z.S.S., 106-te *Zeszyty Historyczne*, listopad 1993.

Potwierdza to Konarska pisząc, że major Zieliński odmówił wysłania jej ojca ze względu na liczną rodzinę. Jednak niewiele to pomogło, gdyż ojciec zmarł 26 maja 1942 r. (str. 107 i 115). Matka ciężko pracowała i chorowała, a dzieci poszły do polskiego sierocińca, w którym, jak pisze Konarska:

„W większości wychowawcy rozumieli nas i starali się zastąpić nam rodziców. Wiedzieli, że jesteśmy zabiedzeni, głodni, źle odziani i obsypani świerzbem”. (str. 135)

Ale niestety, były wyjątki, do których należał dyrektor tego sierocińca, który stosował metody wychowawcze, zaczerpnięte z przedwojennej służby więziennej. Konarska przedstawia je następująco:

„Pawełek uschniętą rękę trzymał na temblaku. Zamykał oczy i chwiał się, a dyrektor od kwadransa ‘wychowywał’ nas, wyzywając od śmieci, które należy kopnąć, zdeptać i do kosza. (...) Dyrektor, wyzywając go od bezbożnych komunistów i świńskich pomiotów (...) chwycił go, potrząsnął, że omal dusza z niego nie uleciała i z wściekłością ściągnął mu spodnie. Odpiął swój szeroki, wojskowy pas (zawsze chodził w mundurze) i bił aż się zasapał, nagie dziecko, odarte z odzieży i godności człowieka”. (str. 131).

Opis „polskiego” Kotłasu Konarskiej przypomina Wańkowicza „Dzieje rodziny Korzeniewskich”⁷, pisze ona tak:

„Stanowczo za dużo dekowało się w naszym domu żołnierzy i młodych, zdrowych ludzi płci obojga. Cały ten ‘sztab’ mężczyzn i kobiet udawał, że pracuje. Wszyscy jedli do syta, ubierali się w piękne amerykańskie ciuchy i chciało im się bawić. (...) Chłopcy pili i bawili się. Byli tutaj niezbędni. Pełnili funkcje zaopatrzeniowców, magazynierów, księgowych, zastępców, pomocników i byli pomocnikami pomocników. Byli więc ci, co wiele znaczyli i nic nie robili i ci, co robili, ale nic nie znaczyli. Od razu podzieliли się na panów i sługi. Syci i cwaniacy panowali, potulni służyli.

Dziewczęta powyżej lat szesnastu mieszkały w osobnym baraku. Pomagały wychowawcom, kucharce, szwaczce, ale tak

7. *National Committee of Americans of Polish Decent*, New York 1944.

naprawdę były do innych celów i żeby nie głodować godziły się ze swoim losem. Te, które nie chciały się podporządkować, żyły w nędzy i wykonywały najgorsze roboty”⁸ (str. 135).

Jednak ta „sielanka cwaniaków” nie trwała długo, bo 23 sierpnia 1942 r. NKWD aresztowało zarówno cwaniaków, jak i uczciwych. Mjr Zieliński, ks. Grabski i delegat Mychal zostali skazani na 15 lat łagrów, a siostra Mosakowska i Helena Mychal na 10 lat łagrów. Inne wyroki były chyba podobne. Mjr Zieliński nie przeżył⁹, natomiast pozostałe osoby tu wymienione powróciły po 1956 r. do PRL¹⁰.

Na skutek likwidacji polskiej placówki, sierociniec, w którym była Konarska przeszedł pod zarząd *KomPolDiet* (komitet do spraw dzieci polskich), str. 158, a wkrótce potem pod opiekę ZPP (Związku Patriotów Polskich). W marcu 1944 r. został on przeniesiony do jednego z najlepszych wówczas zakładów dla polskich dzieci w Czkałowskiej pod Moskwą.

Po zakończeniu Wojny – wyjazd do PRL nastąpił dopiero w marcu 1946 r., – przedtem więc na formalne zapytanie urzędnika NKWD, każde dziecko musiało odpowiedzieć, iż chce wracać do Polski.

Wkrótce okazało się, że „powrót na ojczyznę łono” wcale nie był taki, jak dzieci polskie z Sowietów mogły się spodziewać.

8. Konarska przypuszcza (str. 106), iż na przełomie marzec-kwiecień 1942 r. widziała w Kotlewie Berlinga. Píše, iż był to „dość młody, szczupły, wysoki i łysy mężczyzna”, którego tytułowano pułkownikiem. Tymczasem Berlinga z Małachowskim skierowano do 5. Dyw. Piech. w Tatiszczewie, a potem przez Jangi-Jul został on skierowany do Krasnowodska, gdzie właśnie na przełomie marzec-kwiecień 1942 r. kierował pierwszą ewakuacją do Persji.

9. Według ks. Grabskiego (str. 66) mjr Tadeusz Zieliński był przed wojną rtm. w Postawach, czyli chyba w 23. Pułku Ułanów Grodzieńskich. Jednak nie ma go ani na liście Kawalerii Polskiej 1939 r. (Wielhorski i Dembiński, Londyn 1979), ani też na liście „Straty kawalerzystów i pancerników z rąk sowieckich w II wojnie światowej” (Godyń, Londyn 1976).

10. Ze wspomnień księdza Grabskiego trzeba by dodać do listy Anieli Dziewulskiej następujące Polki: Dzierbiejko Eugenia (lub Stefania), powróciła do PRL (str. 73 i 97); Mosakowska Bernarda, siostra zakonna, powróciła do PRL (str. 66); Mychal Helena, żona delegata w Kotlewie, powróciła do PRL (str. 65).

„Po powrocie do Polski nie było dla nas sprawiedliwości. Nowa ojczyzna nie była naszą matką. Nie wolno było mówić o krzywdzie, o tragediach... Wszystko zostało wypaczone i załgane. Nie wywożono nas siłą i pod kolbami w lodowatych, bydlęcych wagonach w środku okrutnej zimy. My ‘przebywaliśmy’ na terenach Związku Radzieckiego, nas ‘przesiedlono’. Nikt nie pytał, po co i dlaczego akurat tam nas ‘przesiedlono’ (str. 175).

„Brat nie szukał nas, spotkałam go przypadkiem. Studiował na wydziale handlu zagranicznego. (...) Nie był to mój kochany Izunio. Zmienił się nie do poznania i zmienił swój życiorys... Już nie był synem legionisty. Mama długo nie mogła wybaczyć mu pochodzenia ‘małorolnego’ chłopca. Cierpiała nad tym, że Euzebiusz, z którego tato był dumny do końca, wyparł się go. W nowej, powojennej rzeczywistości nie było miejsca dla dzieci osadników wojskowych z kresów Polski”. (str. 82)

Niewątpliwie wspomnienia Konarskiej są poważnym wkładem do zapoznania się z dziejami tych, którzy pozostali w Sowiecie po 1942 r.

Londyn, 15 kwietnia 1994 r.

Z.S. SIEMASZKO

POLEMIKI

Janina HERA

„DLACZEGO OB. KORZENIEWSKI KŁAMIE?”

To było, to musiało być coś więcej niż tylko piekło polskie, w którym innych od siebie, niszczy się pomówieniem, czy plotką, w którym z ideami walczy się dowcipem, tak, że – jak to pisał w roku 1943 podziemny *Nurt* – „jeden kalambur rozstrzyga niemal o losie ludzi i instytucji”. To było coś więcej. Ten proces wytoczony przez kolegów aktorów w roku 1945 Romanowi Niewiarowiczowi, legioniście, obrońcy Lwowa, przed wojną porucznikowi rezerwy, kawalerzyście. W czasie okupacji kierownikowi brygady kontrwywiadu Komendy Okręgu Warszawa Miasto, ZWZ, a od roku 1942 Komendy Obszaru Warszawa AK. Proces ten nie zakończony do dziś, choć ani oskarżony aktor, ani główny prokurator – Bohdan Korzeniewski nie żyją.

W księgarniach można jednak kupić „Sławę i infamię” Korzeniewskiego, która odbiera Niewiarowiczowi jego dobre imię. Napisana w roku 1988, doczekała się już trzech, czy czterech wydań. Sprawa Romana Niewiarowicza wydaje się przy tym mówić o czymś więcej niż tylko o krzywdzie pojedynczego człowieka. Rzuca światło na atmosferę panującą po wojnie, na postawy zajmowane przez świat intelektualistów –

bo nie inteligencji przecież? Tym bardziej więc, gwoli prawdy historycznej, trzeba o tym napisać.

Aż strach się tą sprawą zajmować. Bohdan Korzeniewski był przecież niekwestionowanym autorytetem w środowisku teatralnym. I Bohdan Korzeniewski nie żyje. Ważyć więc trzeba, bardziej niż zwykle, każde słowo. Ale trudnych tematów unikać nie należy. Żadnych tematów unikać nie wolno. Bohdan Korzeniewski też tak uważał. Mówił przecież w „Sławie i Infamii”: „Nie chodzi o to, by stale przypominać o winach, ale o to, by wiedzieć kim naprawdę jesteśmy. Nie ma granic dla szukania prawdy o sobie”. Unikać tylko trzeba pomówień i niesprawdzonych wiadomości. Naginania faktów do swoich przekonań. I pychy.

A oto najważniejsze fakty, przypomnienie których wydaje się konieczne, gdyż mało kto już te sprawy pamięta. Wiosną roku 1940 powstawać zaczęły w Warszawie pierwsze, po zakończeniu działań wojennych, teatryki rewiowe. Niedługo potem władze niemieckie nakazały rejestrację osób zajmujących się działalnością kulturalną w Urzędzie Propagandy Generalnego Gubernatorstwa. Zgłaszający się – ostatecznym terminem rejestracji była data 30 września – otrzymać mieli tzw. *Erlaubniskarte*, czyli zezwolenie na wykonywanie zawodu. W początkach września Zarząd Główny Związku Artystów Polskich w osobach Karola Adwentowicza, Dobieśława Damięckiego, Stefana Jaracza, Leona Schillera, Edmunda Wiercińskiego i Stanisławy Wysockiej zakazał swym członkom rejestracji i nakazał jednocześnie bojkot jawnych teatryków będących pod kontrolą, lub zarządem niemieckim. Bohdan Korzeniewski (od maja 1942 pracownik referatu teatralnego Propagandy BIP-u KG AK) uzyskał bowiem dostęp do zarządzenia niemieckich władz propagandowych, które określały rodzaj i poziom przedstawień dla Polaków dozwolonych. „Nie mogły one poruszać problemów filozoficznych, moralnych i historycznych, nie wolno w nich było wykorzystywać elementów ludowych. (...) Ich poziom artystyczny i moralny miał być niski, a pornografia dobrze widziana”¹.

1. „Sława i Infamia” (z Bohdanem Korzeniewskim rozmawia Małgorzata Szejnert), Kraków 1992.

Następna uchwała ZASP-u złagodziła nieco pierwszy zakaz pozwalając aktorom na rejestrację w roli recytatorów i piosenkarzy, a więc na występy w kawiarniach. Nad przestrzeganiem bojkotu czuwała Tajna Rada Teatralna wyłoniona przez środowisko w lecie roku 1941, w której skład wchodził: Adwentowicz, Damiński, Korzeniewski, Jan Kreczmar, Andrzej Pronaszko, Janusz Warnecki i Jerzy Zawieyski. W grudniu 1942 władze niemieckie zarządziły ponowną rejestrację osób wykonujących wolne zawody. Kierownictwo Walki Cywilnej powołane w tym samym czasie przez pełnomocnika Delegata Rządu Stefana Korbońskiego i przez Komendanta Głównego AK utrzymało zakaz rejestrowania się, dopuszczając wyjątek tylko dla wykonawców muzyki i śpiewu – wszakże z ograniczeniem tylko do występów estradowych².

Z różnych powodów nie wszyscy aktorzy uchwale ZASP-u się podporządkowali. Niektórzy ludzie żyją by żyć. Jak aktorka, która zwymyślała w czasie Powstania Warszawskiego Zofię Książkównę, studentkę podziemnego PIST-u i łączniczkę zgrupowania Krybar. Zwymyślała ją „od idiotów, co zrobili sobie wojenkę i to wtedy, kiedy ona, taka piękna, młoda i utalentowana chce po prostu normalnie żyć”³.

Byli też tacy, którzy nie wyobrażali sobie życia bez grania, bez teatru. Po to przecież żyli, by sprawdzić się na scenie. Innych do występów zmusiła nędza. Nie każdy umiał handlować, nie dla wszystkich starczyło posad kelnerów. Do rejestracji zmuszał też niekiedy strach przed wywózką na roboty do Niemiec – otrzymanie *Erlaubniskarty* bywało czasem ratunkiem. Nie wszyscy o obowiązującym bojkocie wiedzieli. Prasy podziemnej, która o bojkocie donosiła, nie czytano regularnie, a zresztą czytano ją chyba wybiórczo, skoro tylu ludzi nie wiedziało, podobno, o wywózkach na Kresach, o stosunkach panujących we Lwowie i w Wilnie, o akcji „Burza”.

Znaleźli się wreszcie aktorzy, którzy z decyzją ZASP-u po prostu się nie zgadzali i świadomie się jej nie podporządk-

2. *Przegląd Spraw Kultury*, nr 1, 1943.

3. Barbara Czajkowska: „Będziesz jedna jedyna”, Warszawa 1995, str. 27.

kowali. Nie widzieli bowiem różnicy pomiędzy dozwolonymi przez ZASP występami w kawiarniach, a teatrykami rewio- wymi. Woleli, jak mówili, grać przed polską publicznością, niż usługiwać Niemcom w kawiarniach. Uważali, iż występy w sztukach Fredry, czy Zapolskiej (bo i taki repertuar, choć nie- zwykle rzadko, spotkać można było w teatrach pod zarządem niemieckim), że artystyczna piosenka (i takie się zdarzały), ludowy taniec, czy „przemycony” na przedstawieniu dowcip lub motyw muzyczny, pełnią pozytywną rolę na pustyni kulturalnej, jaką stanowiło Generalne Gubernatorstwo⁴.

Było też kilku aktorów, dla których praca w teatrykach jawnych stanowiła doskonałą „przykrywkę” ich pracy konspi- racyjnej. W języku fachowym zwało się to „kamouflażem ochronnym”. Im bardziej człowiek działający w konspiracji był skompromitowany w oczach społeczeństwa z racji utrzy- mywania kontaktów z Niemcami, pomówień o współpracę z nimi, czy też prowadzenia niefrasobliwego trybu życia, tym większe miał szanse na pomyślne wykonanie swoich zadań. Jan Dybowski, kierownik resortu komunikacji w Delagaturze Rządu na Kraj ucieszył się przeczytawszy ulotkę komuni- styczną, w której nazywano go „sługą hitlerowskim”. „Nie mogli mi zrobić lepszej przysługi” – powiedział. „Przecież to trafi do niemieckich rąk”⁵. „Byłbym ci wdzięczny, żebyś nie dementował tych wiadomości”, poprosił Kazimierza Piotrow- skiego Roman Niewiarowicz, gdy ten, jesienią roku 1940 po- wiedział mu tonem wyrzutu, iż „mówi się o jego rozlicznych stosunkach z Niemcami”⁶.

Roman Niewiarowicz w kampanii wrześniowej walczył w 14 pułku ułanów. Przeszedł z Armią Polską granicę węgierską, a następnie rozkazem władz wojskowych skierowany został do

4. Nie wszystkich występujących da się oczywiście „zaszu- fladkować”. Przyczyny bywały często bardzo złożone. Uparcie pojawia się motyw chronienia bliskich pochodzenia żydowskiego. O sprawach tych piszę szerzej w książce o losach polskich aktorów w czasie II wojny.

5. Dybowski w rozmowie z Jagą Borytą (Jadwigą Nowakowską). Pani J. Nowakowska przekazała mi tę informację w rozmowie dn. 2.12.1994.

6. K. Piotrowski: „O Romanie Niewiarowiczu” (wkładka do programu sztuki „Ich dwoje” Niewiarowicza granej w teatrze im. Słowackiego w Krakowie 10.5.1946.

Warszawy. Jako oficer wywiadu ofensywnego WW-72 (Wywiad Wschód) ps. „Łada”, podlegał bezpośrednio „Dachowi” – porucznikowi rezerwy Stanisławowi Łaniewskiemu, *vel* Dziewickiemu, szefowi kontrwywiadu Komendy Okręgu Warszawa Miasto ZWZ. Łaniewski zaś był zastępcą Klotza, szefa południowego odcinka O III – siatki głębokiego wywiadu⁷. W maju roku 1940 na polecenie władz zwierzchnich Niewiarowicz rozpoczął współpracę z Teatrem Komedia w Warszawie wydzierżawionym przez Igo Syma Arturowi Józefowi Horwathowi. Udało mu się przy tym od razu uzyskać zwolnienie Teatru z oprocentowania na dozbrojenie armii niemieckiej. Gaża i honoraria Niewiarowicza – reżysera, aktora i autora granych w Teatrze sztuk szły na pracę wywiadu i potrzeby konspiracji.

Teatr Komedia nie tylko dostarczał kamuflażu pracownikom wywiadu ofensywnego (do brygady Niewiarowicza należeli zatrudnieni w Komedii Ewa Stojowska i Andrzej Szalawski), ale też, do chwili aresztowania Niewiarowicza w maju

7. Opis pracy konspiracyjnej Niewiarowicza na podstawie:

a. Halina Zakrzewska, „Beda”: Uwagi w sprawie „Sławy i Infamii” wraz z Oświadczeniem łączniczki „Dacha” Stefanii Kiwały-Jaugsch, Zeznaniem Jacka Machniewicza „Kostka”, Zapisem rozmów Bernarda Zakrzewskiego „Oskara” z dr Katarzyną Łaniewską i Romanem Niewiarowiczem, maszynopis Archiwum ZASP.

b. Rozmowa z H. Zakrzewską dn. 8.7.1994.

c. Rozmowa z Elżbietą Łaniewską-Łukaszczyk dn. 14.12.1994.

d. Rozmowa ze Stefanią Kiwałą-Jaugsch dn. 23.6.1994.

e. Rozmowa z Mirosławem Żuławskim w dn. 15.6.1994.

f. Grzegorz Mazur: „Biuro Informacji i Propagandy SZP-ZWZ-AK 1939-1945, Warszawa 1987, str. 248.

g. E. Łaniewska-Łukaszczyk: „Moje wspomnienia o Romanie Niewiarowiczu”, rkps. Archiwum p. Alicji Jeleniewskiej-Niewiarowicz.

h. Rozmowa z Wiktorem Szackim w dn. 19.9.1994.

i. Rozmowa z Krzysztofem Kowalewskim w dn. 11.9.1944.

j. Opis protokołu z posiedzenia Sądu Centralnego II Instancji w sprawie Szalawskiego-Plucińskiego Andrzeja b.d. i Protokołu z przesłuchania Szalawskiego Andrzeja b.d. Archiwum Andrzeja K. Kunerta.

k. Dział: Delegatura Rządu PR na Kraj, 1943, sygn. 202 I-17, Dział: Armia Krajowa Komendy Obszaru Warszawskiego (1944-45), sygn. 203/X-5, Archiwum Akt Nowych w Warszawie.

l. R. Niewiarowicz: „Kulisy Komedii”, *Tygodnik Powszechny*, 20.10.1946.

1943 był składnicą meldunkową ZWZ AK, a także miejscem tajnych kontaktów. Do Teatru przychodzili łącznicy z rozkazami i meldunkami jako handlarze, krawcy, dostawcy, lub znajomi po bilety na przedstawienie. Zjawiali się „spaleni” członkowie organizacji po to, aby otrzymać dalsze wskazówki i pomoc. Komedia była dobrze przez Niemców widziana, a Niewiarowicz mówiący świetnie po niemiecku „znakomicie jako aktor odgrywał wyznaczone mu przez swoich szefów role”. Oto jak sam opisywał odegranie jednej z nich w roku 1942:

„Aresztowania można się spodziewać w każdej chwili. A więc absolutnie żadnego materiału przy sobie. (...) Pewnego dnia mam terminowe, bardzo ważne materiały, dokładne plany całego systemu alarmowego, telefon, hasła alarmowe, najlepsze miejsca dla uszkodzeń itd. (Praca członka mojej brygady „Robura”⁸, zajętego jako krupier w kasynie gry przy ul. Szucha). Wynosi je z będącego pod obserwacją teatru przyjaciel Horwatha, niemiecki oficer, kawaler żelaznego krzyża z liśćmi dębowymi, Rudolf Schreiber. Zaproszony przeze mnie na obiad do ‘restauracji Ziemiarek’ w Alejach Jerozolimskich, jest na tyle uprzejmy, że idzie naprzód zabierając pod pachę moją teczkę. Proszę go o to w obawie, że mogę w roztargnieniu zapomnieć, a sam wracam jeszcze do bramy teatru dla załatwienia jakiejś fikcyjnej ważnej sprawy. Po drodze mam go dopędzić. W ślad za nim idzie nasz człowiek i nie spuszcza go z oczu. Teczka moja, a z nią cały materiał pod pachą niemieckiego bohatera pewnie zostaje doniesiony do restauracji. Po chwili zjawiam się i ja. Proszę do bufetu. Widzę, jak siedzący przy stoliku śp. Maksymilian Szacki wyjmuje z teczki co trzeba i odchodzi. (...) Przy bufecie pijemy z moim bohaterem na intencję jego dalszych sukcesów. *Prosit!*”.

A oto inna ze scenek jakie codziennie rozgrywały się za kulisami Teatru.

„W kancelarii Horwatha odbywa się konferencja reper-

8. „Robur” – Mariusz Hryniewicz vel Moczulski, oficer brygady „Roman” Romana Niewiarowicza, porucznik marynarki. Opis wg. R. Niewiarowicz: „Kulisy Komedii”, op. cit.

tuarowa (...) Przyjacielska pogwarka przy czarnej kawie. Woźny melduje, że przyniesiono świeżo oprawione egzemplarze nowej sztuki. Odbieram je osobiście, jak zwykle. (...) Jeden wręczam Symowi, drugi otrzymuje Horwath, a trzeci zatrzymuję dla siebie. (...) Z mojego egzemplarza tłumaczę Niemcom poszczególne dowcipy i scenki. (...) Zdawałoby się, że nic nie zaszło. Normalna scenka. Owszem, ale z tym małym dodatkiem, że posłaniec intrologatora to nasz człowiek z konspiracji, a w twardej oprawie mojego egzemplarza dostarczono mi szczegółowy plan lotniska na Okęciu i rozmieszczenie stanowisk broni przeciwlotniczej”.

Niewiarowicz przewoził jeszcze do Lwowa i na Ukrainę sprzęt radiowy, pocztę organizacyjną, dokumenty przeznaczone dla wysyłanych na wschód członków wywiadu. Do Warszawy wracał z meldunkami i dokumentami. Podróż odbywał czasem jako handlarz złota i walut, niekiedy własnym samochodem, często wraz z „Dachem” pod płaszczykiem firmy Perun AG, która przy udziale swego dyrektora Gustawa Jonschera trudniła się przerzutami stacji, aparatów nadawczo-odbiorczych i broni. W roku 1942, ciężko chory na gripę, dowiózł własnym samochodem do Lwowa dla Lwowskich Tajnych Drukarni Wojskowych 450 kg czcionek, które umożliwiły druk *Biuletynu Ziemi Czerwieńskiej*.

W Warszawie wraz ze swym najbliższym współpracownikiem aktorem Markiem (Maksymilianem) Szackim, „Wiktorem” i aktorem Henrykiem Modrzewskim trudnił się przerzutem broni. Wyciągał od Niemców, wśród których się obracał, wiadomości wojskowe. Spotykał często oficera lotnictwa Herberta Martina, który po wypiciu dużej ilości alkoholu opowiadał ze szczegółami o tym, co się działo na lotnisku Okęcie. „Własnym sumptem” założył pralnię przy Śniadeckich 20, gdzie powstał punkt kontaktowy dla łączności z bazą w Kijowie. Punktem kontaktowym, przechowującym jednocześnie broń, była też perfumeria na Śniadeckich prowadzona przez aktorkę Elżbietę Kowalewską, współpracującą z „Ładą” i „Wiktorem”.

I udało mu się utrzymać repertuar Teatru Komedia na przyzwoitym poziomie. Horwath ulegał jego radom w sprawach teatralnych „trzymany ciągle pod grozą przyszłego

sądu i osądu społeczeństwa polskiego”, o czym mu Niewiarowicz przypominał. Udało się w ten sposób wystawić sztukę belgijskiego autora Kistermaeckersa „Szpieg” (tyle że pod zmienionym tytułem, jako „Obowiązek”), apoteozującą zabicie szpiega w imię miłości ojczyzny i obowiązku wobec kraju.

Jednym z pierwszych zadań jakie brygada Niewiarowicza otrzymała od „Dacha” było rozpracowanie Igo Syma, będącego od czasów przedwojennych agentem wywiadu niemieckiego, szantażującego obecnie i terroryzującego aktorów, by zmusić ich m.in. do grania w propagandowym filmie niemieckim „Heimkehr”, o wymowie antypolskiej. Sym mianowany był przez Niemców dyrektorem *Theater der Stadt Warschau*, który zajmował pomieszczenia Teatru Polskiego. Rozpracowanie oznaczało przygotowanie i wykonanie wyroku śmierci. Precyzyjne ustalenie trybu życia Syma i jego planów. Sym zastrzelony został w swym mieszkaniu na Mazowieckiej w dniu 7 marca 1940 roku. Był to pierwszy oficjalny wyrok śmierci wykonany na szpiegu niemieckim. Dzień ten był „dniem przełomowym dla samopoczucia mieszkańców Warszawy”⁹. Zakończył się niestety także masowymi aresztowaniami, egzekucjami i wywiezieniem do Oświęcimia aktorów: Bronisława Dardzińskiego, Stefana Jaracza, Tadeusza Kańskiego, Zbigniewa Sawana, oraz Leona Schillera. Rozplakatowano też listy gończe za Dobiesławem Damińskim i jego żoną Ireną Górską. Damiński kilkakrotnie bowiem publicznie groził Symowi¹⁰.

Brygada Niewiarowicza zajmowała się także inwigilacją osób, w tym aktorów, podejrzanych o współpracę z gestapo. Rozpracowała i wykonała wyrok m.in. na rtm. Deżakowskim, konfidentie gestapo, odpowiedzialnym za uwięzienie płk. Albrechta, oraz na następcy Syma, wysokim urzędniku Propagandy Claudiusie.

9. Wg. Tomasz Strzembosz: „Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939-44”, Warszawa 1978; Władysław Bartoszewski: „Jak zginął Igo Sym?”, *Gazeta Ludowa*, 8.3.1946; Roman Niewiarowicz: „Prawda o Igo Symie”, *Tygodnik Powszechny* 7.4.1946.

10. W czasie ukrywania Damiński otrzymywał zapomogi pieniężne za pośrednictwem m.in. M. Szackiego „Wiktora”, które ZWZ AK przyznały na skutek przedstawień Szackiego i Niewiarowicza jako „aktorowi polskiemu w nieszczęściu” (List R. Niewiarowicza do Sądu II Instancji z dn. 29.9.1945, Akta ZASP, Teczka R. Niewiarowicza).

17 maja 1943, po wyspie kijowskiej gestapo aresztowało Niewiarowicza i Ewę Stojowską. Po jedenastomiesięcznym śledztwie na Pawiaku i na Łąckiego we Lwowie przewieziono Niewiarowicza, straszliwie skatowanego do Gross Rosen. Obóz ten, jak wspominali więźniowie, przypominał jeszcze wtedy „pierwsze lata K.L. Auschwitz”. „Terror wydziału politycznego, gnienie wszelkich pozorów patriotyzmu, czy religijności, krwawy (dosłownie) *régime* zawodowych kryminalistów niemieckich pełniących funkcje blokowych i kapo, dławił moralnie i nerwowo”¹¹. Zachowały się wspomnienia kolegów obozowych Niewiarowicza. Chorował, ale „sypał anegdotami i opowiadał o życiu i sztuce”. Rozpow szechniał podtrzymujące na duchu wiadomości, jakie docierały do niego przez nasłuch radiowy. Zorganizował wśród więźniów podział żywności – nie wszyscy bowiem otrzymywali paczki. Był „człowiekiem niezwykłego hartu”. „To nie blokowy, a Roman tym blokiem rządził ratując innych”, powie jeden z nich. „Działalność tego kata paraliżował wpływ, jaki miał na niego Roman Niewiarowicz, któremu dużo więźniów zawdzięcza życie”, napisze inny¹².

Na Boże Narodzenie 1944 Niemcy zezwolili niespodziewanie na urządzenie w obozie wieczoru wigilijnego. Jasełka napisane przez Andrzeja Wydrzyńskiego inscenizował i reżyserował Roman Niewiarowicz dodając scenę z „Wesela” Wyspiańskiego. Próby odbywały się przy esesmanach, więc „dopiero potem, z każdym z osobna odbywały się próby prawdziwe”. „Niewiarowicz dwoił się i troił i dziesięciokrotnie, by ze zmordowanych pracą w kamieniołomach wydobyć maksimum prawdy i ekspresji artystycznej”. W dzień wigilijny zapełniła się sala. Widzów było około tysiąca. Światła zgasły. Na scenie ukazała się chałupa podhalańska. „Na ścianach obrazy Matki Najświętszej i Jej Syna. Nad drzwiami (...) Chrystusik niefrasobliwy, umęczony. I stół wigilijny po środku”¹³. „Gromada chłopów z prawymi rękami przy uszach

11. Alfred Konstanty Woycicki: „Boże Narodzenie za drutami”, *Tygodnik Powszechny*, 23.12.1945

12. Adam Stodolnicki: „‘Smarkula’ Romana Niewiarowicza”, *Ameryka-Echo*, 7.6.1964; List Tadeusza Mastrykarza do R. Niewiarowicza b.d. Archiwum A. Jeleniewskiej-Niewiarowiczowej.

– lewe w powietrzu jakby oparte na nieistniejących kosach. Figury przechylone w zasłuchaniu w stronę okienka izby. Długa ogromnie pauza – widownia szeptem podaje sobie na ucho: „Wesele” – z daleka dobiega tętent konia – (Jasiek wraca?) zasłuchani w stronę krakowskiego gościńca. – Twarze w napięciu i męce! Daleki tętent się zbliża (dla Niemców – konno jedzie chłopak przed kołędnikami) (...) – zamiast wejścia Jaśka z tragiczną wieścią o zagubieniu Złotego Rogu i Chochola – Martwicy – w zasłuchaną gromadę włącza się bardzo daleki „znak” krakowski – Hejnał z Wieży Mariackiej. – Nieruchome figury gromady czekającej w męce cudu. – Hasła – pochylają się jeszcze bardziej ku okienku – Hejnał rozbrzmiewa silniej, wyraźniej. Polskie usta więźniów na widowni jak modlitwę szepcą tekst „Wesela” Wyspiańskiego, że „Wernyhora tam leci z Aniołem na czele!..., że tam kiedyś stało się tak wiele, że Kraków ogniami płonie!” A na widowni oczy we łzach. – Twarze jak tych tam na scenie rozmodlone. Zachłyśnięte Polską – usta bezgłośnie (w tłumie szpicle i esesmani) powtarzają zmartwychwstałe słowa Wyspiańskiego (...). – Wreszcie szczytowy moment napięcia – z oddali wplata się głos jednego, jedyne polskiego Dzwonu – Zygmunta! (*Normale Kirchenglocken bei einem Fest in Polen*). A dlaczego tylko jeden dzwon dzwoni? *Herr Lagerführer*. – *Die eine Glocke hat uns schon genug Mühe und Arbeit gekostet!*¹⁴. – Tłumaczenie przyjęte a Polacy wiedzą, rozumieją dlaczego tylko jeden! Zygmunt! Znak! Hasło! – Umęczona zasłuchana gromada wolno ożywa – prostuje się, ale nie do chocholego, martwego tańca – ale jakby zbudzeni rycerze Giewontowi – nie zagubiony Złoty Róg ich budzi – nie sztuczny czar – a zew wytrwania i zbliżającej się wolności... Zygmunt. Symbol potęgi! Zwycięstwa! Wreszcie stanie się. Na widowni serca polskie mają jeden wspólny

13. Wojciech Dzieduszycki: „Pamiętasz kolego? *Zwierciadło* 2.11.1947, Andrzej Wydrzyński: „Sprawa Romana Niewiarowicza”, *Odra*, 15.12.1946, A.K. Woycicki: „Boże Narodzenie za drutami”, op. cit. Rozmowa z W. Dzieduszyckim 26.5.1995.

14. „To zwykłe dzwonienie w czasie świąt w Polsce. A dlaczego jeden dzwon dzwoni? Panie Lagerführer! Jeden dzwon już nas kosztował dość wysiłku i pracy”.

rytm. Atmosfera naładowana tak, że zebrani najwyższym wysiłkiem opanowują się. Na scenie stoją już chłopi – wyprostowani – głowy do góry – dumni, mocni – w oczach ślubowanie pomsty – Zygmunt! Niedalekie Zmartwychwstanie! Wytrwać! Widownia – nastrój ogólny zaczyna niepokoić zebrane esesmańskie władze obozowe. Tu coś nie tak się dzieje jak im na próbach w niewinnie brzmiących tłumaczeniach tekstu podawano – spojrzenia esesmańskie krzyżują się – ale już wpadają na scenę kolędnicy. – Już śpiew – Kolędy, tańce – I znowu kolędy¹⁵. A potem, jak opisywać będzie po latach jeden z widzów¹⁶ „Wojciech Dzieduszycki rozwesela nas swoim regionalnym humorem. Znika koszmar życia codziennego. Na scenie padają życzenia, by jedyny syn gospodarza jak najrychlej wrócił do ojczyzny (...) Przy dyskretnym akompaniamentem Poloneza Ogińskiego, w pięknym wierszu lwowskiego poety Wydrzyńskiego przewijały się przed nami obrazy samotnych świąt naszych rodzin”.

*„... i wiem: na Jasnej – albo... Cichej,
tej nocy – gdzieś – na jakimś piętrze,
jest puste miejsce, pusty talerz
i smutne, bardzo smutne oczy
i małe, o -szu-ka-ne serce.*

– nie były to miłosne słowa (...) była w nich groźba ukryta, zawisała nad głowami Niemców, gniew narastający w zamartej skamieniałej sali, zapowiedź odwetu za oczy, które płaczą, za czyjeś noce na opuszczonych piętrach, za „gdzieś” – w których nas nie ma, za miliony pustych – tak kazał mówić Niewiarowicz – miejsc w Polsce!¹⁷

„I widziałem oczy Niewiarowicza – stał w kącie sali, wmieszany w tłum urzeczonych, skupiony, smutny, wpatrzony w Polskę, którą wzniosł na deskach szopy, którą obudził w zasłuchanych. – Tam była Polska, o tym wszyscy wiedzieli, nawet Niemcy przytłoczeni ogromem wyczarowanych przez

15. Opis Romana Niewiarowicza zachowany w rękopisie. Archiwum p. A. Jeleńskiej-Niewiarowicz.

16. A.K. Woycicki: „Boże Narodzenie za drutami”, op. cit.

17. A. Wydrzyński: „Sprawa Romana Niewiarowicza”, op. cit.

Niewiarowicza scen”. „Wszędzie wrażenie nie dające się opisać. Obok stoi poznaniak i pięścią ociera płynące ciurkiem łzy”¹⁸.

„Jasełka” powtarzano czterokrotnie. Zespół aktorów potajemnie odwiedzał też bloki szpitalne. Ale szpicle zaczęli już pracę. Sypie Hans Wessel, komunista, kapelmistrz obozowej orkiestry, który mści się za odmowę reżyserowania przez Niewiarowicza wigilijnego programu niemieckiego – komedii opartej na motywach homoseksualnych. „Ten Niewiarowicz powinien za to wisieć”, mówią między sobą Niemcy. Niewiarowicz wzywany jest na przesłuchanie na oddział polityczny. Sprawa jego poszła do Berlina. Czekał na śmierć¹⁹.

Ofensywa sowiecka przerwała dochodzenie. Niemcy pośpiesznie ewakuowali obóz do Leitmeritz. „Pamiętasz Roman?”, pytał Niewiarowicza po latach w liście kolega obozowy²⁰. „Wyszliśmy, 6.000 chłopów, 9-go lutego po południu w 1945 roku. ŚPIEWALIŚMY. Wojenko, wojenko cóżeś Ty za Pani... O mój rozmarynie rozwijaj się... Esesmani nie zabraniali!!! Pamiętasz? A obok jechały motocykle z koszami i co raz wywoływali z szeregu któregoś z więźniów: *Pick dich* – i strzał w potylicę. A my ŚPIEWALIŚMY. Pamiętasz? Maszerują chłopcy, maszerują, śmierć za nimi kroczy – raz, dwa, trzy!”

Do Polski wrócił Niewiarowicz z otwartą gruźlicą, jako „zapłuty karzeł reakcji”. W roku 1945 rozpoczęła się weryfikacja, podlegali jej wszyscy członkowie ZASP-u. Sądy I i II Instancji oceniały ich postawę w czasie okupacji. Tylko niemieckiej. Aktorzy karani byli różnie. Czasem otrzymywali naganę, niekiedy zawieszeni zostawali w prawach członka. Ściągano im 10 lub 15% gaży na cele charytatywne Związku. Zakazywano na pewien czas występów w dużych miastach, lub występowania pod własnym nazwiskiem. Bywało, że odpowiadali przed sądami państwowymi. Karani byli za

18. A. Wydrzyński: „Sprawa Romana Niewiarowicza”, op. cit.; Feliks Siejwa: „Więzień III Pola”, Lublin 1964.

19. A. Wydrzyński: „Sprawa Romana Niewiarowicza”, op. cit.; A.K. Woycicki: „Boże Narodzenie za drutami”, op. cit.

20. List T. Mastrykarza do R. Niewiarowicza z dn. 15.11.1970, Archiwum p. A. Jeleniewskiej-Niewiarowicz.

występy, lub reżyserowanie w teatrach jawnych Warszawy i Krakowa. Dodatkowym czynnikiem obciążającym było utrzymywanie kontaktów z Niemcami. Za podobne przewinienia Sądy ZASP-u karały w różny sposób. Mogło się wydawać, iż o wysokości wyroku decydowały czasem względy pozamerytoryczne: osobiste sympatie lub antypatie, a także zaangażowanie się weryfikowanego, lub brak takiego zaangażowania w „nową rzeczywistość”.

Sądy weryfikacyjne ZASP-u miały charakter „rewolucyjny”. Odnieść można takie wrażenie porównując je choćby z podziemnymi sądami Kierownictwa Walki Cywilnej, które działały w warunkach okupacji. W składach sędziowskich KWC musiał zasiadać przynajmniej jeden prawnik zawodowy, w sądach ZASP-owskich nie było takich. Rozprawy w czasie wojny były ze zrozumiałych względów tajne. Oskarżony bywał jednak doprowadzany, jeżeli nie zagrażało to bezpośrednio bezpieczeństwu sądu. Oskarżonemu przysługiwał zawsze obrońca z urzędu. Aktorzy wzywani przez ZASP obrońców nie mieli, a wyroki sądów weryfikacyjnych zapadały czasem zaocznie. Wyrok sądu KWC zatwierdzony być musiał przez delegata Rządu, choć odwołania od niego nie było. Wyroku Sądu Weryfikacyjnego II Instancji nie zatwierdzał nikt. Odwołania od niego praktycznie nie było. Sądy ZASP-owskie nie wiedziały też, lub wiedzieć nie chciały o fundamentalnej zasadzie obowiązującej w prawie rzymskim i respektowanej przez sądy II Rzeczypospolitej: *in dubio pro reo*.

W sprawie Niewiarowicza wątpliwości żadnych nigdy nie było. Przynajmniej dla osób bezstronnych. Dziś jeszcze, po pięćdziesięciu latach, gdy większość świadków nie żyje, łatwo jest ustalić stan faktyczny, o ile tylko ktoś ma na to ochotę.

Tajna Rada Teatralna, mówił Korzeniewski w „Sławie i Infamii” była „lewicowa”. On sam należał do lewicowego skrzydła PPS. Schiller „komunizował”, a może nawet, jak pisał w „Roku myśliwego” Miłosz, był „przekonanym komunistą”. Gdy zaś nastąpił IV rozbiór Polski Schiller miał się starać o legalny wyjazd do ZSSR. Tak przynajmniej mówiła Antonina Sokolicz-Merkłowa, niegdyś aktorka, a wczesną wiosną roku 1940, gdy Schiller był z nią w kontakcie, jedna

z założycielek Towarzystwa Przyjaciół Związku Radzieckiego²¹. W Radzie nie było miejsca dla Arnolda Szyfmana, przy doborze członków bowiem „kierowano się poglądami”. Robiono, stwierdzał Korzeniewski „to samo, co potem władze, które przyszły po wojnie”. Szyfman „nie mieścił się w planach Rady”. Był bowiem „dobrze z sanacją”, do której Rada, w swej większości miała stosunek bardzo krytyczny. Tak krytyczny, że po wojnie, inny członek Rady, a teraz Prezes ZASP-u Damiński, określi w formie zarzutu ZWZ jako „organizację prawicową”²². A ZWZ był po prostu jedyną legalną ekspozyturą Rządu Polskiego. Karol Adwentowicz był – jak pisał Schiller²³ – jednym z tych, którzy „stali po stronie Postępu”. Zachował przy całym swym romantyzmie „jedyną słuszną orientację polityczną”. Przed wojną, w Łodzi wystawiał „widowiska rewolucyjne”. „Pomimo wycia reakcyjnej prasy (...) wypełniona po brzegi widownia płonęła gniewem ludu i entuzjazmem rewolucyjnym”. Widowiska te miały taką wagę, iż teatr łódzki, „nie wiedząc o tym gościł na swej widowni przedstawicieli Poselstwa Sowieckiego, oraz czujnie strzegących swego *incognito* członków nielegalnej KPP”.

Czy można się było spodziewać jakiegokolwiek sympatii ze strony owych lewicowych intelektualistów do przedwojennego oficera-kawalerzysty? Do „dwójkarza”? Ci sami lewicujący intelektualiści będą teraz we władzach ZASP-u i Sądach weryfikacyjnych.

Zaraz po powrocie z obozu, 26 czerwca 1945 Niewiarowicz poddał się weryfikacji, choć o tym czym się był zajmował mówić nie mógł za wiele. Ostatni Komendant Armii Krajowej gen. Okulicki aktem z 19.1.1945 zwolnił go wprowadzając obowiązek walki z bronią w rękę, nie zwolnił go jednak z obowiązku dochowania tajemnic organizacyjnych²⁴. Dlatego mówić będzie tylko ogólnikami. 17 lipca napisał do ZG

21. Wg. Irena Perkowska-Szczypiorska: „Pamiętnik łączniczki”, Warszawa, 1962, str. 15.

22. List Romana Niewiarowicza do Sądu II Instancji ZASP-u, 29.9.1??.

23. „Ku czci Karola Adwentowicza w 55-lecie pracy teatralnej”, Łódź-Warszawa 1950.

24. Zwróciła na to uwagę Halina Zakrzewska, „Beda” z Komendy Głównej ZWZ AK, Oddział II WW-72 w swych „Uwagach” op. cit.

ZASP Oświadczenie, w którym streścił pokrótce swoją pracę w konspiracji. „Rozkazem władz wojskowych polskich zostałem wysłany do Polski z pewnymi tajnymi poleceniami”. W Warszawie „nawiązałem nakazane mi kontakty i rozpocząłem nakazaną mi działalność podziemno-niepodległościową”... „Zgodnie z otrzymanymi rozkazami pracowałem pozornie w Teatrze Komedia. Do pracy w sektorze teatralnym dobrałem sobie spośród aktorów: śp. Malanowicz Marię, Stojowską Ewę, Kielanowskiego Leopolda, śp. Szackiego Maksymiliana i Szalawskiego Andrzeja”. Przytaczał dalej nazwiska żyjących wówczas i obecnych w Polsce świadków wtajemniczonych w jego działalność: Adwentowicza, Grzymałę-Siedleckiego, Janusza Strachockiego, neurochirurga prof. Aleksandra Domaszewicza i kapitana Stanisława Czaszkę. A wszystko to „poręczał w całej rozciągłości słowem honoru”²⁵. Zdanie to podkreślił.

Potrzebna tu jest chyba mała dygresja. Chyba nie wszyscy już wiedzą czym było słowo honoru przedwojennego oficera. Słowa honoru oficer nie łamał. Bór-Komorowski związany słowem honoru nie zawiadomił o terminie wybuchu powstania własnej żony, narażając ją na niebezpieczeństwo. Płk Albrecht, by nie łamać słowa, popełnił samobójstwo. W oflagach Niemcy wypuszczali polskich oficerów poza teren obozu, gdy ci dali słowo, że wrócą. Czy któryś z członków Sądów Weryfikacyjnych wiedział co oznacza oficerskie słowo honoru? W tym pytaniu nie ma żadnych treści emocjonalnych. Rodzi je zwykła ciekawość, chęć ustalenia czy świat Romana Niewiarowicza mógł mieć cokolwiek wspólnego ze światem jego sędziów. W Oświadczeniu swym pisał też Niewiarowicz o plotkach i pomówieniach. O „ploteczkach żerujących”, które mówiły, iż to Szalawski miał go wydać w ręce Gestapo. „Wspominam o tych niestety bezkarnie uchodzących bajkach, żeby naświetlić jak w dzisiejszych czasach najmniej powołani do wydawania sądów o aktorach chętnie zgłaszają się z rewelacjami i niestety tu i ówdzie mają posłuch. Mam wrażenie, że w takich wypadkach powinni niesłusznie

25. Oświadczenie R. Niewiarowicza z dn. 17.7.1945, Akta ZASP, Teczka Niewiarowicza.

szkalowani znaleźć obronę w Zarządzie Głównym ZASP-u w imię słusznej sprawy”.

25 sierpnia Sąd I Instancji w składzie: Irena Horecka, Marian Wyrzykowski i Marian Meller zweryfikował Niewiarowicza żądając jedynie ogłoszenia w prasie powodów, dla których pracował był w Teatrze Komedia. Sąd II Instancji, który się zebrał tego samego dnia uznał za dowiedzione, iż Niewiarowicz pracował w Komedii na rozkaz. Ostateczne orzeczenie miało jednak zapaść, ze względów formalnych w pierwszych dniach września. W końcu września, na życzenie Sądu Niewiarowicz przysłał dodatkowy dokument stwierdzający konieczność pracy w Komedii – oświadczenie prof. Aleksandra Domaszewicza, prezesa konspiracyjnej Rady Narodowej we Lwowie, który stwierdzał, że Niewiarowicz, którego uważa „za obywatela i Polaka bez zarzutu”, pracował w teatrze Komedia jako aktor, autor i reżyser „nie tylko dla pozorów i uzyskania nakazanego alibi swej pseudo-lojalności w stosunku do okupanta, ale robił to na wyraźny rozkaz i polecenie swoich władz przełożonych w pracy podziemno-niepodległościowej, celem jak największego nakazanego zbliżenia się do władz niemieckiej propagandy i uzyskiwania nakazanych materiałów”. Dodawał, że znał osobiście przełożonych Niewiarowicza i jego działalność podziemną. Zarząd Główny otrzymał też list Adwentowicza, który potwierdzał przynależność Niewiarowicza do organizacji, a także pismo Wandy Jakubińskiej-Szackiej, która stwierdzała, że „nakazana i pozorna praca w Teatrze Komedia Niewiarowicza, szefa jej męża Marka Szackiego była jej znana”²⁶.

Wydaje się, że opinie te niezupełnie były potrzebne, gdyż Sąd II Instancji miał już na temat Romana Niewiarowicza zdanie ugruntowane. Przyjmował do wiadomości fakt, iż był on członkiem podziemnej organizacji niepodległościowej, ale rościł sobie prawo do oceny i sądzenia poczyniń i rozkazów Komendy Głównej ZWZ AK. Rozważał, czy Niewiarowicz miał prawo nad rozkazy ZASP-u przedkładać rozkazy ZWZ AK i oceniał jego dokonania konspiracyjne. Niewiaro-

26. Oświadczenie prof. Domaszewicza, oraz listy K. Adwentowicza i Wandy Jakubińskiej-Szackiej w: Teczka Niewiarowicza, ZASP.

wicza traktowano przy tym najwyraźniej „na specjalnych prawach”. W wielu bowiem wypadkach pobyt aktora w obozie koncentracyjnym – czasem zupełnie przypadkowy, nie mający nic wspólnego z jakąkolwiek działalnością podziemną, wystarczał, by sądy weryfikacyjne odstępowały od karania go, udzielając mu co najwyżej nagany, choć grał w teatrach jawnych z własnego wyboru.

Komisja Weryfikacyjna ZASP-u Filii Teatru Ludowego im. Bogusławskiego w Lingen zajmowała się w grudniu 1945 sprawą Ewy Stojowskiej. Leon Schiller stwierdzał wówczas: „Kol. Stojowska była wprawdzie więźniem politycznym i z tego powodu przeżyła niebezpieczeństwa i cierpienia, które nawet w przekroczeniu znacznie wyższego stopnia byłyby czynnikiem łagodzącym, jeżeli nie całkowicie zmazującym jej winę – niemniej jednak sprawa pracy Niewiarowicza (...) dla wywiadu Polski Podziemnej na terenie teatrów warszawskich nie była w czasie konspiracji całkowicie wyjaśniona, a w każdym bądź razie panowało przekonanie, że wojskowy ośrodek dyspozycji, któremu oddawał usługi kol. Niewiarowicz nie postąpił rozsącznie, pozwalając kol. Niewiarowiczowi firmować imprezy powszechnie potępiane. (...) O ile można było wówczas stwierdzić (po zetknięciu się z komórką wywiadu) usługi oddawane Walce Podziemnej przez kol. Niewiarowicza stały w pewnej dysproporcji do szkód moralnych społeczeństwu polskiemu wyrządzonych”²⁷. Tak inscenizator teatralny oceniał i widział pracę wywiadu ofensywnego. Nie mając nic wspólnego z walką zbrojną w podziemiu, a już z pewnością z pracą wywiadowczą, wiedział już wtedy co warte były „usługi Niewiarowicza w Walce Podziemnej” i czuł się kompetentny, by oceniać wojskowy ośrodek dyspozycyjny.

Podobnie czuł i myślał Kazimierz Biernacki z krakowskiego Gniazda ZASP-u, który dzielił się w liście do Dobiesława Damińskiego wątpliwościami na temat Ewy Stojowskiej: „Zastanawia mnie przede wszystkim jedno, że Niemcy ją tak wozili po rozmaitych miastach i więzieniach – a to w

27. Wyciąg protokołu Komisji Weryfikacyjnej ZASP – Filii Teatru Ludowego im. Bogusławskiego w Lingen. Teczka E. Stojowskiej ZASP.

jakim celu? Naopowiadała mi, że organizacja podziemna w Warszawie kazała jej grać w teatrach, że pracowała dla organizacji bezinteresownie i różne cudenka. Intuicja mi mówi, że to wszystko jest nieszczerze”²⁸.

Wątpliwości wobec Romana Niewiarowicza żywił także Dobiesław Damiński. Niewiarowicz pisał o tym w jednym ze swoich listów do Sądu II Instancji: „Abstrahując od wzajemnej niesympatii, pomiędzy kol. Damińskim a mną – o czym otwarcie mówiliśmy podczas mojej sprawy weryfikacyjnej, jeszcze jedną muszę poruszyć sprawę. (...) kol. Damiński chcąc gwałtownie w jakiś cudowny sposób bodaj odrobinę umniejszyć moją pracę niepodległościową, o której nie miał i nie ma bliższego pojęcia, bo i skąd – sam wspominał, że ja go kiedyś w Warszawie w cukierni Żmijewskiego na Nowym Świecie przestrzegałem, że lepiej by było, żeby wyjechał z Warszawy. Miałem to zrobić w sposób – zdaniem kol. Damińskiego niezręczny i dekonspirujący się (...) gdybym się przed kol. Damińskim bodaj odrobinę nie zdekonspirował, czy mogłem liczyć, że moje ostrzeżenie odniesie jakiś skutek? (...) Stąd wysnuł kol. Damiński zarzut, że nieudolnie prowadziłem moją pracę niepodległościową”.

Do końca września Niewiarowicz obiecanego orzeczenia Sądu II Instancji nie otrzymał. Wysłał więc do ZASP-u kolejny list²⁹, w którym przypominał, że działał był „w myśl otrzymywanych najściślejszych rozkazów, że rozkazy najtwardsze wykonuje się bez targów, zwłaszcza w walce podziemno-niepodległościowej. Na towarzyskie rozwiązania i ewentualne sprzeciwy nie ma miejsca w rozkazach wojskowych”. Zapytywał też: „Czy Sąd I Instancji i jego orzeczenie było zupełnie zbędne i niemiarodajne? – a jeżeli tak – to jaki cel ma Sąd I Instancji, jego wyroki i orzeczenia? Zdaniem doświadczonych prawników procedura nigdy i nigdzie nie spotykana”.

9 marca 1946 *Gazeta Ludowa* opublikowała rozmowę z Damińskim o zamachu na Igo Syma. Mówił on dziennikarzowi: „*Sicherheitspolizei* zdawała sobie sprawę, że akcja

28. List z dn. 5.4.1946, Teczka E. Stojowskiej, ZASP.

29. List do Sądu II Instancji z dn. 29.9.1945, Teczka Niewiarowicza.

przeciwko Symowi, a raczej myśl o niej wyszła z podziemi Teatru Polskiego, gdzie wspólnie z kolegami założyłem bar-restaurację i księgarnię aktorską. Tam ogniskowało się życie tych aktorów, którzy z judaszowymi srebrnikami Symów i Petrowiczów nic wspólnego nie chcieli mieć i nie mieli. (...) Sym był to najpodlejszego gatunku prowokator wśród warszawskiej cyganerii. (...) Jasnym było, że Syma należało sprzątnąć i to jak najszybciej. Tak też się stało”.

Usługi Niewiarowicza w Walce Podziemnej malały. 7 kwietnia ogłosił więc w *Tygodniku Powszechnym*, zgodnie zresztą z zaleceniem Sądu I Instancji, artykuł p.t. „Prawda o Igo Symie”, a 20 października artykuł „Kulisy Komedii”. Ten drugi wysłał do ZG ZASP na ręce przewodniczącego Sądu II Instancji Aleksandra Zelwerowicza z zaznaczeniem, że wszystkie opublikowane przez niego wypowiedzi były pod przysięgą zeznawane w sądzie specjalnym³⁰. Ciągłe pewnie wierzył, że liczą się fakty. Nie znał zapewne anegdoty, o wojewodzie wołyńskim Henryku Józewskim obrzuconym wymysłami przez gazety endeckie, którą przytoczył niedawno Kazimierz Brandys. Otóż gdy Józewski nie będąc już dłużej w stanie znosić obelg udał się do Marszałka i powiedział, że zamierza się bronić publicznie, Piłsudski spojrzał na niego i mruknął: „Panie Józewski, tylko się pan nie broń”. Anegdotę miał opowiadać płk. Rzepecki.

Niewiarowicza atakowano nadal. Nie polemizowano, nie przedstawiano faktów, które by mogły świadczyć, iż nie ma on racji, nie przedstawiano kontrargumentów, tylko obrażano posługując się przymiotnikami i insynuacjami. W *Łodzi Teatralnej*³¹ Leon Schiller pisząc o Aleksandrze Zelwerowiczu zauważał: „Wolał grać rolę gajowego lub dozorczy schroniska inwalidów wojennych niż wątpliwej wartości konspiratora, opisującego w *Tygodniku Powszechnym* swą pożałowania godną działalność za kulisami teatru Komedia”.

„Nawet Sąd II Instancji dał w pełni wiarę dokumentom i świadkom”, pisał do Walnego Zjazdu ZASP Niewiarowicz po artykule Schillera. „O ob. Schillerze wiem tylko tyle, że

30. List z dn. 12.12.1946, Teczka Niewiarowicza ZASP.

31. nr. 2, 1946.

po kilkutygodniowym pobycie w Oświęcimiu został zwolniony (...) że reżyserował i prowadził kabaret w kawiarni Żaka przy ulicy Marszałkowskiej podczas okupacji. Czy był zweryfikowany i przez kogo nie wiem. (...) Co upoważnia ob. Schillera do zabierania głosu w sprawach tak mu obcych i nieznanach, jak akcje i prace podziemne mojej brygady – też nie wiem”³².

11 listopada ruszyła do ataku *Kuźnica*. „rkm.” oznajmiał: „Roman Niewiarowicz zdołał opętać Bogu ducha winnego kierownika katolickiego pisma i wtargnąć na łamy katolickiego pisma ze swymi ze wszech miar podejrzanymi rewelacjami. Pan Niewiarowicz, na którym ciąży zarzut kolaboracji nie został dotąd oczyszczony przez miarodajne instancje. (...) Pan Niewiarowicz wyręcza Sąd zapoznając społeczeństwo ze swoją obywatelską postawą w czasie okupacji. Fakty jakie przytacza na swą obronę są dziwnym trafem znane tylko jemu samemu. Organizacja podziemna, której był, jak twierdzi członkiem, widocznie nie wychyliła się jeszcze z mroków konspiracji. (...) Przewód sądowy tej sprawy nie wyświetlił. (...) (Pan Niewiarowicz) jest postacią podejrzaną. Również podejrzanе jest to co pisze. Śmiemy więc wątpić, czy red. Turowicz nie powinien powściągnąć swej dobroduszości w tej śliskiej i ciemnej aferze”.

O wyroku swym Sąd II Instancji powiadomił Niewiarowicza dopiero 23 listopada 1946 roku. Sądzone go zaocznie na posiedzeniu w dn. 7.10.1946. Wyrok Sądu I Instancji zmieniony został na jego niekorzyść. Po raz pierwszy przy tym ZG ZASP postanowił opublikować wyrok w prasie.

Gniazdo ZASP-u w Krakowie, czy też raczej czterech jego członków: Alfred Szymański, Eugeniusz Fulde, Zdzisław Mrożewski i Eugeniusz Golański odmówiło przesłania orzeczenia Sądu do miejscowej prasy: „Nie uczynimy tego”, pisali do Zarządu Głównego, „bo nie chcemy przyłożyć ręki do moralnego pogrążenia człowieka, który jeśli nawet popełnił błędy, dostatecznie je odpokutował w więzieniach gestapo i niemieckich obozach koncentracyjnych. Obawiamy się, że Niewiarowicz mający mocno nadszarpnięte zdrowie i

32. List z dn. 26.3.1947, Teczka Niewiarowicza.

nerwy może nie przeżyć publicznego napiętnowania go jako kolaboracjonisty” (...) „Zapytujemy, czy wobec faktu, że wyroki dyskwalifikujące niewątpliwych kolaboracjonistów, że wyroki skreślające z listy członków ZASP jednostki będące na usługach gestapo – nie były publicznie ogłoszone (np. wyrok w sprawie Dywińskiej, o której Schiller przy świadkach stwierdził, że wydała szereg ludzi z organizacji w ręce gestapo), czy wobec tego zlecenie Sądu przesłania prasy orzeczenia o Niewiarowiczu nie jest niewspółmiernie ostrą karą w stosunku do jego przewiny?”³³.

W obronie Niewiarowicza wystąpił też na łamach *Odry* Andrzej Wydrzyński, który w nagonce na aktora widział przykład panoszącej się w Polsce „ATAKOMANII prowadzonej z rozmachem iście goebelsowskim, z zaciekłością godną ś.p. Juliusza Streichera. Przejawem nowej klęski, która dotknęła kraj i zaczyna urastać do rozmiarów niepokojących: KAŻDY PRZECIW KAŻDEMU (...) Przy każdej sposobności chwalimy się światu, że nie mieliśmy Quislinga, że nie ugięli naszych twardych karków Niemcy. W rzeczywistości uginamy nasze twarde karki dzisiaj: przed ich ideologią nienawiści i deptania człowieka. Uginamy, ponieważ postępujemy często w myśl ich zasad. Wydrzyński postanowił wystąpić w obronie Niewiarowicza „w imię uczciwości”. Choć „nie znał organizacji” do której on należał znał akta jego sprawy. Oglądał je kolega zatrudniony w wydziale politycznym obozu Gross Rosen przed przyjęciem Niewiarowicza do „grupy zaufanych”. „Gdybyście lepiej znali tę sprawę, nie atakowalibyście”, pisał Wydrzyński. „A Teatr Komedia w powodzi podłych pornograficznych teatrzyków wystawiał polskie sztuki w polskim języku. Teatr Komedia umożliwił przeżycie ciężkiego okresu wojennego polskim aktorom, dzięki temu nie musieli oni podawać piwo i wódkę niemieckim żołdakom, nie musieli trudnić się paskarstwem. (...) Teatr Komedia w przeciwieństwie do kin i teatrzyków rewiowych nie płacił żadnych podatków na dozbrajanie armii niemieckiej. (...) Czyja to zasługa? Romana Niewiarowicza. (...) Jaką popełnił zbrodnię ten Niewiarowicz? Ja nie znajduję

33. List z dn. 30.11.1946, Teczka Niewiarowicza.

w nim winy. Czy nie należałoby w miejsce krzywdzących napaści uczynić coś bardziej uzasadnionego? Zaproponować urządzenie małej akademii w jakąś wolną od ataków dziedzinę I podziękować mu na tej akademii za to, że był takim”³⁴.

Akademii koledzy Niewiarowiczowi nie urządzili, za to w początkach roku 1947 prasa doniosła, że nadużył zaufania społeczeństwa. Opublikowano też wyrok II Instancji: „Dając wiarę zeznaniom Niewiarowicza dotyczącym jego działalności, Sąd uznał jednak, że ob. Niewiarowicz swego stanowiska w teatrze okupacyjnym, zajętego na rozkaz zwierzchników nadużył dla własnych korzyści materialnych oraz ambicji autorskich i reżyserskich. W latach okupacji kiedy aktorów i autorów obowiązywało z rozkazu ich organizacji zawodowych wstrzymanie się od działalności posiadającej charakter współpracy z Niemcami, ob. Niewiarowicz rozwinął niezmiernie ożywioną działalność teatralną (...) tych rozlicznych zajęć w teatrze okupacyjnym, przynoszącym wysokie zyski nie można tłumaczyć z dobrą wiarą koniecznością organizacyjną. Tym bardziej nie można ich tłumaczyć rozkazem organizacji podziemnej, gdyż np. rozkaz napisania sztuki, gdy aktorów obowiązywało milczenie, rzuciłby osobliwe światło na poczucie moralności obywatelskiej kierowników organizacji. (...) Grupy społeczne mające poczucie odpowiedzialności za los kultury w Polsce toczyły wówczas ciężką walkę. (...) Roman Niewiarowicz swą działalnością autorską, reżyserską aktorską i organizatorską w teatrze okupacyjnym (...) wyrządził tej postawie dotkliwą szkodę”. W rezultacie Niewiarowicz pozbawiony został uprawnień organizacyjnych członka ZASP-u na okres roku, licząc od dnia wniesienia prośby o weryfikację, oraz prawa zajmowania w teatrze kierowniczych stanowisk na okres 3 lat licząc od dnia wniesienia prośby o weryfikację.

Aleksander Zelwerowicz, przewodniczący Sądu II Instancji, wobec Niewiarowicza tylko, jak się wydaje, był tak surowy. Adwokat Henryk Nowogródzki, który z urzędu zaocznie bronił w procesie sądowym Bogusława Sambor-

34. A. Wydrzyński: „Sprawa Niewiarowicza”, op.cit.

35. List do redakcji *Literatury* z dn.28.2.1980.

skiego, odtwórcę jednej z głównych ról w filmie *Heimkehr*, wspominał ze wzruszeniem jak w pewien niedzielny, deszczowy, chłodny listopadowy poranek pojawił się u niego Zelwerowicz i zatroskany mrucał: „Panie, chodzi przecież o sprawiedliwość!” Przyszedł, by opowiedzieć jak Niemcy Samborskiego szantażowali. Przyjął był rolę w filmie, bo miał żonę Żydówkę. Na procesie, w roli świadka Zelwerowicz był „wspaniały i skupiony”³⁵. Dlaczego nie był takim na ZASP-owskim procesie Niewiarowicza? W czasie obrad Sądu II Instancji rozpatrującego jego sprawę powtarzał tylko: „w sprawach organizacyjno-podziemnych zupełnie się nie wyznaję”³⁶.

Zgłosił się w tym czasie kolejny obrońca Niewiarowicza – Lech Sadowski, „Wasył”, „Sławek”, Szef Oddziału VI BiP we Lwowie. To byli odważni ludzie, ci świadkowie broniący dobrego imienia pracownika kontrwywiadu ZWZ AK. „Po wojnie to były takie czasy, gdy człowiek się wszystkiego strasznie bał”, powie łączniczka „Dacha” Stefania Kiwałanka. Bohaterowie Podziemia siedzieli wtedy często na Majdanku, na Zamku Lubelskim i na Rakowieckiej, a na Wschód ciągnęły się transporty „wrogów ludu”. To były takie czasy, w których sądzono jednocześnie Fischera i Rzepeckiego, a gazety zawiadamiały o „niciach łączących Gestapo z kontrwywiadem AK”. Sadowski w liście do *Tygodnika Powstaniego* pisał: „Wiadome mi jest, że Roman Niewiarowicz organizował Irenie Górskiej i Dobiesławowi Damięckiemu pomoc materialną (...) Wiadome mi jest, że praca Romana Niewiarowicza była ideową i na żadną akcję z kasy organizacyjnej Roman Niewiarowicz funduszków nie czerpał. Wiadomo mi jest, że Roman Niewiarowicz własnym sumptem przewiózł na „teren” materiał do pracy – trudny do ukrycia z powodu wagi i objętości. Z uwagi na pośpiech mimo choroby i gorączki sam prowadził samochód”. A teraz „po dwuletniej jego pracy nagle ogłasza się wyrok, w którym daje się wiarę, że był członkiem ruchu oporu, że za to był aresztowany... I Sąd ZASP-u wkracza w kompetencje nie

35. List do redakcji *Literatury* z dn.28.2.1980.

36. List R. Niewiarowicza do Walnego Zjazdu ZASP z dn. 26.3.1947, Teczka Niewiarowicza.

swoje. „Bo gdyby Roman Niewiarowicz ‘nadużył zaufania społeczeństwa’ przez ruch oporu zostałby skazany na śmierć – bo tam tylko takie kary w tych wypadkach istniały. A więc nasuwa się pytanie, czy w wyroku tym nie tkwi czyjaś zła wola, która miała na celu zdyskwalifikowanie i utracenie doskonałego artysty i prawego człowieka. Czy gdyby Niemcy wykonali wyrok śmierci na Romanie Niewiarowiczu sąd ZASP-u też by obecnie wyrokował?³⁷”

To wszystko szło dwoma torami. Robi wrażenie, że oskarżyciele nie czytali, nie rozumieli, może nie chcieli rozumieć obrońców, byli głusi na ich argumenty i robili swoje. W styczniu roku 1947 ZG ZASP napisał do Niewiarowicza króciutki list, zawierający „koleżeńskie pozdrowienie” i powiadamiający go, że nie może on przyjąć stanowiska w Polsko-Czeskiej Komisji Kulturalnej, na które został powołany przez Zarząd Główny Związku b. Więźniów Politycznych, gdyż „z uwagi na orzeczenie weryfikacyjne nie wolno mu występować w roli kierowniczej w organizacjach społecznych”. Dzień wcześniej ZG ZASP powiadomił o tym Polski Związek b. Więźniów Politycznych, dodając przy tym, że powołani także do Komisji „koledzy Adwentowicz i Derdziński nie mogliby brać udziału w pracach Komisji w razie pozostawienia w niej ob. Niewiarowicza”³⁸.

W marcu 1947 roku Niewiarowicz poprosił Walny Zjazd Artystów Scen Polskich „o rozpatrzenie sprawy”³⁹. W liście wyrażał zdumienie nadawaniem jego tylko sprawie rozgłosu i wyrażał opinię, że sposób działania, wykonywanie rozkazów, osiągnięcia nakazanych celów i metody pracy w organizacji podziemnej nie mogą podlegać „rozstrząsaniom sądów koleżeńsko-aktorskich”, które nie mają przecież pojęcia o sposobach walki w konspiracji, zwłaszcza w wypadku komórki, której głównym zadaniem była likwidacja Niemców, szpiegów i konfidentów. Jedynie władza podziemna, lub sąd państwowy wydawać mogą wyroki na tych, którzy dopuścili się w konspiracji wykroczeń. Wyrażając zdumienie, iż sąd koleżeński sądził go zaocznie, Niewiarowicz zauważał, że „wy-

37. List L. Sadowskiego, Teczka Niewiarowicza.

38. Listy z dn. 22.1.1947 i 21.1.1947, *ibid.*

39. List z 26.3.1947 *op. cit.*

rok na niego podpisało troje ludzi, którzy z walką podziemną mieli niewiele wspólnego”⁴⁰, a także protestował przeciwko cytowaniu jego pobytu w więzieniu i obozie jako okoliczności łagodzącej: „Sprawa moja nie wymaga okoliczności łagodzących. Moje przeżycia są ściśle moją prywatną sprawą”.

Już na początku listu uprzedzał, iż pragnie tym razem bez ogródek sprawę przedstawić. Protestował przeciwko stwierdzeniu Sądu jakoby „nadużył swego stanowiska dla własnych korzyści materialnych. Nazwał to oszczerstwem. Zarabiane przez niego pieniądze szły zgodnie z rozkazami na walkę podziemną, oraz na utrzymanie od dwunastu do piętnastu osób (były wśród nich żony i dzieci wojskowych polskich walczących za granicą). On sam pracował w organizacji, podobnie jak członkowie jego brygady „czysto ideowo”, nie pobierając pensji. Dochody z Komedii wydawane były na poszczególne akcje i bardzo kosztowne ich przygotowanie. „A gdybym tylko”, stwierdzał Niewiarowicz, „był w stanie i znalazł na to czas, otrzymałbym od moich szefów rozkaz, by napisać nie jedną, a dziesięć sztuk”. Bo: „tu o większe i ważniejsze sprawy chodziło, aniżeli to sobie Obywatele Sądu II Instancji mogli wyobrazić nawet w najbujniejszej fantazji. (...) Na rozkaz władz organizacji podziemnej nie tylko pisało się sztuki, ale stawało się *volksdeutschem*, nosiło mundur niemiecki, wojskowy, policyjny. (...) Organizacja nasza była wojskowa, a my wykonawcy rozkazów w przeważnej ilości oficerami W.P. (...) Mnie podczas wojny obowiązywały rozkazy moich władz przełożonych wojskowych”. Kolejny raz przy tym podkreślał, że dla potwierdzenia wszystkiego co mówi gotów jest przedstawić świadków.

Względy formalne przeszkodziły odczytaniu listu na Zjeździe. Prawnik ZASP-u pouczył ponadto Niewiarowicza, iż powinien on być dołączyć „prośbę o darowanie kary”⁴¹. A więc zasługiwał na karę, którą koledzy mogliby, gdyby zechcieli, darować.

W lipcu 1949 odbył się przed sądem Okręgowym w

40. Karol Adwentowicz więziony był na Pawiaku za wzniesienie okrzyku „Niech żyje Polska”, w noc Sylwestrową w r. 1941 w kawiarni „Znachor”.

Warszawie proces Andrzeja Szalawskiego. Niewiarowicz, ciężko chory na gruźlicę, po raz kolejny przebywał na kuracji w sanatorium i nie mógł się stawić do Sądu osobiście. Inny ze świadków Kazimierz Moczarski, który w przyszłości świadczyć będzie na korzyść oskarżonego, siedział w więzieniu. Od stycznia na Rakowieckiej przebywał szef kontrwywiadu Komendy Głównej AK Bernard Zakrzewski, „Oskar” i jego żona Halina, „Beda”, pracownica Wywiadu Wschodniego WW-72. W lipcu zapadł wyrok śmierci na Adama Doboszyńskiego – w procesie oskarżał prokurator Zarakowski, „pomagał” mu Humer. Jak donosiła prasa, wyrok skazujący Doboszyńskiego był jednocześnie „wyrokiem zaocznym na wszystkich sanacyjnych, endeckich i ONR-owskich zdrajców”. Stwierdzono też, że „pracownicy II Oddziału, jego szefowie i szefowie agend pozostawali w bezpośrednich, lub pośrednich usługach imperializmu i wywiadu niemieckiego”, oraz że „kontrwywiad AK współpracował zupełnie wyraźnie z Abwehrą”. Konkludowano, że „proces Doboszyńskiego rzucał jaskrawe światło na zgniliznę dwójki sanacyjnej i góry AK”. August Grodzicki poszedł dalej jeszcze: „Miała więc i Polska swoich quislingów”, pisał w *Kurierze Codziennym*. „Likwidowano lewicowców i oddawano w ręce Niemców według rachunku 6 komunistów za jednego uwolnionego AK-owca”.

W takich czasach, w podobnej atmosferze sądzono Szalawskiego. Koledzy wykorzystali okazję, by w czasie rozprawy raz jeszcze zaatakować Niewiarowicza. Jedynie Dobiesław Damięcki zeznawać miał na procesie „powściągliwie i nie oskarżając”⁴¹. Niewiarowicz czytał sprawozdania prasowe z procesu i napisał kolejny list do ZASP-u. Sprowokowały go do tego „kłamliwe i niezgodne z prawdą zeznania ob. Korzeniewskiego”. „Dlaczego ob. Korzeniewski kłamie?” pytał. Korzeniewski twierdził na procesie, że Niewiarowicz „pobłogosławił pracy Szalawskiego w niemieckiej *Wochenschau*”, że „chwalił się, iż jest oficerem wywiadu, że nieprawdą było

41. List adwokata ZASP-u (podpis nieczytelny) do R. Niewiarowicza z dn. 8.5.1947, Teczka Niewiarowicza.

42. A. Grodzicki w *Kurierze Codziennym*, 5.7.1949, List Niewiarowicza z dn. 23.7.1949, Teczka Niewiarowicza, Rozmowa z p. Stefanią Gintel Domańska 30.8.1995.

jakoby przeprowadził likwidację Igo Syma”. A na zakończenie uznawał działalność okupacyjną Niewiarowicza za „szkodliwą”. Niewiarowicz kolejny raz przypominał, iż świadkowie jego pracy konspiracyjnej żyją i są w Polsce, a „samozwańcze mianowanie się sędzią oficerów Ruchu Oporu przez ob. Korzeniewskiego jest tylko ośmieszaniem się”.

25 lipca skierował skargę do komisji likwidacyjnej ZASP-u w sprawie „kłamliwych zeznań” składanych przed Sądem przez Schillera. Jak bowiem donosiło *Życie Warszawy*: „świadek Schiller wymieniał nazwisko Bonieckiego – agenta obcego wywiadu, przedstawiciela ONR. (...) Boniecki był ‘protektorem’ Niewiarowicza, który (...) jakby chcąc usprawiedliwić swoją pracę głosił wszędzie, że ‘jest oficerem wywiadu organizacji podziemnej’. (...) Boniecki bronił też przed aktorami Niewiarowicza twierdząc kłamliwie, że gra z polecenia podziemia i jakoby pomagał Damięckiemu w ucieczce”⁴³.

„Echa sprawy Doboszyńskiego miały przy tym swój oddźwięk i w tym procesie”, komentowało rozprawę *Życie Warszawy*. A Sąd w uzasadnieniu wyroku (Szaławski skazany został na 4 lata więzienia) pisał, iż „pobudkami działania oskarżonego obok haniebnego oportunistu była także łączność ideologiczna z profaszystowskimi grupami politycznymi orientacji nacjonalistycznej”⁴⁴.

Czy koledzy-oskarżyciele nie mieli wyobraźni? Nie rozumieli czym mogą się zakończyć podobne oskarżenia w roku 1949? Czy też przepełnieni byli niechęcią, która oślepia? Głęboką niechęcią do „świata sanacji”? Dlaczego mianowali się sędziami, rewolucyjnymi sędziami przecież, bo nie wnikali w meritum sprawy, nie interesowała ich prawda? Skąd u osób, które określano często jako „ludzi wielkiego formatu”, obdarzonych „niesłychanym urokiem osobistym”, brała się podobna bezkompromisowość i odporność na argumenty innych? Czy wisiało to w powietrzu, wraz z wiarą w „jedynie słuszną orientację polityczną?” Juliusz Żuławski, który w tych czasach podpisał był list w obronie Alfreda Dymy, wspomina, iż uczynił tak chcąc się sprzeciwić, niepohamowanej zaraz po wojnie tendencji niektórych ludzi do napastowania innych

43. *Życie Warszawy* 19.7.1949.

44. *Życie Warszawy* 20.7.1949, podkreślenie moje.

często z prywatnych i nieudokumentowanych powodów”⁴⁵.

Bohdan Korzeniewski po śmierci Niewiarowicza poszedł jeszcze dalej. „Ja bym wołał”, mówił w „Sławie i Infamii”, „żeby on do kontrwywiadu nie należał i tym teatrem tak gorliwie się nie zajmował”. I: „Niewiarowicz był rzeczywiście w Wywiadzie Wschód, ale nie wierzę w jego głębsze zaangażowanie. (...) Miał za sobą służbę wojskową, był chyba rotmistrzem⁴⁶ miał mnóstwo znajomych oficerów i można sobie wyobrazić jak to wyglądało. Spotykał się z nimi i mówił: daj mi jakieś zadanie, misję. Musiał coś mieć. Jakąś robotę. Jakieś alibi dla swoich interesów w teatrze”. Halina Zakrzewska, „Beda”, która przeczytała „Sławę i Infamię” już po śmierci Korzeniewskiego wyrażała żal, że nie zrobiła tego wcześniej, by móc porozmawiać ze współautorem książki. „Ustrzegłby się najbardziej oburzającego i kompromitującego go zdania: ‘Ja bym wołał żeby’... Cóż za neglizujący stosunek do pracy organizacji, do której niejednokrotnie się przyznawał. W swych „Uwagach” pisanych w roku 1994, „gwołi ścisłości historycznej”, wyrażała oburzenie na pełen pasji i pomówień atak Korzeniewskiego pod adresem Niewiarowicza i Szalawskiego – zasłużonych pracowników wywiadu ofensywnego. Stwierdzała przy tym kompletną nieznajomość Korzeniewskiego spraw organizacji, której mienił się członkiem”⁴⁷.

I na tym właściwie sprawa się kończy. Pozostają pytania, pytania retoryczne. Jak walczyć z pomówieniami? Jak wynagradzać krzywdę ludziom zniesławionym, którym ktoś kiedyś odebrał dobre imię, gdy przeciw ofierze sprzysięgło się wszystko. „Wiatry historii”, schematy myślowe, istnienie dominującej w życiu kulturalnym „opcji politycznej”, sfałszowana historia i, co może najważniejsze, zrodzona niedawno obojętność wobec przeszłości, brak zainteresowania, jakiegokolwiek zainteresowania dla dociekań, które by ustalić mogły jak to NAPRAWDĘ było.

Janina HERA

45. List Juliusza Żuławskiego z dn. 28.7.1995, Archiwum autorki.

46. Niewiarowicz awansował z porucznika na rotmistrza w konspiracji.

47. H. Zakrzewska: „Uwagi”, op. cit.

OKRUCHY HISTORII

Hanna ŚWIDERSKA

Z DZIEJÓW POLSKIEJ PRASY W ANGLII 1944-45*

W lutym 1944 r., po długiej i jadowitej sowieckiej nagonce walnie wspieranej przez miejscową prasę komunistyczną władze angielskie zamknęły *Wiadomości Polskie*¹. Uczyniły to w naiwnej nadziei, że usunięcie tej przeszkody natchnie Wielkiego Alianta przyjaznymi uczuciami do Polski i pomoże wydać owoce w postaci nawiązania stosunków polsko-sowieckich i niezmaconej harmonii wśród narodów sprzymierzonych. Jedynym bodajże dygnitarzem *Foreign Office*, który w krytycznym styczniu 1944 wątpił w celowość tego posunięcia był Sir Orme Sargent. Stwierdził, że „gdyby istniała jakakolwiek podstawa do przypuszczeń, że rząd sowiecki zmieni swe nastawienie jeśli polskiej prasie u nas nałoży się skuteczny kaganiec, to całkowicie poparłbym tę drastyczną akcję. Ale nie wierzę, że w obecnej sytuacji wpłynie to w jakikolwiek sposób na rozwój wypadków”².

* Artykuł oparty na materiałach Foreign Office.

1. zob. mój artykuł „Z dziejów polskiej prasy opozycyjnej w Londynie 1941-45”. *Zeszyty Historyczne* nr 101.

2. FO 371/39437: C 697.

Likwidację gazety załatwiono przez cofnięcie jej przydziału papieru. Gospodarze dzielili prasę polską na swym terenie na 3 kategorie: 1. korzystającą z papieru przydzielonego przez *Ministry of Information* (*M of I*) ze swej puli – z jej części przewidzianej na polskie potrzeby (*Dziennik Polski*, *Polska Walcząca*, *Wiadomości Polskie*, *Myśl Polska* i inne); 2. firmowane przez angielskie dowództwa trzech broni (*Service Departments*) ze swej puli – polska prasa wojskowa: *Bellona* i *Lekarz Wojskowy* (*War Office*), *Skrzydła* i *Myśl Lotnicza* (Ministerstwo Lotnictwa), *Polska na Morzach* (Admiralicja), oraz 3. drobne periodyki zdobywające małe ilości papieru we własnym zakresie, przeważnie z przedwojennych zapasów firm drukarskich, jak *Wiadomości Polskiej Misji Katolickiej*, *Światpol*, *Listy do Przyjaciół*, *Listy z Londynu* i inne. *M of I* do pewnego stopnia sprawowało cenzurę pierwszych dwu kategorii – jak samo wyjaśniło: „wedle ogólnej zasady wnioski *Service Departments* popierające [zamierzone czasopismo wojskowe] przychodzą do naszego ministerstwa do zatwierdzenia ich strony politycznej zanim trafią do *Ministry of Supply* [Ministerstwo Zaopatrzenia], które wydaje papier...

Na oficjalny polski wniosek ministerstwo przyznaje papier na:

1. periodyki i gazety,
2. książki, broszury i inne.

Oficjalne polskie zapotrzebowania rozpatruje się z uwzględnieniem całej polskiej konsumpcji i ogólnych zapotrzebowań z puli ministerstwa, po rozpatrzeniu w każdym wypadku strony politycznej...

Oczywiście w każdym przypadku ministerstwo ustala warunki: nakład, format i ilość stron każdego numeru oraz częstość ukazywania się. Przeznaczony na to papier przydziela się drukarni pod warunkiem, że użyje się go zgodnie ze szczegółami określonymi przez ministerstwo³.

W tych warunkach likwidacja *Wiadomości* była prosta: *M of I* nakazało drukarni zatrzymać ich papier i zabroniło je drukować oraz powiadamiało o tym *Ministry of Supply*.

3. FO 371/47633: N 4410.

Trzeba jednak zaznaczyć, że formalnie *Wiadomości* miały prawo wychodzić nadal o ile zdobyłyby papier we własnym zakresie⁴, a to dlatego, że zaczęły ukazywać się w Anglii przed 16 VIII 1940, gdy wyszło zarządzenie „*The Control of Paper (No 20) Order*” zabraniające wydawania nowych periodyków bez licencji. Ale gdyby nawet strona polska o tym wiedziała, nie na wiele by się to zdało wobec niemożliwości pokątnego zdobycia papieru na tygodnik rozmiaru *Wiadomości*.

To zarządzenie nie „kontrolowało” jednak zawartości czasopism, których dotyczyło. Uzupełnił je „*The Control of Paper (No 48) Order*”, który pozwalał ograniczyć, poczynając od 1 III 1943, zużycie przez nie papieru aż do zredukowania go do zera.

Działo się to w czasie szczególnie ciężkim dla prasy polskiej, gdy *FO* szykowało się do drastycznej akcji. 23 I 1944 zanotowano tam, że „ogólnie biorąc, skutki poglądów głoszonych przez polską prasę w naszym kraju są całkiem katastrofalne. Powszechnym tematem jest zagrożenie Europy przez Związek Sowiecki, a głównym jest obstawanie przy nienaruszalności granicy ryskiej”⁵.



Doniesienie o zamknięciu *Wiadomości* zostało niezwłocznie przekazane ambasadorowi Gusiewowi przez Cado-gana, który – zgodnie z instrukcją Churchilla – przedstawił mu „kroki, które już podjęliśmy i jesteśmy gotowi podjąć w przyszłości wobec polskiej prasy” oraz wyraził nadzieję, że w zamian ZSSR przyhamuje ataki na rząd polski w swej prasie⁶.

Informacje o bezecnościach polskiej prasy *FO* czerpało nadal z „*Polish Press Reports*” – tygodniowych sprawozdań o jej zawartości, z tłumaczeniami szczególnie „antysowieckich” wystąpień, które sporządzał jego *Research Department* (dział badań, *FORD*), gdzie trudnił się nimi jakiś G.A. Birkett. Gotowe spadały na biurko Miss Fanny Gatehouse z Północnego Departamentu *FO* (sprawy sowieckie), która po

4. FO 371/39438: C 2265.

5. FO 371/39437: C C697.

6. FO 371/39438: C 2265.

zaznajomieniu się z treścią opatrywała je uwagą „nieszkodliwe” i swym podpisem lub alarmowała Departament Centralny (Polska – do końca r. 1944, później Północny), który ruszał do akcji oraz dzielił się z nimi ze Scottem i Thwaitesem nadzorującymi polskie wybryki w *M of I*. Kierownikiem Centralnego Departamentu był Frank Roberts przejawiający nieco życzliwości w stosunku do Polski.

Po *Wiadomościach* pierwszym kandydatem do odstrzału został dwutygodnik Stronnictwa Narodowego *Mysł Polska* ukazujący się w Londynie od marca 1941 pod redakcją Emila Rojka. Był on jednym z redaktorów systematycznie karconych przez *M of I* listownie lub wzywanych w tym celu w wysokie progi. Kolejny taki list, z podpisem Oswalda Scotta, otrzymał na początku stycznia 1944: „Pismo Pana wychodzi na podstawie licencji... wydanej przez *Ministry of Supply* na wniosek *M of I*, dzięki któremu przydziela się papier. Jestem zmuszony kategorycznie zwrócić Pana uwagę, że *M of I* nie może nadal popierać wydawnictwa o takim nastawieniu i, o ile nie znikną powody do niezadowolenia, p. Brendan Bracken [minister informacji] będzie zmuszony kategorycznie zwrócić się do *Ministry of Supply* o odebranie Panu licencji na druk i publikowanie oraz cofnięcie racji papieru”⁷.

W odpowiedzi 14 I Rojek zjawił się u Scotta z protestem, że ten list jest niezasłużony – „chyba że uważa się, że żadna polska gazeta nie ma prawa bronić polskich interesów. Nastąpiła zwykła rozmowa, w której p. Thwaites i ja [Scott] podkreślaliśmy, że choć dopuszczamy prawo do przedstawiania sprawy, to jednak musimy oczekiwać umiarkowania i liczenia się z uczuciami innych”. To sobie powtarzali przez 3 kwadranse, aż Rojek „jasno sobie uświadomił, że nasze ministerstwo... będzie zmuszone podjąć drastyczną akcję jeśli *Mysł Polska* przekroczy to, co uważamy za dobre zachowanie gazety”⁸.

Ale dobrego zachowania nadal nie było widać i w czerwcu Denis Allen z *FO* stwierdził, że po zamknięciu *Wiadomości*, *Mysł* jest „najszkodliwszym z wszystkich tutejszych

7. FO 371/39437: C 413.

8. FO 371/39438: C 1967.

polskich czasopism – zajądł antysowiecka i anty-rząd polski we wszystkich przypadkach, gdzie tylko dostrzeża jakiegokolwiek ślady jego gotowości do współpracy z Rosjanami lub uważanie ich za potencjalnych przyjaciół raczej niż aktualnych wrogów”. I dodał, że jej likwidacją niczego jednak się nie osiągnie, bo „teraz przynajmniej stanowi kurek bezpieczeństwa i, na dłuższy dystans, opozycja narodowych demokratów, jak przypuszczam, sama się skompromituje w oczach rozsądnych Polaków i Rosjan przez wypuszczenie swej cuchnącej pary”⁹.

19 X Cadogan polecił Brackenowi żeby zrobił co się da dla wzmocnienia pozycji Mikołajczyka przez „kontrolowanie opozycyjnej polskiej prasy”. Scott wezwał Rojka na kolejną rozmówkę oraz spotkał się z Drohojowskim z Ministerstwa Informacji, który zapewnił go, że poskromi nieoficjalne pisma jak *Światpol* i *Sprawa*, przy pomocy sposobów, których lepiej nie wyjaśniać”. Tak więc *Myśl* znów uszła z życiem, być może dzięki Robertsowi, który stwierdził, że zamknięcie opozycyjnego pisma właśnie teraz osłabi pozycję Mikołajczyka¹⁰. Później wyjaśnił to bliżej Allen: *Myśl* zawdzięczała swój byt Mikołajczykowi, bo „póki sprawował władzę, naszą polityką było utrzymać go na urzędzie i wzmacniać jego pozycję jak tylko się da w rokowaniach ze Związkiem Sowieckim, byłoby więc niewskazane zrobić coś, co by tylko zmąciło i poruszyło polską opinię, a nie dało żadnych oczywistych i konkretnych korzyści”¹¹.

Skutek *tête-à-tête* Scotta z Rojkiem znów był więc żaden i nr 81 z 15 XI okazał się jeszcze jadowitszy. W *FO* Miss Gatehouse nalegała na likwidację i popierał ją Allen, który stwierdził, że dotąd *FO* wstrzymywało karzący miecz, żeby nie prowokować oskarżeń o „osłabienie naszego poparcia dla Polski, ale teraz, gdy rząd Mikołajczyka ustąpił i obostrzamy naszą kontrolę, zamknięcie *Myśli Polskiej* będzie czymś naturalnym”. Spotkało się to z odprawą Roberta, który orzekł, że zamykanie znanych polskich pism „zapędza polską

9. FO 371/39441: C 7401.

10. FO 371/39443: C 14065.

11. FO 371/47632: N 276.

krytykę Rosjan do broszur i podziemnych szmat, których nie zdołamy zamknąć ani kontrolować, a Rosjanie cytują je z takim samym efektem, jak pisma o lepszej renomie”¹².

Sprawa znów więc się odwlokła, zdecydowano czekać na następny numer po zmianie rządu. Niestety, nr 82 z 1-14 XII domagał się, żeby rząd polski obstawał przy granicy ryskiej i opierał się sowieckim zakusom połknięcia Polski. Sprawa likwidacji ożyła znów w styczniu 1945, gdy egzekucja *Myśli*, tej „tuby rządu Arciszewskiego i ciernia w naszym ciele, powodu zadrażnień między Rosją a nami oraz kłopotów między Polakami i Rosjanami”, została postanowiona, ale w ostatniej chwili cofnięta bez wyjaśnienia. Grzesznica zmarła wprawdzie, aczkolwiek czasowo, w lipcu 1945 na „trudności z papierem”¹³.

Nieco tylko mniejszą zmorą dla *FO* były *Listy z Londynu*, wychodzące od marca 1942 pod redakcją Bolesława Szymanowskiego. 7 I 1944 Scott doniósł Robertsowi o ich zamknięciu na rozkaz Edena¹⁴, ale radość była przedwczesna i już w lutym okazało się, że wychodzą nadal. *Ministry of Supply* ostrzegło Szymanowskiego o grożącej mu utracie papieru na podstawie „*The Control of Paper (No 48) Order*”, ale rządowy adwokat ostrzegł je, że „dane o charakterze tego produktu nasuwają wątpliwości czy podpada on pod ten *Order*” i byłoby nierozsądnie podjąć kroki, które mogą doprowadzić do sprawy sądowej... A więc bluffujemy redaktora i na razie nic nie da się zrobić”¹⁵. I nadal nie dało się, nawet gdy *Listy* harcowały po moskiewskich wyprawach Mikołajczyka, okazało się bowiem, że papier zdobywają pokątnie.

Innym cierniem był biuletyn prasowy *Światpol*, w którym Zygmunt Nowakowski obrażał ZSSR tak samo okropnie jak w *Wiadomościach*. Przesyłając kolejny „*Polish Press Report*” Roberts ostrzegł Scotta, że „należy to mieć na oku. Źle by było, gdyby po zamknięciu przez nas *Wiadomości* ich redaktor kontynuował swe zbożne dzieło przy pomocy *Światpolu*”. Zamknięcie go było jednak trudne, bo wychodził

12. FO 371/39445: C 16462.

13. FO 371/56500: N 4099.

14. FO 371/39437: C 413.

15. FO 371/39438: C 3014.

przed 16 VIII 1940, a więc nie miał licencji do odebrania i przysługiwał mu mały przydział papieru¹⁶.

Mniej kłopotliwy był centralny tygodnik wojskowy *Polska Walcząca* ukazujący się pod opieką MON i redagowany przez por. Tymona Terleckiego. Pismo przybyło z wojskiem z Francji i podjęło działalność w Londynie przed 16 VIII 1940. Gdy polskiej prasie zaczęło robić się bardzo gorąco, Scott opisał swe spotkanie z redaktorem, który 3 II 1944 złożył mu (o dziwo bez „zaproszenia”) wizytę. „Wytłumaczyłem mu, jak we wcześniejszych rozmowach z innymi redaktorami, wagę przywiązywaną przez nas do wolności prasy podkreślając przy tym różnice między od dawna ustaloną instytucją prasy brytyjskiej i nowszymi zagranicznymi przybyszami do naszego kraju... Podkreśliliśmy też różnicę między prawem Polaków do przedstawiania swej sprawy a niewłaściwością napadania przez nich na sprawę przeciwnika, zwłaszcza gdy robią to przy pomocy bogactwa przymiotników.

Por. Terlecki wyjaśnił trudności swego położenia. Zapewniłem go, że p. Thwaites i ja chcemy mu pomóc jeśli ma jakieś wątpliwości... Nie sądzę, że por. Terlecki zostanie kiedykolwiek potentatem w świecie redaktorów, ale jest on sympatycznym i nieszkodliwym człowiekiem, który – przypuszczam – rozmyślnie nie sprawi nam kłopotu”¹⁷.

Dziennik Polski i *Dziennik Żołnierza* zajmował szczególną pozycję jako pismo urzędowe. Powstał on w r. 1944 z połączenia rządowego *Dziennika Polskiego* (wychodzącego od lipca 1940) z założonym w Szkocji w czerwcu 1940 *Dziennikiem Żołnierza*. Teraz było mu coraz trudniej lawirować między polityką Mikołajczyka a coraz groźniejszą sytuacją Polski, toteż napadała nań zarówno sowiecka ambasada i londyńska komórka TASSa¹⁸, jak i *Polish Press Reports* i ich odbiorcy. W coraz trudniejszej sytuacji, gdy gozdziny *Wiadomości* były już policzone, redakcję *Dziennika* ogarnął niepokój o jego dalsze losy i redaktor Mieczysław Sze-

16. FO 371/39438: C 1962, C2796.

17. FO 371/39438: C 1965.

18. zob. mój artykuł, jak wyżej.

rer bez „zaproszenia” odwiedził Scotta. Zapewnił go, że choć należy do Rady Narodowej, to zajmuje stanowisko niezależne i „jeśli wydaje się, że poglądy jego gazet są w dużej mierze zbliżone do oficjalnych polskich poglądów, to powodem jest tylko to, że ma on bliski wgląd w opinie swego rządu. Podkreślił, że pragnie nawiązać bliskie stosunki z naszym ministerstwem, a ja oświadczyłem, że będziemy radzi pomóc mu jak tylko zdołamy”¹⁹.

W niedalekiej przyszłości *Dziennik* miał wiele zawdzięczać opiece Amerykanów, ale zanim do tego doszło przysporzył im jeszcze sporo kłopotu.



Z nadejściem r. 1945 znaczenie polskiej prasy w oczach gospodarzy zaczęło ulegać gruntownej zmianie z dwu powodów. Po pierwsze, Stalin miał już Polskę w garści i znikł powód interesowania się poglądami „londyńskich Polaków” i zakłócaniem przez nich sowiecko-brytyjskiej „przyjaźni”. I po drugie, zwycięskie zakończenie wojny było kwestią niedalekiej przyszłości i rząd JKM zaczynał myśleć o rozładowaniu PSZ i polskiej ludności cywilnej na brytyjskich terytoriach, oczywiście przez masowy powrót do domu. Powrót ten wyglądał jednak coraz wątpliwiej – i tu właśnie stanowisko polskiej prasy zaogniało sytuację.

W styczniu 1945 zanotowano w *FO*, że „Rosjanie teraz o wiele mniej interesują się nastawieniem polskiej prasy niż rok temu”, a i „dla nas samych jest teraz o wiele mniej pilne przeszkadzanie Polakom w kompromitowaniu się w sowieckich oczach – przeciwnie, można stwierdzić, że tak długo jak rząd Arciszewskiego – który nie ma żadnych możliwości zawarcia porozumienia z ZSSR – pozostanie u władzy, będzie najrozsądniej z naszej strony dać mu tyle swobody ile możliwe”. Przy okazji zdecydowano nie ruszać *Myśli Polskiej* „aż do czasu, w którym – jak zamierzamy – nasza polityka wobec Polski ulegnie wyraźnej zmianie”, być może po zbliżającej się konferencji w Jałcie²⁰.

19. FO 371/39438: C 1964.

20. FO 371/47632: N 276.

Ale czekanie na tę wyraźną zmianę było trudne wobec bezczelności niektórych pism, którym już nie wystarczyły napady na Wielkiego Alianta i zaczęły dobierać się do gospodarzy. Szczególnie zgorszył *FO Dziennik* z 27 II, którego wybryki były tym bardziej oburzające bo był gazetą rządową. Przyniósł on aż trzy „niedopuszczalne” kawałki. Pierwszym był artykuł redakcyjny „Ideologia kapitulantów” atakujący wypowiedź Stanisława Grabskiego w organie Stronnictwa Ludowego *Jutro Polski*, w której przedstawia Jałtę jako możliwość stworzenia Polski niepodległej i demokratycznej. Jeszcze gorszy był „List otwarty do członka Izby Gmin” Jana Łoika „szarego obywatela i żołnierza”, wystosowany w związku z debatą „jałtańską” w Parlamencie. Przypomina ofiary poniesione przez Polskę wierną sojuszowi z Wielką Brytanią i pyta: „co się obecnie stało z Winstonem Churchillem, z tym herosem wolności, który uratował świat od barbarzyństwa w krytycznym 1940 roku... gdy Churchill przez uścisk ręki z Sikorskim ‘na śmierć i życie’ zawarł z nami przymierze?” I w końcu Zygmunt Nowakowski po raz setny naraził się odbiorcom *Polish Press Reports* w artykule „... Bogu Wszechmocnemu”, w którym stwierdza, że „nikt nie ma prawa zwolnić naszych żołnierzy z przysięgi Bogu, ani Mołotow, ani angielski i amerykański ambasador, ani uchwały jałtańskie... Sprawa zlikwidowania Polski nie jest tak łatwa, jakby się zdawać mogło krymskim optymistom. Nawet oni nie mają żadnego planu działania, nawet oni nie wiedzą, co począć z masą żołnierza, co z inwalidami, co z dziećmi polskimi, co z naszą całą tu robotą, co z rządem”.

Polish Press Report omawiający ten numer *Dziennika*, z tłumaczeniami najjadowitszych ustępów, spadł na biurko Christophera Warnera, szefa Północnego Departamentu (gdzie teraz należała Polska) i natchnął plan ukrócenia winowajców: „nie rozumiem dlaczego należy pozwalać polskiemu rządowi na napady na rząd JKM w ich oficjalnym organie... Uważam też, że powinniśmy zbadać sprawę ucięcia pieniędzy, które dajemy im na propagandę”²¹. W ślad za tym Miss Gatehouse, systematycznie śledząca *Polish Press Reports*,

21. FO 371/47632: N 2266.

wystąpiła z pomysłem wyświetlenia pozycji szczególnych grzeszników: dwu pism rządowych (*Dziennik i Polska Walcząca*) oraz trzech nieoficjalnych (*Myśl Polska*, katolicka *Sprawa* i organ PPS *Robotnik Polski*) otrzymujących papier *via M of I*. „Proponuję, że zanim podejmiemy interwencję [u rządu polskiego], powinniśmy dokładnie wyjaśnić w *M of I* jak wygląda sprawa polskiego budżetu na r. 1945, aby się dowiedzieć czy można zagrozić Polakom jego zredukowaniem”²².

Z kolei Orme Sargent zasugerował, że „*FO* powinno rozważyć wraz z *M of I* jak najlepiej zastosować plan drastycznego ucięcia wydatków rządu polskiego na propagandę oraz jego przydziału papieru, w sposób, który z jednej strony pozbawiłby go w dużym stopniu środków szerzenia nieznosnej propagandy na rzecz obecnego rządu, a z drugiej zadowoliłby słuszne potrzeby polskich sił zbrojnych”. Sprawę tę omówił 29 V z Bruce-Lockhartem, dyrektorem *Political Warfare Executive* (kierownictwo walki politycznej)²³.

Cofnięcie uznania było już kwestią bliskiej przyszłości. 21 VI Allen zanotował: „będzie, zdaje się, najsensowniej jeśli umożliwimy rządowi polskiemu egzystencję wypłacając raty miesięczne. W maju *Treasury* (ministerstwo skarbu) wypłacił mu £ 750.000 na pokrycie wydatków na bieżący miesiąc i może będzie musiał powtórzyć tę sumę – rzecz jasna nie możemy nic zrobić na dłuższą metę, aż dowiemy się o wyniku obecnych rozmów w Moskwie”²⁴, gdzie Mikołajczyk „rozmawiał” właśnie z warszawskimi dygnitarzami na tle procesu przywódców Polski Podziemnej.



26 IV zastępca dyrektora działu europejskiego w *M of I*, S.M. Herbert, zaproponował ucięcie budżetu Ministerstwa Informacji, jeśli polska prasa oficjalna będzie za wiele sobie pozwalać. Gdyby przy tym Polacy pytali co rząd JKM uznałby za „znaczną poprawę”, należy im wyjaśnić że

22. FO 371/47632: N 3298.

23. FO 371/47794: N 6597.

24. FO 371/47700: N 7158.

oznaczałoby to zaprzestanie krytyki rządu JKM, całkowite zaprzestanie napadów na ZSSR, „jego sprawy wewnętrzne, jego stosunki z sąsiednimi państwami i metody prowadzenia wojny”, oraz zamieszczanie „obiektywnego i nie-politycznego materiału” o Polsce jak doniesienia stamtąd angielskich i amerykańskich korespondentów²⁵.

Eden od dawna przemyślał o drastycznym zmniejszeniu przydziału papieru dla rządu polskiego, choć uważał, że tak długo jak jest uznawany należy mu pozwolić wydawać swe gazety, ale trzeba przetrzebić prasę nieoficjalną, z *Myślą Polską* na czele²⁶.

5 VII sprzymierzeńcy cofnęli uznanie, a 16-go odbyła się narada przedstawicieli *FO*, *M of I* i *Ministry of Supply* w sprawie gazet dotychczas finansowanych przez władze polskie, które zaczęły wychodzić przed 16 VIII 1940: *Dziennik Polski* i *Polska Walcząca*. *Ministry of Supply* sprzeciwiło się odebraniu im papieru, do którego miały prawo. Należało więc znaleźć inny sposób zahamowania „potoku antywarszawskiej i antysowieckiej propagandy w polskich gazetach w naszym kraju”. Na razie skończyło się na ogólnikowym ostrzeżeniu Raczyńskiego przez Wernera, że „byłoby lepiej, gdybyśmy załatwili te sprawy polubownie raczej niż przy pomocy nieprzyjemnie drastycznych posunięć”²⁷. Polską masę upadłościową przejął teraz *Interim Treasury Committee for Polish Affairs* (komisja dla spraw polskich ministerstwa skarbu), która utrzymywała kontakt z amb. Raczyńskim jako nieoficjalnym przedstawicielem „londyńskich Polaków”.

Łatwiej przyszło rozprawić się z pismami nieurzędowymi, których dodatkowo nie chroniła magiczna data 16 VIII 1940. Przed końcem lipca *M of I* zawiadomiło je, że składa wniosek do *Ministry of Supply* o cofnięcie im licencji udzielonej za poparciem ówczesnego rządu polskiego, która teraz automatycznie upada z cofnięciem mu uznania²⁸. Była wśród nich *Myśl Polska*, *Sprawa* i *Robotnik Polski*.

25. FO 371/47633: N 4749.

26. FO 371/47794: N 6597.

27. FO 371/47634: N 8318; FO 371/47636: N 12598.

28. FO 371/47635: N 10682, *Myśl Polska*, nr 95, 25 VII 1945.

Na tak przetrzebionej scenie został *Dziennik i Polska Walcząca*. Daremnie gospodarze spodziewali się, że nowe reżymowe czasopisma odbiorą im czytelników, choć z drugiej strony nie kwapili się z zezwoleniem na wydawanie ich w Anglii. W sierpniu reżymowy *attaché* prasowy Katz Suchy zwrócił się do *M of I* o licencję na wydawanie dziennika i tygodnika, które – jak się spodziewał – ograniczą poczytność *Dziennika*. Choć propozycja była kusząca, bo pozwoliłoby to na ucięcie *Dziennikowi* papieru, *M of I* uzależniło swą zgodę od zgody ambasady reżymowej na rozpowszechnianie wśród dipisów polskich w Niemczech przez władze angielskie mikołajczykowskiego *Jutra Polski*²⁹. Daremnie Katz Suchy skarżył się, że *Dziennik* spotwarza rząd warszawski, „a szczególnie niektórych jego przedstawicieli tu akredytowanych”, gdy im odmawia się możliwości obrony i „choć złożyli już kilka podań, to nie dostali ani jednej kartki papieru na swoje gazety”³⁰. Ale wkrótce sprawa ruszyła z miejsca, angielski ambasador w Warszawie zdobył obietnicę przydziału papieru na druk angielskiego czasopisma w Polsce³¹, w ślad za czym *M of I* uruchomiło reżymową gazetę w Londynie. Był to *Kurier Polski*, którego pierwszy numer ukazał się 27 IX i miał zaćmić *Dziennik*. *M of I* i *FO* postanowiły, że po wstępnym okresie dostosuje się nakłady obu pism tak, żeby razem wzięte nie przekroczyły poprzedniego maksymalnego zużycia papieru przez *Dziennik*, ale już w listopadzie był on górą i drukował 24.000 egz. dziennie, a *Kurier* ukazywał się 2 razy na tydzień w 10.000 egzemplarzy³².



Osobnym zagadnieniem była polska prasa wojskowa ciesząca się poparciem *Service Departments*, która na razie uszła z pogromu, bo politycznie nie podpadała i *FO* wraz z *War Office* uznały, że wobec braku zainteresowania nimi reżymu warszawskiego powinny wychodzić nadal aż ilość

29. FO 371/47635: N 11023.

30. FO 371/47636: N 12598.

31. FO 371/47729: N12603.

32. FO 371/47637: N 16981.

odbiorców wydatnie się zmniejszy wskutek repatriacji³³. Inaczej było z *Polską Walczącą*, która od czasu do czasu budziła dezaprobatę; Katz Suchy z kolegą, *attaché* wojskowym Węgrowskim, daremnie wznawiali protesty w *M of I* i *War Office* żądając jej likwidacji. *FO* również chętnie by ją powitało, ale chroniła ją data 16 VII 1940. Pismo utrzymywało się z bliżej nieokreślonych polskich funduszków wojskowych i w listopadzie opiekę nad nim przejął sześciuosobowy *Fighting Poland Trust* (rada powiernicza Polski Walczącej) pod przewodnictwem Jana Balińskiego Jundziłła. Wśród jej członków był Richard Groves, redaktor *West London Chronicle*, który występował jako mówca na zebraniach publicznych urządzanych przez organizację *British Friends of Poland* i propagował sprawę polską na łamach swej gazety. W ten sposób *Polska Walcząca* przetrwała krytyczny okres, a nawet w maju 1946 zaczęła wydawać miesięcznik *Przed Świtem* i jedyne co *War Office* (z natchnienia *FO*) mogło zrobić było wydanie, latem 1946, zakazu rozprowadzania jej oficjalnymi kanałami w polskich obozach wojskowych³⁴.



Na tym cmentarzysku prasy polskiej coraz większą rolę odgrywał *Dziennik Polski* i *Dziennik Żołnierza*. Bacznie śledzony przez *Polish Press Reports*, poruszał tematy „niewłaściwe” i dalekie od obiektywizmu anglosaskich korespondentów w Polsce. *FO* chętnie by go przykróciło, gdyby nie chroniła go data założenia składających się nań dwu gazet. Tymczasem *Dziennik* znalazł niespodziewanego opiekuna: pod koniec wojny wojsko polskie na Zachodzie szybko rozbudowywało się przez napływ rekrutów z Niemiec i *War Office* zaczęło upominać się o zwiększenie nakładu *Dziennika*. Pod koniec marca *M of I* zgodziło się wreszcie na dodatkowe 5.000 egzemplarzy, co podniosło nakład do 28.000, i ten dodatek był przeznaczony wyłącznie dla PSZ, których stan – wedle szacunku *War Office* – wzrósł o 80.000³⁵.

33. FO 371/47636: N 13256.

34. FO 371/56706: N 15365.

35. FO 371/47700: N 4462.

Jednocześnie *FO* śledziło z niesmakiem jak *Dziennik* „robi się coraz wymowniejszy w swej opozycji nie tylko wobec Związku Sowieckiego, ale i polityki rządu JKM wobec Polski”³⁶. Liczono jednak, że kłopoty z prasą polską da się wreszcie załatwić z cofnięciem uznania rządowi, w związku z czym *Dziennik* straci swój oficjalny charakter i nawet jeśli będzie nadal wychodził, to jako pismo prywatne. Rachuby jednak zawiodły, gdy 25 VI rząd polski powołał *Trust Dziennika Polskiego* (Stanisław Baliński, Antoni Bogusławski, Jan Czarnocki, Zygmunt Nagórski i ks. Władysław Staniszewski) i wyposażył go sumą £ 15.500. W ten sposób *Dziennik* znalazł się poza polską masą upadłościową przejętą przez *Interim Treasury Committee*. Nadzieje że przykróci go cenzura również zawiodły, gdy 3 VII urząd cenzury przy *M of I* zawiadomił Lovella, w związku z *Dziennikiem*, że „cenzura prasy nie może interweniować w sprawie kontroli politycznej nad polską prasą wydawaną w naszym kraju. Jeśli chodzi o prasę krajową, to – jak Pan wie – cenzura jest całkowicie dobrowolna... a więc jesteśmy zmuszeni formalnie odrzucić wszelkie plany wedle których polskie gazety miałyby automatycznie podlegać cenzurze w zamian za przydział papieru albo my mielibyśmy zostać z urzędu stałym informatorem *FO* lub działu zagranicznego naszego ministerstwa o stronie politycznej przedkładanych nam materiałów”³⁷. Nadal więc nie było wiadomo jak spełnić życzenia „wyższej władzy tutaj [w *FO*], która uważa za rzecz ogromnie ważną politycznie, żebyśmy zrobili wszystko co możliwe, żeby nie używano naszego kraju jako bazy niepożądanego polskiej emigracyjnej propagandy. Coś do czytania jest oczywiście potrzebne tutejszym Polakom, ale teraz jeszcze bardziej niż dotychczas musimy się upewnić, że nasza gościna nie będzie nadużywana, a szczególnie nie należy dopuścić do wysłania ze Zjednoczonego Królestwa wrogiej propagandy za granicę”³⁸.

I tu z pomocą *FO* przyszedł sam *Dziennik*, który widocznie zrozumiał, że w nowej sytuacji ugodowość jest warunkiem

36. FO 371/47633: N 5357.

37. FO 371/47634: N 8318.

38. tamże.

przetrawiania. 26 VII Raczyński powiadomił *FO*, że jego redaktor „pragnie pouczenia ile może sobie pozwolić bez narażania się rządowi JKM”³⁹. Christopher Warner zaproponował Franka Savery’ego (konsula generalnego w Drugiej Rzeczypospolitej, obecnie rzeczoznawcy spraw polskich) na doradcę *Dziennika* i wyjaśnił mu, że „musimy wymagać żeby w *Dzienniku* nie było napadów na rząd warszawski, postanowienia jałtańskie i rząd sowiecki – pośrednich i bezpośrednich, autorstwa własnego lub cytowanych z innych źródeł, o ile ma nadal dostawać dodatkowy papier”. Savery czytał więc każdy numer i zwracał uwagę *FORD* na niepożądany materiał, który należy przetłumaczyć lub streścić w *Polish Press Reports* i dostarczyć Warnerowi⁴⁰. Czasem też sam karciał redaktora Jana Czarnockiego, jak np. za nr 198 z 22 VIII, w którym nie znajdował „żadnych wiadomości, które można uznać za przychylne rządowi warszawskiemu” [*sic!*]⁴¹. Na ogół jednak był zadowolony z pupila.

Z ustanowieniem reżymowej ambasady *Dziennik* stał się solą w jej oku. 20 IX Katz Suchy zażądał od Lovella żeby usunąć z jego tytułu *Dziennik Żołnierza*, bo jest pismem prywatnym nie mającym nic wspólnego z wojskiem, a przy tym jest wrogo ustosunkowany do prawowitego rządu⁴². Ale trafił na zły czas, gdy *FO* i *M of I* były właśnie poirytowane trudnościami z uruchomieniem angielskiego czasopisma w Polsce i potraktowały to żądanie per noga. Jak stwierdziła Miss Gatehouse, gdyby władze angielskie wymogły zmianę w tytule, to tym samym „uznałyby swą odpowiedzialność za tę gazetę, której nie ponosimy i nie wolno dopuścić żeby polska ambasada twierdziła że ją mamy”⁴³.

Dziennik jeszcze wierzał od czasu do czasu i w grudniu Allen zanotował, że „w ostatnich miesiącach *Dziennik Polski* coraz bardziej cierpko pisze o obecnych porządkach w Polsce i o sowieckiej polityce zagranicznej... Bardzo chcielibyśmy poprawy poziomu i poczytności pisma Mikołajczyka *Jutro*

39. FO 371/47634: N 9330.

40. FO 371/47635: N 10495.

41. FO 371/47635: N 10918.

42. FO 371/47636 N 13256.

43. tamże.

Polski”, bo Savery i nawet Romer twierdzą, że zapotrzebowanie na pismo tak nudne i nijakie jest znikome⁴⁴.

Tygodnik *Jutro Polski*, redagowany w tym okresie przez Stanisława Młodożeńca, był faworytem Anglików, choć oczywiście nie dawał żadnej nadziei, że zdoła zaćmić krnąbrną prasę. Przed upadkiem Mikołajczyka Retinger załatwił dla niego papier bezpośrednio w *M of I*, bo Ministerstwo Informacji i Dokumentacji odmówiło mu swego poparcia. Wznowione pismo miało kłopoty z dystrybucją i coraz bardziej szukało pomocy Anglików. W kwietniu zaufany Mikołajczyka, Witold Kulerski, żalił się Allenowi, że choć *Jutro* ma dużo czytelników na Bliskim Wschodzie, w 2 Korpusie i wśród Polaków we Francji, to jedynym sposobem dostawy jest opieszła poczta, gdy tymczasem rząd polski wysyła tam bardzo szybko tendencyjne gazety wydawane pod swą egidą. Allen uznał, że „jest w naszym interesie dać Polakom dostęp do bardziej rozsądnych poglądów, które reprezentuje p. Mikołajczyk”⁴⁶. Zwłaszcza że otwierało się nowe wielkie pole do ich szerzenia wśród Polaków w Niemczech. Władze polskie w Londynie planowały wysyłkę swej prasy do Niemiec, co oczywiście nie mogło podobać się w FO: „to jest więcej niż możemy dozwolić. Ton *Dziennika Polskiego* jest ostro antysowiecki, obliczony na urobienie jego czytelników na ten gatunek Polaków, którzy nigdy nie wrócą do Polski, chyba że wywalczyliby sobie drogę do niej”⁴⁷. Tu właśnie *Jutro Polski* miało do odegrania ważną rolę. Wedle szacunku *War Office* z sierpnia, brytyjska i amerykańska zona w Niemczech potrzebowały po 50.000 egz. *Jutra*, a tymczasem w Anglii pismo szło kulawo, rozprowadzano tylko 3.000 egz. i groziła mu plajta, chyba że znajdzie £ 100 tygodniowo na kosztą bieżące. *War Office* uznało, że jego rozprowadzaniem w Niemczech zajmą się władze wojskowe, które będą je rozdawać za darmo⁴⁸. Załatwiono również jego przedrukowywanie w Niemczech na koszt *War Office* i władz okupacyjnych, z nadrukiem „wydawnictwo

44. FO 371/47637: N 16981.

45. FO 371/47632: N 45.

46. FO 371/47633: N 3832.

47. FO 371/47700: N 5696.

48. FO 371/47635: N 10267.

darmowe, z ramienia władz brytyjskich dla polskich obozów w Niemczech”, ale już w listopadzie zarzucono tę imprezę, bo czytelnicy nie dopisali i nie sposób było uzasadnić kosztów ponoszonych przez *Treasury*⁴⁹. Rok później, 17 X 1946, Adam Romer skarżył się Savery’emu na ciężką sytuację mikołajczykowców w Anglii: *Jutro plajtuje i londyński komitet Stronnictwa Ludowego z nim samym włącznie jest pozbawiony środków do życia, gdy stronnicy Arciszewskiego „mają dobrą pracę albo choć otrzymują od Treasury miesięczną zapomogę [£ 16], gdy my nie dostajemy nic. Dowodzi to, że to oni mieli rację, że rząd JKM tylko czeka z przywróceniem im uznania, gdy my, którzy byliśmy na tyle głupi żeby pójść za radą rządu JKM, musimy ponosić konsekwencje”*⁵⁰.

Tak oto smętnie wyglądał obraz zdziesiątkowanej prasy w Londynie pod koniec 1945 r. Czołowa rola przypadła *Dziennikowi*, czasem jeszcze narażającemu się *FO*, choć coraz bardziej ugodowemu. Wkrótce miał ulec nowej metamorfozie – tym razem jako swego rodzaju sprzymierzeniec gospodarzy przeciw zajadłe „antysowieckiej” prasie 2 Korpusu, który niedługo miał być sprowadzony do Anglii.

Hanna ŚWIDERSKA

49. FO 371/47724 N 16035; FO 371/47719: N 10777.

50. FO 371/56696: N 13528.

Z KOŁYMY DO ANDERSA

W lipcu 1942 blisko 200 b. więźniów oczekiwało w Magadanie na transport na „kontynent”, jak nazywano wszystko poza tą „dziwną planetą” Kołymą.

Wprawdzie sławetny dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSSR o „amnestii” obywateli polskich, „z wystarczających powodów” pozbawionych wolności, został wydany prawie rok przedtem, w dniu 12 sierpnia 1941 r. jego wprowadzenie w życie napotykało na trudności, wśród których pierwsze miejsce zajmował PLAN. A ten, wobec potrzeb wojny, należało nie tylko wykonać, lecz przekroczyć. Administracja łagrów nie śpieszyła się z powiadomieniem więźniów o amnestii, a jeśli już się o niej dowiedzieli, z wypuszczeniem ich na wolność, bo to oznaczało ubytek siły roboczej.

Mimo to już w listopadzie 1941 roku zwolniono około 200 Polaków, którzy w miesiąc później, dokładnie 28 grudnia odpłynęli statkiem z Magadanu. Szesnaście osób z tej grupy pozostało w Magadanie. Dołączyli do nich ci zwalniani następnie. Na dostępnej mi liście (192 nazwiska), zatytułowanej „Spis przebywających w baraku No 4”, mogłem przeczytać, że „w miarę przybywania ludzi” była ona uzupełniana, poczynając od „około ” 10 stycznia 1942. „Było 16 i obrany został starostą plut. Drobot”. Daty tego „przybywania” zaczęto wpisywać od pozycji 88: „Chilarski Władysław Stanisław 16 II 42”, kończą się zaś na „22 VI Grynczak Tadeusz Michał”. Autor *Książki o Kołymie* (Londyn 1950) Anatol Janowicz Krakowiecki przybył w dniu 20 III (poz. 172). Lista ta to luźnie skleiony arkusz o wymiarach 42x31 cm, a charakter ręcznego pisma wskazuje na co najmniej cztery osoby wpisujące odnośne dane, nie zawsze poprawnie. Zdarza się, że alfabet łaciński miesza się z cyrylicą, np. w zapisie Drobom zamiast Drobot.

Ów Drobot, Edward, syn Eliasza, rocznik 1908, plutonowy rezerwy – tyle o nim wiem z dostępnych mi dokumentów – sporządził analogiczną listę w języku rosyjskim, zatytułowaną „Kartoteka Polskich grażd.” (50 liniowanych kart

28x20 cm, w twardej okładce), zawierających dodatkowe dane: gdzie przebywa, gdzie pracuje, data i nr dokumentu (*udostowierenia*) oraz miejscowość, do której zwolniony ma zamiar udać się (przeważają Akmolińsk i Pietropawłowski). M.in. taki zapis: Jaszczyszyn Franciszek Janowicz, ur. 1900, przybył 30 III, dokument otrzymał 2 VI 42, szpital 2 IV, zmarł 25 IV. W tym samym zeszycie, łacińskim alfabetem, lista 34 osób zmarłych na Kołymie, przeważnie w szpitalach, lecz jest i zastrzelony: „Rudek 1914 z woj. Tarnop. 5 km Dreswa Piostra¹ sierpień 41”.

Na dalszych stronicach protokół „ogólnego zebrania Obywateli Polskich Magadana” z dnia 26 kwietnia 1942 r., na którym „została większością głosów 39 wybrana Komisja tzw. finansowa która będzie zawiadywała otrzymanymi od przedstawiciela R.P. w Władywostoku p. Załęskiego Macieja pieniędzmi w kwocie 2000 rb. (dwa tysiące rubli) w osobach: Czarnieckiego Józefa, Gutkowskiego Stanisława i Halucha Franciszka”.

Wpisy te, dokonane łacińskim i cyrylicznym alfabetem, odznaczają się starannym, prawie kaligraficznym charakterem, co świadczy o gruntownym, co najmniej podstawowym wykształceniu Drobota, chyba początkowo w rosyjskiej, potem polskiej szkole. Znajomość rosyjskiego języka, tym uzasadniony jego wybór na „starostę” i związane z tym stanowiskiem kontakty z władzami obozu spowodują, że znajdzie się na liście podejrzanych o współpracę z organami NKWD. „Miał umożliwiony wgląd w tajne dokumenty obozowe, których część przywiózł ze sobą” – opowiedzą potem koledzy. Ponadto, argument nie do obalenia: „rzekomo w Polsce komunizował”. Nie ma dymu bez ognia, choćby te tajne dokumenty. Dnia 28 IV 42 wysyła do delegata we Władywostoku depeszę: „Kpt. Jaworski lotnik Juraczyński na Kołymie w ogóle nie byli w kartotece Uswit² nie prowadzeni kolegom nie znajomi”. A ta współpraca? Więc jest notatka – głupiec nie zniszczył jej, przywiózł ze sobą, by go obciążała – dyżurnego oficera NKWD Wadyżeńskiego (jeśli dobrze odczytałem podpis): „Proszę dziś zabrać ze sobą materiały dotyczące świeżo przybyłych ludzi i zająć do mnie”. Data 29.03.42. Spraw-

1. Poprawnie: Piostraja Dreswa.

2. *Uprawlenije Siewierno-Wostocznych Isrprawitielno-Trudowych Łagierej*, Zarząd Północno-Wschodnich Obozów Pracy Poprawcze.

dziłem w spisie: w dniach 27-29 marca przybyło 16 osób. I taka kompromitująca notatka 2 Oddziału USWITŁ NKWD z 17.4.42: „Markiewicz, takich wielu, Proszę, jeśli możliwe, podać imię, imię ojca, rok urodzenia”. Nie trudno się domyślić, że Markiewicza poszukiwał Władystok lub Kujbyszew.

Ze starannie prowadzonej ewidencji depesz wynika, że grupa polska miała pełną, choć należy założyć, że kontrolowaną, swobodę porozumienia zarówno z delegatem we Władystoku jak i ambasadą w Kujbyszewie. Do tej właśnie wysłano w dniu 31 marca 1942, z okazji świąt wielkanocnych, skierowane do „Premiera Sikorskiego, Rządu i Armii życzenia zwycięstwa nad zbrojczym faszyzmem. W imieniu grupy Polaków Drobot”. Niestety, nie dysponuję pierwotnym tekstem depeszy, bo ten przytoczony przeszedł był przez sito „korekty” Oddziału Politycznego USWITŁa. Następna, z 15 kwietnia, do Władystoku, nie podlegała chyba „korekcie”: „Stan Polaków 200, prawie wszyscy zdrowi. Za medykamenty dziękujemy. Czekamy niecierpliwie odjazdu. Niech żyje Ojczyzna”. To „prawie” to tak na wyrost; z kilku protokołów komisji lekarskich wynikałoby, że około 20 procent to chorzy w szpitalach lub podlegający ambulatoryjnemu leczeniu.

W tym czasie zarządzono, trudno to inaczej określić, swego rodzaju pożyczkę narodową na prezenty dla żołnierzy RKKA (Robotniczo-Włociańskiej Czerwonej Armii). Polacy w Magadanie też swój „wdowi grosz” dołożyli. W dniu 27 kwietnia NKWD USWITŁa przesłało redakcji *Sowietskaja Kołyma* taką wiadomość:

150 osób – obywateli Polskiej Rzeczypospolitej, przebywający w m. Magadan, wzięli również udział w zbiorce pieniędzy na podarunki dla walczących żołnierzy (bojczów) RKKA. Wszyscy, bez wyjątku, zdeklarowali się. Razem zebrano i przekazano 1.013 rubli.

Nie przypominam sobie, by od nas, żołnierzy Andersa, oczekiwano podobnych ofiar. Pamiętam tylko, że Anerchan, Uzbiczka, u której kwaterowałem, nie mogła przeboleć ostatniej jedwabnej kołdry, którą jej zabrano.

Podobnie *à contrecœur* wypadało naszym w Magadanie utoczyć hojny łyk, żeby to wina, sowieckiemu Jowiszowi z okazji 1 Maja. Na ręce Naczelnika Głównego Zarządu Budownictwa Dalekiego Wschodu Komisarza Bezpieczeństwa Państwowego III-ej Rangi, tow. Nikiszowa przekazali następujące posłanie:

Z okazji dnia 1 Maja my Polacy, obywatele Rzeczypospolitej Polskiej przebywający w m. Magadan, przekazujemy przez Was dla partii LENINA-STALINA życzenia szybkiego zwycięstwa nad zbrojeckim hitlerowskim faszyzmem.

Jako sojusznicy niepokonanej bohaterskiej Czerwonej Armii pod przywództwem Wielkiego wodza Narodów tow. STALINA wступujemy w krwawy bój do ostatecznego rozgromienia bestialskich hitlerowskich band.

Zyczenia te płyną z głębi serca w imię wolności słowiańskich narodów.

Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej

„Sojusznicy” nie musieli długo czekać, by się odwdzięczyć. Sam naczelnik USWITŁa ktp. Drabkin depeszował:

W dniu święta Konstytucji 3 Maja pozdrawiam Polaków przebywających w Magadan i życzę im szybkiego zwycięstwa nad faszyzmem. Równocześnie życzę Wam wesołego spędzenia tego świątecznego dnia.

Nie na tym koniec. Naczelnik obozu Michajłow zorganizował wyświetlanie filmu, nadto, po wspólnej kolacji, koncert artystów Magadanu, który zakończył się dopiero po północy.

Czy trzeba dodawać, że nie obeszło się bez „krótkiej akademii”, na którą złożyło się

- 1) Zagajenie uroczystości – starosta Drobot
- 2) Odczytanie gratulacyjnych depesz – Drobot
- 3) Wspólne odśpiewanie „Roty”
- 4) Referat – inż. Franciszek Haluch
- 5) Odczytanie wspólnie przyjętej rezolucji – Haluch
- 6) Krótkie przemówienie przedstawiciela grupy czeskiej – Lucier Pisarski
- 7) Śpiew chóralny – dyrygent Tadeusz Świgost
- 8) Deklamacja – Feliks Raszkowski.

Do druku w *Sowietskiej Kotymie* przekazano podziękowanie zredagowane nie bez retuszu naczelnika Politycznego Oddziału USWITŁa. Prócz „genialnego stratega (*polkowodca*) i wodza narodów tow. STALINA”, wymieniono tam miejscowe komitety partyjne i imiennie pół tuzina naczelników, nie omijając DRABINA. Artykuł kończył się czterokrotnym „Niech żyje” pod adresem Czerwonej Armii, wodza tow. STALINA, Polskiej Armii i jej dowódcy generała SIKORSKIEGO.

W nie pozbawionych patosu telegramach okolicznościowych do Kujbyszewa i Władywostoku „Polgrupa Magadan” złożyła przysięgę na wierność „Kochanej i drogiej Ojczyźnie” i wyraziła nadzieję świętowania 3 Maja 1943 w tejże „Kochanej Ojczyźnie, uwolnionej przez nas od okupantów”.

Nie brak też zrozumiałego w tamtych okolicznościach patosu w dokumencie ozdobnym w lewym rogu ręcznie wyrysowanym orzełkiem nad napisem Grupa Polaków i zatytułowanym ROZKAZ No 1. Uważam, że zasługuje na przytoczenie w całości.

Z dniem 11 b.m. 1942 r. Grupa nasza weszła jako jednostka rezerwy w stan Polskiej Armji z przydziałem pod rozkazy Wojenkomata Krasnoj Armji, na czas podróży do obozu wojennego rezerwy.

Grupa podzielona zostaje na 5 plutonów.

Dla utrzymania ładu i dyscypliny podczas podróży do miejsca wyznaczonego Naszym Dowództwem naznaczam:

- Pkt 1. Komendantem transportu kol. Drobota Edwarda D-cami plutonów: I kol. Raszkowskiego W. II kol. Żołnierczyka M. III kol. Bączkowskiego P. IV kol. Kuśmidera St. V kol. Kochouta J.
- Pkt 2. Pomoc sanitarną polecam zorganizować we własnym zakresie kol. Katryniakowi A i Pisarskiemu B. wraz z dobranym przez nich personelem sanitarnym. Kol. Koszutski obejmie dział dentystyczny.
- Pkt 3. Gospodarczym dla aprowizowania oddziałuznaczam kol. Gutkowskiego St., który zorganizuje personel kuchenny w osobach: kol. Dudka, Czelarskiego i Tomaszewskiego jako kucharzy – pomoc w kuchni i inne podam osobno.
- Pkt 4. Dla zademonstrowania na zewnątrz dyscypliny i spoistości proszę o wykonanie rozkazów D-ców plut. tak podczas przemarszu do portu, okrętowania jak i podczas podróży statkiem czy koleją.
- Pkt 5. Za porządek, utrzymanie wojskowej dyscypliny stan sanitarny podczas podróży czynię odpowiedzialnymi Komendanta i D-ców plutonów, którzy dopilnują, aby nie miały miejsca pijaństwo, kradzieże, bijatyki i gry hazardowe. W razie nie przestrzegania powyższego winni będą przekazywani bezwzględnie upęłnomocnio-

nym organom wojskowym, przydzielonym przez Wojenkomat do dalszego postępowania, co może pociągnąć przykre konsekwencje.

- Pkt 6. Dziś, kiedy Armię naszą walczącą chlubnie na kilku frontach podziwiał cały świat, Nam jako Jej rezerwie nie wolno przez nieodpowiednie zachowanie narazić na szwank, krwią i męstwem wywalzonego dobrego Jej imienia. Ścisłe podporządkowanie się komendantowi i d-com plutonów dla zachowania powagi i dyscypliny jest konieczne.
- Pkt 7. W razie niedomagań i niedopatrzeń ze strony przełożonych każdy ma prawo raportować o tem najbliższemu naszemu Przedstawicielowi Poselstwa albo na miejscu Komendantowi Obozu.
- Pkt 8. Rozkaz niniejszy nabiera mocy z dniem dzisiejszym.

Przedstawiciel Poselstwa R.P.
w Magadan (Plebanek) m.p.
podpis: JPlebanek

Magadan, dn. 15.6.1942 r.

Nie wiem czemu Józef Plebanek (ur. 6 VII 1907, sierżant rezerwy, b. osadnik wojskowy na Kresach) zawdzięcza awans na delegata Ambasady R.P. Jedyńm dokumentem, jakim dysponuję, jest depesza Załęskiego o mianowaniu go z dniem 22 maja 1942 „w *dołżnosti dowiernogo muża polposolstwa*”, czyli mężem zaufania. Później poskarży się³, że władze sowieckie nie respektowały go jako delegata, tłumacząc się brakiem odnośnych zarządzeń swoich władz centralnych. Na jego domagania się zwolnienia pozostających jeszcze w obozach Polaków, oświadczył mu kpt. Drabkin, że bez rozkazu Moskwy nikt nie zostanie zwolniony. Udało mu się natomiast wyjednać przywrócenie obywatelstwa polskiego dwóm więźniom, którym władze obozowe narzuciły sowieckie. Obaj dołączyli do transportu liczącej 171 osób „Grupy Polaków”.

Załadowanie na statek nastąpiło w dniach 7 i 8 lipca, trzy tygodnie od daty Rozkazu nr 1. Do Buchty Nachodka

3. Dowództwo 6 Dywizji Piechoty, Oddział II Sztabu, L.dz. 914/II tj./42, Szachriziabs, dnia 11 sierpnia 42 r. Transport z Magadanu – meldunek do Dowódcy Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR Szef Oddz. II Sztabu w Jangi-Jul.

przybyli 17 lipca, następnego dnia byli we Władywostoku, gdzie Plebanek zamierzał złożyć raport delegatowi Załęskiemu. Z tonu rozmowy telefonicznej wywnioskował, że ten został aresztowany, co połączył przyczynowo z „odwołaniem” ambasadora Kota z ZSSR⁴.

Przez cały czas podróży towarzyszyli grupie dwaj oficerowie sowieccy, jeden starszy lejtenant, drugi politruk, którzy w czasie podróży pociągiem zapewniali należyte zaprowiantowanie (na statku czynna była kuchnia polowa). Trasa wiodła przez Chiny (Charbin) i dalej: Czyta, Ułan-Ude, Irkutsk, Krasnojarsk, Barnauł, Semipałatyńsk, Samarkanda – Kitab⁵, dokąd przybyli 8 sierpnia 1942.

Nie wszyscy tu dojechali. Po drodze grupa stopniała do 141 osób. Niektórzy wysiedli samowolnie, a zdarzyło się, że około tuzinem niedoszłych rekrutów zaopiekowało się NKWD po jakiejś popijawie uwieńczonej bijatyką.

O tych smutnych zdarzeniach, jak też o innych, niekoniecznie wesołych, zdał dokładne sprawozdanie Plebanek i głównie, jeśli nie wyłącznie, jest ono podstawą raportu II Oddziału – por. odsyłacz nr 3. Przede wszystkim wyłania się pytanie, co robili zwolnieni Polacy w Magadanie od stycznia do lipca 1942, z czego żyli, jakie mieli obowiązki, przywileje?

Do chwili przybycia Plebanka do Magadanu, tj. do dnia 10 stycznia 1942 r. zebrani Polacy organizowali się pod przewodnictwem Drobota i nie byli zajęci pracą. Za poradą naczelnika politycznego oddziału „Uświt” proponowano wojskowe zajęcia, na co władze sow. wyraziły zgodę. Prowadzono „musztrę, terenoznawstwo, wykłady z artylerii, służby wewnętrznej, broni panc. itp.”. Zajęcia te prowadzili oficerowie i podoficerowie (Roszkowski, Drobot i inni) i trwały około 2-ch tygodni, po czym władze zażądały, by zwolnieni przystąpili do pracy, co też uczynili zmuszeni i brakiem środków do życia jak również szczupłością otrzymanych od władz polskich funduszków.

4. Załęski, obdarzony immunitetem dyplomatycznym jako I sekretarz Ambasady, został aresztowany w pierwszych dniach lipca 1942. Po interwencji ambasadora Stanisława Kota w dniu 8 lipca i nocy protestacyjnej z następnego dnia zwolniony, lecz musiał opuścić ZSSR. Kot nie został odwołany, lecz zrezygnował już w kwietniu, Kujbyszew opuścił 13 lipca 1942.

5. Około 60 km na południu od Samarkandy, współrzędne 39.08N 66.54E, miejsce postoju 16 pułku piechoty.

Zwolnieni wykonywali dość dobrze, jak na tamtejsze warunki płatne prace jako sanitariusze w szpitalach, kelnerzy w stołówkach, szoferzy itp.

Nie obeszło się bez podziału, wyjątkowo nie na kilka-
naście klik, lecz na dwa obozy:

Pierwszy tzw. „inteligencja” z kierownikiem Haluchem, drugi mieszany z wszystkich warstw – na czele z Drobotem i Katryniakiem. Obóz ten nazywał się „panowie złodzieje”. Plebanek podporządkował sobie obydwa te obozy i pozornie zataił istniejące między nimi różnice. Przyczyną takiego rozbicia były osobiste chęci jednostek zajmąca przodującego stanowiska w grupie Polaków odjeżdżających do Armii Polskiej.

Niezależnie od tych podziałów, „zapał do walki z Niemcami u tej grupy był niemal entuzjastyczny” – stwierdził Plebanek. Zostało to również podkreślone w meldunku II Oddziału.

Pod względem moralnym jest dużo elementu przestępczego (na podstawie informacji i przyznania się około 30%). Większość przybyłych to ludzie zdeprawowani naleciałościami obozowymi, skłonni do pochopnego donosicielstwa, podejrzliwi, ostrożni w wyrażaniu swoich zapatrywań, niektórzy karani w Polsce za przynależność do nielegalnych organizacji względnie za czynną działalność komunistyczną, z której – jak oświadczyło mi trzech takich badanych – obozy sowieckie całkowicie ich wyleczyły.

U wszystkich jednak przebija chęć walki z Niemcami, wykwitła z rasowej nienawiści do wszystkiego co niemieckie jak również spotęgowanej na skutek specjalnie przesiąkniętej nienawiścią do Niemców propagandy antygermańskiej, prowadzonej intensywnie przez władze obozowe sowieckie.

Na dowód znaczenia, jakie przypisują aktowi walki z Niemcami niech posłuży fakt, że nieprzyjęty przez Komisję Poborową spowodu przekroczenia wieku 81 letni rolnik z woj. Wołyńskiego Czarniecki Józef ze łzami w oczach skarżył się, że za największą karę uważa sobie fakt nieprzyjęcia go do wojska, że niczym jest obóz, który przeszedł od 1940 r. wobec odmowy przyjęcia do wojska, jakkolwiek został zarejestrowany na wyjazd do Iranu.

Oceniając ogólnie, stwierdzić należy, że jakkolwiek element przybyły jest zdeprawowany, to jednak po tylu przejściach nauczył się oceniać wartość Wolności, jednak wymaga nad sobą szczególnie pracy wychowawczej celem przywrócenia go jako zdrowego do społeczności żołnierskiej. Pomocą w tej pracy będzie samo otoczenie żołnierskie polskie oraz czuła opieka i uwaga poświęcana im ze strony dowódców.

Pro domo mea

Pół wieku temu opracowałem w II Korpusie ankietę „Złoto”, którą rozesełano wśród byłych Kołymiaków. Kilkadziesiąt odpowiedzi na nią wykorzystałem do opracowania, które ukazało się w formie obszernej broszury pt. *Kołyma. Gold and Forced Labor in the USSR*, wydawca Foundation for Foreign Affairs, Washington 1949.

Nie mogąc wtedy podać nazwisk autorów relacji, by ich rodzin nie narażać na szykany UB i KGB, oznaczyłem cytowane fragmenty ich opowiadań numerami dziennika podawczego Biura Dokumentów⁶.

Na liście grupy Polaków przybyłych w sierpniu 1942 do 6 dywizji piechoty znalazłem 11 nazwisk b. Kołymiaków, z których sprawozdań korzystałem. Wydaje mi się, że ujawniając ich nazwiska i te dane, jakimi rozporządzam, bodaj w ten sposób wyrażę moją wdzięczność za współpracę.

Bronisław Chroł, syn Jana, ur. 1916, przed wojną w kolonii Pszelnik (?), pow. Dżisna, woj. wileńskie, relacja nr 15877

Piotr Grabowski, syn Józefa, ur. 1917, przed wojną Komarno, ul. Szewska 7, pow. Rudki, woj. lwowskie, relacja nr 15883

Józef Głuszek, syn Michała, ur. 17 X 1910, rolnik, przed wojną pracował w piekarni „Alfa” we Lwowie, adres: Lwów, ul. Szewska 4 m. 4, relacja nr 15884

Jan Grzybowski, syn Stefana, ur. 8 XI 1906, przed wojną

6. Bliższe dane w: Kazimierz Zamorski, *Dwa tajne biura 2 Korpusu*, OPiM, Londyn 1990, rozdział „Kołyma”.

pracował w warsztatach samochodowych 5 pułku lotn. w Lidzie, relacja nr 15886

Dymitr Ilin (lub Iljin), syn Aleksandra, ur. 7 VIII 1915 w m. Kars (Turcja), przed wojną robotnik tartaczny, zam. Kostopol, ul. Piłsudskiego 260, relacja nr 15888

Jan Jarski, syn Jana, ur. 1902, st. sierżant, przed wojną we Lwowie, ul. Torosiewicza 12 m. 7, relacja nr 15892

Włodzimierz Ruszkowski, syn Aleksandra, ur. 2 II 1915, z zawodu urzędnik kolejowy, zam. Warszawa, Aleja Wojsk. 31 m. 42, relacja nr 15919

Jan Sawicki, syn Józefa, ur. 1 XII 1920, syn leśnika, zam. Kolonia Dobry, gmina Poddębce, pow. Łuck, relacja nr 15922

Kazimierz Schabowski, syn Jana, ur. 1898, ogniomistrz, z zawodu urzędnik, zam. osada Klesów, pow. Sarny, relacja nr 765

Józef Szurko, syn Ludwika, ur. 1907, zam. gmina Bakszty, pow. wołyński, woj. nowogrodzkie, relacja nr 15926. Analfabeta, relację opracował wg jego zeznań por. lekarz dr Stanisław Prus z 6 komp. sanitarnej.

Stanisław Tomaszewski, syn Wincentego, ur. 1909, przed wojną cieśla i stolarz (własny warsztat), Suwałki, ul. Kolejowa 30, relacja nr 15929.

Kazimierz ZAMORSKI

Z LITWY DO FINLANDII? POLACY W WOJNIE SOWIECKO-FIŃSKIEJ

Sowiecko-fińska „wojna zimowa” jest jednym z mniej znanych konfliktów II wojny światowej. Przez lata skrzętnie pomijano to zagadnienie, będące przykładem agresywnej polityki Związku Sowieckiego. Na jego marginalizację wpływ wywarł również fakt, iż wojna trwała stosunkowo krótko, a co więcej, rozgrywała się na peryferiach Europy¹. Konflikt sowiecko-fiński ma także swój polski epizod.

Powszechnie znane są plany użycia w ramach anglo-francuskiego korpusu interwencyjnego samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich dowodzonej przez płk Zygmunta Bohusz-Szyszko, natomiast zagadnieniem mało znanym jest zamysł gen. Sikorskiego użycia w ekspedycji finlandzkiej żołnierzy polskich, znajdujących się w obozach internowania na Litwie.

Wieczorem 18 września 1939 r. nad granicą polsko-litewską zaczęły się gromadzić pierwsze grupy uchodźców cywilnych, wojskowych i policjantów wycofujące się pod naporem Armii Czerwonej. Następnego dnia rano litewska straż graniczna przepuściła ich przez granicę. Żołnierze i policjanci, zgodnie z zasadami Konwencji Haskiej z 1907 r. i Konwencji Genewskiej z 1927 r., po złożeniu broni zostali internowani na terenie Litwy, jako państwa neutralnego. Dokładna liczba internowanych jest trudna do ustalenia (część z nich została zwolniona, inni uciekali, wciąż napływały też nowe osoby). Według danych Litewskiego Czerwonego Krzyża w połowie października 1939 r. na Litwie znajdowało się około 14 tys. internowanych żołnierzy polskich².

Rozlokowanie i utrzymanie tyłu nieoczekiwanie przy-

1. O wojnie sowiecko-fińskiej zob. m.in.: M. Zgórniak, *Wojna zimowa 1939-1940* oraz A. Kastory, *Radziecka polityka wobec Finlandii (październik 1939-marzec 1940)*, w: *Bałtowie. Przeszłość i teraźniejszość*; pod red. A. Kastorego i A. Essena, Kraków 1993.

2. P. Łossowski, *Litwa a sprawy polskie 1939-1940*, Warszawa 1985, s. 45.

byłych osób było poważnym problemem dla niewielkiej Litwy. Zostali oni umieszczeni w wielu miejscowościach letniskowych, gdzie o tej porze roku było sporo wolnych miejsc oraz w szkołach i w pustych koszarach. Obozy internowania znajdowały się w Birsztanach, Kalwarii, Kołotowie, Kownie (fort 5 i 6), Kruszanach, Olicie, Połędzie, Rakiszkach i Wilkomierzu³.

Pojawiły się też trudności związane z brakiem odpowiednich pomieszczeń; ich ogrzaniem i oświetleniem oraz wyżywieniem, leczeniem i ubraniem internowanych (brakowało zwłaszcza ciepłego obuwia, bielizny, płaszczy). Przejścia wojenne, odizolowanie, brak wiadomości od rodzin powodowały, że internowani byli często rozgoryczeni.

Mimo wspomnianych uciążliwości, ustosunkowanie się władz litewskich do internowanych, zwłaszcza na początku, było dość liberalne. Spowodowane było to tym, iż najchętniej widziano by Polaków poza Litwą. Stąd przymykanie oczu przez nadzorujących obozy na ucieczki. Dopiero gdy stały się one zbyt widoczne na zewnątrz, na skutek interwencji niemieckich i sowieckich, zaostrzono reżym obozowy. Mimo różnorakich trudności (wzmocnienie dyscypliny w obozach, kłopoty z wydostaniem się z Litwy – wizy, czy brak gotówki na zakup biletu choćby do Sztokholmu) liczba internowanych na Litwie żołnierzy polskich stale się jednak zmniejszała. Część internowanych dobrowolnie wyjechała na teren okupacji sowieckiej (według danych litewskich, osób takich było 1706⁴).

W końcu grudnia 1939 r. na terenie Litwy miało być internowanych około 1,5 tys. oficerów i 7 tys. szeregowych żołnierzy polskich. Ponadto w Wilnie i okolicy znajdowało się dalsze 1,5 tys. oficerów i 7-8 tys. szeregowych nie internowanych⁵.

Jednym ze sposobów rozwiązania problemu internowanych na Litwie żołnierzy polskich był zamysł skierowania ich w związku z wojną sowiecko-fińską do Finlandii. 9 stycznia 1940 r., na posiedzeniu Rady Ministrów RP, premier Wła-

3. Szerzej o internowanych: *tamże*, s. 36-54.

4. Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. Gen. Sikorskiego, Prezydium Rady Ministrów K-94, E. Czapski, *Uwagi o położeniu na Litwie i Wileńszczyźnie w ostatnim kwartale 1939 r. Sprawy dotyczące internowanych i opieki społecznej*.

5. *Tamże*.

dysław Sikorski oświadczył w związku z tym, iż władzom francuskim: „Zakomunikowano (...), że Rząd Polski mógłby na cele ekspedycyjnego oddziału do Finlandii pozostawić do dyspozycji wojskowych, internowanych na Litwie, których jest około 10.000⁶”.

Pomysł był mało realny choćby i z tego względu, że trudno było oczekiwać, aby władze litewskie zgodziły się na wyjazd internowanych żołnierzy polskich, którzy mieliby być następnie skierowani przeciwko Armii Czerwonej. Trafna skądinąd była konstatacja członka rządu gen. Kazimierza Sosnkowskiego, że wysyłanie do Finlandii żołnierzy internowanych na Litwie przyczyniłoby się do rozładowania obozów⁷. Jednak i on nie wziął pod uwagę nierealności tego postulatu w ówczesnej sytuacji politycznej.

Na kolejnym posiedzeniu Rady Ministrów RP, 24 stycznia 1940 r., „za ekspedycją finlandzką” opowiedzieli się minister spraw zagranicznych August Zaleski, wicepremier prof. Stanisław Stroński i gen. Sosnkowski, który ponadto „prosi jednak nie zaniechać myśli formowania oddziałów na Litwie i Łotwie” (!) W odpowiedzi premier rządu i naczelny wódz, gen. Sikorski, stwierdził, że propozycja wysłania żołnierzy internowanych na Litwie w ramach korpusu ekspedycyjnego do Finlandii stała się wobec coraz większych trudności ze strony Litwy i Łotwy nieaktualna. Ponadto – jak dodał – „nasz ludzki materiał znajdujący się w tych krajach nie wydaje się stać na wysokości⁸”.

Kresu dobiegała też wojna sowiecko-fińska. Internowani żołnierze polscy pozostali więc na Litwie. Wiosną 1940 r. w obozach internowanych pozostawało jeszcze 5,7 tys. żołnierzy polskich (w tym ponad 1 tys. oficerów)⁹, a w lipcu tego roku, bezpośrednio przed wywiezieniem do Związku Sowieckiego około 5 tys.¹⁰.

6. Protokoły z posiedzeń Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej, T. 1 październik 1939–czerwiec 1940, opracował W. Rojek przy współpracy A. Sucheitz, Kraków 1994, s. 153 (oryginały protokołów posiedzeń RM RP zob.: A IPMS, PRM K-102).

7. A IPMS, PRM K-79, Protokół posiedzenia Komitetu Ministrów dla Spraw Kraju z 18 I 1940.

8. Protokoły z posiedzeń Rady Ministrów..., s. 188-190.

9. Zakład Historii Ruchu Ludowego, Archiwum S. Kota 92, k. 34, Sprawozdanie prof. Żółkowskiego z Kowna z dnia 1 kwietnia 1940.

10. Raport ppłk. N. Sulika z 28 VIII 1940, w: *Armia Krajowa w dokumentach, 1939-1945*, T. 1, Londyn 1970, s. 281.

W okresie okupacji sowieckiej internowani na Litwie żołnierze polscy zostali wywiezieni do obozów w Kozielsku i Juchnowie. W rok później, po podpisaniu umowy Sikorski-Majski, zasilili oni kadry dowodzonej przez gen. Władysława Andersa Armii Polskiej w ZSSR¹¹.

Krzysztof TARKA

Józef LEWANDOWSKI

LIST DO REDAKCJI

Lektura *Zeszytów Historycznych* (1993, 106) wywołuje kilka refleksji. Pan Z.S. Siemaszko, recenzując książkę „Nie zdążyli do Andersa”, pisze, że „w listopadzie 1941 r. władze sowieckie oświadczyły, iż obywatele polscy innych narodowości niż polska nie mają prawa wstępować do wojska polskiego. Zasadę tę ze szczególną dokładnością stosowały władze sowieckie wobec polskich Żydów”. Jest to piękne, niestety – nie całkiem prawdziwe. Mimo sowieckiego nadzoru istniała swoboda wcielania lub odrzucania kandydatów do wojowania pod polskim sztandarem. W II Korpusie znalazła się jakaś ilość Żydów, ich nazwiska pojawiają się to z racji dezercji z II Korpusu w Palestynie, czy przeciwnie, z racji żydowskich mogił na Monte Cassino. „Szczególnej dokładności” nie było.

Pan Siemaszko dotknął sprawy dla mnie bolesnej, osobistej. Mój ojciec i ja chcieliśmy służyć w II Korpusie. W lutym 1942 r. zostaliśmy skierowani do polskiego wojska przez *rajwojenkomat*. Sowieckie veto więc nie stało na przeszkodzie. Stanęliśmy przed komisją w Kermine. Ja również w Buzułuku i w Jangi Jul. Otrzymaliśmy kategorię E, uznano

11. Z.S. Siemaszko, *W sowieckim osaczeniu 1939-1943*, Londyn 1991, s. 45.

nas za „niezdatnych do służby wojskowej”. Sąd może uzasadniony, ale inni kandydaci byli w równie podłym stanie zdrowia. Nie byli jednak Żydami. Odrzuconych ochotników były tysiące.

Można znaleźć dużo uzasadnień dla takiego postępowania. A to obawiano się infiltracji, a to Żydzi są kiepskimi wojskowymi (co jest kiepską racjonalizacją). Czy przyczyną był antysemityzm, czy chętność, bezmyślność? Pisał o tym zresztą Józef Czapski, niestety, w tonacji zbyt lirycznej.

No cóż, odrzucenie naszej polskości miało smutne następstwa, w miarę łagodne stwierdzenie. Ojciec i matka zmarli z głodu w Uzbekistanie. A ja... wstąpiłem do LWP i później budowałem Polskę Ludową. Z urazem.

Po latach komiczny epilog tragedii. Latem 1967 r. przeczytawszy jakąś moją rozprawę i dowiedziawszy się o mnie od prof. Mariana Serejskiego napisał do mnie gen. Boruta-Spiechowicz list pełen komplementów. Przypuszczał, że byłem jego szefem sztabu w Kermine. Odpisałem, że chciałem być u niego szeregowcem, ale nie było mi dane. Boruta nie odpowiedział, a Serejski, sam Żyd, był zdruzgotany. „Przecież znam Borutę od ponad pół wieku, niech mi Pan wierzy, to niemożliwe! Co pan mówi! On pepeesowiec!” Myślę, że Serejski miał rację nie tylko w stosunku do Spiechowicza.

Po latach skłonny jestem widzieć moją przygodę w innym kontekście. Wszystkie armie były do czasu przesiąknięte antysemityzmem. Sprawa Dreyfusa we Francji to nie tylko wynik matactw ale i oburzenia, że Żyd został oficerem dyplomowanym. Z wojskowością Węgier, Rumunii, Słowacji, nawet Czechosłowacji nierozdzielnie związany jest antysemityzm. O Niemczech i Rosji lepiej nie wspominać. Tuż po II wojnie w konflikcie Izrael-Arabowie wojskowi angielscy brali stronę ostatnich. Wedle Miłosza – oficerowie II Korpusu – też.

Później nastąpiła zmiana paradygmatów. Nie męczeństwo żydowskie ją spowodowało, ale sprawność Hagany, później armii izraelskiej. Trzeba było zmienić uzasadnienia. Ukształtowała się wersja, nagminna w polskiej historiografii a powtórzona przez Siemaszkę, że wszystkiemu winien Związek Sowiecki. Wersja w dużej mierze uzasadniona, ale nade wszystko wygodna. Nie prostowałem, jak długo Polską rządziła PZPR, nie uważałem za właściwe i na czasie. Nie widzę sensu dalszego milczenia.

I jeszcze jedna niezbędna poprawka. Pobór do armii

Berlinga wcale nie obejmował Żydów, chciano mieć polską wizytówkę. Dlatego do wojska tego też nie byłem powołany, wstąpiłem ochotniczo. Wtedy to właśnie musiałem przełamać opory władz sowieckich. Nie zapomnę, jak młody lejtnant, Rosjanin, w cywilu student, przekonywał mnie, bym do tego wojska nie szedł, *oni wiedzą żutkie antisemity!* Nie przekonał mnie.



Nie mam wielkiej ochoty podejmować innego wątku z tego samego numeru, ale jako autor nekrologu Tadeusza Manteuffla w *Kulturze* przed 23 laty czuję się do tego zobowiązany.

Posługując się cytatem z Witolda Kamienieckiego p. Siemaszko broni Marceliego Handelsmana przed jego uczniami. Píše Kamieniecki, a Siemaszko cytuje: „Powstaje ‘szkoła Handelsmana’ oparta na wyjątkowym przywiązaniu uczniów do profesora i na wyjątkowej opiece profesora nad uczniami (...) Niestety, gdyby żył, mało miałby dzisiaj z nimi wspólnego. Nie przynoszą ci uczniowie chluby swemu mistrzowi. Niemal wszystkich cechuje słabość charakteru, karierowiczostwo, dbałość o korzyści materialne”. Nie będę dalej cytował, bo myślę, że tej próbki starczy. Szczególnie dostało się wymienionemu z nazwiska prof. Tadeuszowi Manteufflowi.

Nie wiem, czy p. Siemaszko, który większość życia spędził na emigracji, zdaje sobie sprawę z tego, co w polskiej nauce stworzyli tak postponowani uczniowie Handelsmana. Ci uczniowie to wymieniony Tadeusz Manteuffel tudzież Stefan Kieniewicz, Marian Małowist, Aleksander Gieysztor, żeby wymienić postacie najbardziej zasłużone dla nauki i życia publicznego. Trudno przecenić zwłaszcza Tadeusza Manteuffla, już za życia postaci legendarnej. Człowiek o dużej pracowitości i konsekwencji działania, ochotnik w 1920 r., Tadeusz Manteuffel, wątpię, by w 1945 r. objął stanowisko dla kariery i korzyści. Myślę, by wpływać na kształt nauki. Nie należałem do jego bezpośrednich uczniów, tak jak zwykło się to traktować, nie uczęszczałem na jego seminarium, nie należałem do jego przyjaciół, byliśmy z innych generacji, należeliśmy do innych środowisk. A jednak częste rozmowy z nim w czasie ośmiolletniej współpracy miały dla mnie wielkie znaczenie i na pewno były przygotowaniem dla współpracy z Instytutem Literackim podjętej w 1969 r.

Wyżej piszę o ratowaniu nauki polskiej przed stalinizmem i sowietyzacją. Działanie to miało wiele płaszczyzn i obejmowało wiele działań. Wymagało również dyplomacji i ustępstw. Nie ma sensu, by dla jałowej polemiki inwentaryzować owe działania, jest jednak pewne, że wpływ intelektualny i moralny Manteuffla był i nadal jest o wiele szerszy niż krąg jego bezpośrednich uczniów, a osiągnięcia ważniejsze niż kompromisy.

Znałem Kamienieckiego i chcę być dlań sprawiedliwy. Czynny w Sejmie Ustawodawczym, zasłużony dla polityki federacyjnej, której był gorącym rzecznikiem, Witold Kamieniecki, po wycofaniu się z polityki nie potrafił znaleźć się w roli naukowca, również przed wojną. Po wojnie koniec, końców nikt go nie prześladował, z uniwersytetu nie usuwał, a po 1956 r. mógł wrócić do wykładania. Nie zrobił tego. Zdaje się, że po prostu nie rozumiał nowych prądów w nauce.

To, że Kamieniecki co miesiąc mógł pokwitować pobory, to w dużej mierze zasługa Manteuffla. Był prorektorem UW i (wspólnie z Rafałem Gerberem) walczył o zapewnienie egzystencji ostracyzowanym naukowcom, lub z takich czy innych przyczyn nieczynnym. To dzięki takim działaniom nauka polska poniosła w miarę ograniczone tylko straty i mogła szybko otrząsnąć się ze szkód wyrządzonych przez sowietyzację. Jeśli więc Manteuffel zasłużył sobie na coś ze strony Kamienieckiego, to raczej na wdzięczność. Na wdzięczność społeczeństwa również.

Będę wdzięczny za opublikowanie niniejszego listu!

Skogas, środa, 29 grudnia 1993

Józef LEWANDOWSKI

STRZĘPY WSPOMNIENIĘĆ STUDENTA WYDZIAŁU MECHANICZNEGO PG

Gdańsk roku 1945 to miasto, którego śródmieście zostało śmiertelnie zniszczone przez mordercze działania wojenne i świadome poczynania zwycięzców; to miasto, którego mieszkańcy zostali rozproszeni przez dwa antagonistyczne totalitaryzmy.

Gdy tylko ucichła wojenna kanonada, życie z wolna zaczęło wracać na obrzeża powalonego Starego Gdańska, na rozległe, mało zniszczone przedmieścia. Jeszcze gruzy śródmieścia dymiły, a już z głębi kraju dotarła inicjatywna grupa, ażeby zorientować się w sytuacji byłej uczelni technicznej Wolnego Miasta Gdańska. Gmach główny politechniki był przepełniony rannymi, a wąski parterowy budynek po jego zachodniej stronie pełnił funkcję kostnicy.

Pod koniec długotrwałej ewakuacji wojskowego szpitala w głównym gmachu wybuchł pożar, który uszkodził sąsiedni gmach chemii. Ze zbiorów bibliotecznych pozostały tylko resztki. Pracownie naukowe i dydaktyczne zostały ogołoczone z wyposażenia; pokonani wycofując się wywozili je na zachód, a zwycięzcy dewastowali pozostałości. Do wyjątków należały laboratoria maszynowe i wytrzymałości materiałów.

Okaleczone i opustoszałe mury dawnej uczelni technicznej były stopniowo przejmowane i zabezpieczane przez Polaków, którzy zostali zmuszeni do ekspatriacji w wyniku przesunięcia granic; byli to przybysze zwłaszcza z Politechniki Lwowskiej oraz pewna liczba osób z Państwowej Szkoły Technicznej w Wilnie. Do Gdańska przybywali również pracownicy zdewastowanej Politechniki Warszawskiej, którzy w gruzach stolicy stracili wszystko.

Wśród grona osób rozpoczynających działalność Wydziału Mechanicznego było wyjątkowo dużo profesorów. Profesorowie ci kształcili się na przełomie XIX i XX wieku, gdy naród polski nie posiadał swej państwowości. Zdobywali wiedzę i umiejętności inżynierskie częstokroć poza granicami ziem polskich, a szczyt ich działalności zawodowej przypadł

na lata międzywojenne. Jako ludzie doświadczeni, lecz sterani przeżyciami II wojny światowej, podjęli trud powołania do życia Wydziału Mechanicznego polskiej uczelni technicznej Gdańska.

A oto niektórzy spośród pionierów Wydziału Mechanicznego PG.

Prof. Stanisław Turski, wychowanek i docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik pierwszej ekipy naukowców przybyłej do Gdańska, by oficjalnie obejmować w posiadanie i zabezpieczać pozostałości po nie istniejącej uczelni technicznej; wykładowca matematyki, który wkrótce został rektorem Politechniki Gdańskiej.

Prof. Wiktor Wiśniewski, po kilku latach pracy w Politechnice Lwowskiej oraz w przemyśle, zmobilizowany we wrześniu 39 r., bronił Warszawy, a następnie przez ponad 5 lat pobytu w obozie jenieckim prowadził intensywną działalność oświatową, pedagogiczną i naukową; tam powstała jego słynna praca, której nadano żartobliwy tytuł „Gorące lody”.

Prof. Karol Taylor wieloletni profesor Politechniki Warszawskiej.

Prof. Maksymilian Tytus Huber, osoba otoczona szczególnym szacunkiem; pomimo podeszłego wieku przyjął zaproszenie I rektora Stanisława Łukasiewicza, zawiezione osobiście przez prof. Turskiego do Zakopanego co w owych czasach było wręcz wyczynem.

Prof. Jarosław Naleszkiewicz następca prof. Hubera. Prof. Michał Broszko z Politechniki Warszawskiej. Prof. Adolf Polak, konstruktor silników spalinowych z Politechniki Lwowskiej. Technolodzy prof. Edward Tadeusz Geisler i prof. Marian Sienkowski. Prof. Mieczysław Dębicki reprezentujący techniki motoryzacyjne. Prof. Władysław Floriański o wszechstronnych zainteresowaniach. Prof. Arkadiusz Piekara, fizyk, posiadający przygotowanie pedagogiczne z elitarnego liceum w Rydzynie. Prof. Bronisław Czerwiński, znakomity wykładowca matematyki. Prof. Zbigniew Grabski, niepokorny ekonomista. Wraz z niektórymi profesorami przybyli do Gdańska niektórzy ich współpracownicy naukowcy, techniczni i administracyjni i studenci.

Na pewno należało wymienić więcej osób. Zainteresowanych tym tematem odsyłam do opracowań dotyczących historii Wydziału Mechanicznego PG.

Żaden inny wydział mechaniczny w kraju nie zgromadził w owych czasach tak wielkiej liczby autorytetów naukowych, znawców przemysłu i doświadczeń pedagogów. Po sześciu latach wojny odnajdywali się dawni współpracownicy, spotykali się ci, którzy jedynie o sobie słyszeli... W warunkach pionierskich, bo w sąsiedztwie zniszczeń wojennych i przy ogromnych niedoborach spraw bytowych, rozpoczynali pracę w której uczestniczyła stosunkowo nieliczna grupa bezpośrednich współpracowników naukowych, bowiem to następne pokolenie najdrastyczniej ucierpiało podczas wojny. Luki w tym zakresie wypełniali przede wszystkim uczniowie profesorów. Ci nieliczni niebawem awansowali i z tej racji dawny mistrz i uczeń razem zasiadali w tej samej radzie wydziału.

Za pośrednictwem najstarszych profesorów tradycje inżynierskie, wypracowane u schyłku XIX wieku, stanowiły głębę, na której rozkwitały młode talenty ówczesnych inżynierów Wydziału Mechanicznego PG. Różne mieli przeżycia, lecz jednakowy zapał do organizowania zajęć dydaktycznych dla kilku roczników, którym wojna uniemożliwiła normalną drogę rozwoju umysłowego.

Dziwni to byli studenci. Na wykładach spotykali się niedawni partyzanci z lasów kieleckich, uczestnicy niewolniczej pracy pod bombami aliantów w przemyśle niemieckim, żołnierze AK z Kresów Wschodnich, uczestnicy Powstania Warszawskiego, żołnierze Berlinga, nieliczni szczęściarze, którym udało się ująć z życiem z morderczej pracy w Donbasie, Polak z Gdańska wcielony do Wehrmachtu, który uciekł przez linię frontu do Amerykanów... i wielu innych o losach mniej spektakularnych, lecz o przeżyciach, które pozbawiły ich normalnej młodości.

Pochodziliśmy z różnych regionów Polski: Warszawa, Poznań, Śląsk, Wilno, Lwów, centralne dzielnice Polski, Pomorze... Naszą polszczyznę przenikały charakterystyczne cechy dzielnicowe i naleciałości z czasów wojny; inna składnia, odmienna melodia języka; wywoływało to zdumienie, żarty, a czasem pretensje. Kilka lat później, już po dyplomie współpracowałem na Politechnice z kolegą, który wojnę przetrwał pracując w niemieckich magazynach wyrobów przemysłowych. Mówił i pisał po polsku, ale myślał po niemiecku. Na podstawie niemieckiej literatury technicznej opracował wysoce atrakcyjny temat, ale... dziwny był to tekst. Skończyło się na tym, że tłumaczyłem to opracowanie z polskiego na polski.

Napracowałem się, ale i nauczyłem się wiele.

Liczni koledzy odzwyczajeni od intensywnej pracy umysłowej, nie mogli podołać wymaganiom. Część z nich pod koniec pierwszego roku przeniosła się do Szczecina, gdzie ze względu na niedobory zarówno kadry nauczającej jak i słuchaczy, studiowanie było łatwiejsze.

W domach akademickich trwały nie kończące się „nocne rodaków rozmowy” o przeżyciach wojennych i zaskakujących problemach współczesności. Była to dramatyczna choroba pokolenia, które zmagало się z własną przedwczesną dojrzałością; pokolenia, które wojna obarczyła zadaniami na ogół przekraczającymi jego odporność psychiczną. Ogrom zajęć na uczelni i pracy w domu skutecznie tłumił niepoahamowane emocje, wynikające z niemożności zrozumienia tego co działo się podczas wojny i po jej zakończeniu. Ze względu na wysoką temperaturę zmagania z własnymi trudnościami, nic dobrego z tych dyskusji nie wynikało. Znakomitą odtrutką był obowiązek społecznej pracy na rzecz Uczelni (porządkowanie) i na rzecz miasta (odgruzowywanie) oraz społeczna działalność w ramach Koła Mechaników i Bratniej Pomocy.

Już 25 sierpnia 1945 roku ukonstytuował się Zarząd „Bratniej Pomocy Studentów Politechniki Gdańskiej”. Prezesem został kol. Stanisław Szymański z Wydziału Budowy Okrętów, członek przedwojennego zarządu Bratniaka.

Samorząd studencki miał pełne ręce roboty i żadnego doświadczenia. Braki wszystkiego sprawiały, że praca Zarządu wymagała ciągłego ratowania sytuacji życiowej braci studenckiej, bo nikt nie grzeszył grosiwem, a dotacje nie starczały na wyżywienie, oświetlenie i ogrzewanie. Młodzież niedożywiona przez lata wojny studiowała w warunkach ubóstwa i bez widoków na rychłą poprawę swego losu. Należy z wdzięcznością wspomnieć Misję Kwaków, której przedstawiciel, zdając sobie sprawę z pokusy zawłaszczania dostarczanych dóbr materialnych, pilnował, by drogie okrucieństwa trafiały bezpośrednio w ręce studentów. Jako referent zdrowia Bratniej Pomocy brałem udział w dzieleniu i rozdawaniu takich skarbów jak mleko w proszku, kakao, czekolada oraz zawartości paczek UNNR-y tzn. powojenne nadwyżki magazynowe wyposażenia amerykańskich żołnierzy frontowych. Rozdałem dwie beczki proszku DDT na insekty oraz kilkadziesiąt skromnych wyprawek niemowlęcych, bo było szereg małżeństw studenckich.

Koło Mechaników z entuzjazmem przystąpiło do prze-

mowania niektórych agend jak np. współdziałanie z Komisją Wydawniczą Bratniaka w wydawaniu skryptów dla mechaników, uruchomienie banku informacji o miejscach letnich praktyk i rozdzielanie skierowań na te praktyki, uruchamianie kursów na samochodowe prawo jazdy („każdy mechanik kierowcą samochodu”), organizowanie zwiedzania ośrodków przemysłowych.

Zaledwie rozpoczęta samorządowa działalność studencka została z premedytacją zniszczona. Działacze w czerwonych krawatach rozpoczęli destrukcyjne działania. Organizacje studenckie miały być sterowane centralnie. Wprawdzie nieliczni, ale dostatecznie bezwzględni „aktywiści” skutecznie obezwładniali samorządy studenckie. Już na początku 1948 r. Zarząd Bratniaka spotkał się z wrogą presją psychiczną i arogancją. Niektórzy członkowie Zarządu rezygnowali z pracy bo szyskany uniemożliwiały im działalność. Jako tzw. „minister zdrowia”, koordynujący działalność właściwie charytatywną nie przewidywałem przeszkód, aż nagle przez zaskoczenie zostałem przy użyciu fizycznej przemocy wyrzucony z pomieszczenia Zarządu. Nazwa Bratnia Pomoc w niedługim czasie stała się hasłem bez pokrycia, a wreszcie znikła z życia akademickiego. Zarząd Koła Mechaników został publicznie zelżony i Koło Mechaników zlikwidowane; samorząd studentów Wydziału Mechanicznego przestał istnieć.

Z ogromnym nakładem trudu społecznego uruchomiony został pierwszy chór akademicki na Wybrzeżu Gdańskim. Zapoczątkowała go grupa medyków, ale w bardzo krótkim czasie na próbach gromadziło się już ok. 40-50 osób nie tylko z Akademii Medycznej, ale również z Politechniki Gdańskiej, Szkoły Laborantek Medycznych, Wyższej Szkoły Pedagogicznej oraz kilka osób ze szkół muzycznych. Duszą i sercem Międzyuczelnianego Mieszanego Chóru Akademickiego był dyrygent prof. Tadeusz Tylewski – Gdańszczanin, który przez wiele lat na terenie Wolnego Miasta Gdańska pielegnował chóry polonijne.

Chór ten stosunkowo długo stanowił enklawę samorządności. Władze łaskawie go tolerowały, bo uświetniał różne uroczystości zarówno repertuarem monumentalnym jak i twórczością klasyczną, ludową... Kurczowo trzymaliśmy się tradycyjnego stroju biało-czarnego, a zakusy zafundowania nam czerwonych krawatów były pomijane milczeniem.

W Chórze była liczna grupa mechaników (technologów)

z PG. Zespół z pierwszych lat swego istnienia był ogromnie zżyty.

W okresie Bożego Narodzenia grupa (nie Chór) występowała w kościołach śpiewając kolędy. Każdy z księży poczuwał się do obowiązku publicznego podziękowania chórowi akademickiemu, no i władze studenckie zaczęły zgrzytać zębami. Bezpośrednio przed pierwszym wyjazdem za granicę (Festiwal Młodzieży w Pradze) kilkanaście osób nie znalazło się na liście, a Zarząd Chóru został komisarycznie uzupełniony o działaczy. Tam w Pradze zaprzyjaźnił się z chórem Stanisław Sołdek – przemiły, skromny i kulturalny traser, którego władze (wbrew jego protestom) zaczęły windować na piedestał budowniczego socjalizmu.

Chór miał doskonałą prasę i zaczął zbierać nagrody, więc chętnych nie brakowało. Wkrótce Politechnika zorganizowała własny chór, więc Międzyuczelniany zmienił nazwę, został przy Akademii Medycznej. Pragnę podkreślić, że była to pierwsza i chyba jedyna samorządowa międzyuczelniana organizacja akademicka w Gdańsku.

Wacław DZIEWULSKI

LISTY DO REDAKCJI

9 I 1996 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do recenzji o pracy opisującej walki 1920 roku – *Zeszyty Historyczne* Nr 114, 1995 – należy dodać, iż znamy dokładnie siły obydwu walczących armii na dzień 16 sierpnia 1920 roku.

Stan bojowy polskiego frontu północnego i środkowego wynosił 118.399 bagnatów i 11.758 szabel, front południowy miał 33.882 bagnety i 4.500 szabel. Front północny był zaopatrzony w 1.519 karabinów maszynowych i 377 dział, front środkowy, o sile 42.700 bagnatów i 6.471 szabel, w 556 karabinów maszynowych i 260 dział, front południowy w 586 karabinów maszynowych i 120 dział. Wraz z armią polską biły się oddziały białoruskie Bałachowicza, pułki ukraińskie, brygada kozaków dońskich majora Salmikowa, oddziały rosyjskie generała Peremykina, brygada tatarska.

Siły rosyjskie, w których już służyło 48.500 oficerów armii carskiej, wynosiły ogółem 125.993 bagnatów i 31.140 szabel. Z tego na froncie zachodnim dowodzonym przez Tuchaczewskiego było 104.904 bagnatów i 9.035 szabel z 2.201 karabinami maszynowymi i 566 działami. Grupa mozyrska, która przyjęła na siebie uderzenie polskiej grupy środkowej miała 11.690 bagnatów, 1.000 szabel, 154 karabiny maszynowe i 27 dział.

Łączę szczerze wyrazy szacunku i poważania

Stanisław BÓBR-TYLINGO

P.S.

Kawaleria jest w armii polskiej od roku 1924 – przed tym była jazda.

Aberdeen, 9 stycznia 1996

Szanowny Panie Redaktorze!

Nasuują mi się następujące uwagi odnośnie artykułu dra Szymańskiego „Wojenne losy inteligencji polskiej” (ZH Nr 114, 130-148).

Niedopatrzaniem wydaje mi się brak nazwiska prof. Kazimierza Bartla na liście profesorów zamordowanych przez Niemców we Lwowie w czerwcu 1941 roku.

Prof. Bartel aresztowany był równocześnie z innymi profesorami politechniki ale zamordowano go dopiero 26-go czerwca, prawdopodobnie ze względu na jego działalność polityczną (był on trzykrotnie premierem a dwukrotnie wice-premierem). (Patrz: M. Bartłowa, ZH Nr 81, 34-65, I. J. Weinstein ZH Nr 11, 92-94).

Łączę wyrazy szczerego uznania

Prof. J. B. DERĘGOWSKI



Kraków, 27 XII 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zadowolony niezmiernie z zamieszczenia w *Zeszytach Historycznych* (1995, z. 114), mego artykułu „Agonia Armii Krajowej 1944-1945”, z niejaką przykrością zauważam, że przysłowiowy „chochlik drukarski” zniekształcił nazwiska dwóch wysokich rangą oficerów sowieckich służb bezpieczeństwa (s. 37). Mianowicie wymieniony tam komisarz bezpieczeństwa państwowego Ukrainy nazywał się Sawczenko, a nie Sauczenko, zaś naczelnikiem Głównego Zarządu Kontrwywiadu Ludowego Komisariatu Obrony „Smiersz” był W.S. Abakumow, a nie Adakumow. Są to, nawiasem mówiąc, dość znane postacie: pierwszy odegrał ważną rolę w zwalczaniu ukraińskiego podziemia OUN-UPA i wiele na ten temat powiedzieć mogą historycy ukraińscy. Odpowiedzialny był za deportacje tysięcy Ukraińców, a także za walkę z polskim podziemiem w latach 1944-1945 na terenie Małopolski Wschodniej. W.S. Abakumow natomiast był jednym z bliskich współpracowników Ł. Berii; podległy mu „Smiersz” intensywnie zwalczał polskie podziemie w 1944 i 1945 r.

Łączę wyrazy szacunku

Grzegorz MAZUR

8 września 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Piszę do Pana w związku z listem p. Andrzeja Bogusławskiego, który ukazał się w 113 numerze *Zeszytów Historycznych*. List ten zawiera poważne nieścisłości dotyczące Tadeusza Cieślaka, autora „Historii Finlandii”, która ukazała się w 1973 r. Bogusławski stwierdził, że Cieślak nie był polskim historykiem mimo, że pisał po polsku. Nie polega to na prawdzie bo Tadeusz Cieślak był znanym polskim historykiem, który opublikował przeszło 150 artykułów i prac historycznych na temat Pomorza, Prus Wschodnich i Zachodnich, oraz polityki rządów Prus w stosunku do Polaków zamieszkujących na tych ziemiach. Był on przez pewien czas związany z Uniwersytetem Adama Mickiewicza w Poznaniu gdzie wydawał *Przegląd Zachodni*. Był on również przez pewien czas kierownikiem *Polish Cultural Centre* w Londynie. Cieślak był szanowany przez znanych polskich i niemieckich historyków, którzy uważali go za dobrego i patriotycznego Polaka, kim niewątpliwie był przez całe swoje życie.

Cieślak urodził się w Niemczech Zachodnich jako syn szewca. Ciężkie warunki ekonomiczne jego rodziny przyczyniły się niewątpliwie do tego że stał się ideowym komunistą. Cieślak spędził przeszło cztery lata w Sachsenhausen, znanym obozie koncentracyjnym pod Berlinem, gdzie go poznałem. Jako więzień polityczny i Polak zachował się w obozie bardzo godnie i nigdy nikomu nie wyrządził żadnej krzywdy, ani w obozie ani też po powrocie do Polski. Cieślak pomagał wielu byłym więźniom obozów koncentracyjnych jako członek Klubu Sachsenhausen w Warszawie.

Łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku

Bronisław Jerzy MARCINEK



30.10.1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Ponieważ ostatnio zdobyliśmy nowe informacje dotyczące sprawy wiz tranzytowych przez Japonię dla uchodźców żydowskich z Polski i Litwy w 1940 r., chcielibyśmy jak najszybciej uzupełnić to, co na ten temat napisaliśmy w artykule „Współpraca polsko-japońska w czasie II wojny światowej”, zamieszczonym w 110 numerze *Zeszytów Historycznych*.

Otóż, jak się okazało, konsul holenderski w Kownie, od którego wyszedł pomysł w sprawie wiz, naprawdę nazywał się Jan

Zwartendijk, a nie Nathan Goodwill, jak twierdziła pani Sugihara, wdowa po konsulu japońskim w Kownie (ZH s.13). Zwartendijk był dyrektorem przedstawicielstwa na Litwę firmy Philips i na prośbę ówczesnego ambasadora Holandii w Krajach Bałtyckich, L.P.J. de Deckera, w maju 1940 r. zastąpił dotychczasowego, pro-niemieckiego konsula. Jednym z Żydów, który w tym czasie desperacko poszukiwał drogi ucieczki z Litwy, był urodzony w Holandii Nathan Gutwirth (a nie Goodwill!!!). Trafił on ostatecznie do Zwartendijka, który zgodził się mu pomóc, wpisując w paszporcie adnotację, że „ (...) niniejszym zaświadcza się, że wiza wjazdowa nie jest potrzebna przy wjeździe na Surinam, Curaçao lub do innych posiadłości holenderskich (...)”. Należy dodać, że adnotacja ta była tylko fragmentem formuły, stosowanej przy takich okazjach przez holenderskie władze konsularne. Brakowało w niej bowiem drugiego członu, w którym wyjaśniano, że tylko gubernator Curaçao może wydać zgodę na wjazd, co w praktyce zdarzało się bardzo rzadko. Za Gutwirthem do konsula holenderskiego trafili inni żydowscy uchodźcy, którzy następnie kierowali się do japońskiego wicekonsula w Kownie, Sugihary Chiune. Na podstawie tej skróconej wersji adnotacji Holendra Sugihara mógł wystawiać im wizy tranzytowe przez Japonię o czym pisaliśmy szczegółowo w naszym artykule. Można więc uznać, że konsulowie działali wspólnie ratując od śmierci z rąk Niemców tysiące Żydów.

Zarówno powyższe, jak i wiele innych, bardzo cennych informacji o konsulu holenderskim w Kownie przekazał nam jego syn, dr Jan Zwartendijk Jr., któremu w tym miejscu chcielibyśmy bardzo serdecznie podziękować. Niestety, konsul Jan Zwartendijk zmarł w 1976 r., więc niemożliwe jest już wysłuchanie tego naocznego świadka tamtych wydarzeń.

Z wyrazami szacunku

Ewa PAŁASZ-RUTKOWSKA
ANDRZEJ T. ROMER



Londyn, 8 grudnia 1995 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Wydawałoby się, że zasadniczym celem działania rozgłośni radiowej jest nie tyle samo nadawanie, co odbieranie tego nadawania szczególnie przez tych, dla których jest ono przewidziane. Tymczasem odnosi się wrażenie, że opracowania dotyczące rozgłośni powstańczej „Błyskawica”, które omówił pan Tadeusz Wyrwa w 113 *Zeszytach Historycznych*, odnoszą się prawie wyłącznie do spraw związanych z nadawaniem i nie okazują zainteresowa-

nia odbiorem „Błyskawicy”. A chodziło wówczas w pierwszym rzędzie o odbiór w W. Brytanii. Może więc warto zwrócić uwagę na to, że sprawy tego odbioru zostały w swoim czasie poruszone w następujących wypowiedziach drukowanych w londyńskim *Tygodniu Polskim*:

Wanda Pełczyńska, „Rozgłosnie walczącej Warszawy”, 5 grudnia 1964 r.

Zbigniew S. Siemaszko, „Odbiór warszawskiej ‘Błyskawicy’”, 10 lipca 1965 r.

Sabin Popkiewicz, „Warunki odbioru rozgłosni ‘Błyskawica’”, 23 października 1965 r.

Wypowiedź Popkiewicza najlepiej naświetla trudności w odbiorze „Błyskawicy” spowodowane głównie złym doбором częstotliwości i czasów jej nadawania.

Pozostaję z szacunkiem

Z.S. SIEMASZKO



Londyn, 16 grudnia 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązując do interesującego opracowania pana Krzysztofa Tarki pt. „Spór o Wilno” (*Zeszyty Hist.* nr 114) sędzę, że należałoby zwrócić uwagę na to, że między wojnami Sowiety nie respektowały swego układu z Litwą z 12 lipca 20 r., w którym uzgodniono przyłączenie Wilna do Litwy. Wyrażało się to między innymi tym, iż w owym okresie partia komunistyczna w Wilnie nie wchodziła w skład ani litewskiej, ani też polskiej partii komunistycznej. Jędrychowski, Sztachelski i inni byli członkami partii Zachodniej Białorusi, z czego wynika, że Komintern i Sowiety były wówczas zdania, że Wilno i okolice powinny należeć do Białorusi.

Dopiero układ Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 39 r. przewidywał, iż „interesy litewskie w okolicy Wilna będą respektowane przez obie strony”.

Druga sprawa, którą trzeba by dodać, to zachowanie się Litwy w czasie walk wrześniowych 39 r. Dnia 8 września Niemcy zachęcali Litwinów do zajęcia Wilna, na co odpowiedzieli oni odmownie 11 września. To spowodowało interwencję Ribbentropa u Urbszysa, który jednak odpowiedział, że Litwa pozostanie nadal neutralna.

Pozostaję z szacunkiem

Z.S. SIEMASZKO

17 stycznia 1996 r.

Drogi Panie Redaktorze!

Nie mam zamiaru polemizować z Jackiem Machniewiczem w związku z recenzją mej książki „Pod anteną Radia Wolna Europa” (*Zeszyty Historyczne* nr 114, str. 204/205). Chcę tylko wyjaśnić, co mnie skłoniło do odwiedzenia Czechowicza w Warszawie. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby Jan Nowak nie napisał w swojej „Polsce w oddali” (str. 305), że usilnie odradzał Amerykanom „wyciąganie jakichkolwiek konsekwencji służbowych wobec Kazimierza Zamorskiego”. Amerykanie mnie nie wylali, bo dobrze wiedzieli, że to Nowak zatrudnił Czechowicza, on go hołubił, zachwalał wobec „partnerów” amerykańskich pod niebiosa i chętnie słuchał jego donosów na mnie. „Byłem jego pupilkiem wzywał mnie często do udziału w audycjach, był dla mnie jakby ojcem” – oświadczył Czechowicz w programie TV2 w dniu 21 września 1995. Jak to pogodzić z twierdzeniem Nowaka, że „niewiele miałem z nim do czynienia” (str. 303). Któryś z tych dwóch mija się z prawdą: Czechowicz czy Nowak?

Jackowi, memu przyjacielowi jestem wdzięczny za konkluzję, że książka moja to dokument, wprowadzie z lejtymotywwem, ale dokument, żadna „fałszywka”.

Łączę szczerze wyrazy szacunku

Kazimierz ZAMORSKI

SPIS TREŚCI

Roman T. Gerlach: <i>Ani niedźwiedzi, ani lasu, ani nic: tragedia getta warszawskiego</i>	3
Maria Turlejska: <i>Przyczynek do losów prawników polskich w latach 1935-53</i>	22
Teresa Skinder-Suchcitz: <i>Próby uwolnienia okrętów podwodnych z internowania w Szwecji. Wrzesień 1939 – czerwiec 1940</i>	59
Janusz Wróbel: <i>Polacy w Afryce Wschodniej i Południowej 1941-1950</i>	73

WSPOMNIENIA

Jerzy Straszak: „ <i>Szkoła szpiegów</i> ”	122
--	-----

RECENZJE

Michał Paziewski: <i>Opozycja polityczna à la PRL</i> . .	145
Tadeusz Wyrwa: <i>Antologia literatury katyńskiej</i> . . .	150
Tadeusz Wyrwa: <i>Pokolenie akowskie w pamiętnikarskim piśmiennictwie</i>	154
Z.S. Siemaszko: „ <i>Liście na wietrze</i> ”	160

POLEMIKI

Janina Hera: „ <i>Dlaczego ob. Korzeniewski kłamie?</i> ” .	165
---	-----

OKRUCHY HISTORII

Hanna Świdorska: <i>Z dziejów polskiej prasy w Anglii 1944-45</i>	193
Krzysztof Zamorski: <i>Z Kołymy do Andersa</i>	210

Krzysztof Tarka: <i>Z Litwy do Finlandii? Polacy w wojnie sowiecko-fińskiej</i>	220
Józef Lewandowski: <i>List do Redakcji</i>	223
Wacław Dziwulski: <i>Strzępy wspomnień studenta Wydziału Mechanicznego PG</i>	227

LISTY DO REDAKCJI

Stanisław Bóbr-Tylingo: <i>Uwagi na temat recenzji o pracy dot. walk w 1920 r. (Zeszyty Historyczne Nr 114)</i>	233
Prof. J.B. Deręgowski: <i>Uwagi na temat artykułu dra Szymańskiego. (Zeszyty Historyczne Nr 114)</i> . .	234
Bronisław Jerzy Marcinek: <i>Krytyka artykułu Andrzeja Bogusławskiego – nieścisłości dotyczące Tadeusza Cieślaka (Zeszyty Historyczne Nr 113)</i>	234
Grzegorz Mazur: <i>Sprostowania do jego artykułu pt. „Agonia Armii Krajowej 1944-45” (Zeszyty Historyczne Nr 114)</i>	235
Ewa Pałasz-Rutkowska i Andrzej T. Romer: <i>Dodatkowe informacje do ich artykułu pt. Współpraca polsko-japońska w czasie II wojny światowej” (Zeszyty Historyczne Nr 110)</i>	236
Z.S. Siemaszko: <i>Uwagi na temat artykułu Tadeusza Wyrwy o powstańczej rozgłośni „Błyskawica” (Zeszyty Historyczne Nr 113)</i>	237
Z.S. Siemaszko: <i>Uwagi na temat artykułu Krzysztofa Tarki pt. „Spór o Wilno” (Zeszyty Historyczne Nr 114)</i>	237
Kazimierz Zamorski: <i>Wyjaśnienia w związku z recenzją Jacka Machniewicza książki Zamorskiego (Zeszyty Historyczne Nr 114)</i>	238

.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

